

PASAŻERKA

LISA
LUTZ

*Musi uciekać. Musi mylić tropy.
Musi sama siebie przekonać
o swojej niewinności.*

LISA LUTZ

PASAŻERKA

przełożyła
Agnieszka Lipska-Nakoniecznik



Tytuł oryginału: ***The Passenger***

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Monika Frączak*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Katarzyna Głowińska (Lingventa),*

Anna Sawicka-Banaszkiewicz

Copyright © 2016 by Spellman Enterprises, Inc.

All rights reserved

For the cover illustration © Tim Robinson/Arcangel Images

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2018

© for the Polish translation by Agnieszka Lipska-Nakoniecznik

ISBN 978-83-287-0793-1

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2018

panu B. & panu M.
dla pani C.

Spis treści

TANYA DUBOIS

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

EMMA LARK

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

SONIA LUBOVICH

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

JO

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

NORA GLASS

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozdział dwudziesty ósmy

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Rozdział trzydziesty

Epilog

Podziękowania

TANYA DUBOIS

Rozdział pierwszy

Kiedy znalazłam mojego męża leżącego u podstawy schodów, najpierw próbowałam przywrócić go do życia, zanim w ogóle zaczęłam rozmyślać nad pozbyciem się ciała. Naciskałam jego baryłkowatą klatkę piersiową i wdmuchiwałam powietrze w sine usta. Pierwszy raz od lat nasze wargi zetknęły się, jednak nie cofnęłam się ze wstrętem.

Odpuściłam po dziesięciu minutach. Frank Dubois odszedł na dobre. Taki spokojny i cichy, wydawał się pogrążony w niewinnej drzemce, choć bywał głośniejszy we śnie niż na jawie. Prawdę mówiąc, gdybym podejrzewała, jak z biegiem czasu Frank zacznie chrapać, nigdy w życiu bym za niego nie wyszła. Zresztą gdybym mogła przeżyć wszystko jeszcze raz, za żadne skarby świata nie zostałabym jego żoną, nawet gdyby spał jak anioł. Gdybym mogła przeżyć wszystko jeszcze raz, mnóstwo rzeczy zrobiłabym całkiem inaczej. Jednak spoglądając wówczas na nieruchomego i nagle milczącego Franka, wcale aż tak bardzo nie przejmowałam się jego odejściem. Wydawało się, że nadszedł dobry moment, żeby powiedzieć sobie „do widzenia”. Nalałam szklaneczkę bourbona, którego Frank przechowywał na specjalne okazje, usiadłam na zamszowej kanapie firmy La-Z-Boy i wypiłam, żeby uczcić pamięć zmarłego.

Na wypadek gdybyście się zastanawiali, to nie, nie zrobiłam tego. Nie miałam nic wspólnego ze śmiercią Franka. Niestety, nie mam alibi, więc musicie uwierzyć mi na słowo. Kiedy on opuszczał ten padół, ja akurat brałam prysznic. Po prostu runął ze schodów, o ile zdołałam się zorientować. Ostatnio dokuczały mu zawroty głowy. Wiem, to bardzo dogodny zbieg okoliczności. Wątpię, żeby komuś o tym wspominał. Gdybym zaczekała na policję i powiedziała im prawdę, być może życie potoczyłoby się zwykłym trybem. Naturalnie już bez Franka.

Nalałam sobie kolejnego drinka i zaczęłam się zastanawiać, jakie mam możliwości działania. Z początku pomyślałam o pozbyciu się ciała. Wtedy

mogłabym władzom wcisnąć bajeczkę, że Frank porzucił mnie dla innej kobiety. Albo że uciekł przed lichwiarzami. Wszyscy wiedzieli, że kochał karty, ale nie miał do nich za grosz talentu.

Postanowiłam przeprowadzić test siły, żeby sprawdzić, czy to w ogóle możliwe. Szarpnęłam za opuchnięte, stwardniałe stopy Franka – stopy, które od dawna budziły we mnie wstręt. Dlaczego trzeba dorosłemu facetowi przypominać o tym, że należy obcinać paznokcie u nóg? Przeciągnęłam ciało o jakieś trzydzieści centymetrów od miejsca, gdzie upadł, zanim dałam za wygraną. Przez ostatni rok Frank nieźle przytył, ale nawet gdyby był smukły, to i tak nie wyobrażałam sobie, gdzie można by go ukryć tak skutecznie, aby nigdy nie został odnaleziony. W dodatku teraz za jego głową widniała wielce podejrzana smuga krwi w kształcie znaku zapytania. Być może udałoby mi się to jakoś wytłumaczyć, gdybym wezwała policję i została na miejscu... Ale wtedy oni zaczną mi się uważnie przyglądać, a ja niezbyt lubię, kiedy ludzie przyglądają mi się w ten sposób.

Próbowałam wyobrazić sobie mój proces. Ja, wyszorowana do czysta, z włosami ściągniętymi do tyłu w kok jak u porządnej nauczycielki, w dziewiczej, kwiecistej sukience z kołnierzykiem w stylu Piotrusia Pana, staram się wyglądać jak uosobienie niewinności, choć moja pokerowa twarz o ściągniętych rysach jest sucha jak pieprz. Nie potrafię wyobrazić sobie, w jaki sposób miałabym przywołać łyzy albo przybrać wyraz twarzy osoby wstrząśniętej tragedią, która ją spotkała. Już nie umiem okazywać uczuć. To było coś, co Frankowi zawsze się we mnie podobało. Kiedyś miałam zwyczaj płakać z byle powodu, ale to było całe wieki temu. Moje serce zostało złamane tylko raz, za to całkowicie.

Siedząc w fotelu Franka ze szklaneczką w dłoni, udawałam, że rozważam różne opcje, choć tak naprawdę istniało tylko jedno wyjście.

Frank trzymał zaskórniaki na hazard w swojej skrzynce narzędziowej. Było tam nieco ponad tysiąc dwieście dolarów. Spakowałam się jak na krótką wycieczkę i wrzuciłam walizkę na tył należącego do Franka pick-upa chevy.

Zostawiałam za sobą tylko dwoje ludzi, oczywiście nie licząc Franka: Carol z baru i doktora Mike'a.

Doktor Mike był czołowym rehabilitantem w Waterloo w stanie Wisconsin. Pracowało ich tam dwóch, więc konkurencja nie wydawała się

zbyt ostra. Przejął obowiązki przed trzema laty, zastępując odchodzącego na emeryturę doktora Billa. Od czasu wypadku miałam kłopoty z kręgosłupem i doktor Bill nastawiał mnie raz albo dwa razy w miesiącu. Z doktorem Mikiem widywałam się o wiele częściej. Kiedy pierwszy raz położył na mnie ręce, poczułam coś w rodzaju elektrycznego wstrząsu, zupełnie jakbym obudziła się po raz pierwszy od lat. Wróciłam tam tydzień później i sprawa się powtórzyła. W następnym tygodniu znowu przyszłam. Potem opuściłam jedną wizytę i doktor Mike wstąpił do baru, żeby sprawdzić, jak sobie daję radę. Frank akurat wyjechał na ryby, a doktor Mike zaproponował, że mnie naprostuje w pokoiku na zapleczu. Tym razem nie wszystko poszło zgodnie z planem.

Nie, nie mogę o tej godzinie zawracać głowę Carol. Pobudzę dzieciaki. Może z drogi wyślę jej jakąś pocztówkę.

Mój rehabilitant miał gabinet na parterze swojego trzypiętrowego domu w stylu królowej Anny, położonego w ładnej części miasta. Najmądrzej byłoby wynosić się stąd teraz, uciekać przez te cenne godziny, kiedy wszyscy sądzili, że Frank wciąż należy do grona żywych. Jednak na tym świecie miałam kilka poważnych zobowiązań, a doktor Mike był jednym z nich.

Skierowałam chevy trucka Franka w stronę domu doktora Mike'a i wyjęłam klucz spod kamienia. Otworzyłam drzwi, a następnie wkroczyłam do sypialni. Pograżony w głębokim śnie doktor Mike mruczał cichutko jak syjamski kot, którego miałam jako dziecko. Zresztą w ruchach też przypominał kota. Budząc się, zawsze wyciągał swoje kościste członki, na przemian powoli i z rozmysłem, albo ostro i szybko. Zdjęłam ubranie i wsunęłam się do łóżka obok niego.

Doktor Mike obudził się i objął mnie ramieniem.

– Chcesz, żeby cię nastawić? – zamruczał.

– Mmm...

To był taki nasz mały żarcik. Pocałował mnie w kark, potem w usta, a następnie przewrócił się na plecy i czekał, żebym zaczęła. To był jego sposób: nigdy nie robiliśmy tego, o ile ja nie podjęłam decyzji. Tak to zaczęłam, tak postępowałam przez cały czas, i dzisiaj tak zamierzałam to zakończyć.

Doktora Mike'a i mnie nigdy nie łączyła wielka miłość. Po prostu szłam

do niego, kiedy chciałam zapomnieć. Kiedy byłam z doktorem, zapomniałam o Franku, zapomniałam o nieustannej ucieczce przed prawem, zapomniałam o kimś, kim niegdyś byłam.

Kiedy skończyliśmy, Mike masował moje obolałe plecy i próbował naprostować mi kręgosłup.

– Jesteś dziś kompletnie poskręcana. Czy coś się wydarzyło? Czy zrobiłaś coś, czego nie powinnaś była zrobić?

– Prawdopodobnie – odpowiedziałam wymijająco.

Doktor Mike odwrócił mnie na plecy.

– Coś się zmieniło – stwierdził.

– Najwyższy czas, prawda?

Czułam się jak drobinka kurzu, zamrożona zbyt długo w kostce lodu. Powinnam była zrobić coś ze swoim życiem na długo przedtem, nim sztywny Frank mnie do tego zmusił.

Zerknęłam na zegarek. Właśnie minęła północ. Najwyższa pora się stąd wynosić. Ubrałam się szybko.

Doktor Mike przyglądał mi się wzrokiem profesjonalisty.

– To koniec, prawda?

Nie mam pojęcia, jak na to wpadł, ale udało mu się zgadnąć. Nie było sensu odpowiadać.

– W ciągu kilku następnych dni pewnie coś o mnie usłyszysz. Chcę po prostu, żebyś wiedział, że to nieprawda. Możliwe, że później usłyszysz o mnie jeszcze inne rzeczy. Większość z nich także nie będzie prawdziwa – powiedziałam.

Po raz ostatni pocałowałam go na pożegnanie.

Przejechałam trzydzieści mil i dopiero wtedy zatankowałam wóz. Miałam przy sobie kartę debetową oraz kartę kredytową, z których pobrałam najwyżej po dwieście dolarów. Przejechałam kolejnych dwadzieścia mil do następnej stacji benzynowej, wypiąłam filiżankę mocnej kawy i wyjęłam z każdej karty kolejne dwie setki. Frank zawsze był sknerą, gdy chodziło o nasze pieniądze. Miałam jedną kartę kredytową i niewielki rachunek

w banku, ale nic z tego nie zapewniało wystarczających środków, gdybym na przykład zapragnęła udać się na przedłużone wakacje. Zrobiłam jeszcze jeden przystanek w Quick Mart, podjęłam następne czterysta dolarów i wrzuciłam obie karty do kontenera na śmieci, który stał za sklepem. Teraz miałam przy sobie dwa tysiące czterysta dolarów i chevy trucka, którego niebawem będę musiała się pozbyć. Psiakrew, należało podbierać pieniądze od chwili, gdy tylko dostałam klucz do kasy w barze. Powinnam była przewidzieć, że ten dzień kiedyś nadejdzie.

Samochód śmierdział jak mój mąż – mój były mąż? Czyżbym była wdową? Wypadało się zdecydować. Sądzę, że po prostu należało w ogóle nie wychodzić za mąż. Tak czy owak, jechałam z otwartymi oknami, starając się pozbyć zapachu Franka.

Włączyłam się do ruchu na I-39 South, zostawiwszy za sobą Wisconsin, i przez pewien czas podróżowałam przez stan Illinois, aż zobaczyłam kierunkowskaz na I-80, o której wiedziałam, że dokądś mnie doprowadzi. Nie miałam w głowie żadnego określonego celu, więc po prostu kierowałam się na zachód, głównie dlatego, by uniknąć mrużenia oczu w blasku porannego słońca. Zamierzałam bowiem jechać aż do świtu.

Nie zakupiłam żadnej płyty z muzyką, więc przez całą noc zmuszona byłam podróżować przy dźwiękach lokalnego radia, skąd płynęły słowa miejscowych kaznodziejów. Przejeżdżając obok walcowatych pagórków Iowa, w końcu zahaczyłam o jakąś stację. Było zbyt ciemno, żeby widzieć obnażone drzewa i ponure płaty śniegu, które szpeciły pusty lutowy krajobraz.

Pastor z Iowa, który dotrzymywał mi towarzystwa przez pierwszą połowę podróży, wymieniał właśnie siedem znaków Antychrysta. Jednym z nich było podobieństwo do Chrystusa. Poprzez szum zanikającego sygnału wsłuchiwałam się w jego słowa i udało mi się wyłowić kilka wskazówek. Antychryst będzie przystojny i czarujący. Będzie wydawał się dobrą partią. Niestety, wówczas ostatecznie straciłam zasięg, więc całkiem możliwe, że przypadkiem trafię na Antychrysta i nawet nie będę o tym wiedziała.

Przełączyłam się na inną stację, gdzie inny kaznodzieja mówił o wybaczeniu, ale ten temat niezbyt mnie interesował. Wyłączyłam więc radio i jechałam przy gwizdach wiatru i łomocie kół o asfalt, podczas gdy

reflektory aut zmierzających w przeciwnym kierunku mrugały i znikwały mi z pola widzenia.

Przypomniałam sobie dzień, gdy poznałam Franka. Byłam w mieście zaledwie od paru tygodni, pełna nadziei, że w końcu znajdę jakąś sensowną robotę. Zamówiłam drinka w jego barze, który nazywał się tak samo jak Frank. Dubois. Czasami myślę, że wyszłam za Franka wyłącznie dla tego nazwiska. Nigdy nie lubiłam nazywać się Tanya Pitts. Nie lubiłam imienia, nie lubiłam nazwiska. Bez wątpienia zmiana na Tanyę Dubois była awansem.

Wracając do przeszłości – Frank miał w sobie nieco życia, ja zaś byłam kompletnie tego pozbawiona, więc po prostu doskonale się dopasowaliśmy. To on dał mi moją pierwszą prawdziwą posadę. Nauczyłam się, jak nalewa się piwo i jak miesza składniki drinków, chociaż w tak skromnym lokalu zamówienia na koktajle nie zdarzały się zbyt często. W naszym wspólnym życiu niewiele się działo. Nie mieliśmy dzieci. Postarałam się o to.

Po całonocnej podróży znalazłam się na przedmieściach Lincoln w stanie Nebraska. Nadszedł czas, żeby zrobić sobie przerwę i pozbyć się trucka. Znalazłam handlarza używanych samochodów i wymieniłam dwuletniego chevy silverado Franka na siedmioletniego buicka regal plus tysiąc siedemset dolarów w gotówce. Zdawałam sobie sprawę, że ta transakcja to rozbój w biały dzień, ale uznałam, że lepiej będzie nie zwracać na siebie uwagi. Tak czy owak, nie zamierzałam długo trzymać tego buicka. Pokonałam kolejne dziesięć mil, dzielące mnie od miasteczka Milford, gdzie trafiłam do motelu noszącego wdzięczne miano Motel. Wyglądał na ten rodzaj przybytku, którego właściciele akceptują transakcje przeprowadzane wyłącznie w gotówce. Kiedy zapytali mnie o dowód tożsamości, powiedziałam po prostu, że go zgubiłam. Zapłaciłam dodatkowe ubezpieczenie i wpisałam się na listę gości jako Jane Green.

Spałam jak zabita przez całe osiem godzin. Czy mogłabym tak spać, gdybym była winna zbrodni? Obudził mnie głód tak gwałtowny, że szybko zamienił się w mdłości. Otworzyłam na oścież drzwi pokoju numer 14 na pierwszym piętrze ozdobionego sztukaterią budynku i przechyliłam przez balustradę balkonu, żeby rzucić okiem na miasteczko, w którym przypadkiem wylądowałam. Nie wydaje mi się, żeby ten balkon został wybudowany zgodnie z przepisami. Cofnęłam się o krok i wtedy dostrzegłam nieoświetlony czerwony szyld z napisem OBIADY.

Wróciłam do pokoju, umyłam się i wyszłam, szybko przypominając sobie, kim teraz jestem. *Pamiętaj, nazywasz się Jane Green. Zapomnij, kim byłaś wcześniej.*

Dochodziła ósma wieczorem, dawno minął czas największego ruchu, więc spokojnie usiadłam przy stoliku w przedziale, zauważywszy, że wszystkie pogaduszki toczą się przy barze. Odkąd pozbawiłam się tożsamości, raczej należało unikać podobnych rozrywek. Na rozmowy jeszcze przyjdzie czas.

Kelnerka o imieniu Carla rzuciła mi na stół menu.

– Czy mogę zaproponować coś na przystawkę? – spytała.

– Poproszę kawę – odpowiedziałam. – Czarną kawę.

– Najpierw spróbuj, a potem zdecyduj – nalała mi filiżankę. – Daję ci chwilę, żebyś mogła przejrzeć menu.

Miała rację. To nie był ten rodzaj kawy, który przyjemnie się popija. Musiałam doprawić ją cukrem i śmietanką, ale nawet wtedy z trudem dawała się przełknąć. Przeczytałam menu, starając się rozeznaczyć, na co mam ochotę. Przyszło mi do głowy, że Jane Green powinna mieć inne upodobania kulinarne niż Tanya Dubois. Jednak skoro nie zmieniałam ubrania ani fryzury, to pewnie wytrzymam kolejny dzień, jedząc to, co lubiła Tanya. Jane Green była jedynie skorupką, w której się schowałam, żeby narodzić się na nowo.

– No i co, kochanie? Namysłowałaś się? – spytała Carla.

– Poproszę szarlotkę i frytki – odparłam.

– Ta dziewczyna lubi to samo co ja – powiedziała, prędko odchodząc w swoich płaskich białych butach, w jakich chodzą pielęgniarzki.

Obserwowałam Carlę, jak gawędzi z kierowcą ciężarówki, który garbił się nad mięsną zapiekanką przy końcu kontuaru. Odmruknął coś, czego nie potrafiłam zrozumieć.

Carla popatrzyła na niego z ukosa, a jej wzrok był zdecydowanie poważny.

– Kochanie, mam wrażenie, że powinieneś zacząć brać antydepresanty. Tak, zdecydowanie potrzebujesz pigułki szczęścia. Następnym razem, jak wstąpisz do mojego lokalu, życzę sobie widzieć uśmiech na tej twojej przystojnej buźce. Słyszysz, co mówię? Widzisz ten napis? Możemy

odmówić obsługi.

– Carla, daj spokój temu człowiekowi! – wrzasnął z kuchni jakiś facet.

– Pilnuj własnego nosa, Duke – odkrzyknęła.

Potem naląła jeszcze kilka filiżanek kawy, zwracając się do klientów per „skarbie” i „kochanie” i zaśmiewała się do rozpuku z żartu, który wcale nie był śmieszny. Przyjemnie byłoby być Carłą, pomyślałam. Nawet tylko przez krótką chwilę. Spróbować, jak to jest być nią i przekonać się, czy mi to pasuje.

Pozarłam szarlotkę i frytki w takim tempie, że nawet Carla była pod wrażeniem.

– W życiu nie widziałam, żeby nawet kierowcy ciężarówek, co to ważą ze sto trzydzieści kilogramów, zmiatali tak szybko wszystko z talerza. Musiałaś umierać z głodu.

– Tak – odparłam. Krótko i węzłowato. Jak zawsze.

Uregulowałam rachunek i wyszłam, wlokąc się noga za nogą główną ulicą miasteczka, które ledwie zasługiwało na taką nazwę. Weszłam do drogerii i kupiłam szampon, szczoteczkę, pastę do zębów i farbę do włosów w kasztanowym i ciemnobrązowym kolorze oraz telefon na kartę, który wyjęłam spod lady.

Sprzedawca, facet w średnim wieku o imieniu Gordon wypisanym na plakietce, podliczył moje zakupy.

– Razem będzie pięćdziesiąt osiem dolarów i trzydzieści osiem centów.

Zapłaciłam gotówką. Kiedy wychodziłam, z moich ust wymknęły się nieoczekiwane słowa.

– Dziękuję, kochanie. Życzę miłego dnia.

To było absolutnie niewłaściwe. Tak niewłaściwe, że prawie zatrzęśłam się ze wstydu.

Po drodze do domu znalazłam jakiś sklep z alkoholami i nabyłam butelkę ulubionego bourbona Franka, ponieważ wyobraziłam sobie, że drinkiem uda mi się zmyć dręczące mnie wspomnienia. Zapłaciłam gotówką, rzucając

sprzedawcy jedynie krótkie „dziękuję”.

W hotelowym pokoju, w którym od czasu do czasu odzywało się cichutkie brzęczenie grzejnika, rozłożyłam na łóżku swoje wspaniałe zakupy i zaczęłam zastanawiać się, jaki powinien być mój następny ruch. Wiedziałam to od samego początku, ale dotąd brakowało mi odwagi. Wypiłam łyk bourbona, a następnie wyłowiłam z torebki notes z telefonami. Wzięłam głęboki oddech i kilka razy powiedziałam głośno „halo”, żeby przećwiczyć głos. Dopiero potem wybrałam numer.

- Olivier i Mead Construction – powiedziała recepcjonistka.
- Chciałabym rozmawiać z panem Rolandem Olivierem.
- Czy mogę zapytać, kto dzwoni?
- Nie. Ale jestem pewna, że będzie chciał ze mną rozmawiać.
- Proszę zaczekać.

Rozległo się kliknięcie, a potem ze słuchawki buchnęła muzyka Beethovena. Minęły pełne dwie minuty, zanim recepcjonistka wróciła.

– Niestety, pan Olivier jest teraz bardzo zajęty. Czy mogę poprosić o numer, a on do pani oddzwoni?

Nie chciałam podawać nazwiska, ale nie widziałam innego sposobu, żeby nawiązać z nim kontakt.

– Proszę powiedzieć panu Olivierowi, że dzwoni jego stara przyjaciółka Tanya.

Tym razem zabrzmiało jedynie parę taktów, zanim w słuchawce rozległ się niski, lekko chropawy głos pana Oliviera.

- Kto mówi? – zapytał.
- Tanya Pitts – wyszeptałam.

Nic nie odpowiedział. Słyszałam w słuchawce jego ciężki oddech.

- Potrzebuję twojej pomocy – dodałam.
- Nie powinnaś była tutaj do mnie dzwonić – odparł.
- Wolałbyś, żebym zadzwoniła do twojej żony i poprosiła o przekazanie wiadomości?
- Czego chcesz?

– Żebyś wyświadczył mi przysługę.

– Jaką przysługę?

– Potrzebuję nowego nazwiska.

– A co złego jest w tym, które nosisz?

– Po prostu przestało mi służyć. Mam wrażenie, że znasz kogoś, kto zajmuje się takimi rzeczami.

– Może i znam.

– Chcę dostać nową tożsamość, nazwisko ładniejsze niż to poprzednie... I jeśli to możliwe, nie mam nic przeciwko temu, żeby być o parę lat młodsza.

Tanya Dubois zbliżała się do trzydziestych urodzin. Ale ja nie chcę kończyć trzydziestki, zanim nie nadejdzie mój czas.

– Nie można zamawiać sobie tożsamości wedle własnego widzimisię – odpowiedział pan Olivier.

– Postaraj się dołożyć wszelkich starań.

– Jak mam cię znaleźć?

– To ja znajdę ciebie. Och, jeszcze przydałoby mi się trochę gotówki, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Kilka tysięcy załatwia sprawę.

– Chyba nie zamierza pani narobić mi kłopotów, prawda, pani Pitts?

Wykorzystał moje nazwisko jak broń, wiedząc, że poczuję to uderzenie w głębi trzewi.

– Powiedzmy pięć tysięcy – odparłam.

Wiedziałam, że mogę wytargować więcej, ale przez całe lata nie poprosiłam pana Oliviera o złamany grosz, i byłam dumna z tego powodu.

– Gdzie jesteś? – spytał.

– Będziemy w kontakcie.

– Czekał... – zawołał. – Co u ciebie słychać?

Mogłabym przysiąc, że to pytanie było całkiem szczere, zupełnie jakby miało to dla niego znaczenie. Ale wiedziałam, że jest wręcz przeciwnie.

– Do widzenia, panie Olivier.

Rozdział drugi

Następnego dnia ruszyłam autostradą I-81 South w stronę I-35, która przecinała na pół Oklahomę. Krótco po trzeciej trzydziści zatrzymałam się w miasteczku Norman i zameldowałam w zajezdzie Jezioro Łabędzie. W czasie trwającego dwie noce pobytu jako żywo nie zauważyłam w okolicy choćby jednego łabędzia czy jeziora. Dałam panu Olivierowi czterdzieści osiem godzin, zanim odezwałam się po raz drugi.

– Czy masz wszystko?

– Tak. Mam to, czego chciałaś – odpowiedział.

– Nie chcę czekać. Powiedz mi od razu, jak się teraz nazywam.

– Amelia Keen.

– A-me-li-a Ke-en... – wypowiedziałam na głos, a następnie powtórzyłam jeszcze raz, starając się rozeznąć, czy będzie mi pasowało. Doszłam do wniosku, że tak. – Ładne nazwisko.

– Tak się cieszę, że ci odpowiada – odparł pan Olivier głosem, który brzmiał jak głos automatu.

– Kim ona była?

– Zwykłą dziewczyną, która zginęła przed rokiem w pożarze domu. Nikt na tym nie skorzystał. Nie była zameźna i nie miała dzieci. Miała dwadzieścia siedem lat, kiedy umarła, co oznacza, że teraz ty masz dwadzieścia osiem.

– Dobrze wymyśliłeś ten wiek. Jakie masz dokumenty tożsamości?

– Ubezpieczenie i paszport bez zdjęcia. Możesz mi podać jakiś adres?

– Prześlij wszystko w ciągu jednego dnia na nazwisko Jane Green do zajazdu Jezioro Łabędzie w Norman, w Oklahomie. Potem nadaj przekaz na pięć tysięcy do biura Western Union przy Clyde Avenue. Mam zamiar wywalić ten telefon zaraz jak skończymy rozmowę, więc lepiej, żeby

wszystko poszło jak trzeba.

– Tak jest, pani... Keen – odparł. – Chyba powinnaś zacząć się przyzwyczajać.

– Też tak sędzę.

– Pani Keen, proszę zachować ostrożność. Jeśli wpadnie pani w kłopoty, może pani liczyć tylko na siebie.

– Czy tak nie było zawsze?

– Jutro będziesz miała to, czego potrzebujesz. Nie przypuszczam, żebyśmy musieli jeszcze kiedyś rozmawiać.

– Chciałabym prosić cię o jeszcze jedną przysługę.

– Jaką?

– Nie próbuj mnie zabić.

Amelia Keen, Amelia Keen. To było nazwisko, z którym można coś zrobić. Może Amelia Keen była ambitna. Może chciała pójść do college'u, uczyć się jakiegoś języka? W przyszłości mogła zostać nauczycielką albo bizneswoman. Może by pilotowała samoloty, może została lekarzem? No cóż, chyba to gruba przesada. Ale Amelia Keen może być wykształcona. Może zacząć grać w tenisa albo jeździć na nartach; może zadawać się z ludźmi, którzy zajmują się czymś więcej niż graniem w bilard w barze w każdy piątkowy wieczór. Może wyjść za jakiegoś mężczyznę dla czegoś więcej niż tylko ładnego nazwiska.

Powoli zeszałam do recepcji zajazdu Jezioro Łabędzie. Niemal chciałam spotkać zbłąkaną duszyczkę, która tak nazwała to miejsce; zwyczajnie po to, by spytać, czy on – albo, co bardziej prawdopodobne, ona – miała wielkie plany, które legły w gruzach. Dokładano wszelkich starań, by zrobić z tego zajazdu coś więcej niż podrzędny motel, przez co wydawał się jeszcze bardziej zaniedbany.

Na dole odezwałam się do recepcjonistki, która nie mogła mieć więcej niż dziewiętnaście lat. Wyglądało na to, że ta praca nie jest dla niej jedynie przelotnym epizodem, choć w zajeździe Jezioro Łabędzie miała naprawdę ciężkie życie. Ze sposobu, w jaki zaciskała usta, łatwo można było

wywnioskować, że wszystkie ambicje z czasów dzieciństwa, wszystkie perspektywy zostały utopione w alkoholu i metamfetaminie. Zameldowała mnie bez żądania dowodu tożsamości, to dla niej żaden problem. Na plakietce widniało imię „Darla”. Lubię plakietki z imionami, bo mam straszny problem z zapamiętywaniem imion. Zresztą może nie widzę sensu w uczeniu się na pamięć czyjegoś imienia, skoro i tak zaraz trzeba je będzie zapomnieć.

– Cześć, Darla – powiedziałam. – Co słyhać?

– Wszystko w porządku, pani... Pani...

– Jane Green.

– Racja – odparła. Jej źrenice nie nabierały ostrości, zupełnie jak u osoby niewidomej.

– Czekam jutro na przesyłkę. To naprawdę ważne. Czy mogłabyś zadzwonić do mojego pokoju, kiedy tylko ją przyniosą?

– Oczywiście, madame – odpowiedziała, gryzmołąc coś na karteczce.

Dałam jej dwudziestodolarowy banknot, choćby za to, że zwróciła się do mnie per „madame”.

Wyłączyłam komórkę, wrzuciłam ją do kosza na śmieci przed wejściem do zajazdu, a następnie w kiosku na rogu kupiłam nowy telefon. Potem ruszyłam wzdłuż głównej ulicy miasteczka, znalazłam jakiś bar i zamówiłam hamburgera z frytkami. Jasno dałam kelnerce do zrozumienia, że nie mam ochoty na żadne pogawędki. Unikałam kontaktu wzrokowego z każdą osobą, która mnie mijała.

Brak tożsamości jest niebezpieczny. Jeden fałszywy krok, ktoś odkrywa, że jesteś nikim, i w końcu wszyscy dowiadują się, kim naprawdę jesteś.

Spędziłam noc w motelowym pokoju, obserwując na ekranie telewizora ludzi, którzy udawali, że są kimś innym. Nagle zdałam sobie sprawę, że muszę wypracować nową osobowość, nowy sposób zachowania, modulację głosu, upodobania, niechęci... Wzięłam do ręki notatnik oraz tani długopis leżący na szafce przy łóżku i zaczęłam notować cechy charakteru, które należało oswoić.

Tanya nie znosiła brokułów i awokado. Do wszystkich dookoła zwracała się per „sukinsynu”, również w przyjacielski sposób. Czasem używała tego

określenia zamiast imienia, które właśnie umknęło jej z pamięci. Tanya nosiła tatuaż na kostce – głupią pamiątkę z czasów szkoły średniej. Tanya zawsze wyginała plecy albo rozcierała ramiona, starając się wyprostować pomiędzy kolejnymi sesjami u fizjoterapeuty. Raz na jakiś czas podkradała Frankowi tabletki, które zażywał na bóle kolan. Na nieszczęście Frank nie za bardzo miał ochotę dzielić się środkami na bazie narkotyków i doskonale radził sobie z podstawowymi działaniami matematycznymi.

Spojrzałam na kartkę z zapiskami o Tanyi i pomyślałam, jak cholernie nudna była ta kobieta. I jakie mam szczęście, że wreszcie mogę się jej pozbyć. Na dnie torebki wygrzebałam pudełko zapalek. Torebki należącej do Tanyi. Wyrwałam kartkę z notesika i podpaliłam sam róg, a gdy zamieniła się w popiół, wrzuciłam go do sedesu i spuściłam wodę.

Później nagryzmoliłam kilka pomysłów, jaka mogła być Amelia Keen. Miała ładną sylwetkę. Wyglądała na kogoś, kto czyta książki. Zresztą naprawdę czytała, i to sporo. Amelia była niezłą pływaczką, podobnie jak Tanya. Może Amelia powinna zacząć biegać? To być może zdarzy się w dogodnym momencie. Czy Amelia była kimś, kto łatwo nawiązuje kontakty? Nie, to nie był dobry pomysł. Jednego byłam pewna co do Amelii Keen: była singielką i taką zamierzała pozostać.

Darla zadzwoniła z samego rana. Paczka przyjechała. Narzuciłam sweter na piżamę i pobiegłam do recepcji, starając się opanować przyływ adrenaliny.

Darla wyciągnęła w moją stronę dużą brązową kopertę. Zmusiłam się do uśmiechu, powiedziałam ciepło „dziękuję” i szybko ruszyłam z powrotem.

Przeciąłam skórę brzegiem papieru, tak mi się spieszyło, by wskazującym palcem oderwać zabezpieczenie. Mała kropla krwi wylądowała na moim nowym akcie urodzenia. Amelia Keen, urodzona o trzeciej trzydzieści dwie trzeciego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku z ojca George’a Arthura Keena i matki Marianne Louise Keen w szpitalu Providence w Tacomie w stanie Waszyngton. Skorpion. Potężny, magnetyczny, zazdrosny, władczy, kompulsywny. Moja matka obsesyjnie czytywała horoskopy. Mnie nigdy to nie wciągnęło, głównie dlatego, że urodziłam się w znaku Ryb, co zawsze dla mnie brzmiało jak meduza bez

żądła. Lecz spoglądając wstecz, może akurat byłam kimś takim.

Teraz mam szansę zmienić to wszystko. Zmienić w sobie to, co mi się nie podoba, poczynając od włosów. Dawno temu stałam się blondynką, bo zauważyłam, że mężczyźni inaczej na ciebie patrzą, kiedy ukryjesz własny kolor włosów. Teraz zastanawiałam się, w jaki sposób będą na mnie patrzeć, kiedy zostanę brunetką. Zresztą może wcale nie zwrócą na mnie uwagi. Miło będzie na chwilę stać się niewidzialną.

Zaniosłam do łazienki nożyczki i obejrzałam w lustrze własne odbicie. Byle jak ufarbowane na brudnawy blond włosy, zbyt długie, by dały się wymodelować, jasnobrązowe oczy, otoczone ciemnymi obwódkami. Skróciłam włosy o kilka centymetrów, w jedną równą linię. Od lat sama ścinałam sobie włosy. Nie dlatego, żeby oszczędzać albo że świetnie mi to wychodziło, ale żołądek zwijał mi się w kłębek na samą myśl, że mogłabym usiąść w fotelu u fryzjera i odpowiadać na te wszystkie głupie pytania.

Przycięłam grzywkę, choć wiadomo było, że teraz włosy będą mnie łaskotać w czoło, co zawsze doprowadzało mnie do szału, ale za to tylko dzięki temu prostemu zabiegowi wyglądałam teraz mniej jak Tanya, a bardziej jak Amelia. Wymieszałam kasztanową i brązową farbę z utrwalaczem i naciskając plastikową butelkę, zaczęłam rysować na owłosionej skórze głowy proste linie. Kiedy włosy całe były przesiąknięte farbą, a w nosie kręciło mnie od zapachu chemikaliów, sprawdziłam godzinę na zegarku, zsunęłam rękawiczki i włączyłam telewizor.

Właśnie nadawali jakiś film, którego akcja rozgrywała się w college'u, w jednym z tych starych kampusów z budynkami z kamienia, kolumnami i wszechobecnymi schodami. Studentki nieśpiesznie układały się na trawie w cieniu stuletnich dębów. Jedna z nich dosyć mi się nawet podobała. Starła się namówić ludzi, żeby podpisali jej jakąś petycję, choć nie zdołałam zorientować się, o co chodziło. Miała na sobie spłowiałe niebieskie dżinsy, które wyglądały na tak miękkie, jak sprany T-shirt, białą koszulkę na ramiączkach i zieloną wojskową kurtkę. Na szyi nosiła łańcuszek z plakietką i kluczami. Wyglądała na osobę, która nie troszczy się, co myślą o niej ludzie, i która dobrze się z tym czuje. Pracując w barze, zawsze musiałam zakładać sukienkę lub spódnicę i mało praktyczne pantofle, które uwierały

w stopy. Amelia Keen z pewnością nie zamierzała nosić niczego, co sprawiało, że czuła dyskomfort.

Splukałam z włosów lepłą, kleistą farbą, dokładnie umyłam je szamponem i wytarłam, pozostawiając ciemne plamy na sztywnym jak papier ścierny motelowym ręczniku. Następnie ułożyłam nową fryzurę, wystrzępiłam nieco zbyt równą linię grzywki, wyciągając z niej kilka niesfornych kosmyków. Włożyłam parę starych niebieskich dżinsów, granatową bluzę, resztę ciuchów upchnęłam w walizce, i wyszłam z zajazdu Jezioro Łabędzie jako całkiem nowa kobieta. Kobieta o brązowych włosach i piwnych oczach, wysoka, o wadze pięćdziesięciu sześciu kilogramów, dwudziestokilkuletnia, najwyżej dobiegająca trzydziestki. Wyglądałam tak samo jak wiele kobiet, które widywałam na ulicach, więc szczerze wątpię, czy udałoby ci się wyłowić mnie z tłumu.

Pojechałam do fotografa, żeby zrobić zdjęcie do paszportu.

– Proszę się nie uśmiechać – powiedział fotograf. Odkąd sięgam pamięcią, to był pierwszy raz, kiedy miałam ochotę na uśmiech.

W oczekiwaniu na wywołanie zdjęć podjechałam do sklepu papierniczego i kupiłam koszulki z laminatu. Następnie zajrzałam do drogerii po żyletkę, czapeczkę bejsbolową, czerwoną szminkę, czarną kredkę do oczu i tusz. Nie wzięłam różu. Amelia Keen go nie używa. Potem wróciłam do zakładu fotograficznego, żeby odebrać zdjęcia, i usiadłszy na tylnej kanapie mojego starego buicka, zabrałam się do roboty. Za pomocą maleńkiej kropelki kleju umocowałam fotografię na właściwym miejscu w niewypełnionym paszporcie. Po to, by wykonać następny krok, musiałam użyć mojej twardej walizki. Wzięłam czystą koszulkę z laminatu i ułożyłam ją na paszporcie. Ręce drżały mi lekko, więc zaczekałam chwilę, żeby uspokoić nerwy. Miałam tylko jedną szansę na zrobienie tego jak należy. Przyłożyłam laminat jednym zdecydowanym ruchem, a następnie ostrzem żyletki wydusiłam bąbelki powietrza. Wystarczyło jeszcze przyciąć laminat przy brzegach i paszport był gotowy.

Obejrzałam dokładnie swoje rękodzieło i muszę przyznać, że byłam zadowolona. Co prawda raczej nie udałoby mi się przejść przez odprawę

celną na lotnisku, ale na razie nie miałam zamiaru nigdzie lecieć.

Potem namierzyłam sklep z używaną odzieżą i kupiłam parę dżinsowych ciuchów i koszulę zapinaną na guziki. Jedną gładką i jedną w kratę. Następnie udało mi się trafić do sklepu z artykułami wojskowymi; znalazłam tam zieloną kurtkę, podobną do tej, jaką nosiła dziewczyna z filmu. Przy okazji wzięłam także parę wojskowych butów rozmiar osiem. Kupiłam również tanią bieliznę. Amelia Keen szarpnie się na coś lepszego, kiedy tylko uda się jej znaleźć pracę. Walizkę należącą do Tanyi Dubois cisnęłam do kontenera na śmieci obok stacji benzynowej. Przez moment pozwoliłam sobie na wspomnienie ostatniego razu, kiedy tak całkowicie musiałam porzucić dotychczasowe życie. Wtedy to trochę bolało; nie czułam się na siłach, żeby przeżywać to jeszcze raz.

Wsunęłam się do buicka i przejrzałam we wstecznym lusterku. Pomalowałam usta czerwoną pomadką. Jedynie tak pofolgowałam własnej próżności.

Ruszyłam w kierunku oddziału Western Union i zaparkowałam po drugiej stronie ulicy. Może należało po prostu wejść do środka, machnąć moim błyszczącym dowodem tożsamości i wyczyścić konto. Ale niedawno popełniłam coś w rodzaju wymuszenia i moja ofiara, że tak powiem, mogła mieć inne plany niż zwykłą wypłatę żądanej kwoty. Nie jestem gliniarzem, prywatnym detektywem, byłym żołnierzem ani najemnikiem. Jestem niemalże zwykłym cywilem bez specjalnych zdolności do prowadzenia inwigilacji. Nie wiem, jak uniknąć prześladowcy. Miałam jedynie podstawową umiejętność logicznego myślenia oraz silny instynkt przetrwania. I przecucie, że być może ta transakcja nie przejdzie tak gładko jak bym chciała.

Obejrzałam najbliższe sąsiedztwo oddziału Western Union. Zdawało mi się, że za szklanymi drzwiami oprócz personelu przebywają trzy osoby – dwóch mężczyzn i kobieta, o ile mogłam się zorientować. Zaparkowałam buicka między range roverem i audi. W czarnym range roverze siedział jakiś facet w średnim wieku i palił papierosa. Audi, jak zauważyłam, miało tablice spoza stanu. Tuż przed witryną oddziału stał stary thunderbird, a wewnątrz auta młody gość, najwyraźniej dwudziestokilkuletni, opierał się o zagłówek fotela. Jego oczy ukryte były za ciemnymi szklami okularów. Mógł drzemać, ale równie dobrze mógł to być jedynie kamuflaż.

Mogłam siedzieć w samochodzie i czekać, co się wydarzy, ale jeśli miałam do czynienia z profesjonalistami, to pewnie wytrzymają dłużej niż ja. A ja nie wytrzymam dłużej siedzenia w tym zatęchłym, spleśniałym samochodzie. Umiem odczytać czyjeś intencje, jeśli spojrzę mu prosto w oczy. Nie zawsze umiałam, ale z biegiem czasu udało mi się opanować tę sztukę. Wepchnęłam włosy pod czapeczkę bejsbolową, założyłam ciemne okulary i podeszłam prosto do range rovera.

Mężczyzna zauważył mnie, kiedy się zbliżałam, ale odkręcił szybę dopiero wtedy, gdy zorientował się, że nie idę dalej.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, panno...

Myślę, że moje chłopięce ciuchy, włosy schowane pod czapeczką i czerwona szminka musiały zbić go z tropu.

– Czy ma pan zamiar mnie zabić? – spytałam.

– Słucham?

– Wydaje mi się, że to było zupełnie proste pytanie – odparłam.

– Dlaczego miałbym panią zabijać? Czy to jakiś cholerny dowcip? – Facet z range rovera był wyraźnie wstrząśnięty, nawet przestraszony.

– Proszę się odprężyć. Ja tylko zadałam proste pytanie. Jedyne, co pan musi zrobić, to udzielić odpowiedzi, a ja od razu pójdę w swoją stronę.

– Nie, nie mam zamiaru pani zabijać.

– Dziękuję – odpowiedziałam. – To bardzo dobra wiadomość. Życzę miłego dnia.

Nieśpiesznie przeszłam obok jego samochodu i ruszyłam w kierunku zakrętu. Usłyszałam, jak odpala silnik i kątem oka ujrzałam, jak wycofuje się na wstecznym z miejsca parkingowego i odjeżdża. Teraz został mi tylko jeden przypuszczalny przeciwnik. Ten śpiący w okularach przeciwsłonecznych. Przeszłam na drugą stronę ulicy i zapukałam w okno auta. Gość albo był znakomitym aktorem, albo rzeczywiście obudziłam go z głębokiej drzemki.

Odkręcił szybę, zsunął okulary na czubek nosa i spojrzał na mnie umęczonymi ciemnymi oczyma.

- Czym mogę pani służyć? – odezwał się nieco schrypniętym tonem.
 - Zna mnie pan? – zapytałam.
 - Co takiego?
 - Czy nie wydaję się panu znajoma?
- Z pewnością płatny morderca musiał dostać zdjęcie ofiary.
- Czy to Clara cię przysłała? – zapytał, nagle przytomniejąc.
- Nie, to nie był mój morderca.
- Przepraszam, zaszła pomyłka – powiedziałam i szybko odeszłam.
 - Powiedz jej, że to skończone! – rzucił za mną.

Przed wejściem do oddziału rozejrzałam się dookoła, ale nic nie wzbudziło moich podejrzeń. Mogę stąd odejść bez gotówki albo zaryzykować i zacząć życie jako Amelia Keen. Wkroczyłam do Western Union, stanęłam w kolejce, odebrałam pieniądze i wyszłam na zewnątrz. Wróciwszy do buicka, jechałam przez szesnaście kilometrów, częściej spoglądając we wsteczne lusterko niż przed siebie. Wreszcie zjechałam w jakąś zatoczkę, zabrałam wszystkie ostatnio nabyte przedmioty i taszcząc bagaż, przeszłam jakieś osiemset metrów aż do następnego parkingu z używanymi autami. Wybrałam dość przyzwoitą dziesięcioletnią toyotę camry, za którą zapłaciłam cztery tysiące dziewięćset pięćdziesiąt dolarów. Formalnie rzecz biorąc, Tanya Pitts kupiła ją dla Amelii Keen, ponieważ Amelia na razie nie miała prawa jazdy. Wrzuciłam wszystkie swoje rzeczy do bagażnika i wyjechałam z parkingu. Nie zatrzymałam się przez następne cztery godziny.

Jadąc siedemdziesiątką po zapadnięciu zmierzchu, czułam wewnętrzne przeistoczenie. Zupełnie jakby zmieniało się moje DNA. Niemal czułam, jak Tanya Pitts-Dubois umiera. Była tam, gdzie powinna być. Teraz naprawdę stałam się Amelią Keen.

*Dwudziestego drugiego października
dwa tysiące piątego roku*

do Ryana

od Jo

Wiem, że odzywając się do Ciebie, łamię niepisana zasadę, ale nikt o tym nie musi wiedzieć, o ile sam nie powiesz. Potrafisz całkiem dobrze utrzymywać pewne rzeczy w tajemnicy, więc mam nadzieję, że tak będzie i teraz. Może będziesz zaskoczony, że się odzywam. Sama jestem tym zaskoczona. Właściwie nie zdołałam przyzwyczać się do tego nowego życia. Czasami naprawdę myślę o tym, żeby wrócić do domu i pogodzić się z losem. Oczywiście nie mogę o tym powiedzieć nikomu tutaj, więc mówię Tobie. Jesteś jedynym człowiekiem, który naprawdę mnie zna. Wiesz, co zrobiłam, a czego nie zrobiłam. Pewnie dlatego byłam tak zaskoczona Twoim postępkim. Ale nie piszę po to, żeby Cię ukarać. Piszę dlatego, że czuję się samotna.

Tęsknię za domem, tęsknię za Edie, choć wcale nie brakuje mi tego spojrzenia, którym mnie obrzuciła, kiedy widziałam ją po raz ostatni. Kiedy mam przyływ wspaniałomyślności, tęsknię nawet za moją matką. Ale najczęściej tęsknię za Tobą. Tęsknię za Tobą przez cały czas, choć racjonalna częśćka mojego rozumu podpowiada, że powinnam Cię nienawidzić. Na tyle sposobów wyobrażałam sobie naszą przyszłość. W niektórych wersjach kończyło się tak, że byłeś związany z kimś innym, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym nigdy

więcej Cię nie zobaczyć. Ale ostatecznie tak wyszło, prawda? Któregoś dnia osiwiejesz albo nie będziesz miał włosów w ogóle, a ja będę pamiętać Cię tylko jako chłopca. Czy kiedykolwiek zdarzyło Ci się o tym pomyśleć?

Nie chcę rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Chyba zwyczajnie chciałabym wiedzieć, jak wszyscy sobie radzicie. Jak wygląda wasze życie. Możesz zwać to jak chcesz: ciekawością, nostalgią, tęsknotą za domem albo po prostu zwyczajną chorobą. Brakuje mi kontaktów z ludźmi. Tak naprawdę nikogo tu nie znam i nikt nie zna mnie.

Proszę, złam zasady i odpisz. Chcę tylko usłyszeć coś o tym, za czym tęsknię. Może odpowiesz, że nie ma za czym tęsknić. Może zdążyłam wynieść się z miasta, zanim zmieniło się w składowisko śmieci.

Wydaje mi się, że to wszystko.

Jo

Drugiego listopada dwa tysiące piątego roku

do Jo

od Ryana

Twoje e-maile prawie przyprawiły mnie o atak serca. Jednak także przykuły moją uwagę, a chyba o to chodziło, nieprawdaż? Wiedziałaś, że odpiszę, ale wiedziałaś także, że z rozmaitych powodów nie jest to najlepszy pomysł.

Miałem nadzieję, że udało Ci się znaleźć miejsce, które Ci odpowiada. Nawet wyobrażałem sobie, że może jesteś szczęśliwsza tam niż tutaj. Pewnie po prostu chciałem oczyścić własne sumienie. Żałuję, że sprawy tak się ułożyły. Wiem, że nigdy nie zrozumiesz tego, co zrobiłem. Czasami sam siebie nie rozumiem. Ale gdybyś poprosiła mnie dzisiaj, żebym dokonał wyboru, postąpiłbym tak samo.

Nadal cię kocham i wciąż za tobą tęsknię. Naturalnie kiedy pozwalam sobie o Tobie myśleć, a nie zdarza się to zbyt często. Przed kilkoma miesiącami zacząłem udawać, że umarłaś. Za kościołem Saint Gabriel znajduje się bezimienny grób. Udaję, że to Twój grób. Zbieram kwiaty na łące za szkołą i zanoszę je na znak szacunku. Tak, wiem, że to chore. Ale przecież byłaś, potem odeszłaś, więc na swój sposób musiałem przeżyć żałobę. Naprawdę myślałem wówczas, że więcej o Tobie nie usłyszę.

Jeśli uważasz, że to pomoże Ci się pozbierać, opowiem Ci o domu. Ale pamiętaj, że masz się pozbierać.

Nie udzielam się towarzysko tak intensywnie jak kiedyś, więc opowiem Ci jedynie o tym, o czym wiem: Nelly zaręczyła się z Bradem Foxem. Ogromne znamię, które miał na czole, zniknęło bez śladu. Zburzyli ten zrujnowany apartamentowiec na Green Street i na tym miejscu powstała elegancka kamienica z mieszkaniami. Proces renowacji Bilman już się rozpoczął. Edie wróciła do miasta. Postanowiła zrobić sobie rok przerwy, zanim pójdzie do college'u. Ta skazana na sukces dziewczyna

teraz haruje jak wół w sklepie z towarami żelaznymi należącym do jej ojca. Od lata raz widziałem Jasona Lyonsa. Zadaje stanowczo za dużo pytań. Gdyby kiedyś przyszło Ci do głowy nawiązać z kimś kontakt, proszę, nie rób tego. Teraz wszyscy balansujemy na krawędzi.

Wiem, że chcesz dowiedzieć się czegoś o swojej matce. Ona jest taka jak zawsze. Ani trochę gorsza, jeśli ta informacja ma poprawić Ci samopoczucie. Zdaje się, że spotyka się z jakimś facetem, a on, sądząc po wyglądzie, jest o niebo lepszy od swojego poprzednika. Ostatnio nie zauważyłem, żeby miała jakieś siniaki. Rozumiem, że tego typu wiadomości najbardziej Cię interesują, prawda?

To chyba niezbyt bezpieczne, że piszesz na mój zwykły adres mailowy. Nigdy nie wiadomo, kiedy ludzie Cię obserwują. Lepiej używaj tego adresu, jeśli zajdzie taka konieczność.

Uważaj na siebie.

R.

PS Niczego nie tracisz.

Czternastego listopada dwa tysiące piątego roku

do Ryana

od Jo

Kłamca. Ale dziękuję. To chyba rzeczywiście ten rodzaj wiadomości, o który mi chodziło. Choć raczej należało się spodziewać, że więcej wydarzyło się, odkąd wyjechałam. Mam wrażenie, że od tamtego czasu minęła cała wieczność... Nie powiedziałaś mi niczego o sobie. Chyba specjalnie, jak sądzę. Podziwiam Cię, że zostałaś. Dlaczego? Mogłaś przecież być kimś.

Proszę, przestań odwiedzać tamten grób. Mnie tam nie ma.

J.

*Dwudziestego piątego grudnia
dwa tysiące piątego roku*

do Ryana

od Jo

Re: Wesołych świąt

Chyba jest Ci teraz łatwiej nie myśleć o mnie. Mam nadzieję, że dobrze korzystasz z wakacji. Ja siedzę sama w tanim motelu gdzieś na Środkowym Zachodzie, oglądam w telewizji paradę Disneya i jem czekoladowy pudding z puszki.

Z tego całego zamieszania wynikła jedna dobra rzecz. Już cię nie Kocham.

Jo

Rozdział trzeci

Powiedziałam sobie, że na razie tylko oglądam miejsca, gdzie ewentualnie mógłby być mój dom. Nie musiałam przywiązywać się do żadnego z nich. Jednak w pewnej chwili zorientowałam się, że podążam za znakami prowadzącymi do Austin w stanie Teksas, a kiedy już się tam znalazłam, poczułam dobrą aurę. Pierwszego wieczoru zameldowałam się w tanim motelu, wyszłam na spacer i po drugiej stronie rzeki zgubiłam drogę, więc musiałam poprosić o wskazówki jakąś kobietę w średnim wieku, która siedziała na ławce przy przystanku autobusowym, pogrążona w lekturze. Wskazała mi Congress Street, kazała minąć most i iść prosto.

Kilka przecznic dalej natknęłam się na jakieś zbiegowisko. Parę rodzin, kilka par, większość z nich z tym łatwym do rozpoznania poblaskiem turysty – w zbyt krzykliwych ciuchach, w butach na zbyt płaskich obcasach i w przeciwsłonecznych okularach zawieszonych na łańcuszku. Wszyscy przechylali się ponad barierką na moście, wydając pomruk oczekiwania. Wiedziona owczym pędem podeszłam bliżej i wcisnęłam się w szparę pomiędzy prętami. Czekałam, choć nie miałam pojęcia, na co czekam. Nagle w ostatnich promieniach gasnącego słońca spod mostu zaczęły wydostawać się tysiące, może nawet setki tysięcy nietoperzy, formując na tle nieba fantastyczną czarną chmurę. Jedna grupa kreśliła ósemki, druga zaś zaczęła falami odpływać w dal. Poczekałam, dopóki ostatni nietoperz nie zniknął mi z oczu, a Congress Bridge nie pogrążył się w mroku.

W drodze powrotnej do motelu mój wzrok przyciągnął neon z napisem May's Well. Sama nie wiem, co mnie w nim zainteresowało. Może pomyślałam, że właścicielem przybytku jest ktoś o imieniu May i wydało mi się rozsądne, że samotna kobieta w nowym miejscu powinna poszukać lokalu prowadzonego także przez kobietę.

Otworzyłam ciężkie mahoniowe drzwi, które wyglądały tak, jakby przeniesiono je tu ze stajni. Ich ciężar był naprawdę imponujący; trzeba było

się nieźle natrudzić, żeby wejść do baru. Wewnątrz było chłodno i ciemno, a w powietrzu wisiał zapach trunków, nie zaś rozlanego piwa i tanich orzeszków wdeptanych w podłogę. Za barem stała przystojna kobieta ubrana w koszulkę na ramiączkach, spódnicę tuż nad kolana i białe trampki. Zauważyłam także paru facetów, najwyraźniej stałych bywalców, którzy sprawiali wrażenie wstawionych, lecz całkiem nieszkodliwych. Przy wejściu leżała miejscowa gazetka z ogłoszeniami. Wzięłam ją do ręki i dużymi krokami ruszyłam w stronę baru.

Zajęłam miejsce dwa krzesła dalej niż mężczyzna w garniturze. Garnitur był wymięty i przykurzony, ale wyglądał na jedyny w garderobie swojego właściciela. Całości dopełniała biała koszula, wąski czarny krawat z lat osiemdziesiątych oraz brązowe buty z ozdobnie dziurkowanymi czubkami. Sadowiąc się na stołku, czułam na sobie wzrok tego faceta, lecz chwilę później zobaczyłam, że z powrotem wpatruje się w swojego drinka. Moja wojskowa kurtka jednak się przydała, pomyślałam.

– Co mam podać? – spytała kobieta za barem.

Co może pić Amelia Keen? Tanya zawsze prosiła o piwo albo bourbona, lecz dla Amelii to nie był dobry wybór.

– Poproszę dzin z tonikiem.

– Jakiś konkretny dzin?

W przyszłości powinnam wypracować sobie jakieś upodobania, ale na razie nie starczyło mi czasu, żeby się tym zająć.

– Proszę zrobić mi niespodziankę – powiedziałam.

– Chyba nie chcesz byle czego? – odparła, jakby chciała mnie rozszyfrować.

– Nie.

Jaki jest sens zaczynać od dna? Zawsze masz czas, żeby tam wylądować.

– Bombay?

– Może być.

Miała ciężką rękę, co byłoby całkiem miłe, gdybym lubiła dzin, ale drink okazał się za mocny i smakował jak lekarstwo. Jednak wypiłam go, starając się przekonać swoje kubki smakowe do zmiany upodobań.

– Blue, czy mogę dostać jeszcze jeden? – zapytał Brzydki Garnitur i wskazał pustą szklaneczkę.

Nazywał ją tak chyba ze względu na jej intensywny kolor oczu. Nie podkreśliła ich makijażem, jakby chciała, by pozostały niezauważone. Bez powodzenia. Prawdę mówiąc, jedyną oznaką pobłażania próżności był łagodny ślad ciemnoczerwonej szminki na wargach. Ciężkie włosy w kolorze blond splotła w prosty warkocz opadający na plecy. W zawodzie, gdzie napiwki są ściśle powiązane z fizyczną atrakcyjnością, błękitnooka barmanka wydawała się zdecydowanie niechętna zarabianiu dodatkowych pieniędzy.

W wiszącym nad głowami telewizorze nadawano wiadomości, choć przy wyciszonym dźwięku, co chwila przerywane reklamami jakiegoś luksusowego samochodu.

– Jakbym był milionerem, to byłaby pierwsza rzecz, jaką bym kupił – odezwał się Brzydki Garnitur, zwracając się do Blue albo do mnie, albo do żadnej z nas.

– *Gdybym* był milionerem – poprawiła go Błękitnooka. – Tak należy zacząć zdanie, kiedy mówisz o sytuacji hipotetycznej.

– Cholera, czemu zawsze mnie pouczasz, jak należy mówić? – zdenerwował się Brzydki Garnitur.

– Po prostu chcę, żebyś okazywał szacunek dla języka angielskiego – odparła Błękitnooka.

– Do diabła z szacunkiem – warknął Brzydki Garnitur. – Ale jeśli ty tak bardzo lubisz przez okrągły dzień udzielać lekcji, to dlaczego nie zostaniesz nauczycielką, co?

– Muszę o tym pomyśleć – odparła tonem, w którym kryła się nutka sarkazmu.

Otworzyłam gazetkę i poszukałam ogłoszeń o pracy. Właściwie do niczego nie miałam kwalifikacji. Nawet nie do końca rozumiałam, jakie kryteria należy spełniać. Co to do diabła jest „producent oprogramowania komputerowego”? Wiedziałam, jak używać komputera, przynajmniej do pewnego stopnia. W średniej szkole całkiem biegle poruszałam się po klawiaturze, znałam C-plus, ale wątpię, żeby od tamtej pory moje umiejętności poszerzyły się. Po zakupieniu toyoty nie zostało mi zbyt wiele

gotówki. Coś poniżej dwóch tysięcy. Mieszkanie, meble, nowe ciuchy, jedzenie... Ile czasu upłynie, zanim zostanę kompletnie bez pieniędzy?

Brzydki Garnitur wreszcie odwrócił się do mnie, zapewne w nadziei na mniej pouczającą rozmowę.

– Jesteś nowa w mieście, zgadza się? – zapytał.

– Tak – odparłam krótko.

– A skąd jesteś? O, bardzo przepraszam. Skąd pani przybywa?

– Z Oklahomy.

– Mam tam paru znajomków. Konkretnie z jakiej okolicy?

– Norman.

– A co tutaj robisz?

– Nic szczególnego.

– To czemu przyjechałaś do Austin? – dopytywał się Brzydki Garnitur.

– Dennis, zadajesz za dużo pytań – wtrąciła Błękitnooka.

– Zwyczajnie rozmawiam – burknął.

– Może ta pani nie ma ochoty na rozmowę. Nie przyszło ci to do głowy?

– Nie. Faktycznie, o tym nie pomyślałem. Najmocniej przepraszam – skinął głową w moim kierunku. – Mam dziś paskudny dzień i po prostu szukam okazji, żeby z kimś pogadać.

– Możesz pogadać ze mną, Dennis – wtrąciła Błękitnooka.

– Ty przecież nie lubisz rozmawiać. Wszyscy o tym wiedzą.

– Ale zawsze chętnie słucham – uśmiechnęła się.

Błękitnooka wyjęła spod lady dwie szklaneczki do drinków i wyczarowała skądś butelkę naprawdę zacnego bourbona. Napełniła obie szklaneczki i jedną posunęła w stronę Dennisa.

Obydwoje wzniesli toast, spotykając się w połowie drogi nad barem.

– Za Margaret Rose Todd. Niech ta stara wiedźma spoczywa w pokoju.

– Nie waź się mówić w ten sposób o swojej matce – powiedziała Błękitnooka i uzupełniła zawartość szklaneczki Dennisa.

– Masz mamę? – zapytał ją.

– Chyba każdy ma, nieprawdaż? – odpowiedziała.

– A jak jej na imię?

Błękitnooka westchnęła, nalała sobie następnego drinka, upiła łyk i dopiero wtedy przemówiła.

– Janet.

Byłam gotowa założyć się o ostatni grosz, że tak jak ja musiałam przybrać fałszywe imię, tak Błękitnooka kłamała jak najęta. W dodatku głupio kłamała, pomyślałam. Jednak obserwowanie innego kłamcy przyprawiało mnie o lekkie mdłości, jakby mogło zdradzić także mnie. Musiałam wyostrzyć talent do oszukiwania bardziej niż kiedykolwiek. Wysączyłam do końca swój antyseptyczny drink, zostawiłam na ladzie trochę drobniaków i powiedziałam „dobranoc” Błękitnookiej i Dennisowi.

– Wpadnij jeszcze kiedyś – powiedziała mi na pożegnanie. – Już nikt nie będzie ci zawracał głowy.

Przybranie tożsamości Amelii Keen okazało się męczące jak wrzód na tyłku. Amelia musiała mieć jakieś mieszkanie, pracę, prawo jazdy ze stanu Teksas, co wymagało takiego prześlizgiwania się przez sito biurokracji, że już byłam gotowa wyprowadzić się gdzieś na prowincję i żyć w dzikich ostępach. Otworzyłam konto w banku, wpłacając tysiąc pięćset dolarów w gotówce. Próbowалам wynająć jakiś ką, ale bez pracy, referencji czy zgody na przedstawienie wyciągu z konta – co wydawało mi się zbyt ryzykownym posunięciem – trudno było liczyć na powodzenie.

W końcu znalazłam pensjonat prowadzony przez kobietę o imieniu Ruth. Od rana do wieczora chodziła w fartuchu, a jej wielkie piersi, obciągnięte lichym materiałem, bez najmniejszego skrzępowania kołysały się przy każdym ruchu. Pokój miał niecałe dziesięć metrów kwadratowych i kosztował sto dolarów na tydzień. Salonik musiałam dzielić z trzema mężczyznami. Dwóch z nich brudziło jak prosiaki, na szczęście trzeci, Marcus, cierpiał na zaburzenie polegające na ciągłej potrzebie sprzątnięcia. Poza tym miał wadę wymowy i każde zdanie kończył gardłowym prychnięciem, co sprawiało, że jego towarzystwo, skądinąd naprawdę sympatyczne, denerwowało mnie

w najwyższym stopniu.

Jedną z przeszkód, która dzieliła mnie od prawa jazdy stanu Teksas, była umowa leasingu. Kiedy poprosiłam Ruth o oficjalną umowę najmu, spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym zażądała, żeby zagrała mi na skrzypcach do snu kołysankę. zaproponowałam więc, że jeśli zgodzi się podpisać papiery, zapłacę jej pięćset dolarów i podpiszę kolejną umowę, która zasadniczo unieważnia poprzedni kontrakt. Miałam przeczucie, że się zgodzi, o ile sama przygotuję wszystkie dokumenty.

Tego popołudnia powędrowałam do biblioteki i zalogowałam się na komputerze, żeby wydrukować umowy najmu. Skoro już miałam dostęp do internetu, doszłam do wniosku, że dobrze będzie sprawdzić wiadomości z Waterloo, żeby przekonać się, jak bardzo intensywnie szukają kobiety, którą niegdyś byłam. Wstukałam nazwę miejscowego szmatławca i nagle znalazłam się twarzą w twarz z niewyraźnym zdjęciem dawnej mnie stojącej za barem w naszym lokalu. Na razie nikt nie szukał mnie w związku z morderstwem. Byłam określona zaledwie jako „osoba zaginiona”. Jednak autor artykułu sugerował, że czas mojego zniknięcia jest „podejrzany”. To brzmiało naprawdę znakomicie. Blake Shaw, który szefował „Waterloo Watch” i pisał prawie każdy artykuł, oparł się pokusie wywołania sensacji i oskarżenia mnie wprost o zabicie męża. Może po prostu miał do mnie słabość. Nigdy nie odmówiłam mu obsługi, nawet kiedy z trudem mógł utrzymać się na stołku przy barze. Po prostu zabierałam mu kluczyki do auta i bez słowa serwowałam kolejnego drinka. Jednak wydawało się jasne, że to tylko kwestia czasu, kiedy Blake i inni zwrócą się przeciwko mnie.

Wypełniłam druki najmu, ściągnęłam formularz rozwiązania umowy i wróciłam do swojego tymczasowego domu. Ruth przyjęła łapówkę i bez słowa podpisała dokumenty. Teraz jedyną przeszkodą było znalezienie pojazdu zarejestrowanego w Teksasie, żebym mogła zdawać na prawo jazdy. Moja toyota została zakupiona na poprzednie nazwisko, poza tym wciąż miała tymczasowe tablice rejestracyjne z Oklahomy.

Marcus miał samochód. Myślę, że mnie lubił, ponieważ nie zostawiałam w zlewie włosów. Poza tym wydawało mi się, że raz czy dwa skinął mi głową na powitanie. Postanowiłam, że przez pewien czas będę dla niego bardzo uprzejma. Zawsze mówiłam z uśmiechem „dzień dobry”, co wcale nie było takie łatwe, jak się z pozoru wydaje. Proponowałam, że przyniosę

z kuchni więcej kawy, poza tym wyjątkowo dokładnie sprzątałam łazienkę i publicznie zawstydziałam Rufusa i Toma, moich współlokatorów, za ich opieszałość w robieniu porządku. Jednak wieczorami nie byłam w stanie dołączać do gry w karty i wspólnego oglądania telewizji. Widok trzech zubożałych facetów w średnim wieku, którzy żyli na skraju przepaści i szukali jedyne go towarzystwa, które ich przyjmowało, dosłownie rozdzierał mi serce.

Oprócz Ruth w pensjonacie mieszkała jeszcze jedna kobieta. Miała pokój w suterenie, ale za to z własną łazienką. Jeśli kiedykolwiek udałoby ci się napotkać jej spojrzenie, wiedziałbyś, jak wygląda osoba, która jest bezpowrotnie stracona. Gdybym wierzyła w coś takiego jak dusza człowieka, mogłabym powiedzieć, że ta kobieta była pustym naczyniem.

Wieczorami jadałam samotnie kolację w jednej z wegetariańskich restauracji, których w Austin była doprawdy imponująca liczba. Dowiedziałam się, że z całą pewnością nie jestem amatorką mięsa po chińsku. Po kolacji zawsze starałam się trafić do baru, gdzie czułabym się niewidoczna, więc przez parę dni zniktałam w knajpie przy kampusie Uniwersytetu Teksasńskiego, zwanej Dziurą w Ścianie. Lubiłam przyglądać się studentom, którzy usiłowali mieszać się z tłumem stałych bywalców, zamawiając whisky, zbyt mocną na ich nieprzystosowane do trunków kubki smakowe. Mimo to zawsze zamawiali te same drinki, jakby przyjmowali zaordynowane lekarstwo. Śmieszył mnie grymas pojawiający się na ich twarzach, kiedy eliksir czyścił im gardło. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek stroiła podobne miny. Dla mnie alkohol zawsze był ciepłym i przyjemnością. W miarę jak mijał wieczór, głosy studenciaków brzmiały coraz donośniej, jakby ktoś podkręcał regulator głośności w wieży stereo. Im bardziej głupio wyglądali, tym bardziej stawali się zawistni. Co za luksus, mieć całe cztery lata na odkrycie, kim właściwie jesteś.

Podczas trzeciego spędzanego w Dziurze wieczoru jakiś stały bywalec, który przypominał młodego Roya Orbisona – z tą samą grzywą czarnych włosów i przyciemnionymi okularami, moim zdaniem bardzo wątpliwej jakości – po przegranej w bilard próbował nawiązać ze mną rozmowę.

– Hej, czy myśmy się już kiedyś spotkali? – spytał młody Roy.

Robił, co mógł, żeby to pytanie zabrzmiało całkiem normalnie, nie jak

wyświechtany frazes, ale bez powodzenia. Powinien był bardziej się postarać.

- Nie mam pojęcia, z kim się spotykasz.
- Spryciara z ciebie, co?
- Raczej nie.
- Jesteś tu nowa?
- Zgadza się.
- Skąd przyjechałaś?
- Och, z mnóstwa miejsc – odparłam.

Mów zawsze prawdę, kiedy to tylko możliwe. Kłamstwa nakładają się na siebie i w końcu znalezienie drogi powrotnej staje się prawdziwym wyzwaniem.

- Może znam chociaż jedno z nich?
- Może znasz.
- Po prostu jestem życzliwie tobą zainteresowany.
- Może znajdzie się tutaj ktoś bardziej podatny na twoją życzliwość.
- Aluzję zrozumiałem. – Młody Roy zgarnął swoje piwo i ruszył w kierunku stołu bilardowego.

Kątem oka dostrzegłam jakiegoś faceta, który obserwował naszą wymianę zdań. Nawet nie próbował tego ukryć, kiedy przekonał się, że go zauważyłam. Na pierwszy rzut oka wyglądał o niebo bardziej normalnie niż młody Roy. Mógł mieć trzydzieści kilka lat, nosił białą, wykrochmaloną na sztywno koszulę, czarne spodnie i okulary w stalowych oprawkach, a marynarkę powiesił na oparciu krzesła. Koszula sprawiała tak nieskazitelne wrażenie, jakby właśnie odebrał ją z pralni i założył na moment przed wejściem do Dziury. Ubrania wszystkich pozostałych gości nosiły ślady rozmaitych zagnieceń, ale ten okaz wyglądał jak czysty znikopis. Nawet w jego fizjonomii było coś pustego i trudnego do odczytania. Słowem, wyglądał jak klasyczny księgowy.

Na moment zapomniałam o tym, że chciałam być niewidzialna, i gapiłam się z szeroko otwartymi ustami. Nie odwrócił wzroku ani nie uśmiechnął się; po prostu przez chwilę patrzył na mnie, a potem wrócił spojrzeniem do rozłożonej na blacie gazety. Może facet zwyczajnie lubi gapić się na innych

ludzi, pomyślałam. W sumie to dość nieszkodliwa rozrywka, chociaż całkiem nie w moim stylu.

Zostawiłam na kontuarze kilka banknotów i wróciłam do dziesięciometrowego pokoju, żeby na następne osiem godzin zapaść w głęboki, wypełniony marzeniami sen. We śnie znowu byłam Tanyą Pitts-Dubois, a Frank chrapał obok mnie. Zadusiłam go poduszką, wyłącznie po to, żeby uciszyć chrapanie. Obudziło mnie dręczące poczucie winy, złagodzone tylko trochę wspomnieniem tego, co naprawdę się wydarzyło.

Trzy dni po tym, jak zakotwiczyłam w pensjonacie Ruth, poszłam do wydziału komunikacji i zaliczyłam pisemną część testu na prawo jazdy, prześlizgując się o włos z wynikiem siedemdziesiąt dwa procent. Codziennie pojawiałam się także w miejskiej bibliotece, żeby w internecie przeglądać strony z ofertami pracy. Szukałam czegokolwiek, do czego miałam kwalifikacje, choć otwarcie przyznaję, że propozycji było jak na lekarstwo. Całe siedem lat małżeństwa z Frankiem zostało zmarnowanych na prowadzenie domu i zapijanie samotnych nocy, choć wtedy powinnam była robić coś, co przygotowałoby mnie do obecnej sytuacji.

Po pięciu dniach od rozpoczęcia zaplanowanej starannie akcji robienia słodkich oczu do Marcusa zadałam mu wreszcie pytanie, czy byłby łaskaw wypożyczyć mi swoje auto, żebym mogła zrobić prawo jazdy. Wtedy Marcus poinformował mnie, że samochód został zarejestrowany w Arkansas i obecnie w ogóle nie jest ubezpieczony, co oznaczało, że uśmiechałam się do faceta i przynosiłam mu kawę całkiem bez powodu.

Upłynęło jeszcze kilka dni, zanim wróciłam do May's Well, pamiętając o obietnicy uroczej barmanki, że nie zostawi mnie bez pomocy. Błękitnooka znowu tkwiła za barem. Dwaj starsi panowie w znoszonych flanelowych koszulach siedzieli rozdzieleni barowym stołkiem, ale jasne było, że przyszli napić się tutaj razem.

Usadowiłam się na przeciwnym końcu baru, gdzie co prawda wciąż słyszałam strzępy ich pogawędki, ale na szczęście nie musiałam ich wąchać.

– Hej, to znowu ty – powitała mnie Błękitnooka.

– Tak.

– Dżin z tonikiem?

Psiakrew, jednak zapamiętała!

– Może jednak wódka.

– Jaką chcesz?

– Zrób mi niespodziankę.

– Możesz mi pokazać jakieś dokumenty? – powiedziała przepaszająco. – Słyszałam, że gliny wlepiają mandaty.

Wyjęłam paszport i otworzyłam pstryknięciem, a Błękitnooka delikatnie wysupłała go spomiędzy moich palców i poświeciła sobie latarką. Na mój gust oglądała go odrobinę zbyt dokładnie i chyba wyczuła moją niepewność, bo znowu odezwała się przyjaznym tonem.

– Rzadko oglądamy tu paszporty.

– Zgubiłam prawo jazdy – mruknęłam.

– Jasne. Ja też.

Zamknęła paszport i przesunęła po blacie w moją stronę, ja zaś szybko zgarnęłam go do torby. Błękitnooka postawiła przede mną drinka.

– No to na zdrowie – powiedziała.

Wzięłam do ręki miejscowy szmatławiec i zaczęłam przeglądać kolumnę z ogłoszeniami o pracy. Jeśli nie znajdę żadnego zajęcia, osunę się na dno rozpacz, jakiej nie zaznałam od lat. Nienawidziłam mojego dawnego życia, ale chociaż przypominało ono życie... Jakoś brak mi było przekonania, że uda mi się powtórzyć tamtą sytuację. Wepchnęłam gazetę do torebki i zajęłam się czytaniem napisów wyrzeźbionych na kontuarze oraz słuchaniem dwóch starszych panów, którzy dyskutowali o tym, jak prezydent dostał zadanie, żeby odebrać im broń i ich prawa człowieka.

– Powtórka? – spytała Błękitnooka.

– Właściwie czemu nie?

Kiedy Błękitnooka mieszała mojego drinka, usłyszałam za plecami ciężkie skrzypienie zawiasów i ujrzałam, jak podnosi wzrok na nowego klienta. Postawiła przede mną drinka, a ja sięgnęłam po pieniądze, lecz ona położyła dłoń na barze.

– Teraz będzie łatwiej – powiedziała.

– Co będzie łatwiej?

– Zaczynać od nowa.

Zabrzmiało to tak, jakby wiedziała więcej, niż powinna. Miałam ochotę czmychnąć stamtąd czym prędzej, ale to by fatalnie wyglądało, a poza tym potrzebowałam przecież wtopić się w tutejsze środowisko. Już miałam coś odpowiedzieć, kiedy spostrzegłam gniewne spojrzenie, skierowane w kąt baru. Nowy klient usadowił się przy stoliku i otworzył gazetę. Kiedy poczuł na sobie wzrok Błękitnookiej, przywołał ją machnięciem ręki.

– Pan Profesor chyba uważa, że mamy obsługę przy stolikach – prychnęła.

Facet ubrany był w robiony na drutach sweter z szalowym kołnierzem i zapinaną od góry do dołu na guziki koszulę. Rzeczywiście, w jego wyglądzie było coś akademickiego, choć kształtem czoła przypominał nieco neandertalczyka.

Błękitnooka przyjęła zamówienie. Usłyszałam, jak mruczy pod nosem, że gdyby pan Profesor miał ochotę na coś więcej, to zawsze może pofatygować się te parę kroków do baru. Mimo to postawiła przed nim kufel budweisera; podziękował skinieniem głowy, nie podnosząc nawet na chwilę wzroku znad gazety.

Już zbierałam się do wyjścia, kiedy Błękitnooka podeszła do mnie.

– Skąd to masz? – spytała konspiracyjnym szeptem.

– Co mam? – odpowiedziałam w ten sam sposób.

– Ten śliczny paszport.

– Z wydziału paszportowego – warknęłam i zaraz ugryzłam się w język, bo dotarło do mnie, jaką głupotę palnęłam.

Prawdę mówiąc, nigdy nie wyjeżdżałam za granicę, nigdy nie składałam podania o normalny paszport, więc nie miałam bladego pojęcia, jak się to robi. Wydaje się, że kobieta w moim wieku – ile właściwie mam lat? Dwadzieścia osiem? – powinna wiedzieć takie rzeczy.

Błękitnooka uśmiechnęła się lewym kącikiem ust. Wysączyłam resztę drinka.

– Muszę lecieć – powiedziałam.

– Widać, że to fałszywka – odparła.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Od kiedy nazywasz się Amelia Keen?

W jednej chwili ogarnął mnie lodowaty chłód i uderzenie gorąca. Byłam Amelią Keen od niecałych dwóch tygodni i oto znów czułam, że jestem na krawędzi. Chyba Błękitnooka dostrzegła w moich oczach śmiertelne przerażenie, bo nieco złagodziła ton.

– Nie bój się, nie chcę wpędzić cię w kłopoty – oznajmiła. – Zwyczajnie chcę się dowiedzieć, gdzie załatwiłaś sobie taką piękną podróbkę?

To nie była rozmowa, którą można prowadzić w publicznym miejscu. Szybko obrzuciłam spojrzeniem pozostałych klientów. Nikt nie zwracał na nas uwagi, ale mimo wszystko czułam się niepewnie.

– Nie tutaj – mruknęłam.

– Zamykam za godzinę – powiedziała Błękitnooka. – Może wypijesz jeszcze jednego drinka i poczekaasz?

Starsi panowie wyszli, zanim zostali o to poproszeni. Gość grający w rzutki wlał w siebie jeszcze jedno piwo, jednocześnie masakrując wynik następnej kolejki. Profesor sącył swojego budweisera jak dama. Prawie półtorej godziny zajęło mu opróżnienie jednego kufła. Zostawił na stole dwadzieścia dolarów i wyszedł bez słowa. Kiedy wszyscy opuścili lokal, Błękitnooka zamknęła drzwi na zamek, posprzątała za barem, a potem zwróciła się do mnie, jakbyśmy były starymi przyjaciółkami.

– Jesteś głodna? Chodź, weź sobie hamburgera i zjedz, a potem opowiesz mi o swoich mrocznych tajemnicach.

Nie miałam zamiaru opowiadać Błękitnookiej o czymkolwiek, ale nie było wyjścia. Poznała moje nowe imię i nazwisko, a ja musiałam oczyścić je z podejrzeń. Wyszłyśmy tylnymi drzwiami, które zamknęła na zasuwę i kłódkę. Uliczka na zapleczu baru cuchnęła uryną i olejem silnikowym. Poza księżycem jedyne źródło światła stanowił blask reflektorów.

– Mój samochód stoi za rogiem – powiedziała Błękitnooka.

Żwir chrzęścił pod jej stopami, kiedy sunęła w kierunku ulicy.

Dziesięć metrów przed nami stał zaparkowany czarny lincoln. Kiedy

mijałyśmy auto, drzwi otworzyły się i Profesor niemal bezszelestnie wysunął się na zewnątrz.

– Amelia? – powiedział.

Poczułam się tak, jakby ktoś zacisnął mi palce na gardle.

– Przykro mi, ale zaczepiłeś niewłaściwą dziewczynę – odezwałam się, zdumiona, że w ogóle udało mi się wydobyć z siebie głos.

Tylne drzwi sedana otworzyły się nagle i z auta wypełził następny mężczyzna. Musiał siedzieć tam dłuższy czas, bo z trudem prostował kończyny, zupełnie jak pajak. W świetle reflektorów przez moment ujrzałam jego twarz, zanim znowu skryła się w mroku. Już gdzieś go widziałam. Przypomniała mi się biel wykrochmalonej na sztywno koszuli i stalowe oprawki okularów. Księgowy omiół spojrzeniem Błękitnooką i chwycił ją za rękę.

– Panienko, zapraszam do środka – powiedział, przytrzymując dla niej drzwi.

– Hej, zdaje się, że macie jakieś swoje sprawy, a to nie ma nic wspólnego ze mną. Może pozwolicie mi normalnie wrócić do domu, tak jak co dzień? – zawołała. – Nic się tu nie wydarzyło, przynajmniej nic, co mogłabym pamiętać.

Miałam przeczucie, że Błękitnooka mówi prawdę. Mogłaby stąd odejść, nie dzwoniąc po gliny ani nie zastanawiając się nad naszym spotkaniem.

– Podwieziemy cię do domu. Niebezpiecznie jest włączyć się samej po nocy o tej godzinie – oświadczył Księgowy.

Profesor wyjął zza pleców rewolwer i delikatnie wskazał Błękitnookiej tylne siedzenie auta.

– No dobrze, Amelia, na czym skończyliśmy? – odezwał się Księgowy.

– Jak już mówiłam, zaczepiliście niewłaściwą dziewczynę.

– Może faktycznie masz rację. W takim razie będę zwracał się do ciebie per „Tanya”, dobrze?

– Kim jesteś?

– Nieważne. Powiedz mi coś, Tanya. Czy ty zabiłaś Franka, czy to był zwykły wypadek?

Rozdział czwarty

Profesor i Księgowy zdecydowanie zamierzali zabrać mnie i Błękitnooką na przejażdżkę. Jednak nawet z rewolwerem wymierzonym we mnie i wobec wyraźnych poleceń nie przestawałam szukać drogi ucieczki. Profesor otworzył przednie drzwi pasażera i kazał zająć miejsce w aucie. Nawet nie drgnęłam, ale wtedy on wbił mi lufę pod dolne żebra. To sprawiło, że poczułam się rozdarta pomiędzy dwiema opcjami.

– Nie mam ochoty wsiadać do obcego samochodu – oświadczyłam, starając się, żeby mój głos brzmiał spokojnie i rzeczowo. – Możemy omówić sprawę na miejscu.

– Kochanie, lepiej rób, co ci mówię – syknął Profesor.

– Może pozwolicie mi usiąść z tyłu, a Blue niech siada tutaj. Skarbie, czy takie rozwiązanie ci odpowiada?

– Prawdę mówiąc, najbardziej by mi odpowiadało, gdybym mogła pojechać do domu – odparła Błękitnooka. – Mój samochód stoi tuż za rogiem, a wy macie jakieś prywatne sprawy do omówienia.

– Wsiadaj – powtórzył Profesor.

– Bagażnik – powiedziałam. – Powinieneś wsadzić mnie do bagażnika.

Profesor odwrócił się do Księgowego.

– Ta dziewczyna coś za bardzo marudzi.

– Po prostu będzie dla was bezpieczniej, jeśli wsadzicie mnie do bagażnika – wyjaśniłam.

Rzeczywiście tak było. Mówiłam jak najbardziej logicznie, ale on właśnie doszedł do wniosku, że jest pewien haczyk, o którym całkiem zapomnieli.

Księgowy skinął na Profesora, przekazując mu na migi jakieś polecenie, a ten momentalnie przesunął rewolwer wyżej i wbił wylot lufy w miękkie miejsce pod moją szczęką. Teraz zagrożenie stało się o wiele bardziej realne;

fala strachu przeszła mnie na kształt przesuwanej się piły.

– No i jak, zmieniłaś zdanie?

– Tak. Zdaje mi się, że tak.

Posłusznie wsiadłam do samochodu, zapięłam pas i starałam się przypomnieć sobie ćwiczenia oddechowe, których kiedyś uczyła mnie Carol.

Profesor schował broń do kabury przymocowanej na plecach, okrążył auto i zajął miejsce kierowcy. Księgowy siedział z tyłu; rewolwer oparł na udzie w taki sposób, że lufa skierowana była wprost na mnie. Gdyby pociągnął za spust, pocisk prawdopodobnie rozerwałby mi ramię i przeszył serce.

Wytoczyliśmy się z alejki w jakąś boczną, ciemną uliczkę. Czułam nieprzyjemne pulsowanie w głowie, zupełnie jakbym miała gorączkę.

– Dokąd jedziemy? – zaniepokoiła się Błękitnooka.

– W zasadzie nigdzie – odpowiedział Księgowy. – Musimy przez chwilę pogadać z Tanya.

– To nie jest moje imię – odezwałam się.

– Wszystko jedno, jak masz na imię – odpowiedział.

– Nazywam się Amelia Keen. Urodziłam się trzeciego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku w Tacomie w stanie Washington. Moimi rodzicami byli George Arthur Keen i Marianne Louise Keen.

Pomimo zapewnień Księgowego, że to tylko przejażdżka, Profesor wyraźnie miał przed sobą jakiś cel podróży. Ostro skręcił w Bee Cave Road, potem w Barton Creek Boulevard, podczas gdy Księgowy podtrzymywał wymianę zdań. Postronny obserwator, który nie widział wymierzonego we mnie rewolweru, mógł pomyśleć, że gawędzimy jak para przyjaciół.

– Jak ci się podoba Austin?

– Całkiem niezłe miasteczko.

– Masz zamiar tu zostać?

– Jeszcze nie wiem.

– Będziesz nam robić kłopoty?

– Kto pyta?

Trudno mi było koncentrować się na słowach Księgowego, bo

samochodem rzucało na boki, gdy Profesor przedzierał się między autami. Miał ciężką nogę, niezależnie od tego, czy dodawał gazu, czy deptał w hamulec. Czułam, że kręci mi się w głowie i zbiera się na mdłości, a po czole spływają grube krople potu.

– Ja – odpowiedział Księgowy.

– A tak naprawdę to kto?

Ledwie mogłam wydobywać słowa. Zupełnie jakbym oddychała wewnątrz odkurzacza.

– Pytałem, czy będziesz nam sprawiać kłopoty, panno Amelio czy też Tanyu?

– Nie – odpowiedziałam, choć wiadomo było, że moja odpowiedź nie ma znaczenia.

Profesor nadal prowadził auto z tą samą zwariowaną prędkością, ale rewolwer Księgowego pozostawał wciąż w niby przypadkowej, śmiertelnie niebezpiecznej pozycji.

– Czy możecie się zatrzymać? – wykrztusiłam.

Serce waliło mi jak oszalałe. Czułam, że jeśli za chwilę nie wydostanę się z tego samochodu, to albo umrę, albo wydarzy się coś strasznego. Prawie marzyłam o tym, żeby Księgowy wpakował we mnie kulę.

Teraz jechaliśmy przez jakiś park albo pas zieleni. Profesor wciąż gnał jak wariat – przynajmniej sto trzydzieści kilometrów na godzinę w strefie, gdzie obowiązywało ograniczenie do czterdziestu. Kiedy zwróciłam ku niemu wzrok, nagle jego postać uległa zmianie. To już nie był Profesor. To był *on!* Jedyne, o czym mogłam teraz myśleć, to żeby ta szaleńcza jazda wreszcie się skończyła. Zanim myśl ostatecznie uformowała się w mojej głowie, poderwałam obie nogi i z całej siły kopnęłam Profesora w głowę, posyłając ją wprost na szybę. Następnie szarpnęłam za ręczny hamulec i znowu zaatakowałam. Samochód gwałtownie przechylił się, zjechał z nasypu i wpadł pomiędzy drzewa. Księgowy, starając się zebrać w sobie, odruchowo nacisnął spust i kula przedziurawiła dach. Samochód przekoziółkował i stanął na kołach, ustawiając się pod kątem na bocznej drodze wiodącej w górę wzniesienia.

Profesor leżał z głową opartą o szybę. Wyglądał całkiem spokojnie, jakby

uciał sobie drzemkę.

– Zabierz mu broń! – wrzasnęła Błękitnooka.

W kompletnej ciemności wyciągnęłam rękę i po omacku znalazłam rewolwer ukryty w kaburze za plecami Profesora. W tym czasie Błękitnooka mocowała się na tylnym siedzeniu z Księgowym.

– Zastrzel go – zawołała do mnie.

Nie zrobiłam tego. Tkwiłam tam w bezruchu i obserwowałam, jak Błękitnooka usiłuje wytrącić rewolwer z ręki swojego przeciwnika. Broń wypaliła prosto w przednią szybę, zmieniając gładką tafłę w szklaną pajęczą sieć.

– Zastrzel go – powtórzyła.

Z początku nie mogłam odblokować spustu, ale potem przypomniałam sobie, jak wujek Franka, Tom, pokazywał mi, co należy zrobić. Odbezpieczyłam rewolwer i postrzeliłam Księgowego w nogę.

Zawył z bólu, a wtedy Błękitnooka pochwyciła jego rewolwer i wpackowała jedną kulę prosto w głowę, drugą zaś w serce. Następnie dwukrotnie strzeliła przez oparcie fotela kierowcy. Za drugim razem Profesor wydał dźwięk podobny do czkawki i zamilkł.

Wcale tego nie chciałam. Zależało mi jedynie, żeby wydostać się z samochodu. Może planowali, że nas zabiją, a może wcale nie. Jednak podwójne morderstwo nie pasowało do moich planów. Być może chwilowo problemy zostały rozwiązane, ale czułam, że ogólnie wkopałam się przez to w tak głęboką dziurę, że być może nigdy nie uda mi się znaleźć wyjścia.

– Hej, co tam? W porządku? – spytała Błękitnooka.

– Tak.

Włączyła światelko przy suficie i popatrzyła na Księgowego. Jej twarz była zimna i zdecydowana. Sprawdziła mu puls, choć osobiście nigdy nie widziałam nikogo, kto byłby aż tak martwy. Potem sięgnęła do fotela kierowcy i sprawdziła puls Profesora.

– Nie żyje – stwierdziła obojętnie.

Przez moment patrzyła na mnie, kołysząc w dłoni rewolwer, a wyraz jej twarzy świadczył o wewnętrznej walce. Mogłabym przysiąc, że zastanawiała

się, czy lepiej będzie, kiedy umrę, czy raczej pozwolić mi żyć. Pomyślałam o broni, którą trzymałam w ręku. Przez głowę przeleciała mi myśl, czy potrafiłabym zrobić z niej użytek. Po plecach spływały mi ciężkie krople potu. Kiedy wciąż zastanawiałam się, jak daleko jestem zdolna się posunąć, by ocalić życie, Błękitnooka kliknięciem zabezpieczyła rewolwer, wytarła dokładnie rękojeść i położyła na kolanach Księgowego. Odetchnęłam z ulgą.

Patrzyłam, jak zdejmuje bluzkę, pod którą miała podkoszulkę, i pracowicie wyciera kłamkę. Trzymając ją przez materiał, odblokowała tylne drzwi i z całej siły napała ramieniem, ponieważ samochód znajdował się na zbieżności. Otworzyła mi drzwi pasażera i rzuciła koszulkę.

– Wytrzymaj dokładnie wszystko, czego mogłaś dotykać – poleciła. – I odłóż broń tam, gdzie była.

Jak na mój gust, myślała zbyt trzeźwo, ale przynajmniej miała jakiś plan.

Słuchając jej poleceń, wytarłam rękojeść, żeby usunąć odciski palców, i wepchnęłam broń do kieszeni w marynarce Profesora. Nie miałam pojęcia, czego dotykałam, więc polerowałam wszystko, co znajdowało się w zasięgu rąk. Gdzieś w oddali rozległ się warkot silnika.

– Wyłącz reflektory – poleciła Błękitnooka.

Pogmerałam przy stacyjce, żeby znaleźć przełącznik. Jakiś samochód przejechał po drodze na nasypie nad naszymi głowami akurat w chwili, gdy reflektory zgasły.

– Musimy się stąd wynosić – wykrztusiłam.

– Jedyne, co musimy, to spokojnie pomyśleć. Wystarczy jeden odcisk palca i policja bez trudu skojarzy twoją osobę z miejscem zbrodni, zakładając, że znajdujesz się w systemie.

Ostatnie słowa zabrzmiały jak zamierzona uszczypliwość. Nie figurowałam w żadnym systemie, ale spokojnie można założyć, że gdzieś tam w jakichś aktach znajdują się moje odciski palców.

Wytarłam przedni fotel najdokładniej jak umiałam, a następnie, przypadając do ziemi, wlażyliśmy na nasyp. Właściwie mogliśmy wybrać dowolny kierunek. O tej porze ulica była pogrążona w tak głębokiej ciemności, że nie było szans, żeby ktoś zauważył porzucony samochód, chyba że szukałby go specjalnie.

– Co teraz robimy? – zapytałam.

– Idziemy – odparła. – Mieszkam niedaleko stąd.

Nie byłam pewna, czy to dobry pomysł trzymać sztamę z kimś obdarzonym takim charakterem, ale w obecnej chwili nie widziałam innej możliwości. Po więcej niż godzinie marszu Błękitnooka zatrzymała się przy długiej dróżce dojazdowej na nieoświetlonej ulicy. Na końcu krętej ścieżki okolonej zaniedbaną roślinnością znajdował się stary dom w stylu Tudorów. Z ulicy sprawiał wrażenie nawiedzonego.

– Tutaj mieszkasz? – zdziwiłam się.

Rezydencja wydawała się zbyt wykwintna dla zwykłej barmanki.

– Tu mieszka pewna starsza pani. Ja mam lokum z tyłu domu.

W całym wielkim budynku dostrzegłam jedno wątle światelko sączące się z sypialni na piętrze. Wykładaną kamieniami ścieżką poszłyśmy wzdłuż płotu do gościnnego domku znajdującego się za basenem w kształcie nerki. Domek w ogóle nie pasował do rezydencji, zupełnie jakby znalazł się tutaj przez przypadek. Błękitnooka wyjęła klucz i otworzyła drzwi.

Wnętrze było urządzone tak skromnie, że nigdy nie widziałam równie oszczędnego wyposażenia. Było sympatyczne, lecz przypominało raczej pensjonat z malutką tanią kuchenką. W sypialni znajdowało się podwójne łóżko i toaletka, w niewielkim saloniku stały kanapa, stolik do kawy i telewizor. Poza tym nie było tam niczego, żadnych osobistych drobiazgów, które mogły tchnąć życie w tę nijaką przestrzeń. Chłód tego mieszkania wprowadził mnie w osłupienie, choć sama właściwie nie wiem, czego się spodziewałam. Może jakiegoś obrazka albo rodzinnej fotografii, albo ozdóbek lub świecidełek – czegokolwiek, co pozwoliłoby mi uwierzyć, że ta kobieta, która z zimną krwią zabiła dwóch mężczyzn, należy do tego samego świata co ja.

Błękitnooka przyniosła z kuchni butelkę bourbona i nalała nam po drinku. Piekący alkohol, który spływał mi w gardle, w końcu zdołał mnie obudzić. Błękitnooka wypija swoją porcję jednym haustem i uzupełniła zawartość szklaneczki, tym razem sącząc alkohol drobnymi łyżkami.

Dała mi kilka minut na pozbieranie się, zanim zaczęła zadawać pytania.

– Zdaje się, że masz paru wrogów, co?

– Raczej tak.

– Chyba należą mi się wyjaśnienia, zważywszy, że z twojego powodu właśnie popełniłam podwójne morderstwo.

Nigdy dotąd nie musiałam niczego wyjaśniać. Przez dziewięć lat nie wymówiłam nazwiska Rolanda Oliviera – nawet po to, by go przeklinać – dopóki sama nie zadzwoniłam, prosząc o nową tożsamość. Jednak teraz nie widziałam, jak wybrnąć z kłopotów, a ponieważ Błękitnooka pociągnęła za spust, doszłam do wniosku, że znajdujemy się po tej samej stronie barykady. Przynajmniej dotąd mnie nie zabiła, a prawdę mówiąc, przyczyniła się do tego, że nadal byłam wśród żywych. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nie odważyłam się nikomu zaufać. Może nadszedł czas, żeby to zrobić. Podjęłam decyzję tak łatwo, jak łatwo jest pstryknąć monetą. Opowiedziałam Błękitnookiej o wszystkim, nawet o rzeczach, o których nigdy nie opowiedziałam Frankowi, Carol ani doktorowi Mike’owi. Aż do dnia, w którym poznałam Błękitnooką, mogłabym dostać złoty medal za dochowywanie tajemnicy. Tak bardzo walczyłam, żeby zapomnieć o przeszłości, zapomnieć o kimś, kim niegdyś byłam, że teraz, opowiadając swoją historię, czułam się tak, jakbym opowiadała baśń.

Kiedy skończyłam, ból, który na kształt niewidzialnej blizny rozszarpywał moje plecy, wydawał się odrobinę lżejszy. Tyle czasu minęło, odkąd mówiłam prawdę, że teraz brzmiała ona jak kłamstwo. Miałam diabelnie dużo do opowiadania, ale Błękitnooka wydawała się przyjmować wszystko ze spokojem.

– Musimy coś zjeść – oznajmiła, kiedy skończyłam mówić. – Umieram z głodu. Masz ochotę na grillowaną kanapkę z serem?

Błękitnooka dosłownie pożarła dwie kanapki w czasie krótszym niż kwadrans. Nie wydawała się szczególnie wstrząśnięta moimi problemami ani podwójnym zabójstwem, do którego doszło zaledwie kilka godzin temu. Zaspokoiwszy apetyt, zadała kilka rzeczowych pytań.

– Jak sądzisz, czy pan Olivier wyśle kogoś innego, żeby cię dopadł?

– Pewnie tak, kiedy się dowie, że jego przyjaciele nie żyją.

– Powinnaś przez jakiś czas siedzieć cicho. Gdzie masz kryjówkę?

– W pensjonacie niedaleko ratusza.

– Musimy zabrać stamtąd twoje rzeczy – powiedziała. – Możesz zostać tutaj.

– Czy właścicielka domu nie będzie miała nic przeciwko temu?

– Zmysły starszej pani nie są tak wyostrzone jak kiedyś... Jeśli zobaczy nas obie, pomyśli, że dwoi jej się w oczach.

Zauważyłam, że Błękitnooka zawsze ma mnóstwo pomysłów. Tę cechę powinnam sobie przyswoić, zważywszy na swoje kłopotliwe położenie, które musiałam zaakceptować jako stan permanentny.

Było parę minut po piątej rano, kiedy wymknęłyśmy się z domku dla gości i alejką ruszyłyśmy w stronę ulicy. Obok rezydencji stał lśniący błękitny cadillac fleetwood. Wydawał się w nienagannym stanie.

– Weźmiemy auto starszej pani – wyjaśniła Błękitnooka. – Najpierw zgarniemy twoje rzeczy, a potem pojedziemy po mój samochód do May's.

– Masz coś przeciwko temu, że poprowadzę? – spytałam.

Przez chwilę rozważała tę kwestię.

– To chyba dobry pomysł. Nie mam ochoty na powtórkę przedstawienia.

Rzuciła mi kluczyki i wsiadłyśmy do doskonale utrzymanej limuzyny. Wytaczając się z podjazdu na wstecznym biegu, miałam wrażenie, że prowadzę wychodzący z portu statek.

W ciszy wczesnego poranka niemal słyszałam huk własnych myśli. Sekwencja ostatnich wydarzeń wciąż przesuwała mi się przed oczami, jakbym oglądała jakiś odtwarzany w przyspieszonym tempie film.

– To zabawne, jak świetnie wymyśliłaś, żeby kopnąć tego typa prosto w ryj, a potem miałaś opory, żeby wpakować mu kulkę w łeb albo w serce – zauważyła Błękitnooka.

– Nie miałam zamiaru nikogo zabijać.

– Tak? A co zamierzałaś zrobić?

– Zatrzymać samochód. To wszystko.

Czułam, jak adrenalina zaczyna krążyć w moich żyłach i jak wraca nieznośny ból krzyża, ale na Błękitnookiej zdawało się nie robić to żadnego wrażenia.

– Nie masz wyrzutów sumienia, że ich zabiłaś? – spytałam.

– Absolutnie żadnych. I ty też nie powinnaś mieć.

Zorientowałam się, że krążymy w pobliżu drogi, gdzie wszystko się wydarzyło. Minęliśmy miejsce wypadku. Było cicho jak makiem zasiał. Z drogi nie widać było tamtego samochodu, ale było tylko kwestią czasu, kiedy pojawią się tutaj migające światła, błyskające flesze, karetki pogotowia i żółta taśma.

– Hej, Amelia, obudź się! – zawołała Błękitnooka, kiedy wpatrywałam się w dal, starając się usunąć z wyobraźni obraz katastrofy. Jej ostry ton zmroził mnie natychmiast. Odrobinę oprzytomniałam.

– Nie śpię przecież – warknęłam.

– Nie możesz podjąć walki, więc musisz to skończyć. Nieważne, za jaką cenę.

Moja wyprowadzka z pensjonatu Ruth nie wywołała żadnego zainteresowania. Marcus uścisnął mi rękę, jednocześnie wyrzucając z siebie potok tych charakterystycznych dla siebie dźwięków, co zabrzmiało jak „do widzenia”. Staralam się wyglądać na spokojną, kiedy zbierałam swoje rzeczy pod czujnym okiem Ruth, lecz wciąż czułam ten przenikliwy dreszcz, nieustającą wibrację nerwów, i ze wszystkich sił próbowałam uwierzyć, że nikt tego nie dostrzega.

– Masz jakieś kłopoty? – rzuciła Ruth.

– Ależ skąd – odpowiedziałam. – Po prostu znalazłam inne mieszkanie, takie na dłużej.

– Nie oszukuj się – odparła. – Wszystko jest tylko na pewien czas.

Wrzuciłam walizkę do bagażnika toyoty i pojechałam do domu starszej pani. Auto zaparkowałam trochę dalej, choć to oznaczało, że muszę taszczyć ciężki bagaż po krętej dróżce dojazdowej. Zostawiłam walizkę w domku dla gości, a potem zabrałam Błękitnooką do cadillaca i zawiozłam na boczną uliczkę w pobliżu baru, gdzie stał jej czarny volkswagen jetta. Około południa z powrotem wylądowałyśmy w domu.

– Muszę teraz zajrzeć do starszej pani – powiedziała Błękitnooka, gdy

tylko weszłyśmy do środka. – Sprawdzić, czy ma co jeść i czy koty są nakarmione. Rozgość się.

– Kim ona jest dla ciebie? – spytałam.

– W pewnym sensie kimś z rodziny. Ona i moja ciotka Greta były z sobą bardzo blisko, choć nigdy nie zdradziły, na czym ta bliskość polegała.

Błękitnooka powędrowała w stronę wielkiego domu, ja zaś przeszłam się po skromnie urządzonej mieszkanie, starając się znaleźć jakieś znaki świadczące o zwyczajach lokatorki. W szafie natknęłam się na stare podomki i sukienki z minionych dekad, przypuszczalnie należące do Greta albo do starszej pani. Znalazłam też szufladę pełną porcelanowych figurek baletnic, muzyków orkiestrowych i zwierzątek z zoo. W kolejnej szufladzie leżały dwie staromodne lalki, jedna blondynka, a druga brunetka. Pod łóżkiem stała walizka wypełniona ciuchami, tym razem całkiem współczesnymi. Najwyraźniej Błękitnooka była gotowa do natychmiastowej ucieczki. Powinnam nauczyć się od niej kilku rzeczy, pomyślałam.

Wyglądając przez okno, dostrzegłam w wielkim domu jej sylwetkę. Zajrzałam do łazienki. Przynajmniej tutaj znajdowało się kilka luksusowych produktów, bez których najwidoczniej nie potrafiła żyć. Na krawędzi osłony prysznicza przycupnęły pachnący żel do mycia oraz szampon i odżywka, które nie wyglądały na tanie; sądząc po buteleczkach, kosmetyki pochodziły z zagranicy, a przynajmniej ja nigdy nie widziałam ich w drogeriach.

Przeszłam do sypialni i ponieważ wciąż miałam czas, otworzyłam szufladę stojącą przy łóżku toaletki. W takim miejscu większość ludzi chowa swoje sekrety. W środku znalazłam zniszczonego starego misia przytulankę i rewolwer. Kiedy Błękitnooka wróciła, leżałam na wznak na łóżku, udając, że jej wejście mnie obudziło. Obejrzała dokładnie całe mieszkanie i popatrzyła mi prosto w oczy.

– Znalazłaś broń, prawda? – spytała.

– Tak – potwierdziłam. Nie było sensu zaprzeczać.

– Mam męża. Choć właściwie uważam go za mojego byłego męża – oznajmiła, jakby ten fakt wystarczająco wyjaśniał posiadanie broni palnej.

– Czy on ma skłonność do przemocy? Gwałtowny charakter? – zapytałam i dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że odpowiedź jest w zasadzie

oczywista.

Nie zwróciłam wcześniej uwagi, ale Błękitnooka nad jedną brwią miała bliznę, a jej lewa powieka lekko opadała, jak odbicie w karnawałowym lustrze. Uszkodzenie nerwu. Już wcześniej widziałam takie rzeczy, w barze Franka. Nie wiedziałam, jak nazywała się tamta kobieta. Chodziła po mieście z pewnym mężczyzną, ale w jej sylwetce było coś, co sugerowało, że jest ofiarą prześladowania, co po niektórych kobietach widać całkiem wyraźnie. Jednak Błękitnooka była inna. Cokolwiek się jej przydarzyło, tak naprawdę niczego jej nie pozbawiło, może tylko spokoju sumienia. Nie przypominała kogoś, kto został wywrócony do góry nogami.

– Nie bardziej niż ja – odpowiedziała na moje pytanie. – Choć nie zawsze tak to wyglądało.

– Kim ty jesteś? – spytałam.

Całkiem rozsądne pytanie. Zdążyłam jej opowiedzieć wszystko o sobie, ale o niej wiedziałam tylko tyle, że klienci nazywają ją Blue, że nalewa drinki w barze i że stara się trzymać z dala od swojego eksmęża.

– Kiedyś nazywałam się Debra Maze – powiedziała. – Później wyszłam za mąż i zostałam Debrą Reed. Przez kilka lat pracowałam jako nauczycielka, dopóki mogłam pokazywać się dzieciom. Potem musiałam uciekać i kuzynka, która wygląda jak moja siostra, dała mi swoje stare prawo jazdy. Teraz nazywam się Carla Wright i przez jakiś czas mogę się tak nazywać, dopóki nie będę chciała wziąć kredytu albo załatwić jakichś oficjalnych spraw. Ale w końcu moja przeszłość mnie dopadnie, tak samo jak twoja dopadła ciebie.

– Jak długo z nim byłaś?

– Siedem lat.

– A kiedy uciekłaś?

– Pół roku temu. Kiedy zobaczyłam twój paszport, który jest najlepszą podróbką, jaką kiedykolwiek widziałam, pomyślałam, że pewnie jesteś jakoś w to zamieszana. Nie przyszło mi do głowy, że twoja sytuacja może być o niebo gorsza niż moja.

– Przykro mi, że cię wplątałam w ten bajzel.

– Nie musisz przeproszać. Kto wie, może pewnego dnia zostaniesz

wplątana w mój. Wtedy będziemy kwita.

Otworzyła szafę wypchaną ręcznikami i bielizną pościelową i wyciągnęła stamtąd prześcieradło i poduszki.

– Musisz się wyspać – powiedziała. – Zresztą tak samo jak ja. Wszystko wydaje się łatwiejsze, kiedy człowiek na chwilę zmruży oko.

Poszła do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Znalazłam butelkę bourbona, pociągnęłam łyk, a potem zrzuciłam pantofle i przykryłam głowę prześcieradłem, bo południowe słońce świeciło wprost na kanapę. Czułam ten rodzaj wyczerpania, kiedy każda część ciała zdaje się zapadać w sobie, ale umysł mimo to pozostaje niespokojny. Przed oczami wciąż przelatywały mi urywane sceny z wypadku, a każdy klip zaczynał się od ścisku w żołądku, kiedy siedziałam tam zupełnie bezsilna. Czyjeś ręce zaciśnięte na kierownicy, stopa wbita w podłogę, białe kostki na dłoniach, pod skórą napięte wszystkie ścięgna.

We śnie wiedziałam, co powinnam zrobić, ponieważ zrobiłam to już wcześniej. Odtwarzałam wszystko w mojej głowie, raz za razem. Tyle że teraz to *on* prowadził, a ja widziałam wyraz jego twarzy. Pamiętam ten moment, kiedy podjął decyzję, co zamierza zrobić. Pamiętam jego zaciśnięte szczęki i wiem, że dawno minęła chwila, kiedy można było go powstrzymać. Wiem, że powinnam była przewidzieć, co się zbliża; wiem, że już wcześniej zdawałam sobie sprawę z tego, co on zamierza zrobić. Minęło dziesięć lat, a ja czułam, jakby wszystko miało wydarzyć się jutro, a potem znowu i jeszcze raz.

Robię to, co należy zrobić w takiej sytuacji. Wyrzucam nogi ponad kierownicę, żeby z całej siły kopnąć go w twarz. On traci kontrolę nad pojazdem i przeskakujemy ponad barierką, lądując w lodowatym jeziorze. Powoli opadamy na dno. Wiem, że muszę się spieszyć. Odpinam pas bezpieczeństwa i szybko odkręcam szybę, zanim znikniemy pod lustrem wody. Spoglądam na niego; jest nieprzytomny. Mam w płucach wystarczająco dużo powietrza, żeby wyciągnąć go z auta, ale on wygląda na tak spokojnego. Zostawiam go za kierownicą. Patrę na tylne siedzenie i widzę drugiego pasażera. Przez sekundę zastanawiam się, czy jego także powinnam zostawić, ale wtedy czuję prąd lodowatej wody, która wdziera się do środka samochodu. Budzę się z przerażeniem.

Błękitnooka siedzi na krześle i obserwuje mnie z uwagą.

– Śnił ci się jakiś koszmar?

– Nie. Po prostu sen.

Sen, który wciąż do mnie powraca. Zwykle fantazjowanie o tym, co powinnam była zrobić. Bo wtedy byłabym wolna.

Dziesiąty czerwca dwa tysiące ósmego roku

do Ryana

od Jo

Wyszłam za mąż. Mam nowe nazwisko. Znacznie lepsze niż poprzednie. Nie powiem ci, jak ono brzmi. Potraktuj to jako moją pomoc, żebyś mógł zaprzeczać. Ostatecznie nie będziesz musiał kłamać, mówiąc, że nic nie wiesz. Czy ciągle powinnam zerkać przez ramię albo zastanawiać się, czy ludzie o mnie zapomnieli?

Mojego męża będę nazywać Lou, jeśli w ogóle kiedyś zajdzie potrzeba, żeby jakoś go nazywać. Lou jest w porządku. Kiedy byłam dziewczynką, marzyłam o kimś lepszym niż tylko „w porządku”. Przez chwilę to Ty byłeś tym „lepszym”. Spójrz, jak to się skończyło. Tak czy owak, nie mogłabym powiedzieć o tym nikomu innemu. Ty jesteś wszystkim, co mam. Ty i Lou.

Co więc wydarzyło się od czasu, kiedy ostatni raz miałam od Ciebie wiadomość?

Jo

*Dwudziesty pierwszy czerwca
dwa tysiące ósmego roku*

do Jo

od Ryana

*Domyślam się, że czekasz na gratulacje. Właśnie
wypiłem w Sundowners osiem szklaneczek bourbona, żeby
świętować Twoje zamążpójście. Choć może świętowanie to
niewłaściwe słowo... Kto to jest? Kim on jest? Czy Ty go
kochasz?*

*Wznoszę toast za długie i udane małżeństwo faceta,
który nie ma pojęcia, kim naprawdę jesteś. Dałbym Ci
pewną radę, ale według moich rodziców cały sekret
trwania w małżeństwie polega na tym, żeby nigdy nie
przebywać w tym samym pomieszczeniu.*

*Cholera, wyszłaś za mąż! Chyba muszę bardziej to
uczcić.*

R

Trzydziesty sierpnia dwa tysiące ósmego roku

do Ryana

od Jo

Gdybym nie znała Cię lepiej, mogłabym pomyśleć, że

jesteś zazdrosny.

Nie, Ryan, ja go nie kocham. Ale zamężpójście wydawało mi się rozsądnym wyjściem, a dokładnie rzecz ujmując, mądre wydawało mi się pozyskanie nowego nazwiska. Nawiasem mówiąc, zyskałam nie tylko męża. Dostałam męża w pakiecie razem z pracą. Lou jest właścicielem baru, a ja serwuję tam drinki. Może nie jest to kariera, o jakiej marzyłam, ale lepsze to niż sprzątanie domów, czym zajmowałam się przez pierwszy rok, kiedy musiałam radzić sobie sama. Ślubu udzielił nam Otis, miejscowy mechanik, który jest pastorem Kościoła Części Samochodowych. Nie miałam pojęcia, że taki Kościół w ogóle istnieje. Biedak musiał wyczyścić paznokcie, zanim przystąpił do odprawiania ceremonii. Byłam naprawdę wzruszona. Kiedy Otis wymówił słowa „dopóki śmierć was nie rozłączy”, od razu z nadzieją pomyślałam, że długowieczność na szczęście nie jest cechą rodziny Lou. Będę zdziwiona, jeśli uda się nam wytrzymać ze sobą pięć lat. Ale przynajmniej zostanie mi nowe nazwisko.

Tak teraz wygląda moje życie. Ale nie jest ono jedyne. Czasami, kiedy zamknę oczy, wkraczam do innego świata, do mojego alternatywnego wszechświata. Tamta noc nigdy się nie wydarzyła. A nawet jeśli tak, to w żaden sposób nie byliśmy w nią uwikłani. Zrobiliśmy wszystko, o czym mówiliśmy, że zrobimy. Nawet mam przed oczami całkiem klarowną wizję taniego mieszkania z jedną sypialnią, które

jest nasze. Znajduje się na trzecim piętrze w domu bez windy. W gorące letnie noce siadamy na schodach przeciwpożarowych, żeby napić się piwa i popatrzeć na gwiazdy. Jakby się nad tym zastanowić, to właśnie teraz moglibyśmy tam być.

Ale to wszystko nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Powiedz mi więc, co jest. Co przegapiłam?

Jo

Piąty października dwa tysiące ósmego roku

do Jo

od Ryana

Nie wiem, czy powinniśmy to kontynuować. To nie była część pierwotnego planu. Chodziło przecież przede wszystkim o to, żeby dać Ci szansę na prawdziwe życie. Przestań więc myśleć, co mogłoby być. Może nie dałaś Lou żadnych możliwości. Dajmy temu spokój przynajmniej przez pewien czas. Niczego nie przegapiłaś, Jo. Daj szansę własnemu życiu. Proszę.

R

Piąty listopada dwa tysiące ósmego roku

do Ryana

od Jo

Nie możesz wciąż mi mówić, że powinnam zniknąć. Zrobiłam to, co mi kazano. Już dostatecznie zniknęłam. Tymczasem chciałabym kontynuować nasz układ. Nie spraw mi zawodu, a ja też Cię nie rozczaruję.

Jo

Rozdział piąty

Minęło kilka dni, zanim ostatecznie dotarło do mnie, co właściwie zaszło. Tożsamość Amelii Keen już nie mogła mi dłużej służyć. Pomyślałam o telefonie do starego przyjaciela, który miał u mnie trudny do oszacowania dług, ale wydawało się dość ryzykowne nawiązywać kontakt akurat wtedy, kiedy właśnie wyeliminowałam z gry dwóch kumpli pana Oliviera. Nie byłam pewna, po której stronie opowie się ów przyjaciel. Musiałam przyjąć do wiadomości, że odtąd jestem zdana sama na siebie i że pilnie potrzebuję nowego nazwiska. Będzie mi brakowało Amelii Keen; wiązałam z nią duże nadzieje. Poza tym nadal nie byłam pewna, co zrobić z rejestracją samochodu. Niebezpiecznie było korzystać z pojazdu zapisanego na Tanyę, lecz z drugiej strony Amelia także była ryzykownym wyborem.

Przez dwa tygodnie, od końca marca do początku kwietnia, ukrywałam się w domu Błękitnookiej, zarabiając na utrzymanie sprzątaniem mieszkania i robieniem zakupów z moich topniejących w oczach zasobów finansowych. Przeglądałam dzienniki, żeby być na bieżąco z aktualnymi wiadomościami ze śledztwa w sprawie tajemniczej katastrofy samochodowej. Prowadzący sprawę śledczy uważali, że w aucie oprócz ofiar znajdowało się dwóch nieznanymi napastników. Jednak tożsamość odnalezionych mężczyzn jeszcze nie została potwierdzona i nie zgłosił się nikt, kto mógłby zidentyfikować ciała. Byłam pewna, że policja nie zdradza dziennikarzom wszystkich szczegółów i że tylko kwestią czasu jest, kiedy oddział antyterrorystów zrobi obławę na mnie i Błękitnooką. Wystarczył szelest liści albo cichy pomruk jadącego ulicą samochodu, a już zrywałam się na równe nogi. Coraz częściej zaczynałam dzień od drinka, żeby ukoić nerwy i powstrzymać świat, który nieustannie wibrował wokół mnie.

Nocami obserwowałam wielki dom. Zawsze świeciły się w nim dwie te same lampy, jedna na piętrze, druga na parterze, a ich blask mieszał się z migotaniem ekranu telewizora, ukrytego za nieprzezroczystymi zasłonami.

Telewizor bywał włączony przez całą noc, lecz światło na piętrze gasło równo o dwudziestej drugiej piętnaście. Błękitnooka zawsze zachodziła do starszej pani, kiedy wracała z baru, a wychodząc od niej, wyłączała lampę na parterze. Stara dama – w końcu dowiedziałam się, że na imię ma Myrna – w ogóle nie wychodziła z domu: cierpiała na reumatyzm, jaskrę oraz demencję. Tylko kilka razy udało mi się dostrzec w oknie przygarbioną sylwetkę tej kobiety, kiedy szurając kapciami, przechadzała się po domu. Jej jedyną aktywnością był spacer z pokoju do pokoju. Błękitnooka opowiadała, że nawet kiedy Myrna była młoda, lubiła się trzymać z dala od ludzi, a jej wyjście z domu zdarzało się równie rzadko jak zaćmienie Słońca – właściwie tylko wtedy, gdy ciocia Greta groziła, że ją opuści, jeśli w końcu nie wyjdą na miasto. Nie miałam zamiaru niepokoić Myrny. Powiedziano mi, że źle znosi nowe twarze. Mogłam ją zrozumieć. Ogólnie rzecz biorąc, sama nie lubię towarzystwa obcych ludzi.

Przebywałam w domu zaledwie od dwóch tygodni, a miałam wrażenie, że minęły już całe miesiące. Czułam się tak, jakbyśmy z ogromną prędkością spadały na dno jakiegoś głębokiego jaru. Codziennie zaczytywałam się w nekrologach, ponieważ zapewniały mi coś w rodzaju pocieszenia, przypominając nieustannie, że nie jestem jedyną, której czas się kończy. Więcej ludzi umiera w młodym wieku, niż powszechnie się sądzi.

Pewnego dnia wpadłam na pomysł, że być może uda mi się znaleźć nową tożsamość w miejscowej kostnicy, i odtąd przeczesywałam nekrologi w poszukiwaniu odpowiedniej kandydatki. Na początku moje kryteria wydawały się dość proste: potrzebowałam znaleźć kobietę, która umarła dość wcześnie i była osobą samotną. Zdradziłam swój plan Błękitnookiej, ona zaś natychmiast wyraziła chęć uczestniczenia w akcji. Zdecydowałyśmy, że połączymy siły; ta, która pierwsza wypatrzy odpowiednią denatkę, będzie mieć pierwszeństwo.

Przywdziewałyśmy czarne suknie, nakładałyśmy nierzucający się w oczy makijaż i ruszałyśmy do domu pogrzebowego wymienionego w gazecie. Jechałyśmy samochodem Błękitnookiej, ale jak zwykle to ja musiałam prowadzić. Pierwszym pogrzebem był pochówek niejakiej Joan Clayton. Była tylko dwa lata ode mnie starsza i umarła na raka jajnika. Obok otwartej trumny w Marker & Family Funeral Home stało duże zdjęcie. Musiało zostać zrobione przed kilkoma laty, bo na nim wydawała się w pełnym rozkwicie –

jej pulchne policzki przypominały kolorem brzoskwinie. Wyniszczone ciało, które ujrzałyśmy w trumnie, wyglądało na marne oszustwo.

– Jak myślisz, ile mogła mieć wzrostu? – szepnęła mi do ucha Błękitnooka. Biznes to biznes, pomyślałam.

– Nie mam pojęcia. Ale raczej nie przypomina ani ciebie, ani mnie. I to ani przed, ani po – odpowiedziałam. – To się nie uda.

Podszedł do nas jeden z żałobników. Na oko sądząc, mógł być ojcem Joan.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy się spotkali – powiedział rzekomy ojciec.

– Tak mi przykro z powodu pańskiej żałoby – odparła Błękitnooka.

– Czy pani znała moją Joan?

– Ależ tak – zapewniła Błękitnooka.

– Ze szkoły?

– Tak. Ze szkoły.

– Myślałem, że znam jej wszystkie szkolne koleżanki.

– Byłyśmy raczej znajomymi – szybko sprostowała Błękitnooka. – Ale i tak chciałam złożyć wyrazy uszanowania.

– Byłyście razem w Grover Cleveland czy Van Buren? – dopytywał.

– W Cleveland – odpowiedziała, wyraźnie bez przekonania.

– A kiedy opuściła pani Houston?

– Och, przed kilkoma laty – Błękitnooka chyba doszła do wniosku, że lepiej szybko zakończyć konwersację.

– Zna pani Jacoba?

– Nie, obawiam się, że nie miałam przyjemności... Zostawiam pana z pańską rodziną – powiedziała, powoli się wycofując. – Jeszcze raz, proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje.

Błękitnooka odwróciła się i ruszyła wzdłuż rzędów w kierunku wyjścia. Trzymałam się tuż za nią.

– No, prawie żeśmy wpadły – odezwałam się w drodze do domu.

– O ile nie przyjdziemy drugi raz w to samo miejsce, to nie powinno być problemu.

Następny był pogrzeb Laury Cartwright. Miała dwadzieścia osiem lat, kiedy popełniła samobójstwo. Była dwa lata ode mnie młodsza i zgodnie z tym, co napisano w nekrologu, pozostawiła matkę, ojca i męża. Nikt nie wspominał o dzieciach. Na pożegnaniu w Hammel & Sons Funeral Home zjawilo się mniej więcej dwadzieścia osób. Obok trumny stało zdjęcie Laury. Była blondynką o niebieskich oczach, jak Błękitnooka, lecz tak przysadzistą, właściwie obleśnie otyłą, że trudno nam było rozeznac jej rysy.

Razem z Błękitnooką przypatrywałyśmy się masywnej kobiecie, która leżała w trumnie.

– Nie ma śladu po ranie postrzałowej, szyja też wygląda całkiem ładnie... Pewnie nałykała się prochów – szepnęła Błękitnooka.

– Raczej tak.

– Szybko mogłabym wyglądać tak jak ona, gdybym zaczynała każdy dzień od pół tuzina pączków – zauważyła.

– No, chybabyś musiała pożreć całą fabrykę pączków – odparłam.

Jakiś mężczyzna podszedł bliżej i zatrzymał się obok nas.

– Byłyście przyjaciółkami? – spytał.

– Tak – przytaknęła Błękitnooka. – Choć prawdę mówiąc, nie widziałyśmy się przez ładnych parę lat... Pan jest kimś z rodziny?

– Można tak powiedzieć – odparł. – Byliśmy małżeństwem.

– Moje kondolencje – wtrąciłam.

– Dziękuję. Powinienem być widzieć, co się święci. Ale ona zachowywała się tak, jakby wszystko było w porządku.

Kiedy facet mówił, ja czułam nieprzyjemny dreszcz, który pełzł mi w górę kręgosłupa. Zdecydowanie coś tu się nie zgadzało.

– Czy przypadkiem nie czuła się przygnębiona? – spytałam.

– Nie sądzę – odparł pan Cartwright. – Choć najwidoczniej coś musiało być na rzeczy. Staraliśmy się o dziecko, ale się nie udawało.

– Wygląda tak nieskazitelnie... Połknęła jakieś proszki?

Błękitnooka ostrzegawczo ścisnęła mnie za łokieć, lecz pan Cartwright

wydawał się pozytywnie poruszony moim zainteresowaniem.

– Rozpuściła w lemoniadzie preparat do odmrażania.

– O Boże, to straszne... Była taka młoda. Jak pan ją poznał?

– W barze. Była tam najładniejszą z dziewczyn... Niestety, od tamtej pory przytyło jej się parę ładnych kilogramów – zauważył oschle.

– Jak długo byliście małżeństwem? – drążyłam temat.

Błękitnooka znów uszczypnęła mnie w ramię. Tym razem mocniej.

– Pięć lat. Przepraszam, ale jak pani się nazywa?

– Jane Green – odpowiedziałam. Nie było sensu wplątywać w to Amelię Keen.

– A pani skąd znała Laurę?

– Ze szkoły podstawowej.

– I co, od tamtej pory się nie widziałyście?

– Nie. Przypadkiem zobaczyłam nekrolog i pomyślałam, że wypada mi złożyć wyrazy szacunku.

– Jestem pewien, że Laura doceniłaby ten gest.

– Miło mi było pana poznać... Przepraszam, ale nie wiem, jak panu na imię.

– Lester. Lester Cartwright. Czy zna pani Kelly Block? To przyjaciółka Laury. Zdaje się, że ona też chodziła z Laurą do szkoły podstawowej.

– Przykro mi, ale nie przypominam sobie. Zresztą to było tak dawno temu. Przepraszam, muszę iść do toalety.

Błękitnooka też poszła do łazienki i tam poczekałyśmy, aż żałobnicy zajmą miejsca. Zanim wyszłyśmy, Lester zaczął wygłaszać słowa pożegnania.

– Laura opuściła nas zbyt wcześnie – mówił. – Ale teraz przebywa już w lepszym świecie.

– Nienawidzę słuchać czegoś takiego – mruknęła pod nosem Błękitnooka, kiedy we dwie napierałyśmy z całej siły na ciężkie, drewniane drzwi.

Gdy tylko znalazłyśmy się na parkingu, Błękitnooka podała w wątpliwość moje umiejętności prowadzenia rozmowy.

– Chyba powinnyśmy mniej się wychylać, zwłaszcza gdybym zdecydowała się zostać Laurą Cartwright. Moim zdaniem to doskonała kandydatka. Teraz tylko trzeba się zastanowić, jak się do tego zabrać. Pewnie mogłabym po prostu zadzwonić do jej rodziców i nakłonić ich, żeby mi podali jej numer ubezpieczenia. Ale jeszcze prościej byłoby, gdybym miała dostęp do jej prawa jazdy i innych dokumentów.

– Jak zamierzasz tego dokonać? – spytałam.

– No cóż, raczej nie położyli jej do trumny razem z portfelem, prawda? On gdzieś tu musi być. Moim zdaniem powinnyśmy pojechać za mężem do ich domu, a potem włamać się, kiedy go nie będzie.

– Chyba nie mówisz serio – odparłam.

– Masz lepszy pomysł?

Nie miałam. Skręciłam za róg i zaparkowałam volkswagena pod starym, rozłożystym klonem. Świeże liście właśnie otwierały się, kształtem przypominając dłoń.

Przez te wszystkie lata, kiedy tak naprawdę nie dokonałam w swoim życiu niczego znaczącego, pozyskałam jedną bardzo istotną umiejętność. Wiem, kiedy mężczyzna próbuje mnie okłamać. Od razu rozpoznaję człowieka o czarnym sercu.

– To on ją zabił – powiedziałam nagle.

– Co ty gadasz? Ten mąż?

– Tak.

– Skąd wiesz? – spytała Błękitnooka.

– Popatrz, jego żona nie żyje od niespełna tygodnia, a on już komentuje jej nadwagę. To nie jest normalne.

– Normalne czy nie, to żaden dowód.

– Nikt nie pije płynów do odmrażania, kiedy chce ze sobą skończyć. Jak ktoś chce się zabić, znajdzie lepszy sposób – stwierdziłam.

– Czy uważasz, że powinnyśmy anonimowo zawiadomić policję? – spytała Błękitnooka.

– Nie, jeżeli ona jest dobrą kandydatką. Będzie łatwiej, jeśli jej śmierć przejdzie bez echa.

– Czyli tak naprawdę nie ma znaczenia, w jaki sposób odeszła z tego świata?

– Według mnie nie ma.

– No cóż, w takim razie spróbuję przymierzyć tożsamość Laury Cartwright. Zobaczę, czy mi pasuje.

Czekałyśmy, aż żałobnicy się rozjadą, a następnie ruszyłyśmy w ślad za mężem nieboszczki, który odjechał czerwoną sierrą. Przejechał kilka kilometrów na przedmieścia, zatrzymał się w jakimś miejscu zwanym Fairview i zaparkował przed domem o ścianach obłożonych białymi panelami. Trawnik przed domem był brązowawy i niejednorodny, a na ganku wałały się jakieś stare meble. Przez następną godzinę pełniłyśmy wartę w samochodzie Błękitnookiej, zanim Lester wyszedł z domu. Rozejrzał się po okolicy, jakby chciał sprawdzić, czy nikt go nie śledzi, a następnie odjechał swoją półciągarówką w siną dal. Błękitnooka wysiadła z samochodu.

– Napisz mi esemes, jeśli zobaczysz, że ktoś się zbliża – powiedziała.

– Co masz zamiar zrobić?

– Włamać się do domu i zobaczyć, czy uda mi się znaleźć jej portfel.

Skuliłam się na fotelu kierowcy i czekałam na powrót Błękitnookiej. Nerwy miałam napięte do granic możliwości, jakby za chwilę miały eksplodować. Każdy poświst wiatru czy szelest liści sprawiał, że podskakiwałam ze strachu.

Błękitnooka była w tamtym domu od półgodziny, zanim wysłałam do niej SMS.

Wyłaź stamtąd. To nie jest bezpieczne.

Po chwili odpisała.

Jeszcze szukam.

Kilka aut przejechało obok mnie. Nie potrafiłabym stwierdzić, czy ktoś z jadących mnie dostrzegł, lecz jedna czy dwie osoby mogły zauważyć nieznanego volkswagena jettę, który ni z tego, ni z owego parkuje w sąsiedztwie. Jakaś kobieta w średnim wieku wyszła podlewać trawnik

i popatrzyła prosto na mnie.

Nagle na drodze pojawiła się czerwona półciężarówka i skręciła na podjazd. Natychmiast wysłałam wiadomość do Błękitnookiej.

On przyjechał! Uciekaj stamtąd!

Nie odpowiedziała. Lester wyciągnął z platformy skrzynkę piwa i siatkę z zakupami. Niespiesznie wszedł po frontowych schodach, otworzył kluczem drzwi i zniknął w środku. Błękitnooka wciąż nie wracała do auta.

Hej, gdzie jesteś? On jest już w domu.

Dziesięć minut później Błękitnooka wysunęła się przez okno łazienki i wolnym krokiem podeszła do samochodu.

– Jedziemy – powiedziała.

Włączyłam silnik i powoli ruszyłam boczną uliczką w stronę szosy.

– Co tam się wydarzyło? – spytałam po chwili.

– Nie mogłam nigdzie znaleźć tych jej cholernych dokumentów! – odparła Błękitnooka z rezygnacją. – Ale nawet gdybym znalazła, to i tak nie jestem pewna, czy do czegoś by mi się przydały. Nigdy nie załatwiłabym sobie pracy z jej numerem ubezpieczenia, bo mąż pewnie wystąpił o jakiś zasiłek po śmierci członka rodziny, a bez przekupionego urzędasza z wydziału komunikacji musiałabym używać prawa jazdy ze zdjęciem, na którym w ogóle nie jestem do siebie podobna. Wszystko jedno, ile zjem pączków.

– Cholera, musi być jakieś wyjście – powiedziałam.

– Na pewno jest – zgodziła się Błękitnooka. – Tyle że jeszcze go nie znalazłyśmy.

Rozdział szósty

Nie wiedziałam, co myśleć o Błękitnookiej. Nie ufałam jej, a mimo to miałam wobec niej ogromny dług wdzięczności, ponieważ jakoś mojego życia niezmiernie się poprawiła, odkąd zamieszkałam pod jej dachem. Pracowała wieczorami, więc w dzień starałam się nie wchodzić jej w drogę; ostatecznie nie mogłam ryzykować, że wyląduję z powrotem na ulicy. Nigdy nie opowiedziała mi historii swojego życia. Wiedziałam jedynie, że kiedyś pracowała w szkole jako nauczycielka i że miała złego męża. Ilekroć usiłowałam dowiedzieć się czegoś więcej, natychmiast stawała się ostrożna i udzielała wymijających odpowiedzi. Kiedyś zapytałam, jak wyglądało jej dzieciństwo. *Och, robiłam to wszystko, co zwykle robią dzieciaki. Bawiłam się i tak dalej.* Wypytywałam o jej rodzinę. *Tak, mam paru kuzynów,* odpowiedziała. Nie przypominam sobie ani jednej spokojnie przespanej nocy, kiedy Błękitnooka była w sąsiednim pokoju. Zawsze wydawało mi się, że obudzę się z lufą przytkniętą do głowy.

Jednak mimo wszystko to nie Błękitnooka była moim najpoważniejszym zmartwieniem. Wciąż musiałam się zмагаć z panem Olivierem. Próbowałam sobie wyobrazić, jaki może być jego następny krok. Gdzie zaczniesz szukać samotnej kobiety, której wygląd pasuje do opisu wszystkich samotnych kobiet w Austin? Czasami to, że jest się nierozpoznawalnym, staje się zaletą.

Rejon biblioteki w Austin właściwie stał się moim drugim domem. Odkąd nie mogłam pozwolić sobie na to, żeby mnie zapamiętano, nigdy nie zaglądałam w ciągu jednego tygodnia do tego samego działu. Starałam się wybierać je absolutnie przypadkowo. Yarborough, Twin Oaks, North Village, Carver i Faulk Central; pojawiałam się przy stanowiskach z komputerami, zanim dzieciaki wyrwały się ze szkół. Jeśli nie udało mi się uniknąć popołudniowego tłoku, wędrowałam od półki do półki i przeglądałam przewodniki turystyczne, udając, że moje wyimaginowane nowe życie to jedynie upragnione wakacje.

Cały czas śledziłam informacje na temat śledztwa w sprawie śmierci mojego niedawno zgasłego męża. W raporcie koronera znalazło się stwierdzenie, że Frank zmarł od tępego uderzenia w głowę. Z kolei w gazetach nikt nawet nie wspomniał, że owo uderzenie w czaszkę mogło być wynikiem zwykłego upadku i uderzenia o jakiś przedmiot, na przykład o krawędź schodów. Moja osoba wciąż znajdowała się w kręgu zainteresowania, głównie z powodu nagłego zniknięcia po śmierci Franka. Moje miejsce pobytu pozostawało nieznane. Gdybym wtedy zdecydowała się zostać, pewnie do tej pory sprawa by przycichła i teraz miałabym dom, nazwisko i normalne życie bez Franka. Pomyślałam o powrocie, lecz teraz, gdy rozgniewałam pana Oliviera, a dawnym sąsiadom przedstawiłam się jako pogrążona w żałobie wdowa, mój powrót mógł nie odbyć się tak gładko i bezboleśnie jak bym pragnęła.

Aby oderwać się od świata żywych, powróciłam do lektury nekrologów i wkrótce znalazłam interesującą denatkę o imieniu Charlotte Clark. Nazwisko całkiem mi pasowało. Zostawiła jedynie siostrę oraz siostrzenicę i siostrzeńca. Zanotowałam szczegóły dotyczące pogrzebu i ruszyłam z powrotem do mieszkania Błękitnookiej.

Kiedy otworzyłam drzwi, Błękitnooka siedziała na kanapie i oglądała wiadomości. Jej stopa pracowała jak młot pneumatyczny, rytmicznie ubijając dywan. Na mój widok pstryknęła pilotem i wstała.

– No dobrze. Wreszcie jesteś w domu. Całe wieki czekałam, żebyś wróciła.

Zawsze udawało jej się wyglądać na niewzruszoną i zimną jak góra lodowa, lecz teraz była zdenerwowana, pobudzona, jakby ktoś wstrzyknął jej adrenalinę. Coś w jej zachowaniu obudziło moją czujność, przynajmniej bardziej niż zwykle.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

– Będzie w porządku, ale teraz musimy jechać.

– Dokąd?

– Zobaczysz. Powiem ci w samochodzie.

Wyszła przez frontowe drzwi, wyraźnie oczekując, że pójde za nią, co też

zrobiłam. Kiedy dotarliśmy do samochodu, rzuciła mi kluczyki.

– Przypuszczam, że masz ochotę prowadzić – powiedziała.

Bez dalszej dyskusji wsiadliśmy do samochodu; wrzuciłam wsteczny, żeby wycofać się po krętej drodze.

Niebo pociemniało; oszczędne wskazówki Błękitnookiej wyznaczały szlak podczas godzin wieczornego ruchu na drodze. *Skręć w prawo, skróć w lewo, trzymaj się lewej i jedź prosto, teraz w prawo.*

– Pojedź drogą numer 290 przez mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów, potem wjedź na dwudziestkę jedynek – oznajmiła w końcu.

– Czy będziesz tak uprzejma powiedzieć mi, dokąd jedziemy?

– Jedziemy na wycieczkę na łono natury.

– W nocy?

– Tak.

– Czy nie lepiej jechać w dzień? Więcej widać.

– W nocy kręci się mniej turystów.

Wyraźnie nie była w nastroju do rozmowy, ja zaś nie miałam ochoty bawić się w śledczego. Żadna z nas nie odezwała się słowem, dopóki Błękitnooka nie kazała mi skrócić w prawo w FM 60. Liczba samochodów wyraźnie się zmniejszyła, a po pewnym czasie zauważyłam drogowskazy prowadzące do parku narodowego. Gasnący blask dnia i brak rozmowy wywołały w mojej głowie przyływ czarnych myśli.

– Hej, chyba nie masz zamiaru mnie zabić? – spytałam nagle.

Błękitnooka wzięła głęboki oddech. Próbowałam domyślić się, co to znaczy, ale bez powodzenia. Widziałam, jak otwiera schowek na rękawiczki i wyjmuje stamtąd rewolwer. Odruchowo skróciłam na przeciwny pas ruchu. Czułam, jak z przerażenia krew ścina mi się w żyłach. Jakaś ciężarówka minęła nas z rykiem klaksonu. Natychmiast wróciłam na właściwy tor jazdy i starałam się uspokoić serce, które biło jak szalone.

– Daj spokój, spróbuj wyluzować – powiedziała Błękitnooka, a następnie otworzyła cylinder rewolweru i na otwartą dłoń wysypała naboje.

– Weź je. I powstrzymaj wszystkie głupie myśli, które krążą ci po głowie.

Położyła naboje na mojej dłoni i delikatnie zacisnęła mi palce. Wsunęłam rękę do kieszeni i rozluźniłam uścisk, sprawdzając, ile ich było. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć...

– Zwolnij, kiedy zobaczysz tabliczkę Park Road 57. Właśnie tam jedziemy – oznajmiła Błękitnooka.

– Chyba nie jestem w nastroju na wycieczkę pod namiot.

– Nie martw się, szybko to załatwimy.

Zjechałam z drogi przy Lake Sommerville State Park. Zauważyłam, że domek strażnika jest zamknięty. Wjazd zagradzał łańcuch zabezpieczony jedynie hakiem. Błękitnooka zdjęła łańcuch i pojechałyśmy zabłoconą dróżką dojazdową na całkowicie pusty parking. Błękitnooka wyłowiła z tylnego siedzenia latarkę, wysiadłyśmy z samochodu i niespiesznie ruszyłyśmy krótką ścieżką prowadzącą na pole namiotowe. Jak we śnie szłam za migotliwym strumieniem światła z latarki. Jedynym dźwiękiem był chrzęst żwiru pod naszymi stopami i cykanie świerszczy. Miejsca po ogniskach wyglądały tak, jakby od ładnych paru miesięcy nie widziały żaru.

Błękitnooka zawróciła do samochodu, a ja posłusznie poszłam za nią. Podała mi latarkę i otworzyła bagażnik.

– Zachowaj zimną krew. Czy możesz coś dla mnie zrobić, Amelio?

Nie poczekała na odpowiedź. Otworzyła szeroko bagażnik i moim oczom ukazał się wielki, niekształtny koc. Podeszłam bliżej i zobaczyłam, że ten wielki, niekształtny koc posiada buty; dokładnie rzecz ujmując, robocze buciory, na oko w rozmiarze dwunastym. Pozwoliłam, by światło latarki powędrowało wzdłuż ciała, aż napotkało coś, co przypominało głowę; ujrzałam ogromną plamę krwi. Na zwłokach leżał szpadel.

– Blue, czy ty kogoś zabiłaś? – wykrzyknęłam, jednocześnie dochodząc do wniosku, że to głupie pytanie.

– Owszem, zabiłam – odpowiedziała takim tonem, jakbym poprosiła, żeby mi kupiła w sklepie mleko.

– Kto to jest?

– Amelio, pozwól, że ci przedstawię mojego drogiego męża. Oto Jack Reed we własnej osobie. Szkoda, że nie poznaliście się w przyjemniejszych

okolicznościach.

Kiedy we dwie taszczyłyśmy ciało Jacka w głąb lasu, tak daleko, jak tylko starczyło nam sił, po kolei dowiadywałam się, co zaszło. Jack odszukał Błękitnooką; próbował ją zabić, ale to ona strzeliła pierwsza. Wszystko opowiedziała takim tonem, jakby liczyła do trzech.

Zapytałam, w jaki sposób zdołał ją odnaleźć. Właściwie całkiem prosto: Jack dowiedział się, że Błękitnooka miała ciotkę, znalazł kilka listów datowanych jeszcze za życia Grety, a na kopertach adres jej domu, wypisany czytelnym drukiem. Pojechał więc prosto do Austin, pod ostatni znany adres Grety Miles. Spędził tam niecały dzień, zanim spostrzegł swoją żonę i zapukał do drzwi, kiedy tylko wyszłam do biblioteki. Jednak Błękitnooka zauważyła go, jak szedł dróżką dojazdową, i zawczasu wyjęła z szuflady rewolwer. Kiedy on wyciągnął nóż, ona wyciągnęła broń i zmusiła go, żeby poszedł z nią do auta. Po prostu doszła do wniosku, że nie będzie tak łatwo zanieść zwłoki do bagażnika, a poza tym nie miała ochoty męczyć się sprzątaniami bałaganu w domu, więc rozłożyła w bagażniku plandekę i poprosiła Jacka, żeby na niej usiadł. Posłuchał. Wtedy od razu go zastrzeliła i dlatego w bagażniku było pełno krwi.

– Gdyby ktoś rozłożył plandekę w bagażniku, a potem kazał mi włączyć do środka, to nie wiem, czy poddałabym się tak całkiem bez walki – mruknęłam.
– Zupełnie, jakby człowiek wchodził do własnego grobu.

– Wystarczy przystawić komuś pistolet do głowy, wtedy ludzie zwykle robią to, o co się ich prosi. Nawet wchodzi do własnego grobu – odparła.

– Słuszna uwaga – powiedziałam.

W lesie pachniało sosną i dębem, i tą przeklętą świeżością, która występuje wyłącznie w przyrodzie. Za to Jack cuchnął jak dziewięciowoltowa bateria.

Błękitnooka jako pierwsza zabrała się do kopania grobu. Kiedy jej oddech stał się świszczący, a na czole mimo chłodu pojawiły się krople potu, przejęłam szpadel, choć nie bardzo rozumiałam, dlaczego mam brać odpowiedzialność za pochówek jej męża. Tak między nami, przyszło mi do głowy, że już po fakcie stawałam się współwinna zbrodni, ale skoro podobnie sytuacja wyglądała w wypadku podwójnego morderstwa, doszłam do wniosku, że kolejna taka sprawa to jak kropla w morzu. W tym momencie

wydawało się niemal rozsądne pojechać do domu i wypić piwo, którego się nawarzyło, odpowiadając za zbrodnie, których nie popełniłam.

Gleba na początku była naprawdę miękka, ale potem zrobiła się tak twarda, że musiałyśmy napierać na trzonek całym ciężarem ciała.

– Jak głęboko musimy kopać? – wysapałam.

– Na cmentarzu kopią groby głębokie na sześć stóp, jak mi się zdaje. Ale nam powinny wystarczyć cztery – odpowiedziała Błękitnooka.

Nagle ogarnęło mnie przeczucie, że ona już kiedyś to robiła. Albo przynajmniej rozważała taką możliwość.

Upłynęły prawie dwie godziny, zanim udało się nam wykopać odpowiedni dół. Błękitnooka przetoczyła ciało męża ponad krawędzią i zepchnęła do grobu. Koc zsunął się i przez moment ujrzałam zmasakrowaną twarz. Szybko odwróciłam wzrok, starając się powstrzymać falę nudności.

– Bardzo przepraszam – powiedziała Błękitnooka.

Szybko narzuciła koc z powrotem na głowę trupa i zaczęła sypać ziemię na ciało. Kiedy skończyła, w miejscu, gdzie znajdował się grób, pojawił się niewielki kopiec.

– To nie wygląda dobrze – stwierdziła Błękitnooka.

Przyniosła parę kamieni i zgrnęła nieco mchu, starając się zamaskować miejsce wiecznego spoczynku Jacka. Mimo jej wysiłków wciąż przypominało świeży grób, chociaż znacznie mniej niż poprzednio.

Przystanęła na chwilę, jakby chciała ocenić swoje dzieło, choć może w pewien sposób oddawała cześć zmarłemu.

– No cóż, Jack, żegnaj – mruknęła w końcu. – Przykro mi, że sprawy tak się ułożyły, ale sam jesteś sobie winien.

To była chyba najkrótsza uroczystość żałobna, w jakiej zdarzyło mi się brać udział. Nawet ja poświęciłam trochę czasu na toast, kiedy żegnałam się z Frankiem. Ale przecież nie zabiłam Franka. Może w wypadku morderstwa wychwalanie nad grobem zalet nieboszczyka nie jest w porządku. Albo może jest, i to w znacznie większym stopniu.

Błękitnooka zabrała szpadel i wróciła do samochodu. Szłam za nią, oświetlając drogę latarką.

Pierwsza część drogi powrotnej upłynęła w milczeniu. Chciałabym myśleć, że Błękitnooka czuła coś w rodzaju wyrzutów sumienia i próbowała jakoś je uciszyć.

– Jak się czujesz? – spytałam w końcu.

Nie pytałam, by zainicjować rozmowę albo zredukować napięcie. Pytałam, ponieważ naprawdę nie byłam w stanie rozszyfrować Błękitnookiej. Nie wyglądała na przestraszoną, pełną ulgi, poczucia winy ani zasmuconą. Jej wzrok świadczył o tym, że błądzi gdzieś myślami, ale raczej w akademickim znaczeniu tego słowa. Na jej twarzy malował się anielski spokój, ani jednej zmarszczki gniewu, ani jednej łzy. Nie znałam tego faceta i nie zabiłam go, lecz jestem całkowicie pewna, że dręczyło mnie większe poczucie winy z powodu roli, jaką odegrałam, niż ją, choć jej udział był nieporównanie większy.

– Czuję się wolna – powiedziała po prostu.

– Aha – mruknęłam.

Z moich doświadczeń wynikało, że jeśli zostawiasz za sobą czyjeś zwłoki, twoja wolność jest znacznie ograniczona.

– Już nie muszę uciekać – dodała.

– Przed Jackiem nie. Ale może teraz będziesz musiała uciekać przed wymiarem sprawiedliwości.

– Och, on z pewnością nikomu nie powiedział, że jedzie mnie dopaść. Ja już od dawna powinnam nie żyć, zgodnie z planem mojego drogiego mężusia. Zresztą Jack należał do ludzi, którzy wyjeżdżają, nic nikomu nie mówiąc. Ot, zwyczajnie zniknął. Albo zaplątał się w jakąś rozróbę z kimś, kto pomógł mu zniknąć.

– Myślisz, że to takie proste?

– Oczywiście, że nie. Wciąż muszę wyczyścić bagażnik z krwi – odparła Błękitnooka. – Mówię ci, to zajmie nam całe godziny.

Dwudziesty lipca dwa tysiące dziewiętego roku

do Ryana

od Jo

Wydaje mi się, że ludzie wykonali cholernie ciężką pracę, ukrywając przede mną prawdę. Ale ogólnie rzecz biorąc, musisz przyznać, że nie masz już żadnych sekretów. Nawet przede mną. Jeśli nudzisz się i wciąż żyjesz przeszłością, tak jak ja, wiesz, jak łatwo jest wyciągać z netu konkretne strony i przeglądać komentarz po komentarzu, aż trafisz na jakiś intrygujący wątek. Więc wylądowałeś w szpitalu dla umysłowo chorych, zgadza się? Dlatego przez sześć miesięcy nie napisałeś ani słowa.

Czy był sens to ukrywać? Niemal poczułam ulgę, gdy wszystko wyszło na jaw. Oczywiście to nie tak, że chcę, żebyś źle się miewał, jednak świadomość, że od czasu do czasu nie możesz wytrzymać sam ze sobą odrobinę poprawiła mi samopoczucie. Nie musisz opowiadać mi, jak tam jest, nie chcę znać żadnych szczegółów z lotu nad kukułczym gniazdem. Ale także nie musisz niczego ukrywać.

Pewnie na tym bym zakończyła, gdyby moje życie nie przypominało ciągłego balansowania na linie. Nieustanna czujność sprawia, że twoje zmysły stają się wyostrzone jak u zwierzęcia. Nie zostaje zbyt wiele czasu na poddawanie się melancholii.

Czy kiedy przebywałeś w wariatkowie, udało Ci się dotrzeć do sedna własnych problemów?

Jo

Czternasty sierpnia dwa tysiące dziewiątego roku

do Jo

od Ryana

Nie powiedziałem nikomu o niczym, kiedy tam byłem. Zdaje się, że to właśnie chciałaś usłyszeć, prawda? Przez cały czas rzadko kiedy się odzywałem, co zresztą mogło być powodem, dla którego tak długo mnie tam trzymali. Czasami miałem ochotę mówić. Raczej nikomu by tego nie powtórzyli. Ale wiedziałem, że w ten sposób mógłbym przynieść ulgę własnemu sumieniu, a tego nie chciałem. Ty też byś nie chciała tego dla mnie.

Trzeci wrzeźnia dwa tysiące dziewiątego roku

do Ryana

od Jo

Już mnie nie znasz, Ryan. Już nie masz pojęcia, czego mogę chcieć dla Ciebie.

To nienormalne ukrywać coś podobnego. To zawsze wypłynie w ten czy inny sposób. W zeszłym roku Frank wysłał mnie do księdza; pewnie myślał, że potrzebuję

duchowego wsparcia. Dręczyły mnie koszmary, które budziły w nim strach, a co ważniejsze, przerywały mu cenny wypoczynek. Tak więc poszłam do księdza, a on zasugerował, że poczucie winy może powodować problemy ze snem. Pewnie wyobrażał sobie, że zdradzam swojego męża albo podkradam pieniądze z kasy, żeby potem przepuścić je w sklepach. Było oczywiste, że uważał moje przewinienia za coś pospolitego. Jego ton uznałam za obraźliwy, więc przyznałam się do wszystkiego. Nie do konkretnej zbrodni, lecz do czegoś, co go usatysfakcjonowało.

Weszłam do jednej z tych budek, które widziałeś w gangsterskich filmach, z zasłoną z pluszu, która oddziela cię od spowiednika. Mimo to udało mi się rozpoznać ojca Paula, ale zachowywałam się tak, jakbyśmy przed chwilą nie rozmawiali przez całą godzinę.

Tak więc wyznałam nieprawdę. Byłam młoda, powiedziałam mu, i bardzo zakochana, lecz chłopak, którego obdarzyłam miłością, odrzucił mnie. Więc zaczęłam pić i piłam aż do granic zapomnienia. Potem wsiadłam do samochodu i pojechałam. Musiałam stracić przytomność – tak powiedziałam księdzu – bo obudziłam się w szpitalu. Tam mi powiedziano, że wydarzył się wypadek, że w tym wypadku zginęła dziewczyna – ta sama, która ukradła mi mojego chłopaka. Ksiądz zapytał, czy poniosłam karę za tę zbrodnię, a ja powiedziałam, że tak. Chybabyś się z tym zgodził, prawda? Więc kazał mi odmówić dziesięć razy

Zdrowaś Mario i dwadzieścia Ojcie Nasz. Znalazłam obie modlitwy w internecie i zrobiłam, jak mi powiedziano. Nocne koszmary ustąpiły, ale tylko na parę tygodni, a potem powróciły. Może przez czysty przypadek.

Uważam, że Ty też powinieneś spróbować. To może dać Twojej duszy kilka tygodni wytchnienia.

Jo

*Trzydziesty września
dwa tysiące dziewiątego roku*

do Jo

od Ryana

Kto to jest Frank? Czy miałaś na myśli Lou, swojego męża? Przypuszczam, że jeśli to nie jest jego prawdziwe imię, łatwo mi będzie zapomnieć. Albo może straciłaś czujność i powiedziałaś, jak on naprawdę się nazywa. A więc, jak się miewa Frank?

Nie odpowiadaj, nie chcę niczego wiedzieć o Twoim nowym życiu. Czasami staram się wyobrazić sobie ten Twój alternatywny świat, w którym zmieniamy się podług naszej woli. Jednak w mojej wersji zawsze coś się nie udaje. Spójrzmy prawdzie prosto w oczy, schrzaniłiśmy to od samego początku.

Mam dla Ciebie kilka nowin. Być może pomyślisz, że to

dobre wiadomości. Twoja matka jest zdrowa. Poddała się dziewięćdziesięciodniowemu programowi rehabilitacji. Program skończył się kilka miesięcy temu, ale ona nadal wygląda całkiem inaczej. Może nie tak jak wtedy, gdy byłaś mała, jak ją opisywałaś, kiedy żył Twój ojciec i kiedy wciąż mieliście sklep, ale lepiej niż odkąd ją pamiętam.

R

Trzeci października dwa tysiące dziewiątego roku

do Ryana

od Jo

Kto zapłacił za rehabilitację mojej matki? Wiem, że jej ubezpieczenie na pewno nie pokrywa programu, który trwa dziewięćdziesiąt dni. Czy wciąż jest z tym facetem, o którym mi opowiadałaś? Myślę o tym, którego główną zaletą jest, że jej nie tłucze?

Nawet nie wiem, dlaczego mnie to obchodzi.

J

*Dwudziesty trzeci października
dwa tysiące dziewiątego roku*

do Jo

od Ryana

*Nie widziałem tego gościa. Wiesz przecież, kto zapłacił.
Czemu w ogóle pytasz?*

R

Jedenasty listopada dwa tysiące dziewiątego roku

do Ryana

od Jo

*Masz rację. Wiem, że to on płacił. Czy płaci także za
inne rzeczy? Kim jest dla niego moja matka?*

Trzynasty listopada dwa tysiące dziewiątego roku

do Jo

od Ryana

Nie wiem. Nie pytaj.

Piętnasty listopada dwa tysiące dziewiątego roku

do Ryana

od Jo

*Nie musisz o nic pytać. Po prostu siedź spokojnie i rób,
co Ci każą.*

Rozdział siódmy

Dzięki Błękitnookiej wszystko wydawało się takie proste, nasze wspólne życie przypominało nieustającą zabawę w chowanego. Ona żyła tu i teraz, nawet przez moment nie dręcząc się przeszłością, która mogła ją dopaść w każdej chwili. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że Jack był złym człowiekiem i że być może zasłużył na to, co go spotkało. Ja także w swoim czasie miałam do czynienia ze złymi facetami; czasami myślałam nawet, że nie przeszkadzałoby mi wyprawienie kogoś z nich na tamten świat, lecz gdyby do tego doszło, nie przesłabym nad tym obojętnie. Taki czyn zostawiłby we mnie jakiś ślad. Nie chcę powiedzieć, że nie wykorzystałabym okazji, gdyby się nadarzyła, lecz nie potrafiłabym beztrzesko podśpiewywać pod prysznicem, tak jak Błękitnooka wyśpiewywała w kółko kawałki przebojów nadawanych w telewizji.

Kilka dni po fakcie moje nerwy wreszcie uspokoiły się do lekkich wibracji, jak struna w fortepianie po ostatniej nucie pieśni. Sprawdziłam stan moich finansów i doszłam do wniosku, że nie mogę dłużej czerpać z i tak już nędznych oszczędności. Na koncie zostało zaledwie siedemset dolarów. Nie mogłam udawać, że wypada mi dalej korzystać z gościnności Błękitnookiej bez dokładania się do naszego gospodarstwa.

Dziesięć lat temu, kiedy pierwszy raz zostałam rzucona na głęboką wodę, jedyną pracą, jaką udało mi się znaleźć, była praca fizyczna jako dozorczyń, ewentualnie sprzątaczką. Osobiście nie miałabym nic przeciwko pracy budowlańca. Rodzice mojej dawnej kumpelki, Edie Parsons, prowadzili sklep z towarami żelaznymi. Miałyśmy zwyczaj kręcić się tam popołudniami, a pan Parsons uczył nas paru przydatnych rzeczy. Dowiedziałam się, jak należy trzymać młotek, i nie byłam całkiem ciemna w kwestii obchodzenia się z pilarką. Osobiście wycyklinowałam drewniane podłogi w rodzinnym domu, po tym, jak bez przerwy drzazgi wbijały mi się w stopy, zaś moja matka nie zamierzała niczego z tym robić. Jednak po kilku nieudanych próbach

dowiedziałam się, że mężczyźni nie zatrudniają kobiet do prac remontowych. Mówią, że nie masz wystarczających kwalifikacji, lecz tak naprawdę myślą, że nie dasz rady wytrzymać tej pracy. Fizycznie.

Kiedy poznałam Franka i dni zarabiania na życie sprzątnięciem odeszły w przeszłość, dałam sobie słowo, że nigdy nie powrócę. Ale człowiek w życiu robi różne postanowienia, a potem większości z nich nie dotrzymuje. W bibliotece wydrukowałam ogłoszenia z ofertą sprzątnięcia domów, a na dole umieściłam swój numer telefonu. Upłynęło zaledwie kilka dni, zanim odezwał się pierwszy klient.

Na imię miał Kyle i – sądząc po stanie mieszkania – był zatwardziałym starym kawalerem. Wynajmował apartament z jedną sypialnią w pobliżu urzędu miejskiego. Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie, którzy mają niewielkie dochody, a lubią mieszkać czysto, sprzątają po sobie sami. Po prostu tak robią i już. Reszta wynajmuje sprzątaczkę, żeby ich mieszkania nie zamieniły się w gigantyczne śmietniska. Jak się okazało, ostatnia dziewczyna zatrudniana przez Kyle'a po prostu rzuciła robotę. On twierdził, że z powodu komplikacji rodzinnych, ja zaś doszłam do wniosku – sądząc po smrodzie, który uderzył mnie w nos zaraz, gdy przekroczyłam próg – że widocznie jej żołądek nie wytrzymał.

Kyle zatrudnił mnie z miejsca i od razu zostawił w mieszkaniu, żebym wykonała robotę. Należał do tych flejtuchów, którzy wszystkie brudy upychają po szafach. Z pozoru dobrze poukładany, schludny gość. Przystojniak, może nawet pożeracz serc, sądząc z kolekcji zużytych prezerwatyw, którą odkryłam pod łóżkiem. Założyłam grube, żółte rękawiczki i chirurgiczną maskę. Ostatnim razem, gdy wykonywałam tę robotę i gdy dzięki niej udawało mi się utrzymać na powierzchni, nie mogłam powiedzieć, że jakoś mnie wciągnęła. Zostawiając lśniąco czystość dom, nie czułam żadnej satysfakcji. Wręcz przeciwnie, miałam wrażenie, że brud, którego dotykałam, w jakiś sposób przenosił się na mnie. Nieważne, ile czasu spędzałam potem pod prysznicem, niewidzialna powłoka smrodu pozostawała obecna.

Następny telefon był od córki pewnej starszej pani, która dożywała swoich dni. Miałam utrzymywać w czystości otoczenie pani Smythe, jej pojemnik na tlen i nawilżacz, i sprzątać po dziennej pielęgniarce, która – o ile zdołałam się zorientować – nie robiła nic poza gapieniem się w telewizor, podawaniem

trzy razy dziennie całej tęczy rozmaitych pigułek i napominaniem pani Smythe, żeby się uspokoiła, bo przeszkadza jej oglądać program. Telewizor zawsze słychać było bardziej niż grzechotanie respiratora pani Smythe. To był jeden z tych starych domów, gdzie w każdym kącie osiadał zadawniony brud. Fugi w łazience pokrywała pleśń, historyczna sama w sobie, która za nic nie pozwalała doprowadzić ich do odcienia pierwotnej bieli. Codziennie przejeżdżałam odkurzaczem dookoła dziennej pielęgniarce, która w tym czasie odpoczywała na kanapie. Niewiele mogłam poradzić na wiszący w powietrzu odór, bo on pochodził wprost od starszej pani, i po trzech tygodniach pracy tam doszłam do wniosku, że obmywanie chorej gąbką zdarza się w jej wypadku równie rzadko co ulewa na Saharze. Zaproponowałam nawet, że sama to zrobię, bo pewnego razu po nabraniu oddechu poczułam, jak rośnie mi w gardle kłęb waty, ale w odpowiedzi na moją propozycję pielęgniarka obrzuciła mnie lodowatym spojrzaniem.

Przyszła mi do głowy śmieszna myśl, że jeśli w tej układance znajdę jeden dobry, porządny dom, będę mogła na nowo uwierzyć, że świat nie składa się wyłącznie z brudu i grzechu.

Kiedy wracałam do mieszkania Błękitnookiej, przez pół godziny stałam pod prysznicem, następnie wślizgiwałam się na kanapę, żeby przy włączonym telewizorze udawać, że tamte sprawy nie mają nic wspólnego z moim życiem. Potem każdego ranka budziłam się ze świadomością, że niestety mają i że być może w ogóle nie mam co liczyć na poprawę losu.

Któregoś wieczoru Błękitnooka próbowała mnie pocieszyć własnoręcznie przygotowaną domową kolacją, jaką zwykle jadają ludzie, którzy mają normalne życie i własne rodziny. Zrobiła spaghetti carbonara i sałatę; wypiliśmy też dwie butelki całkiem niezłego wina, które udało się jej podwędzić w May's Well. Po kolacji uraczyliśmy się truskawkami z bitą śmietaną i wtedy Błękitnooka wzięła do ręki gazetę i zaczęła przeglądać nekrologi.

– Hej, w nekrologach zwykle nie ma wzmianki o niezidentyfikowanych zwłokach – zauważyłam.

– Ależ ja wcale nie szukam Jacka – odparła.

– Robisz to z czystej ciekawości?

– Amelio vel Tanyu, wydaje mi się, że potrzebujesz nowej tożsamości,

oczywiście jeśli nie zamierzasz spędzić reszty twoich dni jako bezimienna sprzątaczką. Szczerze mówiąc, uważam, że byłabyś szczęśliwsza, gdybyś napadała na banki.

– Być może – odpowiedziałam krótko.

– No cóż, jeżeli jesteś otwarta na tę propozycję, to zauważyłam, że w Fairview Savings and Loan nie działają alarmy...

Naprawdę nie miałam pojęcia, czy mówi serio, czy żartuje. Nalałam sobie drinka i pozwoliłam, żeby to pytanie zawisło w powietrzu. Może i tak, myślałam, bo w sumie jakie mam korzyści z tego, że jestem przestrzegającą prawa obywatelką?

Błękitnooka z powrotem skoncentrowała się na nekrologach.

– O, jest jedna obiecująca nieboszczka w domu pogrzebowym Morgan and Sons. Niejaka Allison Wade. Zginęła w wypadku samochodowym. Pogrzeb jutro o jedenastej.

Tej nocy nad miastem zawisła ulewa i zdecydowała, że prędko nie odejdzie. Następnego ranka przed domem pogrzebowym stał tłum czarnych postaci, jak stado złowieszczych kruków. Parasolki chroniły żałobników od ulewnego deszczu. Razem z Błękitnooką popędziłyśmy z parkingu do wejścia, po drodze zanurzając buty w głębokich kałużach. Zanim dotarliśmy pod dach, przemoczyło nas do suchej nitki.

Wewnątrz cuchnęło wilgotną wełną. Tłum żałobników przelewał się i mieszał; nagle kątem oka dostrzegłam blask światła odbitego w metalu. Ujrzałam facetów w mundurach, policyjnych mundurach. Byli wszędzie. W pomieszczeniu musiało być ze dwudziestu gliniarzy.

– Co tu się dzieje, Blue?

Wyglądała na mocno zaskoczoną, może nawet wstrząśniętą.

– Zdaje się, że tu jest policja.

– No co ty mówisz!

Mężczyzna w mundurze sierżanta siedział w ostatniej ławce. Starał się sprawiać wrażenie opanowanego i spokojnego, lecz gdy kolejni ludzie podchodzili z przesłodzonymi słowami współczucia, jego stanowczość

zdawała się słabnąć.

Wróciłam do wejścia, po drodze zgarniając jakąś beżową parasolkę, i wyszłam na zewnątrz. Nadal lało jak z cebra. Błękitnooka szła krok w krok za mną.

– Ledwie rzuciłyśmy na nią okiem – zauważyła.

– Nawet gdybym znalazła w tej trumnie swojego sobowtóra, nie mam zamiaru podawać się za zmarłą żonę oficera policji. Rozumiem, że moja sytuacja jest dość ryzykowna, ale to tak samo szalony pomysł jak układanie kabli w domu bez wyłączenia centralnego bezpiecznika.

Wyszłyśmy stamtąd całkiem pokonane. Drogę do domu spędziłyśmy w tej hałaśliwej ciszy, gdy natrętny głos w twojej głowie powtarza, że nie masz żadnego wyjścia. Przed erą komputerów, gigantycznych baz danych i Agencji Bezpieczeństwa Krajowego mogłeś wybrać sobie nazwisko, przeprowadzić się do innego miasta i tam żyć jak gdyby nigdy nic. Ale teraz, kiedy chciałam przymierzyć nową tożsamość tak jak płaszcz, za każdym razem musiałam zaczynać od rozsypywania rękawa.

Po powrocie do mieszkania zwinęłam się na kanapie, nasunęłam prześcieradło na głowę i postanowiłam przespać wszystkie zmartwienia. Błękitnooka bez słowa wycofała się do siebie, a z jej sypialni nie dobiegał najłżejszy dźwięk.

Któregoś dnia wczesnym rankiem obudziły mnie dziwne odgłosy: szelest, skrzypienie, szuranie. Błękitnooka nawet nie zadała sobie trudu, żeby być cicho. Sprawdziłam godzinę: druga czterdzieści osiem w nocy. Światło w pokoju Błękitnookiej było włączone, a drzwi lekko uchylone.

Na bosaka podeszłam do tych drzwi i zajrzałam do środka. Błękitnooka pakowała walizkę. Niewiele było tam ubrań, za to mnóstwo gazet i książek. Na tym wszystkim położyła duży wełniany płaszcz.

– Blue, co się dzieje?

– O, dobrze, że wstałaś – odparła. – Czy będziesz tak uprzejma i zrobisz nam kawę?

Nie było widoków na to, żebym mogła wrócić w krainę braku przytomności, więc doszłam do wniosku, że kofeina ułatwi mi przeprowadzenie dochodzenia. Zaparzyłam spory dzbanek, cierpliwie

poczekalam, az przestanie kapać z filtra, a potem nalalam dwie filizanki cierpkiego naparu i wróciłam z nimi do pokoju Błękitnookiej.

Podalam jej jedna filizanke, poczekalam, az kawa splynie do zoladka, a nastepnie zadalam oczywiste pytanie:

– Dokad wyjeźdzasz, Blue?

– Ja? Nigdzie. To ty wyjeźdzasz.

Wiedzialam, ze to tylko kwestia czasu, zanim zacne naduzywac jej gošcinnošci. W zasadzie nie bylam zaskoczona, zdziwilo mnie jedynie, ze Błękitnooka pakuje walizke, która nie nalezala do mnie, rzeczami, które takze nie byly moja własnošcia.

– Sama moge sie spakowac – oznajmialam. – I nie potrzebuję tych twoich... no, tych gazet, które tam wsadzilas.

– Nic nie rozumiesz, Amelio vel Tanyu.

– W takim razie moze zechcesz mnie ošwiecić? Nie krępuj sie.

– Znalazlam ci nowa tozsamosc – ošwiadczyła Błękitnooka.

– Czyja?

– Teraz bedziesz sie nazywac Debra Maze.

Długa wskazowka zegara musiala przesunac sie o kilka tyknieć, zanim dotarlo do mnie znaczenie tych slow. A kiedy juz dotarlo, znów musialy uplynac kolejne sekundy, zebym je w pełni przyswoila.

– Coś mi sie zdaje, ze chyba źle cie zrozumialam – odezwalam sie.

– Wręcz przeciwnie – odpowiedziala.

– Mam wrazenie, ze twój plan jest dziurawy jak szwajcarski ser.

– Pewnie tak, ale z pewnošcia dziury mozna zakleic plastrem.

– W takim razie odpowiedz: jeśli ja mam być tobą, to kim ty bedziesz?

– Będe nazywac sie Amelia Keen.

– Czy przypadkiem zapomnialas o tych dwóch facetach, którzy usilowali zabic Amelię Keen?

– Nie zapomniałam – odparła Błękitnooka. – Tak czy owak, obaj ci faceci i ten, który ich wysłał, doskonale wiedzieli, jak wyglądasz. Tak więc nie przypuszczam, żeby mieli coś przeciwko samemu nazwisku Amelii Keen. Myślę, że nie lubią osoby, która odziedziczyła to nazwisko, a poprzednio nazywała się inaczej. Jeśli zdołają mnie wyśledzić, znajdą *mnie*, a nie *ciebie*. A kiedy będę mieć nową tożsamość, mogę wyjść za mąż, przybrać nazwisko męża, pomylić numery mojego ubezpieczenia – słyszałam, że to dobry podstęp, żeby cię nie namierzyli – a potem dowiadujesz się, że Amelia Keen już nie istnieje. Teraz jestem Amelią Lightfoot.

– Lightfoot?

– Wyobrażałam sobie, że poznaję przystojniaka, rdzennego Amerykanina, i mieszkamy razem w rezerwacie. Ale równie dobrze mogłabym być szczęśliwa i niewidoczna z facetem o nazwisku Jones albo Smith.

– Blue, doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłaś, ale twoja tożsamość jest równie niebezpieczna jak moja.

– Proponuję ci normalne życie, moja droga Amelio. Wyjście z sytuacji bez wyjścia. A jaki ty miałaś plan? – spytała Błękitnooka. – Chciałaś w nieskończoność wysysać mnie jak pijawka?

Jej głos brzmiał spokojnie i beznamietnie, ale groźba wydawała się całkiem realna. Albo zrobię to, czego ona chce, albo muszę się wynieść. Staralam się odkryć jej punkt widzenia, domyślić się, jaką korzyść może jej przynieść moje nazwisko, ale w tej sytuacji mój umysł niezdarnie usiłował przeanalizować możliwe rozwiązania. Wiedziałam jedynie, że moje życie w skórze Amelii dobiegło końca, podobnie jak ukrywanie się w mieszkaniu Debry Maze. Mimo to musiałam zadać oczywiste pytanie:

– Co z tego będziesz miała, Blue?

– Jak to co? Wreszcie ucieknę od przeszłości.

– Zgoda, ale czy twoja przeszłość nie została przypadkiem pogrzebana w rezerwacie przyrody?

Błękitnooka bez słowa powędrowała do kuchni, żeby nalać sobie kolejny kubek kawy. Potem chwyciła butelkę whisky, dołała do kubka alkohol, a następnie upiła łyk i przymknęła powieki, jednocześnie opierając się o ścianę. Wyglądała tak, jakby właśnie postanowiła uciąć sobie krótką

drzemkę. Kiedy znów otworzyła oczy, wyraz jej twarzy nieco złagodniał.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek szukał Debry Maze. Ale gdy weźmiemy pod uwagę, że Jack zniknął bez śladu i że ja też zniknęłam, trudno zakładać na pewno, co jego szeroko pojęta rodzina może wymyślić. Kiedy przyjdą po mnie, a znajdą ciebie, dojdą do wniosku, że ten trop to ślepa uliczka. Nawiasem mówiąc, pewnie we wszechświecie istnieje więcej niż jedna Debra Maze. Moje panięńskie nazwisko może ci się przydać przez jakiś czas, ale wiem, że będziesz chciała je zmienić tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. Na twoim miejscu nie zawracałabym sobie głowy legalną zmianą nazwiska. Potrzebujesz kogoś, kto będzie cię wspierał. Polecam zamążpójście. To nie musi od razu być miłość twojego życia, wystarczy zwykły chłopak, do którego przyczepisz się na parę miesięcy, a potem zapomnisz, jak się nazywał. Potem zrób ten trik z numerem ubezpieczenia. Nawet jeśli ktoś cię wytropi, dojdzie do wniosku, że popełnił błąd. Możemy nawzajem sobie pomóc. Ty nie chcesz już być Amelią, a ja wolę zapomnieć o Debrze.

– Jesteś pewna, że wszystko dostatecznie przemyślałaś? – spytałam. To była moja ostatnia próba odwiedzenia jej od powziętego zamiaru.

Błękitnooka przeszła do sypialni i wyrzuciła z walizki stertę książek i dokumentów. Potem wysunęła z plastikowej koszulki jakieś zaświadczenie i wyciągnęła je w moją stronę.

– Z moją tożsamością możesz mieć normalne życie i normalną pracę – powiedziała. – To są moje świadectwa pracy jako nauczycielki. Przez siedem lat uczyłam dzieciaki w szkole podstawowej. Tutaj są plany lekcji w klasach od drugiej do piątej. Czy lubisz dzieci?

– Nie wiem. Chyba tak.

– W tym wieku one wciąż są czyste, są po prostu dobre. No cóż, od czasu do czasu nawet tam trafi się jakieś złe nasienie. Ale w większości one są lepsze niż reszta nas. Mogę z całą pewnością stwierdzić, że praca w szkole jest o niebo lepsza niż fabryka, sprzątanie domów czy harówka dzień w dzień. Kiedy wieczorem wrócisz do domu, zaręczam, że nie będziesz rozmyślać o swoim zmarłym mężu ani o innych demonach, które nie dają ci spokoju. Chór nieopanowanych dziecięcych głosików zagłuszy wszystkie inne głosy w twojej głowie.

Błękitnooka zagłuszała głosy w mojej głowie, które uparcie powtarzały,

że jej plan jest dziurawy jak szwajcarski ser. Rzecz w tym, że on mi się podobał, nawet w tak nieprawdopodobnej wersji. Nie widziałam przed sobą żadnych perspektyw, gdybym żyła dalej tak jak teraz, bez nazwiska, bez domu, podejmując jedynie taką pracę, której nie musiałam zgłaszać do urzędu skarbowego. Pragnęłam prowadzić normalne życie, na niczym innym mi nie zależało.

Nie pamiętam, czy cokolwiek wtedy powiedziałam do Błękitnookiej. Może tylko kiwnęłam głową, raz albo dwa, ona zaś zrozumiała ten gest jako moją zgodę.

– Pójdę do sklepu zrobić niezbędne zakupy – powiedziała.

Godzinę później siedziałam na brzegu wanny, Błękitnooka zaś farbowała mi włosy na blond. Od stężonych chemikaliów skóra na głowie paliła mnie żywym ogniem, a oczy szczypały jak diabli. Godzinę później spłukałyśmy wybielacz i Błękitnooka wysuszyła mi włosy. Teraz były koloru słomy – najbardziej popularnego koloru, jaki widuje się na głowach kobiet w całym kraju. Zwykle tkwią uwięzione za kasami, zamknięte w klatkach ze szkła. Nie wyglądałam jak Błękitnooka. Wyglądałam jak jedna z nich. Wyblakła i zestresowana.

– Nie martw się, jeszcze nie skończyłam – powiedziała Błękitnooka.

Wyciągnęła z plastikowej torby farbę złoty blond i wymieszała z utrwalaczem. Potem nakładała mi na włosy pasemka farby o konsystencji śmietanki, a ja czułam, jakby wsadziła moją głowę do lodówki. Gdy czekałyśmy, aż kolor się utwali, Błękitnooka wyjęła z pudełka własne przebranie. Obrzuciła swoje odbicie w lustrze krytycznym spojrzaniem.

– Czas sprawdzić, jak się żyje w skórze tej drugiej – powiedziała, podając mi butelkę. – Zechcesz uczynić mi ten zaszczyt?

Czterdzieści minut później Błękitnooka była brunetką, ja zaś blondynką. Przyglądałam się, jak wyjmuje z pudełka szkła kontaktowe i ukrywa pod nimi własne zimne i piękne tęczówki. Kiedy skończyła, odwróciła się w moją stronę.

– No i jak?

Co można powiedzieć kobiecie, która całkowicie zmieniła swój wygląd w czasie krótszym niż godzina? Próbowałam wyobrazić sobie, jak będzie ją widział ktoś zupełnie obcy, ale nie potrafiłam. Wyglądała w tym przebraniu czysto i niewinnie, jak Amelia Keen, i nie mogłam nic poradzić na to, że poczułam ukłucie winy.

– Chyba nawet Jack nie zdołałby cię poznać – powiedziałam.

Błękitnooka pociągnęła usta szminką, co odjęło jej nieco niewinności, ale raczej nie na tym miała polegać transformacja, o którą chodziło. Podając mi małe plastikowe pudełko, próbowała ukryć rozczarowanie.

– Twoja kolej – powiedziała. – Te piwne oczy muszą zniknąć.

Zdjęłam zakrętkę i ujrzałam błękitne soczewki, które gapiły się wprost na mnie.

– Po co ci te niebieskie soczewki? – spytałam.

– Och, mam cały zestaw, łącznie z zielonymi i fioletowymi.

– Fioletowymi?!

– Założyłam je raz, ale to było denerwujące.

Za pierwszym razem, kiedy próbowałam wsadzić te okropne soczewki do oczu, moje ciało zareagowało drgawkami, potem płaczem. Błękitnooka uraczyła mnie szklaneczką whisky i poradziła, żebym parę razy spokojnie nabrała powietrza. Skoncentrowałam się na zadaniu, spróbowałam jeszcze raz i jakoś zdołałam wsunąć ten zakłamany błękit na mój podbiegły krwią złotawy brąz. Przejrzałam się w lustrze i zobaczyłam tam kogoś obcego. To nie była Błękitnooka, ale to nie byłam również ja. Czułam się bardzo źle, niemal tak źle jak wtedy, gdy kopałam grób dla Jacka. Zmiana koloru włosów przypomina nakładanie makijażu. To oszustwo, ale względnie uczciwe. Zmiana własnego DNA, przeistoczenie brązowych oczu w błękitne, to stuprocentowe oszustwo i każde spojrzenie w lustro ci o tym przypomina.

Błękitnooka umalowała mnie tak, żebym wyglądała jak na zdjęciu w jej prawie jazdy; zostało zrobione w czasie, gdy wciąż nosiła barwy wojenne, prowadząc grę o wysoką stawkę w polowaniu na męża. Ostre linie konturówki, szary cień na powiekach, szkarłatna szminka, róż na policzkach.

Odsunęła się o krok, żeby obejrzeć swoje dzieło, a potem westchnęła z ukontentowaniem.

– Prawie gotowe – orzekła, grzebiąc w torebce. – Pozostało dorzucić kilka praktycznych szczegółów. Tutaj masz akt urodzenia Debry Maze oraz jej ubezpieczenie. To będzie ci potrzebne, żeby dostać prawo jazdy. Teraz idź załatwić różową kartę na swoją toyotę. Tanya Dubois musi sprzedać swój samochód Amelii Keen. Dotąd zmiana właściciela była dość ryzykowna, ale myślę, że teraz bezpiecznie możemy to zrobić.

– A ja czym będę jeździć, twoim słynnym volkswagenem z miejsca zbrodni?

– To dobre pytanie. Nie, muszę się pozbyć tego auta. Możesz wziąć cadillaca starszej pani.

– Blue, to nie jest najlepszy samochód dla kogoś, kto chce zniknąć w tłumie.

– Ale za to jest piękny, prawda? Sama chciałabym go zatrzymać, ale praktycznie rzecz biorąc, ty musisz wziąć ten samochód, ponieważ jest mój. Myrna przepisała go na mnie przed paroma miesiącami, kiedy akurat miała lepszy dzień. W dowodzie rejestracyjnym figuruje twoje nowe nazwisko, a więc samochód jest twój.

– Ile on pali?

– Dwadzieścia na autostradzie – wyjaśniła Błękitnooka. – Dlaczego czepiasz się tak nieistotnych szczegółów? Sprzedasz go, jak już się trochę urządzisz. Jest w nienagannym stanie. Zawiezie cię wszędzie, dokąd tylko będziesz chciała pojechać. A ja dorzucę ci trochę gotówki, żebyś mogła zatankować do pełna.

Przyniosłyśmy różowe karty obu pojazdów, wymieniliśmy na nich nazwiska właścicieli, wymieniliśmy się autami, a dodatkowo Błękitnooka dała mi pięćset dolarów w gotówce. Nadszedł czas pożegnania.

Wyszłyśmy na zewnątrz do samochodu i wtedy Błękitnooka wyjęła rewolwer, z którego zastrzeliła Jacka. Włożyła broń do schowka na rękawiczki w cadillacu.

– Po co mi to dajesz? – spytałam.

– To prezent na do widzenia – odparła.

– Nie potrzebuję rewolweru.

– Lepiej go weź, Debro Maze – poradziła. – Świat bywa naprawdę

niebezpieczny.

Dopiero po odjeździe w pełni dotarło do mnie, na co się zdecydowałam. Przyjęłam tożsamość morderczyni, zaś narzędzie zbrodni znajdowało się w aucie, w schowku na rękawiczki.

*Dwudziesty drugi marca
dwa tysiące dziesiątego roku*

do Jo

od Ryana

Jo, pisałem to chyba ze dwadzieścia razy, wymazywałem, i po chwili zaczynałem od początku. To nie powinno być aż takie trudne. Przynajmniej nie powinno być trudniejsze niż wszystko, co wydarzyło się między nami i po czym nie ma już śladu.

Jestem zaręczony. Tak, zrobiłem to.

Nie znasz jej. Ona nie ma nic wspólnego z kimkolwiek z naszej przeszłości. Staram się przewidzieć, jakie pytania zechcesz mi zadać. To taka gra, którą prowadzę sam ze sobą – jak dobrze Cię znam? Przekonajmy się.

Spotkałem ją w zeszłym roku podczas wakacji na Hawajach. Wiem, nie opowiadałem ci o tym. Wydawało mi się, że to nie w porządku – ja na tropikalnej wyspie, a ty gdzieś tam, zakładam, że w Wisconsin. Przez cały czas byłem mocno nieszczęśliwy. Siedziałem przy basenie, pijąc drinka za drinkiem, każdy dzień zaczynałem od kawy

i bourbona. Któregoś dnia zasnąłem w pełnym słońcu. Wtedy ona podeszła do mnie i namalowała mi na klatce piersiowej serce z kremu do opalania. Kiedy się obudziłem, powiedziała: „Zamieniasz się w raka. Ale przynajmniej teraz jesteś szczęśliwym rakiem”. I odeszła.

Jest nauczycielką w Idaho, ale zamierza się stamtąd wyprowadzić. Wiem, że dla mnie byłoby lepiej, gdybym to ja pojechał do niej, ale czuję, że powinienem zostać, żeby pilnować wszystkiego i mieć pewność, że ludzie robią to, co do nich należy.

Ona jest blondynką i tak, jest ładna. Nie jest piękna, ale przyjemnie się na nią patrzy. Ma różowe policzki i szare oczy, i stale spierzchnięte usta, ponieważ wciąż je zagryza. Wiem, że chciałabyś spytać także o inne rzeczy, ale to są pytania, których na pewno byś nie zadała. Według Ciebie są poniżej godności, więc nawet gdy wyobrażam sobie Twój głos, zadający podchwytliwe pytanie, nie sądzę, bym chciał na nie odpowiedzieć.

Oprócz tego, że jest nauczycielką, jest także osobą chodzącą do kościoła, robiącą na drutach i lubiącą wypieki. Jest też dobra i miłosierna. Widzę twoją twarz, kiedy czytasz te słowa. Nie, ona nie jest Tobą. Mam nadzieję, że nie czujesz się urażona. Nie mógłbym być z nikim, kto mi Ciebie przypomina, ponieważ już sam sobie o Tobie przypominałem, i to w znacznie większym stopniu, niż mogę znieść.

Ona ma wszystkie cechy, które mają dla mnie znaczenie: jest słodka i miła i czuję, że mogę jej zaufać. I wydaje się, że będzie umiała pogodzić się z faktem, że jestem trochę jak wyrzucona na brzeg muszelka. Kiedy widzi, że gdzieś wędruję myślami, nie pyta, nad czym się zastanawiam. Dochodzę do wniosku, że ze wszystkich cech, jakich mógłbym szukać w kobiecie, ta jest najbardziej pożądana.

No cóż, więc jednak Ci powiedziałem.

Teraz zaczynam się zastanawiać, czy kontynuować to, co jest między nami. Czy może nadszedł czas, żebyśmy zagrali kartami, które nam rozdano?

Twój R

*Dwudziesty dziewiąty kwietnia
dwa tysiące dziesiątego roku*

do Ryana

od Jo

Cholera. No cóż, moje gratulacje. Właśnie uczciłam Twoje zaręczyny pięcioma szklaneczkami bourbona. Ilekroć potrzebuję zapisać i zapomnieć, odczuwam coś w rodzaju wdzięczności, że wyszłam za mąż za właściciela baru.

Wygląda na to, że Twoja przyszła żona jest chodzącą doskonałością. Jednak, panie Carnacu Wspaniały, zostaje parę zupełnie podstawowych pytań, na które nie udzielił

pan odpowiedzi. Jak ma na imię Twoja narzeczona? Ach, i czy ją kochasz? Ale mam o wiele więcej pytań niż tylko te dwa. Co daje Ci prawo, żeby się ożenić, próbować być szczęśliwym po tym wszystkim, co zrobiłeś? Czy nie powinno spotkać Cię coś w rodzaju kary? Tamtego dnia umarło troje ludzi, nie dwoje. Moje jedyne pocieszenie, jedyna rzecz, która pomniejsza moją zazdrość – to słowo wydaje się za słabe, żeby to określić – a więc tą jedyną pociechą jest świadomość, że to nie Ty. Że Ona, jakkolwiek jej na imię, nigdy nie będzie znała Cię tak, jak ja Ciebie znałam – tego dawnego Ciebie, który był uprzejmy i słodki, i miał serce większe niż ktokolwiek, kogo kiedykolwiek spotkałam. Wtedy myślałam, że jesteś lepszy od innych. Teraz wystarczy, że wybiorę na ulicy tuzin przypadkowych osób, żeby znaleźć dusze, które przewyższają Cię w uczciwości.

Tak, jestem okrutna. Lecz każdego dnia, w którym nie mówisz prawdy, jesteś jeszcze bardziej okrutny niż ja.

Jo

Dwudziesty czerwca dwa tysiące dziesiątego roku

do Jo

od Ryana

Nie wiem, co powinienem powiedzieć. Zrobiłem to, co

musiałem zrobić, ale wciąż żałuję. I będę codziennie żałować, aż do końca moich dni. Z Twego powodu oddałem sześć lat życia. To kawał czasu. Czy wszyscy nie potrzebujemy odrobiny pocieszenia? Odpowiadając na Twoje pytanie – tak, kocham ją, ale to inny rodzaj miłości. Jeśli ona złamie mi serce, pozostanę taki, jaki jestem. Chyba wiesz, co mam na myśli? Nie tak jak za ostatnim razem.

R

Drugi lipca dwa tysiące dziesiątego roku

do Ryana

od Jo

Nie złamałam Ci serca. To ty złamałeś moje. Teraz dwukrotnie.

Powodzenia. Życzę Ci jak najlepiej. Naprawdę. Chyba na pewien czas powinnam Cię zostawić. Masz rację, to kawał życia, a ja nie mam ochoty żyć w taki sposób.

Żegnaj.

Jo

Rozdział ósmy

Dopiero gdy znalazłam się w austinie, tym paliwożernym klasycznym produkcie amerykańskiej gospodarki, w moim umyśle zaczęły rodzić się coraz większe wątpliwości. Spoglądając we wsteczne lustro, wciąż zastanawiałam się, czy nowe życie w ogóle jest możliwe. Czy naprawdę zdołam udawać Debrę Maze? A może to po prostu z góry ukartowany przekręt, na który Błękitnooka zdecydowała się od razu, jeszcze w May's Well, gdy jej wzrok padł na moją niewinną duszyczkę?

Cadillac sunął dostojnie jak statek po spokojnym morzu. Po kilku godzinach żeglugi, które oddalały mnie od żalosego zamieszania z Tanya Dubois i Amelią Keen, moje wspomnienie nieudanych prób zaczynania wszystkiego na nowo nieco przyblakło, ustępując miejsca nadziei na powrót do normalnego życia. Raz po raz gapiałam się na własne oblicze i usiłowałam uwierzyć, że jest to możliwe. Mogłam jechać do samego diabła, jeśli tylko miałam na to ochotę.

Jeszcze przed odjazdem, kiedy w głowie kłębiło mi się od natłoku podejrzeń i obaw, Błękitnooka przekazała mi w zaufaniu, że mogę aplikować o posadę nauczycielki, wykorzystując jej świadectwa pracy.

– Tak przy okazji... – dorzuciła niedbałym tonem. – Jeśli dostaniesz tę robotę, będą chcieli mieć twoje odciski palców.

– Nie mogę ich nikomu dać, Blue. Świetnie o tym wiesz – odparłam.

– Ale moje nadal są czyste – powiedziała, wyjmując z koperty jakąś urzędowo wyglądającą kartę.

Na jej powierzchni ujrzałam czarne odciski palców, zwinięte w różne formy.

– Zrobiłam wstępny wywiad i wydaje mi się, że niezbyt rozsądnie byłoby szukać roboty w Ohio, ponieważ sama tam uczyłam. Ale w Wyoming zwykle wysyłają kartę z odciskami palców pocztą. Jak znajdziesz pracę, powiedzą ci,

gdzie masz iść i zrobić to oficjalnie, a twoim zadaniem będzie wyszukać miejsce, gdzie nie traktuje się przepisów zbyt dosłownie. Może będziesz mogła sama dostarczyć kartę odcisków swojemu szefowi albo jeśli będziesz musiała drukować ją na posterunku policji, może w którymś momencie uda ci się je podmienić? Dam ci pięć kart. Masz pięć szans, żeby oszukać system.

– A jeśli to nie wypali?

– Wtedy spróbowałabym w jednej z tych chrześcijańskich szkół. W znacznie mniejszym stopniu przestrzegają tam urzędowych regulaminów niż w szkołach publicznych. Jeszcze jakieś pytania?

– Tak. Te karty są ważne w Wyoming. Czy można je przekazać do innego stanu?

– Nie, skarbie – odpowiedziała Błękitnooka. Nie pamiętam, w którym momencie przestała się do mnie zwracać per „Tanya” czy „Amelia”, ale teraz nagle uświadomiłam sobie, że robi tak celowo.

– Więc ten plan może udać się wyłącznie wtedy, gdy pojadę do Wyoming. Nie mam żadnego wyboru, jeśli chodzi o kierunek?

Właściwie to była jedyna rzecz, która podobała mi się w ucieczce – że mogłam zwyczajnie opuścić miasto i wybrać na mapie następny dom.

– Myślę, że Wyoming jest najlepszym miejscem, jeśli chcesz oszukać system. Poza tym o tej porze roku w Jackson jest pięknie – powiedziała Błękitnooka.

– Skąd wiesz?

– Spędziłam tam miesiąc miodowy – odparła.

Zabrzmiało to, jakby Błękitnooka wszystko dobrze sobie przemyślała. Niewątpliwie miała dar przekonywania, tak cenny u każdego handlarza.

Z Austin w Teksasie do Jackson w Wyoming nie prowadziła żadna bezpośrednia droga. Co parę godzin musiałam sprawdzać mapę, żeby mieć pewność, że jadę w dobrym kierunku. Pierwszego dnia podróży ruszyłam z opóźnieniem i jechałam, dopóki oczy nie zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa. Kiedy we wstecznym lusterku zauważyłam czerwone błyski, skręciłam do przydrożnej gospody i przespałam tam aż do świtu. Następnie

znowu jechałam przez cały dzień pod jaskrawym słońcem, które przesuwano się ponad górskimi łańcuchami Kolorado. Co kilka godzin zatrzymywałam się na tankowanie, rozprostowywałam nogi i ręce, a następnie jechałam dalej, aż dotarłam do Casper w stanie Wyoming. Przez całą drogę sprawdzałam wskaźnik temperatury, przekonana, że mój antyczny pojazd przegrzeje się na górskiej trasie, lecz wyglądało na to, że starsza pani przez lata traktowała swojego cadillaca z należywym szacunkiem. Samochód okazał się tak samo niezawodny jak wszystkie pozostałe, którymi jeździłam, lecz nie tak łatwy do prowadzenia po krętej drodze. Gdy dotarłam do Casper, zdecydowałam, że wreszcie muszę dostać porządne łóżko na noc, i znalazłam tani motel o nazwie Zajazd pod Przyjaznym Duszkiem. W pobliskim sklepiku kupiłam na kolację torbę precli oraz wodę mineralną i od razu udałam się do pokoju, gdzie wzięłam prysznic, a następnie długo wpatrywałam się w lustro. Odbicie, które odwzajemniało mój wzrok, było tak zaskakująco nieznanne, że poczułam, jak odechciewa mi się spać. Skoro sen nie chciał nadejść, postanowiłam przetestować moją nową tożsamość.

Wyszłam z zatęchłego pokoiku i wędrowałam wzdłuż głównej drogi, aż trafiłam na bar, który wyglądał na miejsce, gdzie można znaleźć zapomnienie. To był jeden z tych sportowych barów z tanim menu i kosztownym telewizorem. Nazywał się Linia Autowa. Zauważyłam, że właściciele byli za bardzo pochłonięci grą, żeby zwracać na mnie uwagę. Ale też w takim barze, odrobinę tylko lepszym od najgorszej speluny, nikt nie powinien pytać mnie o to, kim jestem i skąd się tu wzięłam.

Za barem stał starszawy gość. Miał nos, po którym od razu widać, że jego właściciel próbował osobiście większość serwowanych przez siebie trunków. Grupa hałaśliwych mężczyzn zgromadziła się w końcu sali, gdzie grali w bilard, jednocześnie obserwując mecz bejsbolowy w wiszącym w kącie pomieszczenia telewizorze.

Usiadłam przy barze obok kobiety, która sprawiała wrażenie, jakby już przed paroma godzinami zapomniawszy własnego imienia. W barze Franka zawsze starałam się wsadzić takie damy do taksówki, zanim osiągnęły punkt bez powrotu.

– Witaj, kochanie, mogę zobaczyć twój dowód?

Wysunęłam z portfela prawo jazdy z Ohio należące do Błękitnookiej

i popchnęłam po blacie w kierunku barmana. Serce waliło mi jak młot, ale starszy mężczyzna po chwili odsunął dokument w moją stronę.

– No cóż, trochę daleko od domu, prawda?

Wzięłam głęboki oddech, żeby uspokoić nerwy.

– Tak, spory kawał drogi.

– Co mam ci podać?

Znowu musiałam podjąć decyzję. Czy należało zmienić zwyczaje, żeby przystosować się do nowej osobowości, czy takie detale były zupełnie nieistotne? Do diabła. Było dość czasu, żeby dowiedzieć się, kim jest Debra Maze. A teraz *ja* miałam ochotę na whisky.

– Proszę whisky. Czystą.

– Jedna starczy?

– Jasne – odpowiedziałam. Należało ograniczać wydatki.

– Nazywam się Hal – przedstawił się, serwując mi drinka. – Jak będziesz czegoś potrzebowała, wystarczy wrzasnąć.

Mrugnął do mnie. Wyglądało to dość ponuro, ale wierzę, że miał dobre intencje. Mrugnięcie to trudny do opanowania odruch, a mimo to często wykorzystywany przez mężczyzn, którym brakuje pewności siebie.

Dama oddalona ode mnie o kilka stołków oparła głowę na wyszczerbionym drewnianym blacie i zaczęła pochrapywać. Nagle jeden z mężczyzn grających w kącie baru w bilard zawył jak pies. Chyba sknocił swój ruch.

– Blondie, chodź no tutaj, może przyniesiesz mi szczęście – zawołał w tym samym momencie inny męski głos.

– Zostaw w spokoju tę panią – odpowiedział inny.

– Ale taka pani nie powinna siedzieć sama – odezwał się jeszcze inny, niski i przyjemny w brzmieniu.

Rozejrzałam się po barze w poszukiwaniu osoby, o której mogli rozmawiać. Poza krótkim okresem w średniej szkole, kiedy moja matka zrobiła mi trwałą ondulację, nigdy nie należałam do osób, które pozostają niezauważone. Docierały do mnie opinie, że jestem ładna, przystojna i że przyjemnie się na mnie patrzy. Jednak jedynymi mężczyznami, którzy

uważali mnie za piękność, byli mój tata i Ryan. Mam wrażenie, że od czasu, gdy obaj zniknęli z mojego życia, od nikogo tego nie usłyszałam, nawet od Franka, kiedy zaczął się do mnie zalecać w taki łagodny, nieśmiały sposób. Jednak oprócz mnie i tej śpiącej, w barze była jeszcze tylko jedna kobieta. Wolałabym nie komentować jej wyglądu: nosiła kołnierz ortopedyczny, a takie akcesoria nie zachęcają do flirtu.

Nigdy nie miałam okazji, żeby zmienić Amelię Keen w żywą istotę. Wciąż była zaledwie czymś w rodzaju skorupy, kiedy musiałam odrzucić jej tożsamość. Teraz znowu próbowałam kolejnego przebrania, które wydawało się tak naturalne jak sproszkowany sok pomarańczowy, uwielbiany przeze mnie w dzieciństwie.

Jakiś facet oderwał się od stołu bilardowego i ruszył w kierunku baru. Był wysoki, nieco przygarbiony, a jego twarz wyglądała na ogorzałą od słońca i wiatru jak u aktorów w dawnych westernach. Rękawy koszuli nosił podwinięte aż do łokci, odsłaniając fragment jakiegoś tatuażu, który przypuszczalnie wspinał się po całym jego korpusie jak przerośnięty bluszcz.

Hal obsługiwał właśnie innego klienta, więc mężczyzna sięgnął pod blat, wyciągnął stamtąd butelkę whisky – o wiele lepszej whisky niż ta, którą popijałam – i nalał sobie drinka. Butelka zawisała w powietrzu nad moją szklaneczką.

– Mogę postawić ci drinka? – spytał Etniczny Tatuaż.

– Zdaje się, że go ukradłeś – zauważyłam.

– Hal wie, że spokojnie mogę za niego zapłacić.

– Ale ja nie wiem, czy możesz – odparłam.

– To dlatego, że znasz mnie krócej niż minutę, a ja potrzebuję co najmniej dwóch, żeby nawiązać głęboki, osobisty kontakt – nieznajomy uzupełnił zawartość mojej szklaneczki, a potem położył na blacie dwadzieścia dolarów.

– Czy to miejsce jest zajęte?

– Nie – odpowiedziałam, ponieważ faktycznie było wolne, a nie dlatego, że chciałam poderwać tego gościa. Jak dotąd nie odkryłam sposobu, w jaki mogłabym odpowiedzieć na takie pytanie zgodnie z prawdą i jednocześnie uzyskać pożądany rezultat, to znaczy zniechęcić faceta do zajęcia miejsca. Tym razem okazało się to bez znaczenia, ponieważ Etniczny Tatuaż usiadł,

zanim zdążyłam odpowiedzieć.

Podciągnął rękawy powyżej łokci i podniósł wysoko szklaneczkę.

– No to chlup!

Posłusznie stuknęłam się z nim, ponieważ ostatnim razem, kiedy odmówiłam wzniesienia toastu z obcym mężczyzną, zostałam wyzwana od suk i sprawy wymknęły się spod kontroli. Czasami lepiej jest okazać uległość, oczywiście w granicach rozsądku. Ogólnie rzecz biorąc, jestem skłonna trącać się szklaneczkami z każdym, kto ma na to ochotę, bo stawiam granice w innym miejscu.

– Mam nadzieję, że nie pomyślałaś, że jestem zbyt nachalny, ale masz... masz najbardziej przyciągające błękitne oczy, jakie kiedykolwiek widziałem.

– Dziękuję – odpowiedziałam, wbijając wzrok w blat baru.

Mężczyźni tak łatwo nabierają się na szachrajstwo.

– Jestem pewien, że bez przerwy ktoś ci to mówi.

– Ależ skąd – powiedziałam. – Pierwszy raz to słyszę.

Etniczny Tatuaz pomyślał, że się wygłupiam i wybuchnął śmiechem.

– Hej, chyba nie zamierzasz na mnie wypróbować ich uroku, co?

Pociągnęłam łyk ze szklaneczki.

– Dziękuję za drinka.

Jeden z graczy odwrócił się w naszą stronę.

– Wasza Wysokość, teraz ty.

– W następnej kolejce – odparł Jego Wysokość.

Rzuciłam mu pytające spojrzenie i czekałam na reakcję.

– Nazywam się King – powiedział z nutką znudzenia w głosie. – King Domenic Lowell. Mów do mnie po prostu Domenic.

Wyciągnął rękę, więc ją uścisnęłam. Trzymał moją dłoń w zdecydowanym, ciepłym uścisku, ale bez pretensjonalności.

– No, na takie nazwisko trzeba zasłużyć.

– Mów do mnie jeszcze – uśmiechnął się. – A ty? Jak masz na imię?

Odpowiedź na takie pytanie zwykle bywa najłatwiejsza pod słońcem, ale

teraz czułam się, jakbym musiała rozwiązać piekielną zagadkę. Co prawda pokazałam barmanowi prawo jazdy z nazwiskiem Debry Maze, ale wciąż nie byłam pewna, czy mi to pasuje, więc należało się zastanowić, czy mądrze jest rzucać na prawo i lewo imieniem, które może przysporzyć mi problemów. Jednak jeśli zbyt długo zwlekasz z odpowiedzią, zaczyna ona brzmieć jak kłamstwo, nawet jeśli jest szczerą prawdą.

– Debra.

Pierwszy raz samodzielnie wymówiłam to imię. Miałam wrażenie, że jest jak kurtka, za mała na mnie o kilka rozmiarów.

– Całkiem fajne imię – zdecydował Domenic. – Ale nie oddaje twojej urody.

Jakaś część mnie z radością przyjęła pochlebstwo, jednak reszta wyczuła niebezpieczeństwo, tak namacalne, jakbyśmy po pijaku zabawiali się w Wilhelma Tella. Co się mówi o blondynkach, które mącą w głowach większości facetów? Przynajmniej połowa tych blondynek bierze się z nadmiernego stosowania chemii, a jednak rezultat jest ten sam. Jak mogłabym ukryć się na widoku, jeśli wszystkie oczy zawsze zwrócone byłyby na mnie? Musiałabym znaleźć jakiś sposób, żeby zapobiec tej sytuacji. Ale tutaj, w tym barze, bez wahania przyjmowałam komplementy do Domenica; dlatego, że dużo czasu upłynęło od chwili, gdy ktoś szczerze mówił mi miłe słowa, i że w jego kwadratowej szczęce i piwnych oczach było coś, co budziło moje zaufanie. Wydawał się należeć do tego rodzaju ludzi, którzy niczego nie muszą udowadniać. Od wieków nie spotkałam nikogo takiego. Czasami zastanawiałam się, czy w ogóle mi się to przydarzyło.

– Tak czy owak, tak właśnie mam na imię – odezwałam się.

– Jesteś tu nowa?

– Tak. Właściwie jestem przejazdem.

– A dokąd jedziesz, Debra?

– Do Jackson. Chyba, bo na razie to nic pewnego.

Nie było sensu zmyślać.

– Co cię sprowadza do naszego pięknego stanu Wyoming?

– Praca.

– Jaka praca?

– Jestem nauczycielką.

Przyznaję, że poczułam coś w rodzaju zadowolenia z solidności mojego zawodu, nawet jeśli całkowicie mijałam się z prawdą.

– W którym stopniu?

– Zadajesz strasznie dużo pytań.

– Owszem. W jaki inny sposób moglibyśmy poznać się lepiej?

– Czyli rozumiem, że właśnie się poznajemy?

– Tak. Już wiem o tobie więcej niż wtedy, kiedy podszedłem.

Gapiłam się na tatuaż Domenica, ponieważ unikanie kontaktu wzrokowego wydawało mi się rozsądne. Zauważył to i podwinął nieco wyżej rękaw, żebym mogła lepiej się przyjrzeć. Tatuaż okazał się o wiele bardziej zawiły, niż sądziłam.

– To musiało boleć jak diabli – powiedziałam.

Zawsze lepiej jest odwrócić przedmiot konwersacji od siebie.

– Zdaje się, że ty też masz tatuaż.

– To twoje przypuszczenie. Ja niczego ci nie sugerowałam – odparłam i w tym momencie przyszło mi do głowy, że tak mogłaby odpowiedzieć Błękitnooka.

– Czyli jak? Masz czy nie masz?

– Mam – przyznałam, choć chyba nie było mądre wskazywać, jakie mam znaki szczególne. Ciekawe, czy kiedyś nadejdzie dzień, kiedy odpowiedź na zwykłe pytania nie będzie wymagać ode mnie męczącej pracy umysłowej.

– Gdzie masz ten tatuaż? Pewnie w jakimś nieprzyzwoitym miejscu?

– No niestety, w całkiem przyzwoitym.

– Mogę zobaczyć?

Skinęłam głową i dokończyłam drinka. Na ten widok Hal podszedł do nas, żeby zapytać, czy chcę następnego. Wtedy Domenic wskazał na bourbona z górnej półki i zamówił nam następną kolejkę, która byłaby stanowczo zbyt kosztowna jak na moje ograniczone przychody.

– Pewnie masz go na ramieniu?

– Nie.

– Na nadgarstku?

Podniosłam nogę i oparłam ją na udzie Domenica.

– Na kostce – wyjaśniłam, podciągając nogawkę dzinsów. Na skórze widniały trzy malutkie chińskie symbole, wytatuowane czerwonym barwnikiem. Dziwnie się czułam, przyciągając czyjeś spojrzenie na coś, o czym zawsze starałam się zapomnieć. Czasami, kiedy jeszcze żyłam z Frankiem, naklejałam na to miejsce plaster z opatrunkiem i udawałam, że to zwykłe skaleczenie.

– Jaki ładny – zachwycił się Domenic, ale mogłabym przysiąc, że był rozczarowany. Co za banał, pomyślał pewnie. Ale co tam, skoro sam zrobił sobie tatuaż etniczny, to kim sam był, żeby mnie osądzać?

– Co to oznacza? – zapytał.

– Nic – odpowiedziałam.

Domenic przyjął tę odpowiedź i zdawał się nad nią zastanawiać. Dopiero po chwili przyszła mu do głowy związana z tym myśl.

– Myślę, że cię zrozumiałem – odezwał się do mnie. – Ale lepiej opowiedz mi całą historię.

Dawny kumpel z mojej szkoły, Walt Burden, pewnego wieczoru wyszedł na miasto i spotkał tam niedużą grupę turystek z Chin. Jedna z nich poruszyła w nim strunę tak niezwykłego pożądania, że od tamtej pory nigdy już nie umówił się na randkę z białą dziewczyną. Kiedy Chinka odrzuciła jego awanse, powiedział jej, jak bardzo pragnie zrobić sobie tatuaż z chińskim symbolem oznaczającym „pokój”. *Ponieważ nikt przedtem tego nie zrobił.* Poprosił, żeby przetłumaczyła. Turystka nie poświęciła mu co prawda swojego czasu w ciągu dnia, ale po długich błaganiach i obietnicach, że on zostawi ją w spokoju, gdy tylko ona spełni jego prośbę, zgodziła się narysować na serwetce symbol na tatuaż.

Mój przyjaciel Arthur Chang w przelocie podczas lekcji matematyki dostrzegł rysunek i zauważyłam, jak usiłuje stłumić śmiech. „Co cię tak śmieszy?”, napisałam na kartce i posunęłam w jego stronę. Odpowiedział, że Walt nie ma pojęcia, co kazał sobie wytatuować, a potem wyjaśnił mi znaczenie tego symbolu.

Pół roku później po udanych zawodach pływackich moja najlepsza przyjaciółka, Melinda, zażądała, żebyśmy uczciły tę okazję, robiąc sobie tatuaże. Z wybranymi wzorami pomaszerowałyśmy prosto do salonu. Melinda postanowiła zrobić sobie delfina – dwa dni wcześniej doszła do wniosku, że to jej duchowy przewodnik. Chciała, żebym i ja wybrała delfina, ale nie pasował mi pomysł ani wspólnych tatuaży, ani duchowej jedności z jakimś zwierzęciem. Byłam doskonale świadoma, że naznaczam się godnym pożałowania symbolem rytuału przejścia. Miałam ze sobą zdjęcie tatuażu Walta i poprosiłam artystę, żeby wykonał miniaturowy duplikat na wewnętrznej stronie mojej kostki.

Nie mam pojęcia, dlaczego zapragnęłam zrobić sobie akurat ten wzór, a nie delfina albo żabę, albo chiński symbol oznaczający coś, co przypomina o rzeczach robionych w sposób naturalny, jak oddychanie. Teraz wydaje się trafne, że wybrałam te szczególne symbole, których dosłowne tłumaczenie brzmi „to nie znaczy nic”. Chociaż kiedy Melinda dopytywała się o ich sens, odpowiedziałam, że „płyn”.

Uraczyłam Domenica skróconą wersją historii, pomijając kłamstwo, które powiedziałam Melindzie. Uśmiechnął się i skinął głową.

– Całkiem niezła opowieść o tatuażu – zauważył. – Znacznie lepsza niż większość.

– Dziękuję – odparłam, bo połechtął moją próżność.

Miło było wreszcie móc powiedzieć prawdę. Nie pamiętam, kiedy opowiadałam coś prawdziwego o sobie komu innemu niż Błękitnooka.

– No dobrze, a jak ty się wytłumaczysz? Chcesz mi wmówić, że należysz do tych dwóch procent Czirokezów albo innego plemienia?

Wybuchnął głośnym śmiechem. To był prawdziwy, szczery śmiech, taki prosto z brzucha.

– Nie, nic z tych rzeczy.

– A więc czemu jesteś oznaczony, jak każdy inny facet, którego spotkałam?

– Ponieważ Forty-Niners przegrali Super Puchar.

– Nie widzę, jak daleko sięga ten barwnik...

– Będę szczęśliwy, móc ci go pokazać... – zaczął Domenic.

– ...ale to mnóstwo czasu, który trzeba spędzić na fotelu, cierpiąc katusze, tylko dlatego, że przegrałeś zakład.

Domenic dokończył swojego drinka.

– No cóż, jestem człowiekiem, który dotrzymuje słowa.

Wierzyłam mu bez zastrzeżeń. Jak możecie sobie wyobrazić, mężczyźni od bardzo długiego czasu nie znajdowali się na czele mojej listy priorytetów. Wiedziałam, że nie wszyscy są wcielonym złem, ale akurat miałam pecha trafić na paru osobników, którzy byli tak zepsuci, że swoim jadem zanieczyścili resztę basenu. Ale jeśli chodzi o mężczyzn, Domenic wydawał się całkiem w porządku – przynajmniej na tyle, na ile może wydawać się ktoś, kogo znasz krócej niż godzinę.

Hal znowu pojawił się za barem.

– Czy Jego Wysokość sprawia ci kłopot? – zapytał.

Odniosłam wrażenie, że zrobił to tylko po to, żeby coś powiedzieć. Wcale tak nie myślał.

– Na razie nie – uśmiechnęłam się. – Ale w razie czego dam ci znać.

Domenic popatrzył mi prosto w oczy. W jego wzroku kryły się pożądanie i ciekawość, ale było też coś nieprzyjemnego, co widuje się czasami, kiedy facet próbuje odkryć, ile może od ciebie dostać. Starłam się nie odwracać spojrzenia, lecz przez trzy ostatnie miesiące nie robiłam nic innego. Trudno pozbyć się takiego przyzwyczajenia.

– Mogę zaprosić cię na burgera? – zapytał.

– Słucham? – spytałam zdumiona. Oczekiwałam pytania całkiem innego rodzaju.

– Umieram z głodu, a tu niedaleko jest knajpka. Mają tam mnóstwo paskudnych rzeczy, ale z jakiegoś powodu ich burgery są naprawdę znakomite. W życiu bym nie tknął tam mielonego mięsa, a kotlety z kurczaka to poważne pogwałcenie zasad zdrowego odżywiania.

Gadał jak najęty, żeby dać mi czas do namysłu.

– Dobrze – odpowiedziałam.

Nowiutki ford f150 stał zaparkowany tuż obok baru. Domenic jak prawdziwy dżentelmen otworzył przede mną drzwi pasażera, ale wtedy moje

serce wyraźnie przyspieszyło, zupełnie jakbym była na haju. Czułam, jakby powietrze się rozrzedziło i jedyne, co mogłam zrobić, żeby uspokoić nerwy, to odejść.

Usłyszałam, jak zatrzaskuje drzwi auta i idzie za mną.

– Oczywiście, możemy się przespacerować – powiedział. – To tylko trzy kilometry stąd.

Rozdział dziewiąty

Domenic miał rację, jeśli chodzi o burgery, choć szczerze mówiąc, nie przywiązywałam zbytnej wagi do ich smaku. Jaskrawe oświetlenie raczej nie dodawało urody, a ja wciąż nie miałam pojęcia, jak niebieskie soczewki wyglądają w migotliwym blasku fluorescencyjnych lamp. Za każdym razem, gdy dostrzegłam, że Domenic przygląda mi się z ukosa, na nowo wzbierały we mnie podejrzenia. Jednak z drugiej strony nie znałam przecież tego faceta, może on po prostu w taki sposób patrzy na ludzi.

Oboje byliśmy wściekle głodni, więc jedliśmy w milczeniu. Kiedy Domenic skończył żuć ostatni kęs, położył serwetkę na talerzu i odsunął go na środek stołu. Chyba był to sygnał dla kelnerki, bo od razu podeszła i spytała, czy podać coś jeszcze. Domenic wyraził słowa uznania dla szefa kuchni i mrugnął. W jego wypadku działało to bez zarzutu. Kelnerka położyła przed nim rachunek, Domenic natychmiast wziął go do ręki, ja zaś, tak jak wypada, sięgnęłam po portfel, ale on mnie powstrzymał.

Kiedy rachunek został uregulowany, Domenic oparł się wygodnie, najwyraźniej syty i zadowolony, i leniwie wyciągnął nogi. Uśmiechnął się uśmiechem usatysfakcjonowanego klienta.

– No to teraz, Debra, opowiedz mi coś o sobie.

Cholera, znowu te piekielne pytania! Chyba nikt nie ma ochoty na nie odpowiadać.

– Od tych świateł rozboleła mnie głowa – poskarżyłam się.

– W takim razie wyjdźmy na zewnątrz.

W barze i podczas kolacji czułam się całkiem swobodnie. Był jakiś punkt zaczepienia dla naszej znajomości. Gdy znaleźliśmy się z powrotem na ulicy, miałam wrażenie, że tracę grunt pod nogami. Były pewne sprawy, których pragnęłam, za którymi tęskniłam, ale mój umysł mocno walczył, żeby nie ulec. Rozkoszny dreszcz spłynął mi po karku. Tylko kilku znanych mi

mężczyzn umiało wywołać taką reakcję. Ostatni raz zdarzyło mi się to z moim rehabilitantem, lecz wtedy dreszcz nawet w połowie nie był tak silny jak teraz, na opustoszałej uliczce. Przypomniała mi się szkoła średnia, kiedy to pierwsze zrywy niewinnej namiętności czyniły rzeczy łatwe wręcz niemożliwymi do wykonania. Pamiętam, jak Ryan przechodził obok okna w czasie lekcji angielskiego, spojrział na mnie i uśmiechnął się, a ja wbiłam wzrok w *Wielkiego Gatsby'ego* i czytałam bezustannie tę samą linijkę. Wciąż pamiętam tamte słowa.

Trzeba dwojga, żeby mógł wydarzyć się wypadek...

Trzeba dwojga, żeby mógł wydarzyć się wypadek...

Trzeba dwojga, żeby mógł wydarzyć się wypadek...

Trzeba dwojga, żeby mógł wydarzyć się wypadek...

Kiedy przyszło co do czego, okazało się, że trzeba trojga.

Razem z Domenikiem szliśmy w tym samym kierunku, ale nie była to ani droga do mojego hotelu, ani do baru, ani w ogóle do żadnego określonego celu, o którym bym wiedziała. Pomyślałam, że pora się pożegnać, ale wtedy on wziął mnie za rękę i poprowadził na drugą stronę ulicy. Tak dawno nie czułam dotyku innego człowieka, że czułam się wręcz oszołomiona płynącym od niego ciepłem.

– Dokąd idziemy?

– Dokąd chcesz – odpowiedział.

Wystarczająco często musiałam w życiu zmieniać kierunki. Czasami jest po prostu łatwiej podążać drogą, którą ktoś wytyczył dla mnie. Przez chwilę wędrowaliśmy w ciszy, aż Domenic zatrzymał się przed czerwonymi drzwiami, które prowadziły do domu stylizowanego na dworek. Blask księżyca wystarczył, żebym mogła zorientować się, że jest pomalowany na niebiesko z białymi framugami, i że wygląda staroświecko, niewinnie i jest dobrze utrzymany.

– Tutaj mieszkam – powiedział Domenic.

– Ładny dom – zauważyłam.

– Tylko z zewnątrz – odparł. – Teraz mogę odprowadzić cię z powrotem do baru albo tam, gdzie mieszkasz, albo możesz wstąpić na filiżankę herbaty.

- Filizankę herbaty?
- Mam też inne napoje.
- Rozumiem.

Cierpliwie czekał na odpowiedź. Zawsze byłem przezorna, gdy chodziło o zasady. Zbyt często zdarzało się, że mężczyźni traktowali mnie w niewłaściwy sposób, ale ostatecznie nie wszyscy byli wcielonym złem, a Domenic wydawał się o stopień wyżej od każdego, kogo ostatnio spotkałam. Zauważcie, że znałam go dość krótko, a moje instynkty nieraz zawiodły mnie w tak paskudny sposób, że wciąż bałam się im zaufać. Jednak jego dłoń była tak przyjemnie ciepła, a ja czułam się już zmęczona tą nieustanną samotnością. Zawsze byłem sama.

- W porządku, chodźmy na herbatę – powiedziałam.

W środku dom wydawał się tak samo zadbane jak z zewnątrz. Podłogi z szerokich desek były gładkie i lśniące. Meble, które stanowiły przypadkowe połączenie nowego ze starym, bez utrzymania jednolitego stylu, także sprawiały wrażenie przemyślanego wyboru i były wypolerowane na wysoki połysk. Na ścianach zauważyłam kilka rodzinnych fotografii, a obok parę starannie oprawionych amatorskich obrazów z kwiatami, podpisanych przez artystkę o imieniu Mary.

Domenic zauważył, że zwróciłam uwagę na jeden z obrazów, przedstawiający wazon ze stokrotkami.

- Zrobiłem na nich niezły interes – oznajmił.
- Są bardzo ładne – powiedziałam uprzejmie, choć wcale nie były.
- To moja matka – mruknął.

To sprawiło, że nagle go polubiłam, tak mniej więcej. Całkiem obcej osobie wydawał się nieszkodliwy, może nawet za bardzo nieszkodliwy. Podczas gdy moja myśl gwałtownie krążyła wokół wszystkich potencjalnie niebezpiecznych scenariuszy, Domenic pocałował mnie. Jedną ręką przyciągnął mnie za szyję, drugą zaś objął w talii, a ja znowu poczułam się jak człowiek. Moje potrzeby w tym momencie były całkiem proste, w żaden sposób niezwiązane z mapą z wykresami i schematami, i z wyborem nazwisk.

Jego wargi sprawiały wrażenie znajomych. Pocałunek w niczym nie

przypominał tych pierwszych i niezdarnych, kiedy rozprasza cię każdy szczegół. Domenic odsunął się odrobinę i lekko popchnął mnie w stronę sypialni. Czułam się rozedrgana, ciepła, pełna oczekiwania i bezpieczna, choć już zdarzyło mi się myśleć, że wszystkie te wrażenia na zawsze są dla mnie stracone.

Nagle zauważyłam na toalecie rewolwer i odznakę. Momentalnie krew ścieła mi się z przerażenia. Musiałam zblednąć jak ściana, bo kiedy Domenic odwrócił się, żeby znów mnie pocałować, na mój widok cofnął się o krok.

– Dobrze się czujesz, Debra?

– Broń – wybełkotałam, bo tylko na tyle pozwoliło mi bijące szaleńczo serce.

– Och, przepraszam. – Domenic otworzył szufladę i wrzucił tam rewolwer razem z odznaką. – Wszystko w porządku, jestem szeryfem.

– Nic o tym nie wspomniałeś, kiedy siedzieliśmy w barze.

– Bo nie pytałaś.

– Czy większość gliniarzy nosi stale broń, nawet kiedy nie są na służbie?

– Niektórzy tak, ale w mieście wszyscy wiedzą, kim jestem, i zawsze wydawało mi się, że to zły pomysł zabierać rewolwer, kiedy idę na spotkanie z przyjaciółmi.

Starłam się odzyskać oddech, żeby nabrać powietrza, ale walczyłam o tlen jak maratończyk, który właśnie zakończył bieg.

– Co się dzieje, Debra? Masz coś przeciwko gliniarzom?

Jasne, że tak! Ale nie miałam zamiaru o tym wspominać.

– Po prostu nie czuję się zbyt dobrze. Chyba muszę już iść.

– Odprowadzę cię.

– Nie, to nie jest konieczne – zaproponowałam.

– Jest późno.

Podeszłam do drzwi wejściowych i przekręciłam gałkę. Były zamknięte. Przypływ paniki ogarnął mnie jak wezbrana rzeka. Na oślep grzebałam palcami, starając się znaleźć zamek. Domenic delikatnie odsunął moje ręce i przytknięciem otworzył zatrzask, a następnie odsunął się na bok, żebym mogła ominąć go z daleka. Dopóki nie wyszłam na ganek, w chłodne nocne

powietrze, czułam się tak, jakbym brała udział w zawodach na wstrzymanie oddechu. Teraz dobre samopoczucie natychmiast wróciło. Domenic zauważył ulgę na mojej twarzy. Wydawał się urażony.

Poszedł za mną aż do motelu. Myślę, że chodziło mu o to, żebym bezpiecznie dotarła na miejsce. Zatrzymałam się przed wejściem do holu, bo nie chciałam, żeby wiedział, w którym pokoju mieszkam.

– Dziękuję – powiedziałam. – Za... za burgera i za miłe towarzystwo.

– Powiedz mi, co się stało?

– Nic. Po prostu zdałam sobie sprawę, że nie powinnam być sam na sam z nieznajomym.

– W porządku – odpowiedział. – Ale pozwól mi zauważyć, że jeśli będziesz kiedyś przejeżdżać przez nasze miasto, to już będziemy znajomymi, nieprawdaż?

– Nie sędzę.

Sięgnął po portfel i wręczył mi wizytówkę.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, masz numer mojej komórki.

– Dziękuję – odparłam.

– Bądź ostrożna – poradził. – Świat jest pełen różnego rodzaju ludzi.

– Och, o tym dowiedziałam się już całe wieki temu – powiedziałam.

Jedenasty maja dwa tysiące jedenastego roku

do Ryana

od Jo

Naprawdę sądziłeś, że się nie dowiem? Zdaje się, że moje istnienie jest jedynym sekretem, który każdy potrafi utrzymać w tajemnicy. Wszystko inne wypłynie na wierzch. Wystarczyło posiedzieć godzinę przy komputerze

w bibliotece, sprawdzić, co słyhać u starych znajomych. Od razu na to trafiłam. Zdjęcia Logana i Edie na romantycznych wakacjach w Big Sur. Wyglądają na tak szczęśliwych! Jak mogłeś na to pozwolić?

Nie obchodzi mnie, co musisz zrobić, co musisz jej powiedzieć.

Powstrzymaj to.

Jo

Dziesiąty czerwca dwa tysiące jedenastego roku

od Ryana

do Jo

Próbowałem. Próbowałem, jeszcze zanim to się zaczęło. Próbowałem, gdy tylko zobaczyłem, jak on na nią patrzy za pierwszym razem, gdy pojawiła się w Sundowners, po tym, jak zrezygnowała z college'u. Jednak odkąd poszedłem do szpitala, ludzie nie słuchają mnie tak jak dawniej. Dla nich jestem wariatem, a Logan to silny, odpowiedzialny i cieszący się powodzeniem brat.

Ale może poczujesz się lepiej, jeśli powiem, że on chyba trochę się zmienił. Nie mówię, że zmienił się w środku, tylko że rzadziej pozwala, żeby ta ukryta część osobowości wydostała się na zewnątrz. Może będzie dla niej dobry. Wiem, że nie to chciałybyś usłyszeć, ale to wszystko, co

mam.

Wydajesz się sądzić, że możesz wykorzystać mnie jako zastępstwo za siebie, ale jednak to nie jest gra w szachy, gdzie podpowiesz mi ruch, a ja tylko go wykonuję.

Kiedy ktoś odejdzie, a Ty jesteś dla tutejszych jak umarła, nie może wpływać na bieg rzeczy.

Ale jeśli zobaczę, że on chce zrobić coś złego, postaram się interweniować.

Ryan

Piętnasty czerwca dwa tysiące jedenastego roku

do Ryana

od Jo

Zakładam, że życie w małżeństwie układa Ci się pomyślnie. To zrozumiałe, że nie chcesz zmieniać status quo. Och, i serdecznie gratuluję narodzin maluszka!

Zawsze w głębi duszy byłeś kimś w rodzaju małego tchórza. Myślałam, że z tego wyrosłeś, ale nie, wpadłeś jeszcze głębiej, jak w wygodne krzesło.

Nie proszę Cię o nic. Sam rozpoznaj problem, a potem spróbuj go wyeliminować. Jeśli cokolwiek przydarzy się Edie, Ty będziesz temu winny. Tym razem nie będę siedzieć cicho.

Jo

Rozdział dziesiąty

Pierwsze wyjście jako Debra Maze nasunęło mi myśl, że moje życie przypomina grę Jenga: wystarczy usunąć jeden element, żeby runął cały świat. Następnego ranka postarałam się wyrzucić z myśli fakt, że uniknęłam o włos nieszczęścia w kontakcie z policją i ruszyłam w ostatni etap mojej podróży.

Gdy wreszcie dotarłam do Jackson w stanie Wyoming, byłam niemal spłukana. Na ostatnim baku paliwa jeździłam od motelu do motelu, zaliczając ich chyba z pół tuzina i wszędzie starałam się ubić jeden i ten sam interes – ciepły pokój w zamian za świadczenie usług. Co prawda obiecałam sobie trzymać się z daleka od wszystkiego, co ma związek ze sprzątnieniem, lecz była połowa maja, szkoły powoli kończyły pracę, a ja potrzebowałam trochę czasu, żeby oswoić tożsamość Debry Maze. Nie bardzo wiedziałam, jak sobie z tym poradzę, zmuszona do nocowania w moim cadillacu. W końcu udało mi się zawrzeć układ z właścicielem Moose Lodge, tuż obok Flat Creek Drive. Dostałam nawet niewielkie wynagrodzenie, dzięki któremu mogłam poprawić swoją obecną sytuację życiową.

Jedno wiedziałam na pewno: jeśli mój plan ma się udać, muszę odkryć sposób, jak wyglądać mniej jak Błękitnooka i bardziej jak ja sama. Za każdym razem, gdy przechodziłam obok lustra, widziałam w nim oszustwo, i czułam, że jeśli ja sama nie kupuję kłamstwa, tym bardziej nie przekonam do niego innych.

Błękitnooka powiedziała mi kiedyś, że przybranie na wadze jest według niej najlepszym sposobem na ukrycie się, kiedy musi pozostać na widoku. Tak więc kupiłam trzy sześciopaki minipączków, z rodzaju tych, którymi objadałam się w średniej szkole, zanim mój trener od pływania zasugerował, żebym czerpała kalorie z czegoś bardziej pożywnego.

Jeśli chodzi o włosy, postanowiłam nie ruszać koloru miodowy blond,

ograniczając się do malowania odrostów, kiedy tylko się pojawiły. Przez miesiąc utrzymywałam ścisłą dietę składającą się z pączków, pizzy, frytek i piwa, i jadłam tyle, że co wieczór chciało mi się wymiotować. W ciągu trzech tygodni przybrałam na wadze dziewięć kilogramów i kiedy spoglądałam w lustro na podpuchniętą, czerwonawą cerę, łzy same cisnęły mi się do oczu. Ta nagła otyłość zniweczyła urok blondynki, który niegdyś przyciągał spojrzenia. Z każdym kilogramem stawałam się coraz mniej widoczna, aż w końcu, gdy przyrost wagi przekroczył jedenaście kilogramów, pojechałam do Wydziału Komunikacji Stanu Wyoming i złożyłam wniosek o wydanie prawa jazdy, posługując się kartą ubezpieczenia i dowodem osobistym Deby Maze. I znowu ledwo udało mi się zaliczyć pisemną część egzaminu. Po kilku dniach przyjechałam jeszcze raz, tym razem na test z jazdy. Ta część poszła pomyślnie, choć z początku nic na to nie wskazywało, bo nie udzieliłam odpowiedzi, gdy egzaminator zwrócił się do mnie moim nowym nazwiskiem.

Kiedy cała dokumentacja została zebrana, urzędnik wskazał, gdzie mam się udać, żeby zrobić zdjęcie. Schowałam się w łazience, wyjęłam błękitne soczewki i przygotowałam się do zdjęć. Fotograf na szczęście nie zaglądał do dokumentów; powiedział tylko, żebym się uśmiechnęła, czego nie zrobiłam. Wtedy zostałam pouczona, że na odbiór dokumentów czeka się około czterech tygodni.

Czekałam dwa i pół tygodnia, aż przysłał mi nowe prawo jazdy. Sprzątając brudy po obcych ludziach i czekając, aż ktoś zdemaskuje mnie jako oszustkę, a potem morderczynię, a potem jeszcze Bóg wie kogo, zamieniłam każde dwadzieścia cztery godziny w powolne czuwanie nad długą wskazówką zegara. Gdy wreszcie w mojej skrzynce pojawiła się koperta, na wpół spodziewałam się, że to nakaz aresztowania. Ale wszystko się zgadzało: Debra Maze, lat dwadzieścia pięć, niebieskie oczy, blond włosy. Tylko moje oczy na zdjęciu były piwne.

Kolejny miesiąc upłynął, zanim zakończyłam przeistoczenie w Debrę Maze, z którą mogłabym żyć. Przefarbowałam włosy na brązowo – wystarczająco dużo czasu spędziłam, co miesiąc farbując odrosty na blond – i schowałam do pudełka niebieskie soczewki. Wciąż miałam nadzieję, że pewnego dnia ktoś spojrzy mi w oczy i zobaczy, kim naprawdę jestem, a to nie mogło się wydarzyć, dopóki moje oczy przypominały oczy porcelanowej

lalki.

Od razu po pierwszej wizycie w wydziale komunikacji zrezygnowałam także z diety zawodnika sumo. Dziewięć kilogramów zrzuciłam bez wysiłku, ale nad ostatnimi pięcioma musiałam nieco popracować. Nad motelem widniał migający neon, informujący, że tutaj znajduje się basen – oczywiście wewnętrzny i mocno przegrzany, a unoszący się w wilgotnym powietrzu smród chloru szczypał mnie w gardle. Wystarczyły trzy pociągnięcia dowolnym stylem, potem obrót, kopnięcie, kolejne trzy, i już człowiek miał za sobą cały tor. Po jedenastej wieczorem basen był zamknięty dla gości, ale ja miałam klucz. Dwadzieścia minut zabierało mi przepłynięcie stu długości.

Przypomniało mi się, jak miałam czternaście lat i pływałam w Waki Reservoir, uważając, że należy do mnie, ponieważ nikt nie zna go tak dobrze jak ja. Pływanie na skróconym torze w turkusowej, ograniczonej, cementowej przestrzeni nawet w przybliżeniu nie przypominało radosnego, wyzwającego sportu. Przypominało raczej to, czym stało się moje życie; zupełnie jakbym siedziała w zgniatarce do śmieci, która właśnie została włączona. W młodości uważałam, że wszystko jest możliwe, bo świat wydawał się taki ogromny i łatwy do zdobycia. Dostępny na wyciągnięcie ręki. Teraz żałowałam, że nie wykorzystałam okazji, kiedy był na to czas.

Lato w Jackson było jasne i ciepłe, a góry połyskiwały w dali. Po pracy spacerowałam dookoła miasteczka w gorącym słońcu, próbując wyrzucić z pamięci obraz sprzątaných przed chwilą pokojów. Czasami zachodziłam do baru albo kawiarni i udawałam zwykłą turystkę.

Tego lata nie udało mi się odłożyć żadnych pieniędzy, ale jakoś dałam radę przeżyć. Raz nawet pozwoliłam sobie na wizytę u fryzjera. Stylistka ufarbowała mi włosy na piaskowy blond i wycieniowała grzywkę, resztę zaś podcięła równo tuż nad linią ramion. Kiedy spojrzałam w lustro, nie przypominałam żadnej wersji Błękitnookiej, lecz także nie ujrzałam Tanyi Pitts czy Amelii Keen. Zobaczyłam kogoś kompletnie innego. Ta nowa osoba mogła posługiwać się nazwiskiem Debry Maze, ale w głębi duszy czułam, że nigdy nie będzie mi z tym naprawdę dobrze.

Znowu pojechałam do wydziału komunikacji, żeby zgłosić zagubienie prawa jazdy, i wypełniłam druki, wprowadzając do nich jedną małą poprawkę. Zamiast niebieskich oczu wpisałam piwne. Miło będzie mieć na

głowie jedno kłamstwo mniej. Dwa tygodnie później, kiedy przyszło poczta moje nowe prawo jazdy, mogłam spokojnie dokończyć transformację.

Teraz byłam już gotowa dokonać przeskoku od sprzątanego motelu na obszar edukacji. Jednak gdy nadszedł sierpień i wreszcie nastąpił początek roku szkolnego, mój entuzjazm natychmiast osłabł. Musiałabym pomyślnie przejść egzamin państwowy i przedłożyć dokument stwierdzający zaliczenie stanowego testu akredytacji. Miałam w ręku papiery wydane w Ohio, nie w Wyoming. W wypowiedzi Błękitnookiej wszystko wydawało się takie proste: zajęła się wyłącznie sprawą odcisków palców, ja zaś w ogóle nie zastanawiałam się nad aspektami formalnymi. Moja wielkoduszność kazała umniejszyć ten błąd do zaledwie zaniedbania, choć gdzieś z tyłu głowy świeciła mi myśl, że jednak być może to przeoczenie było celowe.

Nawet gdybym zdecydowała się obniżyć wymagania i aplikować o zastępstwo lub zadowolić się stanowiskiem asystenta nauczyciela, znalezienie pracy w rzeczywistym świecie nie wchodziło w rachubę. Rozszerzyłam więc oczka sieci i znalazłam niewielką prywatną szkołę w miejscowości o nazwie – nie, nie nabijam się z was – Recluse^[1], Wyoming. Szkoła była finansowana przez Johna Allena Campbella, najbardziej wyróżniającego się obywatela Recluse. Trudno jest pozyskać nauczyciela trzeciego, czwartego stopnia w miasteczku, w którym nie ma żadnego przemysłu i gdzie nic się nie dzieje. Wysłałam mailem poprawione świadectwa Błękitnookiej i po zaledwie paru dniach dostałam telefon z zaproszeniem na rozmowę.

Tego dnia właśnie zaczynała się fala upałów, założyłam skromną letnią sukienkę i praktyczne pantofle, czyli strój, który moim zdaniem był odpowiedni dla nauczycielki zajmującej się malowaniem akwarelami. Wcześniej ruszyłam w drogę, żeby być punktualnie i na starcie zrobić dobre wrażenie. W cadillacu było gorąco jak w saunie, mimo że nastawiłam nadmuch na najwyższe obroty. Z niepokojem obserwowałam, jak temperatura termostatu wzrasta niebezpiecznie; musiałam zrobić kilka postojów, żeby silnik ostygł.

Mimo to przyjechałam godzinę przed wyznaczonym spotkaniem;

skręciłam z autostrady w miasteczku, które zdawało się ledwie zipać w śmiertelnym uścisku, niewiele odbiegając od miana miasta widma. Jakimś cudem znalazłam stację benzynową, gdzie powiedziałam pracownikowi o kłopotach z samochodem. Gil, bo tak miał na imię, udzielił mi ostrej reprymendy, że nie sprawdziłam poziomu płynów. Miał chłopak rację. Kiedy cadillac został uzdrowiony, Gil wskazał mi drogę do John Allen Campbell Primary School.

Znalazłam dyrektora Walta Collinsa, siedzącego za biurkiem w gabinecie niewiele większym od schowka. Pomieszczenie wyglądało tak, jakby dawno, dawno temu mieścił się tu pokój służącej, kiedy w tej zatęchłej mieścinie mieszkali jeszcze zamożni ludzie. Do diabła, może zresztą był to jego rodzinny dom. Dyrektor Collins dawno przekroczył wiek emerytalny, więc od razu zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie zajmuje stanowiska wyłącznie dlatego, że nie znaleziono nikogo chętnego na jego miejsce.

Przez ostatnie sześć miesięcy spędziłam tak wiele czasu na zbieraniu odwagi, że trudno mi było zauważyć coś, co szło po mojej myśli. Powinnam była już od progu dostrzec, że Collins jest mocno zdesperowany i gotów zatrudnić kogokolwiek. Kiedy biegniesz, nie jesteś w stanie widzieć czegokolwiek wyraźnie; nerwowe brzęczenie w głowie skutecznie zagłusza wszystkie dźwięki dochodzące z zewnętrznego świata. Jednak ludzie widzą to, co chcą widzieć. Byłam uroczą młodą kobietą szukającą posady, na którą pan Collins i tak musiał kogoś znaleźć. Widział we mnie jedynie uczciwą bezrobotną nauczycielkę, która poszukuje pracy w małym mieście, żeby prowadzić tam proste życie.

– Co skłoniło panią, panno Maze, do wybrania zawodu nauczyciela?

– Kiedy byłam mała, po prostu nienawidziłam szkoły.

Najważniejsze to mówić prawdę, gdy tylko jest to możliwe.

– Pewnie chciała pani dowiedzieć się, jak dotrzeć z wiedzą do dzieci, które do edukacji mają taki sam stosunek jak pani niegdyś? – podpowiedział dyrektor Collins.

– Właśnie tak.

– Widzę, że przez pięć lat pracowała pani jako nauczycielka w szkole podstawowej w Akron, w Ohio.

– Tak.

– I skończyła pani studia pedagogiczne na Cleveland State University?

– Go Vikings – zawołałam i natychmiast ugryzłam się w język.

– O, jest pani fanką futbolu?

– Nie bardzo.

– W pani dokumentach nie ma żadnego świadectwa pracy. Czy mam rozumieć, że w poprzedniej pracy miała pani jakieś problemy?

– Obawiam się, że muszę wspomnieć o pewnych osobistych sprawach... Mam nadzieję, że to, co powiem, nie wyjdzie poza ten pokój, wszystko jedno, czy zdecyduje się pan mnie zatrudnić, czy nie... W Akron miałam męża. On nie był... to znaczy nie jest dobrym człowiekiem. Kiedy decydowałam się na wyjazd, wolałam wcześniej nikomu o tym nie wspominać. Żyłam z oszczędności, unikałam używania kart kredytowych i w ogóle wszystkiego, co mogłoby naprowadzić go na mój ślad.

Zawsze staraj się choć częściowo mówić prawdę, jeśli tylko to możliwe.

– Czy on miał skłonność do przemocy? – spytał dyrektor Collins, jednocześnie marszcząc czoło, żeby zaakcentować swoje współczucie. Odgrywał pewną rolę, tak samo jak ja.

Skinęłam głową na znak, że wyrażenie prawdy słowami byłoby dla mnie zbyt bolesne.

– Rozumiem... – odparł dyrektor Collins i znów poświęcił parę minut, żeby dopasować wyraz twarzy do zaistniałej sytuacji.

– Mój mąż potrafi być bardzo przekonujący... Obawiam się, że gdyby ktoś zadzwonił z prośbą o referencje, mogliby powiadomić go, skąd nadeszła ta prośba... Pracowałam w tamtej szkole przez pięć lat. Wydaje mi się, że to coś znaczy.

– Przykro mi, że musiała pani przez to przechodzić.

– To już przeszłość – odparłam. – I mam nadzieję, że tak zostanie.

Należało teraz zmienić kierunek rozmowy. Nadszedł czas, by zagrać jedyną kartą, którą miałam w rękawie. Pogrzebałam w plecaku, wyłowiłam kartę z odciskami palców i posunęłam po blacie biurka w stronę dyrektora Collinsa.

– Wydaje mi się, że będzie pan potrzebował tego do sprawdzenia mojej przeszłości.

– Widzę, że pani przyszła przygotowana – zauważył pan Collins.

– Proszę sprawdzić.

Collins wpatrywał się w kartę, jakby nie wiedział, co ma z nią zrobić.

– Nie możemy zaproponować wysokiej pensji – mruknął w końcu.

– Rozumiem.

– Poza tym młoda kobieta nie może liczyć tutaj na wiele atrakcji. Pewnie zdołała to pani zauważyć, zgadza się?

– Nigdy nie miałam wielkich ambicji.

Kiedy to powiedziałam, natychmiast przyszło mi do głowy, z jak wielu ambicji musiałam w życiu zrezygnować. Ze wszystkich moich kłamstw bez wątpienia to było największe.

– Jest pani przyjęta. Może zacząć pani od poniedziałku.

Obdarzyłam go szerokim uśmiechem i zatrzepotałam rżęsami z ekscytacją, której potrzebował, by mógł czuć się w porządku, zawierając ze mną umowę. Dla mnie był to czysty teatr. Im lepiej odgrywałam swoją rolę, tym bardziej pogardałam sztuką. Jednak zdobyłam to, czego było mi trzeba: przyzwoitą pracę, pieniądze, nowe życie.

– Czy ma pani gdzie mieszkać? – spytał pan Collins.

– Od razu zacznę szukać.

– Zanim znajdzie pani coś odpowiedniego albo jeśli pani nie znajdzie, w piwnicy mamy tutaj niewielkie mieszkanie. Miesięczny koszt to sto pięćdziesiąt dolarów.

Wzięłam je bez oglądania. Będę musiała przecież oszczędzać każdy grosz. To był wspaniały dzień, biorąc pod uwagę wszystko, co wydarzyło się od chwili, gdy Frank spadł ze schodów. Mimo to dałabym wiele, żeby znowu być sobą – kimkolwiek byłam.

Rozdział jedenasty

– Andrew, obudź się. Obudź się!

Andrew podniósł głowę z blatu biurka i wierzchem dłoni starł z oczu resztki snu.

– Dzień dobry – powiedział, jak zawsze, kiedy przychodziłam go budzić.

– Chcesz trochę kawy?

– Nie, dam radę – odparł.

– Moja mama pozwala mi pić kawę – wtrąciła Abby.

– A moja pozwala od czasu do czasu, żebym spróbowała jej piwa – pochwaliła się Cody.

Na to odezwał się cały chór przechwałek, kto ile wypił i kiedy, aż musiałam przywołać wszystkich do porządku.

– Możecie porozmawiać na przerwie o swoich upodobaniach co do picia. Teraz proszę zająć się lekcjami.

Całą uwagę skierowałam teraz na Maggie. Bez wątpienia była przodownicą wśród osiemnastu uczniów trzeciej i czwartej klasy.

– Maggie, czy możesz mi powiedzieć, jakie miasto jest stolicą Georgii?

Celowo zadałam tak proste pytanie, żeby połechtać jej ego.

– Atlanta.

– Bardzo dobrze. Kto wie, co jest stolicą Oklahomy?

– Oklahoma City! – wrzasnął Martin, zanim zdążyłam udzielić mu głosu.

– Martin, dzięki, że zostałeś wolontariuszem w naszej grze w podróże.

Taki powzięłam pomysł na lekcje geografii. Za moimi plecami wisiała mapa regionalnej sieci dróg Stanów Zjednoczonych, wyglądem przypominająca źle poukładane puzzle. Złożyłam oficjalną prośbę

o dostarczenie pełnowymiarowej mapy dla mojej klasy, ale skoro w programie nauczania niewiele było na temat połączeń drogowych, moja prośba spotkała się z odmową. Na mapie brakowało większej części Północnej i Południowej Dakoty, fragmentu Michigan i małego kawałka Wirginii.

- Martin, podaj nazwę stolicy Idaho.
- Boise.
- A co jest stolicą stanu Waszyngton?
- Seattle?
- Nie sądzę. Abby, może ty wiesz?

Abby знаła wszystkie stolice, nazwiska dziesięciu pierwszych i trzech ostatnich prezydentów, a także potrafiła pomnożyć w pamięci dowolną dwucyfrową liczbę przez jednocyfrową. Ale nigdy nie podnosiła ręki do odpowiedzi.

– Olympia.

– Dziękuję, Abby – odpowiedziałam. – A teraz wyobraź sobie, że jesteś w Olympii w stanie Waszyngton i chcesz pojechać do Boise w Idaho. Jaką trasę wybierzesz?

Abby nieśmiało podeszła do tablicy i przyjrzała się zlepkowi stanów, przesuwając paluszkami po niebieskiej sieci dróg.

– Pojechałabym I-5 South, a potem w Portland skrzyżowałabym na 84 East albo South. Obie drogi prowadzą do celu.

– Bardzo dobrze – powiedziałam. – Niektóre autostrady zostały poprowadzone w jasno określonym kierunku, na linii północ–południe albo wschód–zachód. Ale niektóre mogą zaprowadzić was tam, gdzie nie spodziewalibyście się znaleźć.

Odezwał się dzwonek na przerwę. Nie zmuszałam swoich uczniów, tak jak czyniła panna June z dziećmi z pierwszej i drugiej klasy, żeby czekali, aż ja wyjdę pierwsza. Od razu po dzwonku byli wolni. Zwinęłam w rulon tablicę z białego plastiku, którą powiesiłam przed mapą na ścianie. Nie trzymałam w tajemnicy planów zajęć, ale też nie uważałam za stosowne zostawiać ich na widoku. Kiedyś, gdy dyrektor Collins zagadnął mnie na temat moich nieortodoksyjnych metod nauczania, odparłam, że dzisiejszy

świat stał się zbyt zależny od systemu nawigacji GPS. Nikt w miasteczku z niego nie korzystał, więc od razu zorientowałam się, że moje argumenty nie spotkały się ze zrozumieniem, zwłaszcza w odniesieniu do dzieci w wieku od ośmiu do dziesięciu lat. Powiedziałam mu więc, że moim zdaniem to pomaga rozwiązywać problemy, osobiście zaś chciałam, aby te dzieciaki mieszkające tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, mogły wyrzeć na szerszy świat i przynajmniej zacząć sobie wyobrażać te wszystkie miejsca, do których mogłyby pojechać. I sama chciałam także dowiedzieć się paru rzeczy, skoro cały czas spędzałam w szkolnej klasie.

Oczywiście to nie tak, że nie uczyłam się niczego nowego, albo nie musiałam odświeżać pamięci. Dopóki nie podjęłam tej pracy, nigdy nie potrafiłam wyrecytować z pamięci nazwisk wszystkich prezydentów Stanów Zjednoczonych. Wkuwałam całą noc, żeby przygotować się do lekcji na następny dzień, starając się zapamiętać cechy charakterystyczne dla każdego przywódcy, lecz wciąż nie ogarniałam tematu. Zadanie polegało na tym, że uczniowie powinni przygotować notatkę przedstawiającą różnych prezydentów. Zachęcałam ich do pominięcia tych najbardziej znanych: Waszyngtona, Jeffersona, Lincolna, także Roosevelta. Każdy miał potem stanąć przed klasą i odczytać swoją pracę, reszta zaś powinna odgadnąć, o kogo chodzi.

– Mój prezydent urodził się w Wirginii w tysiąc siedemset osiemdziesiątym czwartym roku. Był członkiem Whig Party, generałem armii. Zmarł w swoim gabinecie – powiedział Andrew.

Jeśli chodzi o prezydentów, Andrew był naszym klasowym ekspertem. Nie tylko znał na pamięć wszystkie nazwiska, lecz także najważniejsze punkty biografii, a od czasu do czasu potrafił wtrącić jakiś zabawny drobiazg.

– Słuchajcie, czy ktoś wie, kogo Andrew miał na myśli? – spytałam z udawaną pewnością siebie, bo sama nie miałam pojęcia, o kim była mowa.

Nazwiska prezydentów odbijały się od ścian jak piłeczki do ping-ponga, choć żadne nie zdołało wybić się na prowadzenie. Zwykle, kiedy trafiałam na jakąś dziurę we własnej wiedzy, mogłam zadać proste pytanie o to, kto zna odpowiedź, i polegać na ogólnej jednomyślności.

– Grover Cleveland!

– James Buchanan!

– Ulysses S. Grant!

Lekko ironiczny wzrok, którym Andrew przyglądał się kolegom, jasno dał mi do zrozumienia, że nikt nie zdołał trafić w sedno. Zdecydowałam się przerwać zamieszanie.

– Andrew, moje gratulacje – powiedziałam. – Zapędziłeś wszystkich w kozi róg. Może powiesz teraz, którego prezydenta wybrałeś?

– Zachary’ego Taylora. Był dwunastym prezydentem Stanów Zjednoczonych.

– Racja. Zachary Taylor. Kto następny?

Niektóre dni w klasie wydawały mi się tak samo niebezpieczne jak jazda samochodem z Błękitnooką. Jeden fałszywy ruch, jedna pomyłka w faktach, jedno dziecko, które wyklepie o tym rodzicom, rodzice, którzy zaczynają stawiać pytania, jedna niewłaściwa odpowiedź, jeszcze więcej pytań... Jeśli ktoś rzeczywiście przyjrzałby mi się z bliska, bez trudu mógłby dostrzec, że jestem oszustką.

Popisywanie się moją nową tożsamością wciąż kojarzyło mi się ze spacerem pod wiszącymi soplami lodu, byłam więc wdzięczna losowi, że oszczędził mi niebezpiecznego poszukiwania odpowiedniej kwatery. Z drugiej jednak strony zamieszkiwanie w budynku szkoły miało pewne wady. W ostatnich miesiącach mocno obniżyłam wymagania dotyczące standardu, lecz kiedy codziennie patrzysz na pewne rzeczy, znowu zaczynasz zastanawiać się nad poziomem życia. Apartament, którym dysponowała szkoła, mógłby figurować w ogłoszeniach o wynajmie jako studio z łazienką i małą kuchnią. Umeblowanie składało się z podwójnego łóżka i szafy na ubrania; materac musiał pochodzić z lat sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych, ponieważ na jednym końcu był lekko wklęsły, na drugim zaś miał wyraźne wgłębienie. Nieważne, jak bardzo starałam się spać na tym w miarę płaskim końcu, zawsze nocą przemieszczałam się w stronę wgłębienia. Już wcześniej zdarzało mi się sypiać na podłodze i w końcu takie rozwiązanie wydało mi się najlepszą opcją, choć w wyglądzie wydeptanego dywanu było coś odpychającego. Tak naprawdę jedyną zaletą tego miejsca było prywatne wejście z parkingu. Drugie drzwi, zabezpieczone jedynie haczykiem, prowadziły na wąskie schody, a stamtąd prosto do szkoły.

W małym miasteczku i jeszcze mniejszej szkole musiałam zachowywać się przyjaźnie, lecz jednocześnie utrzymując zdrowy dystans do współpracowników. Oprócz dyrektora Collinsa było ich tylko czworo, więc zadanie nie wydawało się trudne. Byli więc: June, Cora, Collette, która naprawdę nazywała się Jane, ale Collette brzmiało bardziej europejsko, oraz Joe, jedyiny facet w tym gronie. Joe wyjechał z Recluse przed dziesięcioma laty, solennie obiecując sobie, że nigdy tu nie powróci. Jednak później zachorowała jego mama, następnie tata i Joe musiał złamać postanowienie, podobnie jak wielu z nas. Intuicja podpowiadała mi, że Collette darzy Joe'ego nieodwzajemnionym uczuciem, więc z całych sił starałam się udawać, że on dla mnie nie istnieje, ponieważ w całym zespole jedynie ja byłam w wieku odpowiednim do rodzenia dzieci.

W miasteczku, gdzie nic się nie dzieje, nowa dziewczyna jest jak przynęta z kawioru, więc pytania Collette padały z szybkością serii z karabinu maszynowego. Starałam się odpowiadać krótko. Skąd jesteś? *Z Ohio*. Byłaś kiedyś mężatką? *Tak, raz*. Co sprowadza cię do Recluse? *Spodobało mi się tutaj*. Gdy udało mi się z powrotem przenieść temat rozmowy na Collette, od razu startowała z jakąś przedłużoną w czasie opowieścią o niegodziwym chłopaku jej siostry albo o swoich wielkich planach przeprowadzenia się do Jackson i zakupienia tam jednego z domów, które widziała w jakimś magazynie o wystroju wnętrza. Ludzie z ograniczonymi środkami finansowymi, mawiała, myślą, że takie rzeczy są dla nich nieosiągalne, ponieważ widzą jedynie metki z ceną. Jednak jeśli wybudujesz coś sama, to do diabła, jedyne, czego ci trzeba, to jakiś kawałek ziemi, do którego nikt inny nie rości sobie praw, budulec, młotek i trochę gwoździ. Przynajmniej taki był tok myślenia Collette. Nigdy jednak nie wspominała o tym, że posiada talenty cieśli.

O ile przejawiałam pewną zręczność w odpieraniu ataków Collette, o tyle Cora i June okazały się nieco bardziej agresywnymi przeciwniczkami. Nie sądzę, by chodziło im o coś więcej niż zwykła ciekawość i chęć urozmaicenia nudnych przerw w ciągu dnia, lecz mimo to postanowiłam utrzymywać dystans. Grono pedagogiczne posiadało coś w rodzaju koła fortuny, za pomocą którego wyznaczano rozkład obowiązków podczas przerw lekcyjnych i w czasie na lunch. Pod pretekstem, że muszę wyjść na świeże powietrze, zapisywałam się na wszystkie lunchy od poniedziałku do piątku

włącznie. Większość nauczycieli jest szczęśliwa, gdy może wykręcić się od kontaktu z uczniami, jeśli tylko pojawia się taka możliwość. Na chwilę zostawałam więc zdana na własne siły, ciesząc się spokojem, jeśli akurat było spokojnie; położyłam kres kilku bójkom, parę razy opatrzyłam stłuczone kolana i wytarłam trochę łez. No cóż, tych łez wylało się całkiem sporo. Moje własne wspomnienia ze szkoły podstawowej w najlepszym razie były mocno niewyraźne. Pamiętałam plac z drabinkami, na którym zdarzały się przykre wypadki, pamiętałam naukę alfabetu i kary za przewinienia, ale nie przypominałam sobie, żeby dzieciaki w kółko płakały.

Nigdy nie udało mi się zorientować, jak należy pocieszać kogoś, kto wylewa morze łez. W dzieciństwie dowiedziałam się, że jeśli udało mi się opanować emocje, mogłam liczyć na większą uwagę mojej matki. Pewnego dnia rozciąłam kolano, bo spadłam z roweru i wylądowałam na odłamku szkła. Nawet nie starałam się zatamować krwawienia. Jak gdyby nigdy nic poszłam do domu, nie zwracając uwagi na krwawy wodospad, który spływał po mojej łydce. Na ganku domu wzięłam się w garść i dopiero wtedy zapukałam do drzwi.

– Wydaje mi się, że się skaleczyłam – powiedziałam tak spokojnie, że prawie przestałam odczuwać ból. To wtedy matka okazała mi więcej czułości niż kiedykolwiek w całym moim życiu.

Z dziećmi z klasy przyjął strategię przekupstwa. Zawsze nosiłam w torebce cukierki i każdy, komu udało się zatamować przyływ rozpacz, dostawał ode mnie plaster z opatrunkiem oraz paczuszkę słodkości z syropu kukurydzianego o kształcie robaków, dinozaurów lub niedźwiadków – w zależności od preferencji. Chociaż miałam wrażenie, że moi koledzy nie aprobują metody pocieszania za pomocą słodczy.

Dokładnie po tygodniu mojego piastowania urzędu Cora Lane doszła do wniosku, że potrzebuję towarzystwa podczas dyżurów na przerwach i w czasie lunchu. Cora mogła mieć jakieś pięćdziesiąt pięć do siedemdziesięciu lat. Jej piwne oczy iskrzyły się młodzieńczym blaskiem, a głos wciąż brzmiał jasno i równo, bez załamania charakterystycznych dla starszego wieku, jednak na skórze widniała cała mapa zmarszczek, które mogły być efektem upływu lat, ciężkich doświadczeń lub długiego, niefrasobliwego romansu ze słońcem. Usiadła obok mnie, uprzednio dokładnie wytarłszy ławkę z pyłu, ptasich odchodów i zaschniętych resztek

jogurtu truskawkowego.

– Ładny dzień, nieprawdaż? – zagadnęła.

– Tak.

– To moja ulubiona pora roku.

Dzień był jasny i słoneczny, czyli taki, jak lubi większość ludzi. Osobiście nie miałabym nic przeciwko odrobinie wiatru, deszczu czy lekkiego chłodu w powietrzu. Koniec lata o wiele bardziej niż inne pory roku przypomina nam dzieciństwo. Jednak moja odpowiedź była krótka i mało zachęcająca, bo wiem, że wzmianka o pogodzie zwykle poprzedza bardziej osobiste pytania.

– Jak ci się tutaj podoba? – pytała Cora.

– Och, bardzo!

– Dlaczego zdecydowałaś się tu przyjechać?

To przypominało strzelanie do celu. Pierwszy strzał mógł okazać się chybiony, ale następne trafiały w czerwone obrzeże tarczy, aż w końcu nieuchronnie kierowały się w stronę dziesiątki. Jedyne, co można zrobić w takiej sytuacji, to zmienić cel.

– Przepraszam?

– Jesteś młoda, jesteś ładna i masz przed sobą kawał życia. Dlaczego chciałaś przenieść się do miasta, które już teraz jest umarłe?

Cora okazała się bardziej bezpośrednia, niż sądziłam. W wyglądzie jej pooranego zmarszczkami czoła było coś, co nakłaniało mnie do udzielenia odpowiedzi. Może niezupełnie prawdziwej, ale przynajmniej takiej, po której Cora poczuje się dopuszczona do tajemnicy i obdarzona zaufaniem. W innych okolicznościach rzeczywiście mogłabym jej zaufać. Być może nawet zostałybyśmy przyjaciółkami. Takimi na dobre i na złe.

– Miałam kiedyś męża. Wiem, że on mnie szuka, i doszłam do wniosku, że im mniej osób znam, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że uda mu się mnie odszukać.

– Czy on...? – Cora zawiesiła głos, pozwalając, by niedokończone pytanie wzbudziło oczywiste skojarzenie.

– Tak.

– Och, skarbie, tak mi przykro!

– Daj spokój. Teraz jestem wolna. I myślę, że mogę być tutaj zupełnie szczęśliwa.

Tym razem sama nie do końca w to wierzyłam.

Noce były tutaj spokojne, tak niesamowicie spokojne. Szkoła pustoszała, zaś pracownicy wracali do swoich szacownych domostw, a Garth, dozorca, zajmował się powierzchownym sprzątnięciem podłóg i szorowaniem toalet. Kiedy wychodził, zapadała cisza jak makiem zasiał. Zabijałam czas, włączając się po pustych salach, studiując treść tablic dydaktycznych i zaglądając do „laboratorium komputerowego”. Niegdyś była to wyłożona lnem szafa, teraz mieścił się w niej dziesięcioletni komputer IBM, podłączony do niewiarygodnie niemrawego łącza internetowego. Można było spędzić trzy godziny na czytaniu połowy tuzina najświeższych wiadomości. Jednak ja miałam mnóstwo wolnego czasu, a kilka spraw wymagało stałej obserwacji.

Zgodnie z ostatnimi ustaleniami śmierć Franka nadal pozostawała podejrzana, ja zaś nadal byłam osobą poszukiwaną. Z radością stwierdziłam, że jak dotąd nikomu nie udało się ustalić mojego miejsca pobytu, choć naturalnie namierzono parę dziewczyn nazywających się Tanya Dubois, w dodatku w miejscach, w których sama chętnie bym się pojawiła. Zawsze pragnęłam odwiedzić Nowy Jork.

Następny raport, na który trafiłam, wywołał pewne przygnębienie – oto w Lake Sommerville State Park natrafiono na ciało mężczyzny w wieku od około trzydziestu do czterdziestu lat. Znaleźli je turyści przebywający na kempingu, a dokładniej rzecz ujmując, znalazł je ich pies myśliwski, który zaczął kopać w miejscu, gdzie znajdował się grób. Turyści – zbyt ciekawscy, jeśli ktoś pytałby mnie o zdanie – doszli do wniosku, że coś im nie pasuje w ukształtowaniu terenu i zaczęli kopać głębiej, aż natrafili na zwłoki. Wtedy wezwali policję. Według informacji w prasie policja nie miała żadnych tropów, zaś karta dentystyczna okazała się bezużyteczna w związku z miejscem rany po kuli. Na końcu artykułu znajdował się numer telefonu oraz prośba, aby każdy, kto coś wie o tej sprawie, skontaktował się z władzami.

Muszę przyznać, że byłam zaskoczona. Sądziłam, że Jack pozostanie tam, gdzie jest, i że nigdy nie będę zmuszona o nim myśleć. Chyba tylko na

skutek jakiegoś kosmicznego niedopatrzenia. Mówiąc krótko, bez identyfikacji zwłok wskazanie podejrzanego wydawało się prawdziwym wyzwaniem. Wpadało mieć nadzieję, że Jack Reed na zawsze pozostanie Nieznanym Nieboszczykiem.

Zerknęłam także, co napisano o tych dwóch zbirach, których naślął na mnie pan Olivier. Policja była przekonana, że to jakieś bandyckie porachunki, ponieważ obaj zostali zastrzeleni w sposób wskazujący na egzekucję. Zastanawiałam się, czy w decydującym momencie Błękitnooka brała pod uwagę taką wersję wydarzeń, czy po prostu strzelała pod wpływem adrenaliny, ale szczerze wątpię, czy kiedykolwiek uda mi się poznać odpowiedź.

Przez kilka pierwszych tygodni spędzonych w John Allen Campbell Primary School z pół tuzina razy sprawdzałam, co napisano o osobie, którą niegdyś byłam. Wiadomości powtarzały się i w końcu doszłam do wniosku, że to ciągle oglądanie się wstecz zaczyna zakrawać na paranoję i że nie przyniesie mi nic dobrego. Jeśli naprawdę chciałam rozpocząć nowe życie, musiałam stać się Debrą Maze i nikim innym. Już jakiś czas temu dowiedziałam się, że grzebanie w przeszłości nie jest zdrowe.

Odkąd w porze lunchu wybrałam ławkę jako mój teren, Cora sporadycznie dotrzymywała mi towarzystwa. Ilekroć ujrzałam ją, jak się zbliża, układałam w głowie listę spraw, które pomagały nadawać rozmowie pożądany kierunek. Cora należała do sympatycznych kobiet, ale niezbyt urzekających. Mimo wszystko mogłam polegać na niej jako na sojuszniczce. Dobrze było pogrążyć się we własnych myślach, podtrzymując konwersację za pomocą niezobowiązujących wtrąceń typu „aha”, „no tak”, albo „co ty powiesz”, żeby uważała, że jej widownia nie straciła zainteresowania tematem. Nie potrafiłabym więcej o niej powiedzieć, nawet teraz, lecz gdy w rozmowie pojawiał się coś ważnego, zawsze umiałam obudzić się na czas i włączyć w tok myślenia.

Od Cory dowiedziałam się, że zaledwie przed rokiem zmarła nauczycielka drugiej klasy, może w moim wieku, może nieco starsza. Spadła z drabiny, kiedy wymieniała świetlówkę w swoim garażu, i uderzyła głową o posadzkę. Cora udzieliła mi wszelkich informacji, jakich potrzebowałam. Była wdową. Jej rodzice już nie żyli. Miała jedną, jedyną siostrę. Nazywała się Emma Lark.

Jeszcze tego samego wieczoru powędrowałam do pokoju, w którym znajdowały się akta pracownicze, otworzyłam niezamykaną na klucz szafę i wyszukałam wszystkie dokumenty z nazwiskiem Emmy. Były tam fotokopie jej prawa jazdy, akt urodzenia i karta ubezpieczenia socjalnego. Zrobiłam odbitki, kopie wsunęłam do akt, a resztę schowałam do wewnętrznej kieszeni w mojej walizce.

Emma Lark wydawała się spóźnionym darem od losu – kobieta, prawie moja rówieśniczka, umierająca w miasteczku, które nawet nie posiada miejskiego cmentarza. Z takim imieniem i nazwiskiem z pewnością mogłabym swobodnie żyć, a przynajmniej mieć je w zapasie jako solidną alternatywę. Jeśli przez ostatnie pół roku czegoś się nauczyłam, to tego, że jedno nazwisko to stanowczo za mało.

Dziewiąty lutego dwa tysiące dwunastego roku

do Ryana

od Jo

Mam romans. Przypuszczalnie powinnam czuć się winna, ale to konkretne uczucie od dawna jest mi obce. Nie sądzę, żeby jeszcze kiedykolwiek działało w normalny sposób. Po sześciu latach uprawiania seksu wyłącznie z nim, to było jak naładowanie baterii. Wreszcie poczułam, że żyję. No, prawie. Zdecydowanie to nie jest miłość, jednak wydaje się o wiele bardziej rzeczywiste niż cokolwiek, czego zaznałam od czasu, gdy stałam się kimś innym.

On jest rehabilitantem. Od wypadku miałam problemy z kręgosłupem, ale żadnemu lekarzowi nie udało się

postawić właściwej diagnozy. Prześwietlenia rentgenowskie, rezonanse magnetyczne – żadne z badań niczego nie wykryło, a jednak ból nie ustępował. Czasami myślę, że to ból sumienia. Ale doktor Mike widzi to albo czuje jak jakiś szaman. Od razu, gdy tylko położył na mnie rękę, wiedział, że to po wypadku samochodowym. Chyba w tym momencie czułam, że jestem najbliższej bycia zrozumianą. Właściwie sama nie wiem, dlaczego Ci o tym opowiadam. Może po prostu potrzebuję się wypowiedzieć.

Czuję, że świat idzie do przodu, gdzieś tam toczy się ludzkie życie, ja zaś tkwię w tym nieszczęsnym miejscu i prowadzę jakieś półżycie, które nigdy nie stanie się niczym więcej.

Widzę, że nie rozwiązałaś problemu, a przecież powiedziałam Ci, żebyś rozwiązała. Wciąż łamiesz mi serce.

Jo

Dziesiąty marca dwa tysiące dwunastego roku

do Jo

od Ryana

Wszyscy bardziej wegetujemy, niż żyjemy. To dotyczy nie tylko Ciebie.

Rozdział dwunasty

Przebywałam w John Allen Campbell Primary School zaledwie od miesiąca, kiedy ściany dziecięcego domu Johna Allena stały się w moim odczuciu bardziej więzieniem niż spokojną przystanią. W ciągu dnia przy życiu trzymał mnie szturm pytań, napady złego humoru, wszechobecne plotki oraz wrzaski, które z całą pewnością nieustannie czyniły krzywdę moim bębenkom słuchowym. Nocami snułam się po opustoszałym budynku niczym powracający z zaświatów duch.

Deszczowe dni źle wpływały na moją równowagę psychiczną, podobnie jak na humory dzieci. Wszyscy coraz bardziej mieliśmy dość uwięzienia w ciasnych ścianach szkolnych klas. Dzieciaki nie są stworzone do tego, by przez cały długi dzień siedzieć zamknięte w ogromnym domu. Choć stary dom Campbellów był dość obszerny jak dla jednej rodziny, spróbujcie stłoczyć klasę energicznych ośmio-, dziewięcio- i dziesięciolatków w antycznej sypialni, wciąż przyozdobionej tapetami w złote liście i z grubymi zasłonami z aksamitu. Zamiast przy oddzielnych biurkach, uczniowie zajmowali miejsca przy starych stołach z jadalni, przypuszczalnie przyniesionych z okolicznych domów, które popadły w ruinę. Wszystkie leworęczne dzieci musiały siedzieć na samym końcu, żeby uniknąć rozpychania się i trącania łokciami.

W przypadku niepogody zaganialiśmy dzieciaki do dawnego salonu, który został przerobiony na coś w rodzaju audytorium. Wyobraźcie sobie jakikolwiek salon, a potem dodajcie kilka płyt sklejki, które zostały zbite gwoździami i wsparte na prowizorycznych nogach, oraz wiszące przed nimi aksamitne zasłony w jaskrawym kolorze. Trzy tuziny składanych krzeseł zapewniały miejsca do siedzenia.

Przyglądałam się Melissie, wyjątkowo poważnej uczennicy trzeciej klasy, kiedy bawiła się w najbardziej posępną wersję gry w chowanego, jaką kiedykolwiek miałam okazję obserwować. Wszyscy moi pozostali uczniowie

najwyraźniej w pełni akceptowali to, co zaproponowała. Nolan pozostał całkiem na widoku, chowając się w szparę między zasłonami, a za kamuflaż posłużyła jego brunatnoczerwona bluza. Malutka Lola zdołała wcisnąć się pod stos krzeseł i nakryła leżącymi na nich płaszczami przeciwdeszczowymi. Andrea zamknęła się w przebieralni, która rozmiarami przypominała szafę, zaś rudowłosa Martin zasnął pod kawałkiem brezentu. Melissa – jedynaczka, jak później się dowiedziałam – przycupnęła pod obramowaniem estrady i wybuchnęła nieopanowanym chichotem, dzięki czemu w ciągu paru sekund została namierzona przez Andrew, najwyraźniej rozczarowanego faktem, że tak łatwo mu poszło.

Resztę czasu podczas przerwy na lunch spędziłam na oprowadzaniu Melissy po audytorium i wskazywaniu jej, gdzie mogła się schować – pod stosem plecaków, w szafie dozorczy, pod konstrukcją estrady (choć nie mogłam ręczyć za solidność rusztowania), w damskiej toalecie (wystarczyło stanąć na muszli klozetowej i nie zamykać drzwi na zasuwkę) albo pod własnym płaszczykiem, gdyby tylko powiesiła go na jednym z krzeseł. Kiedy stało się jasne, że Melissa osiągnęła maksymalny poziom nasycenia wiedzą, pochyliłam się, spojrzałam jej prosto w oczy i postarałam się dotrzeć do niej z krótkim przekazem.

– Zabawa w chowanego to jedynie zwykła zabawa, ale musisz rozegrać ją po swojemu.

Czasami, stojąc przed tablicą i widząc tę całą niewinność, która odwzajemniała moje spojrzenie, starałam się myśleć, że jednak moja egzystencja do pewnego stopnia przypomina normalne życie. Niemniej jeśli chciałam posklejać je do końca, musiałam wydostać się spomiędzy ścian John Allen Campbell Primary School. Moje życie w wystarczającym stopniu było więzieniem, należało więc udawać przynajmniej sama przed sobą, że jestem wolną kobietą. Minęło parę tygodni, zanim pozwoliłam sobie na wypad do miasta; do chwili otrzymania pierwszego czeku musiałam oszczędzać dosłownie każdego centa. Gdy tylko dostałam do rąk czek, pojechałam dwa miasteczka dalej, do miejscowej kasy oszczędnościowo-pożyczkowej, i tam zamieniłam go na gotówkę. Siedem setek od razu schowałam do koperty i wetknęłam pomiędzy antyczny materac i skrzynię ze

sprężynami. Tam moje pieniądze nie powinny wzbudzić niczyjego zainteresowania. Przynajmniej nie będę musiała przejmować się ograniczeniami wypłat z bankomatu, jeśli kiedykolwiek znów zdarzy mi się uciekać.

Recluse, jak każda miejscina na skraju wymarcia, przypominała zbieraninę sklejoných razem pudełek, na których ktoś namalował okna. Znajdował się tu także niewielki sklep spożywczy, w którym na półkach królowały puszki oraz przywiędłe warzywa, była też jedna jadłodajnia oraz dwa bary. Nauczyciele czasami po pracy zaglądali do lokalu o nazwie Homestead, ale ja zawsze odrzucałam ich zaproszenia. Wystarczająco ryzykowne wydawało się, że muszę spędzać w towarzystwie tych samych ludzi sześć albo i więcej godzin dziennie, i z pewnością nie zamierzałam brać udziału w zajęciach powodujących rozwiązywanie języka i rozluźnianie hamulców. Znalazłam więc inny wodopój. Na przeciwnym końcu miasteczka i tylko dwa kilometry od szkoły.

Kiedy wkraczasz do baru po raz pierwszy, możesz udawać każdego; narzucasz pewien styl, który potem będzie ci towarzyszył przy kolejnej wizycie. Przez cały dzień byłam panią Maze, której towarzyszyły lepkie paluszki i wysokie głosiki wydzierające się na wyścigi w celu zwrócenia mojej uwagi. Dopiero w Lantern mogłam zaznać spokoju, którego odmawiano mi za dnia.

Usadawiłam się przy barze i zamówiłam kufel lanego piwa. Już wywietrzały mi z głowy pomysły wyposażenia Debry Maze w bardziej wyrafinowane upodobania. Nawiasem mówiąc, piwo wydawało się doskonałą odskoczną po zapierającej dech w piersiach lekcji z gramatyki. Tak, koń to rzeczownik; widelec też jest rzeczownikiem, podobnie jak opona. Jednak gdy starałam się wyjaśnić, że „siła”, „odwaga” i „upór” to także rzeczowniki, wyczułam w klasie coś w rodzaju buntu.

– Hej, jeszcze cię tu nie widziałem – odezwał się barman i nie było to pytanie.

– Faktycznie, jestem tu po raz pierwszy – próbowałam z góry zaplanować przebieg rozmowy, wiedząc, jak może być niebezpieczna.

– Do diabła, co cię sprowadza do Recluse?

– No cóż, to dobre pytanie – odparłam.

Niektórzy ludzie są zupełnie zadowoleni, kiedy ich pytanie dynda w powietrzu jak imiesłów – na szczęście w tym roku nie przewidziano tego tematu w szkolnych planach nauczania.

– Mam na imię Sean, jakbyś czegoś potrzebowała.

Domyśliłam się, że właśnie on należy do gatunku ludzi, którzy lubią, jak ich pytania pozostają bez odpowiedzi.

Sączyłam piwo, jednocześnie powtórnie czytając *From the Mixed-Up Files of Mrs. Basil E. Frankweiler*. Wybrałam dla swojej klasy tę właśnie książkę, ponieważ miło ją wspominałam z czasów własnego dzieciństwa. W książce brat z siostrą uciekają z domu i znajdują schronienie w Metropolitan Museum of Art. W moim rodzinnym mieście oczywiście nie było żadnego muzeum, ale kiedy miałam jedenaście lat, udało mi się włamać do miejscowej biblioteki i spędzić tam całutką noc. Co prawda to doświadczenie nie okazało się tak podniecające jak oczekiwałam, a w dodatku narobiłam sobie cholernie dużo problemów, ale sama świadomość, że potrafię to zrobić – wślizgnąć się niepostrzeżenie pomiędzy półki, podczas gdy pani Cragmire zajmowała się wyprasaniem stałych bywalców – wywołało we mnie coś w rodzaju dumy.

Układałam plan zagadnień i pytania do dyskusji – *Gdybyś mógł włamać się do jakiegoś zakładu w Recluse, to co byś wybrał?* – i kątem oka przyglądałam się pozostałym klientom, żeby wyrobić sobie pogląd na pytanie, co mogło skłonić kogokolwiek do przeprowadzki do miasta, w którym stosunek liczby barów do liczby jadłodajni wynosi dwa do jednego. Najwyraźniej chodziło im bardziej o oderwanie się od rzeczywistości niż o napitek.

Sean spytał, czy chcę powtórzyć, i kiedy przesunął po blacie półlitrowy kufel w kierunku moich notatek, nareszcie domyślił się, z kim ma do czynienia.

– Ty chyba jesteś tą nową nauczycielką.

Przyjrzałam mu się, kiedy po raz drugi przechodził obok. Trudno było odgadnąć, ile ma lat. Równie dobrze mógł mieć czterdzieści osiem, co sześćdziesiąt pięć. Był szczupły i zwinny jak pantera, zaś jego twarz poorana była głębokimi, symetrycznymi zmarszczkami, które sugerowały skłonność do częstego uśmiechu. Pod ciężkimi, obwisłymi powiekami ukrywały się

ciemnobrązowe oczy. Włosy stanowczo wymagały przystrzyżenia, ponieważ co chwila niecierpliwym machnięciem odgarniał spadającą na czoło grzywkę, zupełnie jakby odganiał muchę. Zauważyłam, że ma wszystkie zęby, a to więcej niż mogłabym powiedzieć o reszcie obecnego tu towarzystwa. Nosił strój typowy dla mieszkańców tego miasteczka: gładki T-shirt, znoszone niebieskie dżinsy i buty, które wyglądały tak, jakby widziały o wiele więcej niż tylko poplamioną od piwa podłogę w barze.

- Tak, to ja – potwierdziłam.
- Słyszałem co nieco na twój temat.
- Co takiego słyszałeś?
- Słyszałem, że lubisz mapy drogowe.
- No cóż, musisz mieć dobrego informatora.
- Owszem – odparł z ledwo dostrzegalnym uśmiechem.
- Domyślałam się, że w takiej małej miejscinie ludzie plotkują na całego.
- Mam lepsze źródło niż miejscowe plotki – odparł.
- Teraz naprawdę zaczynam być ciekawa.

Może w moim głosie pojawił się cień napięcia, a może nie. Starłam się zachować spokój i pogodny wyraz twarzy, chociaż wcale mi się nie spodobało, że ludzie gadają coś na mój temat i wyciągają jakieś wnioski.

- Po prostu mój wnuk chodzi do twojej klasy.

Niepokojące mrowienie na karku ustąpiło.

- Naprawdę? A jak ma na imię?
- Andrew.
- Andrew... – powtórzyłam jak echo.

Teraz rzeczywiście dostrzegałam pewne podobieństwo, co często zdarza się tylko w takich okolicznościach. Obaj mieli takie same czerwone usta, zaś oczy Andrew wydawały się nieco zbyt poważne jak na ośmiolatka, kiedy się głębiej nad tym zastanowić.

- I co? Zrobił na tobie wrażenie? – pytał Sean.

Zrobił. Matka Andrew zawsze przyjeżdżała za późno, żeby go odebrać, więc siadywałam na werandzie i czekałam razem z nim, ponieważ nie

musiałam donikąd się spieszyć. Wtedy mogliśmy w spokoju pogadać o prezydentach. No cóż, właściwie to Andrew gadał. Podobno Franklin Roosevelt jako dziecko nosił sukienki; Abraham Lincoln był koncesjonowanym barmanem; Grover Cleveland pełnił funkcję kata, zaś Andrew Johnson zarabiał na życie, szyjąc ubrania. Całkiem możliwe, że Andrew – dziecko, nie prezydent – nauczył mnie więcej niż ja jego. Może nie świadczy to najlepiej o naszym systemie oświaty, ale miejmy nadzieję, że niewykwalifikowane nauczycielki pracujące pod cudzym nazwiskiem są jednak wyjątkami.

Pochyliłam się ponad blatem.

– Powiem ci prawdę, on jest moim ulubieńcem – wyszeptałam.

– Moim także – odpowiedział Sean. – Dzięki tobie zaczął myśleć o miejscach innych niż Wyoming, o miejscach, które być może będzie chciał zobaczyć. Moja córka nie zna niczego poza tą miejsciną, więc nie opowie mu o szerokim świecie, ale mam nadzieję, że pewnego dnia on stąd wyjedzie. I sądzę, że to ty dajesz mu wskazówki, jak się wydostać z tej dziury. Mam nadzieję, że będzie o nich pamiętał, kiedy nadejdzie czas.

– Ja też mam nadzieję – uśmiechnęłam się.

Jakiś klient o imieniu Dave, zakurzony po pracy od stóp do głów, podszedł do baru, a Sean, nie czekając na zamówienie, nalał mu drinka.

– Umiesz czytać w myślach – powiedział Dave.

– Na zdrowie – odparł Sean.

Żadne pieniądze nie przeszły z rąk do rąk; wystarczył lekki gest, by potwierdzić transakcję. Dave wrócił do swojego stołu, zaś Sean przetarł ścierką i tak lśniący czystością blat. Albo miał taki zwyczaj, albo po prostu szukał pretekstu, żeby kręcić się w pobliżu. Przez chwilę udawał, że próbuje wytrzeć jakąś plamę, choć plama wyglądała raczej na zadrapanie, które można zamazać jedynie papierem ściernym.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał w końcu.

– Piję piwo. No dobrze, dwa piwa, a żeby uczciwie stawiać sprawę, pewnie skończy się na trzech.

– Nie. Pytam, co robisz tutaj, w Recluse.

– A co robią wszyscy inni? Każdy przecież musi gdzieś być.

– Rozejrzyj się – odparł Sam. – Wszyscy, którzy siedzą teraz w barze, urodzili się w tym miasteczku. Większość miała plany, żeby wyjechać stąd wcześniej czy później, ale w którymś momencie okazało się, że dali się schwytać w pułapkę jak dzikie zwierzęta i że brakuje im sprytu, żeby otworzyć to imadło.

– Co było twoją pułapką? – spytałam.

– Ten bar. Pracowałem tutaj kilka lat po tym, jak skończyłem osiemnastkę... Zbierałem forszę, żeby pojechać na Alaskę, gdzie jak słyszałem, zarabia się prawdziwe pieniądze. Ale Homer, właściciel tego przybytku, nie miał żadnych krewnych, więc kiedy dostał raka płuc, po prostu przepisał wszystko na mnie.

– Och, to bardzo wspaniałomyślny gest – zauważyłam.

Sean w końcu odłożył ścierkę, postawił na stole dwie szklaneczki i nalał do nich coś naprawdę przyzwoitego.

– Naprawdę? – spytał. – Wiesz, ostatnio myślałem sobie, że Homer dokładnie wiedział, co robi. Wracając do tamtych czasów, kiedy gadałem z nim o wydostaniu się stąd, o uwolnieniu od Recluse, Homer uwielbiał rozwalać w proch moje marzenia, podcinać mi skrzydła. Chyba lubił myśleć, że innych czeka ten sam żalosny los, który stał się jego udziałem. Wtedy nie czuł się tak cholernie sam jak w innych sytuacjach. Tak więc, według mnie, jego wspaniałomyślny dar tak naprawdę był przekleństwem, i on świetnie o tym wiedział. Ostatnim czynem, którego dokonał, opuszczając ten świat, było upewnienie się, że ktoś pójdzie w jego nieszczęsne ślady.

– To dość ponura teoria – mruknęłam.

Sean wzruszył ramionami i przesunął w moją stronę jedną ze szklaneczek, a następnie uniósł drugą w toaście.

– Za co wypijemy? – spytałam.

– Za plany ucieczki?

– Czyje?

– Każdego, kto ma jaja – odpowiedział.

Trąciliśmy się szklaneczkami. Przełknęłam jednym haustem całą zawartość, położyłam na blacie kilka banknotów i zsunęłam się ze stołka.

Sean skinął głową tak nieznacznie, że ledwo dostrzegłam jego gest.

– Przyjdź jeszcze kiedyś – powiedział.

– Pomyślę o tym – rzuciłam na pożegnanie.

Już wiedziałam, że wrócę. Po prostu nie miałam dokąd pójść.

Następnego dnia razem z Andrew siedzieliśmy na werandzie, kiedy Cora wyszła na zewnątrz i wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć, co dzieje się na drodze.

– Widziałaś tego faceta? – spytała.

– Jakiego faceta?

– Tego gościa, który już wcześniej obserwował naszą szkołę. Stał tuż za płotem, kiedy dzieciaki wybiegły na lunch. A potem zauważyłam go jeszcze raz przez okno w mojej sali.

– Próbował zagadać do któregoś z dzieci?

– Nie. Po prostu stał i patrzył, jakby kogoś szukał.

– Może to ktoś z rodziny jednego z dzieciaków albo jakiś krewny?

– Znam wszystkich krewnych naszych uczniów – odparła krótko.

– Naprawdę? – zdziwiłam się.

– Tak – powiedziała Cora. – To takie miasteczko.

– Będę mieć oczy szeroko otwarte – obiecałam. – Ale to pewnie nic szczególnego.

Rzecz w tym, że byłam przekonana, że to na pewno coś oznacza. Wiecie, jak człowiek chodzi, kiedy się potknie? W takim stanie znajdował się mój umysł.

– Czy była pani kiedyś w Metropolitan Museum of Arts? – zapytał Andrew.

Rozmawialiśmy o naszym klasowym zadaniu i Andrew skoncentrował się nie na tym, że ktoś włamał się do muzeum i spędził tam noc, lecz że muzeum sztuki to coś, co posiadają jedynie wielkie miasta. Nie chodziło o to, że nigdy nie był w żadnym miejscu godnym zwiedzania – był w Grand Tetons, w muzeum kowbojów – ale że zrozumiał, że istnieje świat wykraczający poza

jego wyobrażenia. Z kolei ja musiałam kłamać jak najęta, bo także nie miałam zbyt bogatych doświadczeń w tym względzie.

– Obawiam się, że nie – przyznałam.

– A była pani w Nowym Jorku?

– Nie.

– Hm... – popatrzył na mnie z rozczarowaniem, jakby część mojego blasku nagle przygasła.

Ach, gdyby tylko wiedział...

Na szczęście zanim Andrew zdążył głębiej zbadać moją nikłą znajomość wielkiego świata, matka przyjechała go odebrać.

Recluse nie stwarzało wielu możliwości wyboru drogi życiowej. Przebywałam tu zaledwie od miesiąca, a już kroczyłam utartą ścieżką. Przez cały dzień odbywały się lekcje, popołudniami sprzątanie klasy, kilka wieczorów w tygodniu spędzałam w mieszkaniu, robiąc kluski na gorącej blasze i przygotowując się do zajęć na następny dzień. Pozostałe wieczory, w tym przynajmniej jeden weekendowy, przesiadywałam w Lantern. Zwykle zamawiałam dwa drinki, rzadko trzy, bo sama wiedziałam, kiedy muszę przestać, żeby nie zalać się w trupa.

Któregoś wieczoru – jednego z tych z trzema drinkami – Sean zaprosił mnie na urodziny Andrew. Z tej okazji w kolejny weekend miała odbyć się wycieczka na Dead Horse Lake – następna nazwa, która nie budziła zaufania. Sean zamierzał wziąć łódkę swojego kumpla i zabrać wnuka oraz kilkoro przyjaciół rodziny na połów ryb. Może przyjdzie jeszcze któreś z dzieci z klasy, powiedział, ale jak dotąd nikt nie potwierdził obecności. Pewnie gdyby to był wieczór z jednym drinkiem, zachowałabym wystarczającą trzeźwość umysłu, by zastanowić się, czy mądrze jest spędzać cały dzień na brataniu się z miejscowym towarzystwem, ale w chwili słabości przyjąłam zaproszenie.

Tak więc w następny weekend wsiadłam do łódki, wzięłam do ręki wędkę, którą Sean przyniósł specjalnie dla mnie, a następnie usiadłam, wpatrując się w pochmurne niebo i czekając, aż coś złapie przynętę. Andrew narzekał na chłód w powietrzu. Na łódce znalazł się też jeden jego przyjaciel, chłopiec

o imieniu Clark. Chodził do klasy o rok niżej, miał skrzywioną przegrodę nosową i bardzo seplenił. Łatwo było zauważyć, że Andrew nie darzy Clarka wielką sympatią, ale widocznie uznał, że lepiej mieć coś niż nic – tę złotą myśl musiałam już dawno sobie przyswoić. Poza nami na pokładzie *Królewskiej Fortuny* – jak się dowiedziałam, właściciel łódki uwielbiał historie o piratach – znalazła się też wiecznie spóźniająca się matka Andrew, Shawna, oraz jej partner Cal, który, o ile zdołałam się zorientować, miał chyba wyznaczony dzienny limit słów do wypowiedzenia. Na pytania udzielał tak minimalistycznych odpowiedzi, że zachwyciłby każdego mnicha, który złożył śluby milczenia. Jeśli zamiast „tak” lub „nie” wystarczyło skinienie głową, Cal wybierał tę właśnie opcję. Sean zaprosił także kilku swoich kumpli od łowienia ryb – przyjaznych, strzaskanych słońcem facetów, którzy wydawali się o wiele bardziej zainteresowani chłodzącymi się butelkami bud light niż hojnością jeziora.

Okolo południa zerwał się wiatr i niebo skłębiło się szaroniebieskimi, ociekającymi wilgocią chmurami. W chłodzie powietrza czuć było zbliżający się deszcz. Nie odpłynęliśmy zbyt daleko, więc Sean zaproponował, żebyśmy przeczekali niepogodę, mimo że łódź kołysała się coraz mocniej, Andrew zaś nalegał, żeby wracać na brzeg. Oczywiście nikt niczego nie złapał. W pewnej chwili Clark przechylił się nad barierką i walczył z całych sił, żeby powstrzymać się przed wyrzuceniem zawartości żołądka wprost w zmierzwione fale.

Wzięłam jedną z butelek, otworzyłam, ale zaraz jakaś siła cisnęła mnie na pokład tuż przy dziobie łodzi. Całe piwo wylało mi się na koszulkę. Usłyszałam, jak ktoś zawył, ale gdy spojrzałam na miejsce, gdzie przed chwilą tkwił Clark, nie zobaczyłam tam żywej duszy.

Moi towarzysze jak urzeczeni gapili się w niebieskawą otchłań; panika tłoczyła im w żyłach krew, lecz jednocześnie kleiła stopy do pokładu. Natychmiast zrzuciłam buty, kurtkę i skoczyłam za burtę.

Zanurzenie w lodowatej wodzie na moment sparaliżowało mi oddech. Wypłynęłam na powierzchnię lekko wzburzonych fal, gulgotząc, nabrałam powietrza i znowu się zanurzyłam. W mrocznej wodzie niewiele dało się zobaczyć. *Cholera, w tym zapomnianym przez Boga bajorku nie ma żadnych ryb*, pomyślałam ze złością. Niestety, nie było również Clarka.

Paroma kopnięciami wydostałam się na powierzchnię, żeby sprawdzić, czy dał jakiś znak życia. Z pokładu wszyscy machali, żebym płynęła w kierunku dziobu. Kraulem udało mi się pokonać prąd, ciągnący mnie w przeciwnym kierunku. Zanurkowałam ponownie i kątem oka udało mi się dostrzec mignięcie pomarańczowej wiatrówki, w którą ubrany był Clark. Całe szczęście, że wybrał taki kolor. Najpierw udało mi się złapać brzeg rękawa, następnie zagarnęłam w bezwzględny uścisk większą część materiału, aż w końcu zdołałam drugą ręką objąć Clarka w pasie i wydobyć go ponad wzburzoną powierzchnię wody. Biedak bulgotał i krztusił się, ja zaś zauważyłam koło ratunkowe rzucone przez Seana. Na grzbiecie podpłynęłam w tamtą stronę i zahaczyłam je wolną ręką.

Clark szamotał się w moich objęciach, wciąż zamroczony panicznym strachem. Nie byłam pewna, w jaki sposób zdołamy podciągnąć go na łódź, ale Sean szybko odzyskał władzę w nogach i spuścił nam linę. Obwiązałam Clarka pod pachami, a załoga przez górną część burty wciągnęła go do środka. Kiedy bezpiecznie znalazł się na łodzi, podpłynęłam delfinem do pontonowej drabinki i wspięłam się na pokład.

Razem z Clarkiem tłoczyliśmy się pod kocem, podczas gdy Sean skierował łódź z powrotem do przystani. Bardzo się spieszył, więc zapomniał z luzować przepustnicę i wbił się w plażę z takim hukiem, że właściciel łodzi zapłakał gorzkimi łzami.

Andrew, Clark i ja pojechaliśmy razem z Seanem jego pick-upem z powrotem do Recluse. Ogrzewanie włączone było na pełną moc i pod koniec podróży widziałam na policzkach Andrew grube krople potu. Nie odezwał się ani słowem, tylko przenosił ostrożne spojrzenie ze mnie na Clarka i z powrotem.

– Wszystko w porządku, młody człowieku? – zażartował Sean, zwracając się do ociekającego wodą chłopaka.

Clark zająknął się nieco, ale zdołał przemówić.

– Ju-u-ż nie chce mi się rzy-y-gać.

Podwieźliśmy Clarka prosto pod dom rodziców. Okazało się, że to zwykła chata, w dodatku tak niewielka, że z trudem można było sobie wyobrazić, że w środku znajduje się więcej niż jeden pokój. Przez zaparowane szyby auta obserwowałam wymianę zdań. Zdaje się, że rodzice przyjęli wszystko ze

spokojem. Matka od razu zabrała Clarka do środka, żeby zdjął przemoczone ubranie, ojciec zaś skinął głową z poważną miną i poklepał Seana po ramieniu na znak, że nie żywi urazy. W którymś momencie Sean wskazał na mnie i wtedy ojciec podziękował mi eleganckim salutem. Przynajmniej tak mi się zdawało.

Andrew wspiął się na przednie siedzenie i zajął miejsce obok mnie.

– Nie mogę się doczekać, kiedy opowiem o wszystkim w szkole – powiedział.

Wtedy już wiedziałam, że moje dni w Recluse są policzone. Tylko nie zaczęłam jeszcze odliczania.

Rozdział trzynasty

Dostałam przezwisko Nemo, ponieważ Andrew opowiedział kolegom z klasy, że pływam jak delfin. Zamknięte w zabitej dechami dziurze dzieciaki nigdy nie słyszały o żadnych gwiazdach Sea World, więc nazwały mnie imieniem jedynej znanej im rybki. Shamu został pokonany. Miejscowy brukowiec poświęcił całej sprawie jedynie małą notkę. Na ogół unikałam jak ognia robienia fotek, lecz jeden z kolegów zdołał wykonać z oddali niewyraźne zdjęcie, kiedy w czasie gry w dwa ognie pełniłam funkcję sędziego. Na szczęście gazetka wydawana była przez emerytowanego dziennikarza, niezbyt skłonnego do stosowania nowoczesnych technologii, więc artykuł nigdy nie ukazał się w wersji online. Żeby zyskać pewność, że nikt się mną nie interesuje, wrzuciłam w wyszukiwarkę hasło „Debra Maze” i znalazłam kilka dziewczyn o takim nazwisku. Trafiłam nawet na jedną całkiem rzeczywistą – zaginioną dziewczynę z Ohio. Wyglądało na to, że przynajmniej chwilowo nic mi nie zagraża.

Byłam w błędzie.

Clark nie okazywał mi takiej sympatii, jakiej mogłam oczekiwać po tym, jak wyciągnęłam go z toni jeziora. Gdy tylko znalazł się w pobliżu, przyłapywałam go na tym, jak przygląda mi się ukradkiem. Jego wzrok sprawiał mi przykrość, zupełnie jakby na karku wyrósł mi kaktus, jednak kiedy próbowałam popatrzeć mu prosto w oczy, on od razu odwracał głowę. Witałam go uprzejmymi słowami, a wówczas mamrotał coś w odpowiedzi i prawie niezauważalnie kiwał głową.

Andrew dostrzegł niepokój Clarka i pewnego popołudnia wyraził swoje zdanie, gdy siedzieliśmy na werandzie, czekając na jego matkę.

– Wydaje mi się, że niektórzy chłopcy nie lubią być ratowani przez dziewczyny.

Chociaż przed chwilą prowadziliśmy dyskusję, czy Boston Tea Party

osiągnęła rezultaty w postaci dużej ilości zatrutych kofeiną ryb w porcie Boston, ta nagła zmiana ani trochę mnie nie zaskoczyła. Doskonale wiedziałam, co Andrew ma na myśli.

– Dlaczego poruszyłeś ten temat? – spytałam.

– Clark wygląda, jakby się bał... Bał się pani albo czegoś.

– Także to zauważyłam.

– Według mnie to nie w porządku. Pani uratowała mu życie i w ogóle... Powinien być wdzięczny.

– Nie ratuje się czyjegoś życia dla wdzięczności.

– Czy pani kiedyś to już zrobiła? – spytał Andrew. – Czy uratowała pani komuś życie?

– Tak mi się zdaje.

– A co pani zrobiła?

Dużo czasu minęło, odkąd rozmawiałam z kimś szczerze na temat mojej przeszłości. Łatwo mogłam uniknąć odpowiedzi, ale wobec dziecka najprościej jest być sobą. Nawiasem mówiąc, czułam, że ze wszystkich ludzi Andrew najbardziej zasługuje na prawdę.

– Wyciągnęłam z wody kogoś, kto w innym wypadku mógł utonąć – powiedziałam bez ogródek.

– Czy ta osoba też wypadła z łodzi?

– Nie. Została uwięziona w samochodzie, który spadł z mostu do rzeki.

– Ale dlaczego pani zjechała z mostu?

– Och, to dobre pytanie – nagle zdałam sobie sprawę, że mówię za dużo.

– Widzi pani, ja byłem pewien, że pani już kiedyś to zrobiła – oznajmił Andrew.

– Tylko ten jeden raz.

– Czy to był chłopiec, czy dziewczyna, którą pani uratowała?

– Chłopiec.

– I jak, był potem wdzięczny?

Nagle w gardle urósł mi kłęb waty. Przez chwilę nie byłam pewna, czy zaraz się nie rozpłaczę.

– Nie. Nie był.

Czułam, że Andrew ma na końcu języka następne pytanie, ale akurat jego matka podjechała pod szkołę, więc posłusznie zebrał swoje książki.

– Do jutra, Miss Maze.

– Do jutra, Andrew.

Zobaczyłam tego mężczyznę, gdy pontiac Shawny już dawno odjechał. Stał po drugiej stronie zupełnie pustej ulicy i obserwował mnie, albo może wcześniej obserwował Andrew. Kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, myślałam, że zaraz odejdzie. Każdy normalny człowiek wie, że w tych czasach kręcenie się w pobliżu szkoły jest podejrzane, niezależnie od prawdziwych intencji. Jednak zamiast sobie pójść, on stał tam i pozwalał, żebym zapamiętała jego twarz na potrzeby portretu.

Wyglądał całkiem zwyczajnie, oczywiście jeśli nie liczyć tego nieruchomego spojrzenia. Miał na sobie źle uszyte brązowe spodnie i zapinaną na guziki niebieską koszulę oraz nieco wymiętą wełnianą kamizelkę. Zamiast zwykłych butów nosił zdarte pionierki, doskonale nadające się do szybkiej ucieczki. Spoglądał z ukosa swoimi piwnymi oczami i przez chwilę gapiliśmy się na siebie, oddzieleni wąską nitką jezdni. W końcu wstałam i zeszłam ze schodków w nadziei, że może się odezwie.

– Piękne popołudnie, nieprawdaż, madame? – powiedział, leniwie przeciągając słowa.

– Kim pan jest? – spytałam.

Miałam nadzieję, że ucieknie, ale nie uciekł.

– Myślę, że bardziej stosownym pytaniem będzie, kim *pani* jest, madame.

Wtedy ten zwyczajnie wyglądający mężczyzna skinął mi głową na pożegnanie i odszedł.

Poszłam do Lantern, żeby się napić i ukoić nerwy. Jeszcze nie ustaliłam z barmanem stałego zamówienia, ale Sean nalał mi whisky, zanim zdążyłam usiąść. Jak się okazało, właśnie tego było mi trzeba. Wlałam w siebie alkohol

tak gładko jak szklanekę wody podczas upalnego dnia. Nic nie mówiąc, barman uzupełnił zawartość szklaneczki. Porozumiewaliśmy się bez słów, jedynie za pomocą skinień głową i uniesień brwi. Sean uważał, że wyglądam na zmęczoną. Zgodziłam się z tą opinią. Nieustająca czujność – konieczna, kiedy życie może oszukać cię w każdej chwili – w końcu zaczęła zbierać żniwo, a czuwanie nawet we śnie okazało się wyczerpujące.

Drzwi do baru otworzyły się z jękiem i zaraz zamknęły. Błysk dziennego światła zamigotał i znikł. Ciężkie, podkute buciory załomotały niespiesznie po betonowej podłodze, wplatając się w rytm piosenki Johna Fogerty’ego, która snuła się w tle. Mężczyzna w buciorach zajął miejsce przy barze, oddalony ode mnie zaledwie o jeden stołek. Czułam, że to on, jeszcze zanim przemówił, zanim miałam okazję rozpoznać głos, zanim ujrzałam twarz, którą widziałam już wcześniej... Wiedziałam także, że przyjechał tu po mnie, choć na razie nie odrywał wzroku od lśniącego rzędu butelek na lustrzanej ścianie za barem. Nawet jeśli chciał napotkać w lustrze moje spojrzenie, nie mogłam tego zauważyć. Siedziałam ze wzrokiem wbitym w swojego drinka i starałam się zniknąć.

Sean podszedł do nowego klienta.

– Co podać?

– Podwójnie to, co ona pije – brzmiała odpowiedź.

Ten głos mnie przeraził, choć zasadniczo jego brzmienie podobało mi się. Był głęboki i pełny, bez nosowania, które często spotyka się w rolniczych rejonach. Nie odezwałam się, wciąż pełna szaleńczej nadziei, że w jakiś sposób wymknę się stąd niezauważona. Sean nalał nieznanemu dwie szklaneczki whisky, ja w tym czasie dokończyłam drinka i powoli zaczęłam zsuwać się ze stołka. Już myślałam, że uda mi się bez problemów opuścić bar, gdy nagle jedna szklaneczka znalazła się tuż przede mną.

– Napij się ze mną, Debra.

To ściągnęło uwagę Seana, ponieważ dotąd przychodziłam i wychodziłam z baru sama, jedynie z torbą rozmaitych książek, nie wykazując najmniejszej chęci do zawierania znajomości z kimkolwiek poza Seanem.

– Czy to twój przyjaciel, Debra?

– Nie widzieliśmy się od bardzo dawna – odpowiedział za mnie. – Ale

Debra zrobiła wrażenie.

– Owszem – zgodził się Sean.

Musiał wydawać mu się bardziej przyjazny niż złowrogi. Zauważyłam, że mężczyźni często nie potrafią odczytać mrocznego podtekstu.

Sean wyciągnął rękę do nieznanego.

– Jestem Sean. Właściciel tego przybytku.

– A ja Domenic. Klient.

– Miło cię poznać. Skąd znasz naszą Debrę?

Tym razem za próbę podtrzymania rozmowy mogłam winić jedynie Seana. To, co wzięłam za żartobliwość, było z jego strony zamaskowaniem palącej potrzeby, żeby czegoś się o mnie dowiedzieć.

– Och, to długa historia – odparł Domenic.

– No cóż, w takim razie zostawiam was, żebyście mogli się nagadać.

W końcu zmusiłam się, żeby popatrzeć na Domenica, co musiało być dla niego nie lada sensacją. Chciałam odkryć jego zamiary, ale on niczego nie dał po sobie poznać.

Byliśmy dobraną parą.

Domenic obrzucił mnie uważnym spojrzeniem z lekką dozą rozbawienia. Gdy ostatni raz się widzieliśmy, byłam blondynką z niebieskimi oczyma, nie nosiłam letnich sukienek ani trampek poplamionych lakierem do paznokci. Właściwie sama ledwie widziałam te kropki lakieru, kiedy wbiłam spojrzenie w podłogę, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego.

– Wyglądasz jakoś inaczej, Debra. Co się stało?

– Obcięłam włosy.

– Podobasz mi się. Ale co jeszcze się zmieniło? Wyglądasz bardziej *naturalnie* albo coś w tym guście.

Uciekaj! Taką wiadomość wysyłało mi moje ciało. Wiedziałam jednak, że jeśli posłucham, całe dotychczasowe życie, jakiegokolwiek było, będę mogła wyrzucić do śmieci. Nowe życie pozostawało wielką niewiadomą, a już widziałam, co niewiadoma może dla mnie oznaczać. Wcale nie miałam na to ochoty.

Nagle Domenic przykrył dłonią moją dłoń.

– Nie odchodź – poprosił. – Wypij ze mną drinka.

Szybko przełknęłam whisky w nadziei, że pomoże mi odzyskać równowagę, ale zamiast tego poczułam się tak, jakbym stąpała po grząskim gruncie. Starłam się pamiętać, że z tym nie należy walczyć.

– Co tutaj robisz? – zapytałam.

– Wpadłem z wizytą – odpowiedział i gestem przywołał Seana, żeby nalał nam następną kolejkę.

– Czego chcesz? – tym razem spojrzałam mu prosto w oczy.

– Och, to skomplikowane pytanie... Szczerze wątpię, czy zdołam dać odpowiedź w ciągu jednego dnia.

– Dlaczego tu jesteś?

– Muszę powiedzieć, że masz najpiękniejsze p... piwne? oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Piwne... Hm... Muszę przyznać, że pamiętam inny kolor. Mimo to nadal do ciebie pasują.

To nie wyglądało dobrze. Gliniarz wpada na mój trop w nowym mieście, gdzie przeszłam pewną transformację, która bardziej przypomina przebranie niż poprawienie urody. Do diabła, całkiem możliwe, że odkrył, kim naprawdę jestem, albo przynajmniej kim byłam. Nie miałam pojęcia, co Domenic wie albo czego nie wie, lecz w tym momencie wydawało się pewne, że gra dobiegła końca. Dokończyłam więc drinka, ponieważ o ile się orientuję, za kratami trudno o whisky – przynajmniej o taką, którą robi się w beczce, a nie w kiblu.

– Ta wersja bardziej mi się podoba – powiedział Domenic.

Do baru wpadło kilku kolejnych klientów – Glen, mechanik z miejscowej stacji benzynowej, i jego kumpel Buddy, miejski elektryk, choć większość pracy wykonywał w Jackson. Obaj mieli dzieci w John Allen Campbell Primary School.

– Och, Miss Maze – zawołał Glen, uchylając wyimaginowany kapelusz.

– Panowie – odpowiedziałam skinieniem głowy.

Domenic z uśmiechem obserwował tę wymianę grzeczności. Wykorzystał okazję, że zjawili się nowi goście, żeby przesiąść się na stół bliżej mnie. To

pozwoiliło nam prowadzić konwersację tak cicho, że nawet Sean nie mógł niczego podsłuchać, chociaż co chwila opierał się o bar, wycierając rzekome zabrudzenia.

– Jak cię tutaj traktują? – spytał Domenic.

– Całkiem dobrze, dziękuję. W Recluse wszyscy pilnują własnego nosa. Czego więcej można się spodziewać po tak małej miejscinie?

– Może jeszcze kinoteatru? – zastanowił się.

– Mamy tu wszystko, co istotne – odparłam.

– Czy to ci wystarcza?

– Czego chcesz? – powtórzyłam pytanie, ponieważ nieuchronnie zmierzaliśmy do pewnego punktu i moje wnętrzości skurczyły się ze zdenerwowania.

– Chcę wiedzieć, jaki sekret ukrywasz – wyszeptał mi wprost do ucha.

Lodowaty dreszcz spłynął mi po kręgosłupie. Z niechęcią muszę przyznać, że dość przyjemny.

– Może więcej niż jeden – odpowiedziałam w ten sam sposób.

– Ja *wiem*, że więcej niż jeden – odparł.

– Czy jest jakiś sposób, żebym zachęciła cię do wyjścia stąd?

– Owszem – odpowiedział. – Musisz wyjść razem ze mną.

– To małe miasteczko, jak raczyłeś zauważyć. Muszę mieć na względzie coś takiego jak reputacja.

– No cóż, nie mam zamiaru splamić pani reputacji, panno Maze. W takim razie spotkajmy się za godzinę przed budynkiem szkoły.

– Szkoły?

– Chyba tam mieszkasz, zgadza się?

Znowu ugrzęzłam w lotnych piaskach i gdy tylko zaczynałam walczyć, zapadałam się coraz głębiej.

– Za pół godziny – powiedział, wychodząc.

Chwilowo powinnam się odciąć. Trzeźwy umysł – przynajmniej tak

trzeźwy, jak mój był jeszcze dwie whisky temu – jest pożądany, kiedy musisz się zmierzyć z nieznanym, lecz moje nerwy brzęczały jak pęk kluczy więziennego strażnika. Sean musiał się czegoś domyślić; chyba czuł wibracje dobiegające z miejsca, gdzie siedziałam.

– Wszystko w porządku? – rzucił, serwując mi następną dawkę płynu, który spowalnia reakcje.

– Czuję się świetnie.

– To były chłopak?

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo wyglądasz tak, jakbyś starała się wepchnąć niedźwiedzia do nory susła.

– Dość niezwykle porównanie.

– Poza mną raczej nikt niczego nie zauważył, jeśli to trochę cię pocieszy.

– Trochę – przyznałam, rzucając parę banknotów na bar.

– Wychodzisz?

– No cóż, jest środek tygodnia, a ja i tak przekroczyłam swój zwykły limit. Jutro mam długą lekcję o sprzedaży Luizjany i lepiej będzie, jeśli odświeżę sobie pamięć, bo jeśli czegoś się dowiedziałam o dzieciakach w tym wieku, to tego, że wciąż pytają, ile co kosztowało. Nawet jeśli to coś, czego nigdy nie będą mogli kupić, na przykład jedna trzecia Stanów Zjednoczonych.

Zsunęłam się ze stołka i od razu poczułam, że trzymam się na nogach o wiele mniej pewnie niż wtedy, kiedy wchodziłam do Lantern.

– Powodzenia – powiedział Sean o wiele mniej obojętnym tonem niżbym chciała.

– Za późno – odparłam.

Wróciłam do John Allen Campbell Primary School nieco okrężną drogą. Zbliżając się do kamiennych schodów wiktoriańskiego budynku, zaczęłam rozglądać się w poszukiwaniu Domenica. Okrążyłam dom i znalazłam się przed wejściem. Usiadłam na werandzie, na której przesiadywałam z Andrew prawie każdego popołudnia i poczekałam kilka minut. Może Domenic się spóźni. W głębi duszy czułam szaleńczą nadzieję, że może zmienił plany, albo – skoro jest policjantem na służbie – może został wezwany w sprawie

jakiegoś przestępstwa kryminalnego. Widocznie miał bardziej niecierpiące zwłoki obowiązki niż jakaś tam przezorna nauczycielka w nowej fryzurze.

Kiedy upłynęło piętnaście minut, wstałam, otrzepałam się z kurzu i powędrowałam do bocznego wejścia, które prowadziło wprost do mojego skromnego mieszkanka. Włożyłam klucz w zamek, ale okazało się, że drzwi są otwarte.

Moja lampa do czytania była włączona, zaś Domenic leżał na łóżku, czytając zniszczone wydanie *From the Mixed Up Files of Mrs. Basil E. Frankweiler*.

Ledwie podniósł wzrok, kiedy weszłam do własnego domu.

– Co cię tak długo zatrzymało? – spytał.

– Zostałam na jeszcze jednego drinka.

Popatrzył na książkę.

– Pamiętam tę lekturę – oznajmił. – Cholera, jak jesteś dzieciakiem, myślisz, że możesz zrobić wszystko. Mieszkać w muzeum, zostać prezydentem, włamać się na parking z używanymi samochodami i wziąć na przejażdżkę corvette, latać...

– Naprawdę myślałeś, że możesz latać?

– Krótko. Może w tym czasie byłem pod wpływem.

– To wszystko tłumaczy.

– Ale potem człowiek dorasta i zdaje sobie sprawę, że ogranicza go prawo, natura, społeczeństwo... Wyobrażam sobie, że dla niektórych to musi być dość frustrujące – zamknął książkę i odłożył na nocną szafkę.

– Powinniśmy porozmawiać – powiedział.

Trzydziesty lipca dwa tysiące trzynastego roku

do Jo

od Ryana

Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć, a nie chciałem, żebyś dowiedziała się o tym podczas swoich zwyczajowych przechadzek po cyberprzestrzeni wzdłuż szlaku pamięci. Oficjalnie zostałam uznana za zmarłą. Twoja mama postarała się załatwić sprawę zaraz po tym, jak minęło siedem lat od Twojego zniknięcia.

Teraz już nikt nie będzie Cię szukał, co jak mam nadzieję, powinno ułatwić Ci normalne funkcjonowanie. Ludzie nadal gadają na Twój temat, ale już nie wierzą, że kiedykolwiek uda się Ciebie odnaleźć.

Może zerwanie więzi z przeszłością pozwoli Ci odzyskać spokój. Może nadszedł czas także dla nas, żebyśmy zerwali te więzy.

Na zawsze.

R

Piętnasty sierpnia dwa tysiące trzynastego roku

do Ryana

od Jo

Ja rzeczywiście umarłam siedem lat temu. Nie interesuje mnie oficjalna wersja... Tak z czystej ciekawości pytam, co ludzie mówią o mnie? Czy snują domysły, w jaki sposób umarłam?

Pierwszy września dwa tysiące trzynastego roku

do Jo

od Ryana

Naprawdę chcesz się w to zagłębiać? Pamiętaj, że większość plotek rozsiewają ludzie, z którymi chodziłaś do średniej szkoły. Sama wiesz, jakiego rodzaju kłamstwa potrafią opowiadać.

Trzynasty września dwa tysiące trzynastego roku

do Ryana

od Jo

Ryan, jeśli jest coś, co potrafisz robić lepiej niż inni, to kłamać jak najęty. Rozsiewać plugastwo. Chcę o tym posłuchać. Chcę też usłyszeć cokolwiek na temat Twojego domowego szczęścia. Widziałam zdjęcia z całego świata, które Twoja żona wrzuca do sieci. Wyglądasz o niebo lepiej, niż sugerują to Twoje napędzane poczuciem winy e-maile. Co Ty na to, żebyś dla odmiany raz powiedział mi prawdę? Nieważne, jak bardzo jest okrutna.

*Dwudziesty piąty września
dwa tysiące trzynastego roku*

do Jo

od Ryana

Proszę bardzo. Obecny konsensus, jako że nie zostałaś nigdy odnaleziona, wygląda następująco: utopiłaś się w Moses Lake od razu po wyjściu ze szpitala. Przywiązałaś sobie coś do kostki i po prostu skoczyłaś. Według niektórych teorii to była antyczna kotwica, inni sądzą, że postument spod znaku stop, który ukradłaś podczas polowania na zamiataczy ulic. Roger Bly (ten zwariowany dziwak od historii Stanów Zjednoczonych, wielbiciel Konfederacji) uważa, że to była zwykła, stara torba wypełniona kamieniami. Edie sądzi, że w końcu wybrałaś się w podróż do San Francisco, żeby skoczyć z Golden Gate Bridge. Słyszałem jeszcze bardziej fantazyjne bajeczki. Pojechałaś autostopem i zostałaś zamordowana podczas podróży – jako jedna z tysięcy zaginionych dziewcząt, które padają ofiarą nieznanymi sprawców. Jest jeszcze Eunice, obdarzona bardzo ponurą wyobraźnią, jak może pamiętasz. Eunice twierdzi, że zabiła Cię własna matka, żeby zmazać hańbę, i że zakopała Twoje ciało gdzieś daleko w lesie, który rozciąga się za waszym domem.

Już wystarczy?

Jedenasty listopada dwa tysiące trzynastego roku

do Ryana

od Jo

Czy pamiętasz, co się czuje, kiedy człowiek tonie? Co prawda poznałeś tylko pierwszy etap. Ten potężny ucisk w piersi. To boli. Przypuszczalnie boli bardziej niż to, co teraz czujesz. Ale ucisk zaraz ustępuje i zanim stracisz przytomność, już w ogóle nie cierpisz. Jest nawet przyjemnie. Dlatego ludzie mówią, że utonięcie to wcale nie jest zła śmierć. Bo koniec jest pełen spokoju. Być może powinnam była pozwolić, żebyś go zaznał. Ale skąd mogłam wiedzieć, że ocalenie Twojego życia oznacza ruinę mojego?

Śmierć przez utonięcie całkiem mi pasuje. Powiedzmy, że odeszłam w taki właśnie sposób. Kiedy będziesz o mnie myślał, wyobraź sobie mnie przywiązaną do wspaniałej, antycznej kotwicy gdzieś na dnie Zatoki San Francisco.

Jestem martwa, a więc już więcej o mnie nie usłyszysz. Do widzenia, Ryan.

Jo

Rozdział czternasty

– Proszę, rozgość się – powiedziałam. Nie starałam się być miła ani nie starałam się być niemiła.

– Zostawiłaś klucz pod tą uschniętą rośliną – wyjaśnił Domenic.

– To chyba nie jest równoznaczne z zaproszeniem, żeby wejść do środka.

– Przyjąłem, że raczej nie należysz do tego rodzaju osób.

– Takich, które zostawiają klucze pod uschniętymi roślinami? – spytałam.

– Do takich, które obdarzają innych zaufaniem.

– Zgadza się.

– Mimo to zostawiłaś klucz do swojego mieszkania w drugim co do oczywistości miejscu.

– Bo nie mam wycieraczki.

– Co sprawiło, że znalezienie klucza było jeszcze łatwiejsze.

– Domenic, czego ty ode mnie chcesz?

– Chcę cię zrozumieć.

– Być może to nigdy nie nastąpi.

– Chcę przynajmniej spróbować – odparł.

Wciąż nie mogłam rozeznaczyć jego intencji, choć na przestrzeni lat nauczyłam się odczytywać zamiary mężczyzn – być może dlatego, że pomyłka kosztowała mnie utratę wszystkiego. Zwróciłam uwagę, że Domenic zostawił buty porządnie ustawione tuż przy drzwiach, poddając się niepisanyemu regułom zachowania w domu. Powstrzymał się także od grzebania w moich rzeczach, co wydawało się niezrozumiałym krokiem u kogoś, kto stara się czegoś o mnie dowiedzieć. Doceniałam te niewielkie oznaki grzeczności; sądziłam, że najlepiej będzie, jeśli odegram gościnną panią domu.

– Jestem głodna – oznajmiłam jak gdyby nigdy nic. – Chyba zrobię sobie kanapkę z masłem orzechowym i konfiturą. Chciałbyś zjeść?

– Mam uczulenie na orzeszki ziemne.

– Naprawdę?

– Nawet nie masz pojęcia, jakie to okropne.

– No nie mam – przyznałam. – Może zrobić ci coś innego?

– Jeśli zaproponujesz coś do jedzenia, to nie odmówię.

Od razu zrobiłam kanapkę taką, o jaką prosił. Domenic pożarł ją w mgnieniu oka, jak dwunastolatek po meczu Małej Ligi. Odwróciłam na moment głowę w inną stronę, potem spojrzałam na niego, a kanapki już nie było.

– Wiesz, chyba mam w lodówce sos boloński. Może potrzebujesz wrzucić na ruszt coś bardziej konkretnego.

– Nie spodziewałem się takiej gościnności – odpowiedział.

– A ja nie spodziewałam się ciebie. Jak mnie znalazłeś?

– Nie było łatwo. Ale wspomniałaś, że z zawodu jesteś nauczycielką. Wszyscy zatrudnieni w publicznych szkołach są zgłaszani na policję, ale nie znalazłem cię na tej liście. Więc gdy tylko zaczął się rok szkolny, zacząłem wydzwaniać po prywatnych szkołach, które z zasady nie przestrzegają regulaminu.

– Odwaliłeś kawał ciężkiej roboty, żeby znaleźć dziewczynę, z którą zjadłeś hamburgera.

– Być może – odpowiedział. – Ale moim zdaniem było warto.

Zrobiłam mu jeszcze kanapkę z mielonką i żółtym serem, a potem usiedliśmy przy małym stoliku i jedliśmy w milczeniu. W szafce trzymałam butelkę całkiem przyzwoitego bourbona, prezent od Seana na znak wdzięczności za uratowanie dzieciaka; postanowiłam ją otworzyć. Nie zanosilo się, by w najbliższej przyszłości ktoś miał tu zajrzeć z wizytą.

Mimo realnego niebezpieczeństwa, że się ujawnię, przebywanie w czyimś towarzystwie sprawiało mi przyjemność. Pod pewnymi względami było to całkiem normalne, a ja tęskniłam za normalnością. Okłamałam Domenica, kłamałam przed nim od samego początku, ale on o tym świetnie wiedział,

więc przynajmniej nie mógł mieć żadnych pretensji. Nie możecie sobie wyobrazić, jak wyczerpujące jest spędzanie życia na ciągłym udawaniu.

Domenic przełknął ostatni kęs podwójnej kanapki z plasterkowanym serem i wyciągnął się wygodnie na drewnianym, nieco chwiejnym krześle. Westchnął z zadowoleniem, jakbyśmy właśnie skończyli ucztę w Dniu Dziękczynienia.

– O rany, jak bardzo tego potrzebowałem. Dziękuję ci.

– Proszę bardzo.

Zaraz zaczniemy rozmawiać, pomyślałam, i urocze złudzenie spokoju ulotni się bez śladu, ale mimo wszystko postanowiłam, że jeszcze przez chwilę postaram się po prostu cieszyć czyjąś obecnością. Domenic skończył bourbona, więc nalałam następną kolejkę. Sączyłam alkohol, podczas gdy wymyślone w ostatniej chwili dodatki, określenia i wykręty z fałszywej historii życia krążyły po moim nieco już przytępionym umyśle.

– Przed czym uciekasz? – zapytał znienacka.

– Kto mówi, że uciekam?

– Ja.

– No cóż, w takim wypadku to musi być prawda.

– Wiesz, kobiety zmieniają kolor włosów, ciuchy, szminkę, którą malują usta, ale generalnie nie starają się wyglądać na kogoś całkiem innego.

– Owszem, jeśli nie chcą, żeby ktoś je odnalazł.

Kiedy tylko można, staraj się mówić prawdę, pomyślałam.

– Czy możesz obiecać, że będziesz ze mną szczerą? – spytał Domenic.

– Nie wiem.

– Wydaje mi się, że masz problemy. Chciałbym wiedzieć, czy zrobiłaś komuś krzywdę, czy tylko wyrządziłaś jakąś szkodę?

– To drugie.

– Czy zechcesz mi o tym opowiedzieć?

– Raczej nie.

– Może później? – zaproponował.

– Czy mam rozumieć, że masz zamiar zostać?

– Jak długo jedzie się z Cleveland do Chicago? – Domenic nieoczekiwanie zmienił temat.

Nie miałam pojęcia, do czego zmierza, ale zapytał o wskazówki właściwą dziewczynę.

– Przez I-90 jakieś pięć godzin. Czemu pytasz? Wybierasz się tam na wycieczkę?

– A ile trwa podróż z Cleveland do Akron?

– Nie wiem. Może dwie godziny.

Nie byłam szczególnie zainteresowana podróżowaniem między kolejnymi stanami.

– Poniżej godziny, nawet jeśli jest duży ruch – odparł Domenic.

Cholera, spieprzyłam sprawę! Nie byłam pewna, ale wyczuwałam, że Domenic doszedł do pewnych wniosków, jeśli chodzi o moją osobę. Niestety, to nie było nic pozytywnego. Wstał z krzesła, jakby miał zamiar opuścić mieszkanie, ale lekko zachwiał się na nogach. W barze wlał w siebie kilka drinków, a potem wspólnie opróżniliśmy butelkę mojego bourbona – nagrody za uratowanie życia.

– Ty nie jesteś Debra Maze – powiedział. – Debra Maze pochodziła z Cleveland w Ohio. Chodziła do szkoły w Akron. Z pewnością by wiedziała, ile czasu jedzie się z Cleveland do Akron. Pewnie przejechała tamtędy w ciągu całego życia ładnych kilkaset razy.

– Czego chcesz?

– Chcę wiedzieć, kim *naprawdę* jesteś.

– Jestem zwyczajnym człowiekiem.

Domenic wzruszył ramionami. Założył kurtkę i wsunął buty. Podniosłam się z krzesła, wzięłam klucze, zasunęłam zasuwę i dodatkowo zamknęłam drzwi na zamek.

– Co ty wyprawiasz? – spytał, przysuwając się do mnie.

Zatrzymał się zaledwie kilka centymetrów ode mnie. Był ode mnie wyższy, więc musiałam zadzierać głowę, a mimo to przynajmniej w tej chwili czułam, że mam nad nim przewagę. Nie wyglądał na tak pewnego siebie jak przedtem, poznałam to po jego ostrożnym spojrzeniu.

– Jesteś pijany – wyjaśniłam. – To mój obywatelski obowiązek zatrzymać cię, żebyś w tym stanie nie wyszedł na ulicę.

– Kryminalistka, która przejmuje się obywatelskimi obowiązkami. Czy dobrze to ująłem?

– No cóż, nazywano mnie jeszcze gorzej – odpowiedziałam. – Mimo to w tym stanie nie mogę wypuścić cię z domu.

– Odsuń się od drzwi. Obiecuję, że nie wsiądę za kółko.

– W Recluse nie ma motelu, chyba o tym wiesz?

– No to prześpię się w samochodzie.

– Możesz spać na podłodze.

– Dzięki, ale w samochodzie będzie mi wygodniej.

– W takim razie śpij w łóżku.

Domenic przez moment zastanawiał się nad propozycją, ale szybko podjął decyzję. Zrzucił kurtkę i buty, a następnie pochylił się i zaczął coś szeptać mi do ucha. Poczulałam zapach męzczyzny zmieszany z zapachem bourbona. Ta woń potrafi przyprawić o mdłości albo o zawrót głowy, zależnie od nastawienia.

– Boisz się mnie? – spytał.

– Nie – odpowiedziałam i w tej chwili naprawdę tak było. Strach nie wydawał się czymś bardzo odległym od kłębiących się we mnie emocji.

Domenic jedną ręką objął mnie za szyję. Z jego palców spływały na mnie ciepło i siła. Pocałował mnie i było tak samo, jak poprzednim razem, tylko jeszcze bardziej intymnie, ponieważ do pewnego stopnia zdążyliśmy się poznać. Cofnął się, jakby nagle coś go zmieszało, jakby musiał rozwikłać jakąś wewnętrzną zagadkę. Czasami muszę przypominać sobie, że niektórzy ludzie uważają mnie za osobę z gruntu złą, albo przynajmniej obdarzoną mało krystalicznym charakterem.

Popchnęłam go na łóżko i usiadłam na nim okrakiem. Całowałam go namiętnie w nadziei, że choć na krótką chwilę zapomni o swoich wątpliwościach co do mojej osoby. Zastanawiałam się, jak długo uda nam się trwać w złudzeniu, że jesteśmy normalną parą, która pieprzy się na podwójnym łóżku w piwnicy szkolnego budynku.

Nasze ubrania wylądowały na podłodze tak szybko, że gdy już zauważyłam ten fakt, miałam wrażenie, że właśnie przeżyłam trwający sześćdziesiąt sekund napad amnezji. Sam akt wydał mi się tak naturalny jak oddychanie, bo Domenic okazał się tak obeznany ze sztuką kochania jak żaden inny ze znanych mi mężczyzn. Prawie udało mu się sprawić, że zapomniałam o człowieku, o którym zawsze staram się zapamiętać.

Kiedy skończyliśmy, Domenic pocałował mnie w czoło i popatrzył mi prosto w oczy badawczym, lecz jednocześnie słodkim – podejrzenie słodkim – spojrzeniem.

– Proszę, powiedz mi, że nigdy nikogo nie zabiłaś – wyszeptał.

To tyle, jeśli chodzi o rujnowanie nastroju. Jestem pewna, że dostrzegłam błysk bólu, a potem gniewu, które narodziły się we mnie. Patrząc wstecz, pytanie wydawało się całkiem uzasadnione.

– Nigdy nikogo nie zabiłam – odparłam w ten sam sposób.

Z tego mogłam być dumna. Nigdy nie poszłam do college’u, nigdy niczego nie osiągnęłam. Ale nigdy nie odebrałam życia innej ludzkiej istocie, a to wydawało się sporym sukcesem, biorąc pod uwagę, jakie życie dotąd wiodłam.

Domenic przypuszczalnie spałby jak kamień, nawet gdyby tuż za oknem doszło do katastrofy kolejowej. Mój budzik dźwiękiem przypominał syrenę okrętową i był dobrze przemyślanym prezentem od dyrektora Collinsa, który otrzymałam, gdy kilka razy zdarzyło mi się spóźnić na zajęcia. Gdy ktoś przez siedem lat żyje zgodnie z rytmem godzin otwarcia tawerny, a potem przez pięć dni w tygodniu musi wstawać punktualnie o siódmej rano, czuje się tak, jakby dokuczał mu permanentny jet lag. Prawdę mówiąc, czasami myślałam, że mój zegar biologiczny zdradzi mnie prędzej niż niekonwencjonalne podejście do szkolnego programu nauczania.

Wzięłam prysznic i ubrałam się w kwiecistą sukienkę na ramiączkach i rozpinany sweterek, który zwykle nosiłam wtedy, kiedy czułam się na tyle silna, żeby bez przeszkód odgrywać swoją rolę. Domenic nadal pochrapywał cichutko. Usiadłam na łóżku obok niego i przez chwilę nasłuchiwałam. Ten dźwięk, wydawany przez spokojnie śpiącą ludzką istotę, przynosił mi

ukojenie. Wyjęłam z nocnej szafki rewolwer Błękitnookiej, włożyłam do papierowej torby i schowałam do torebki. Na nocnej szafce postawiłam szklankę z wodą, a potem tylnymi drzwiami wymknęłam się z mieszkania. Szybko podbiegłam do cadillaca, żeby ukryć broń w schowku na rękawiczki. Następnie swobodnym krokiem weszłam na schody prowadzące do John Allen Campbell Primary School, przygotowana do kolejnego dnia w okopach.

Długie bloki tematyczne skutecznie zabijały poranną chęć do pracy. Zawsze starałam się, żeby najbardziej nudne zajęcia odrobić na początku, i gdy wreszcie zabrzączał dzwonek na przerwę, moi uczniowie wyglądali jak więźniowie w szeregu skazanych na śmierć, którzy właśnie usłyszeli odroczenie wykonania wyroku. Usiadłam na ławce, tam gdzie zwykle, i oparłam głowę na dłoniach, wyczerpana bardziej niż zazwyczaj. Nagle ktoś zagwizdał, więc podniosłam wzrok.

– Hej, pani belferko! – zawołał Domenic i kiwnął ręką, żebym zbliżyła się do płotu.

Podeszłam, starając się odczytać wyraz jego twarzy. Ostatnia noc niczego nie zmieniła; on był gliniarzem, ja zaś starałam się uciec przed przeszłością. On jeszcze nie dowiedział się wszystkiego, ale co nieco zdążył odszyfrować.

– Dzień dobry, śpiochu – przywitałam go.

– Chciałem podziękować za gościnę.

– Ach, to teraz tak się nazywa? – uśmiechnęłam się.

– Chciałbym zadać ci pytanie – powiedział. – Czy ten cadillac zaparkowany z tyłu należy do ciebie?

– Tak – odparłam bez wahania. Samochód został zarejestrowany na Debrę Maze. Chyba bez ryzyka mogłam się do niego przyznać.

– Diabelnie fajny samochód dla kogoś, kto ucieka – zauważył.

– Prezent od starej przyjaciółki.

– Masz zamiar zatrzymać się na dłużej w tej uroczej okolicy? – zapytał.

Dobre pytanie. Jedno z tych, na które nie znałam odpowiedzi. Wzruszyłam ramionami.

– Gdybyś kiedykolwiek chciała pogadać albo coś wyznać, albo... cokolwiek innego, to masz mój numer – powiedział.

– Och, to bardzo profesjonalnie z twojej strony – odparłam.

Domenic objął palcami połączone łańcuchem sztachety. Delikatnie gładził moje palce.

– Jeszcze się zobaczymy, Debra.

Słyszałam, jak na przeciwnym końcu placu Margo zanosi się płaczem. Akurat była w połowie meczu piłkarskiego, a po spędzeniu całego weekendu przed telewizorem i oglądaniu rozgrywek Premier League w ESPN wydawała się dość mocno podatna na kontuzje. Asfalt i wywrotki to dość fatalne połączenie.

– Lepiej już pójdę. Nic wielkiego się nie stało, ale muszę się nią zająć.

– Tylko nie rób żadnych głupstw – rzucił na pożegnanie.

– Jakich głupstw?

– Nie uciekaj.

Rozdział piętnasty

– Kto to był, ta chodząca tyczka? – spytała Carol, gdy tylko wróciłam na ławkę, na której zwykle jadłyśmy lunch.

– Przyjaciel z dawnych czasów – wyjaśniłam.

– Skąd?

Zadzwoił dzwonek. Nigdy dotąd nie byłam tak wdzięczna losowi za to, że muszę wracać do klasy. Na drugiej lekcji zajmowaliśmy się robieniem domowych termometrów ze słoików typu twist, słomek, ciastoliny i spirytusu salicylowego. Zadanie nie okazało się tak ekscytujące, jak się spodziewałam, ponieważ w sali nie było żadnego źródła ciepła, żeby dzieciaki mogły zaobserwować wzrost temperatury. Billy Peters tak bardzo zniecierpliwił się oczekiwaniem na efekt swojego nudnego eksperymentu, że w pewnej chwili wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i podsunął płomień pod dno słoika.

Zasadniczo do szkoły nie wolno było przynosić zapalniczek, więc musiałam ją skonfiskować. To była ozdobna zapalniczka, metalowa, z ornamentami. Na tylnej ściance zauważyłam inicjały JP, więc obrzuciłam Billy'ego spojrzeniem, w którym łatwo mógł wyczytać, iż wiem, że zapalniczka została skradziona. Jednak drugie spojrzenie upewniło go, że nie zamierzam go wkopać. Nie jestem donosicielem, co niektórzy uważają za zaletę, choć osobiście sędzę, że to potworna wada.

Nie pamiętam, która była godzina, kiedy rozległo się pukanie do bocznych drzwi. Wiem jedynie, że dawno minęła pora, o której ludzie zwykle kładą się do łóżka. Obudziłam się z głębokiego snu i od razu poczułam, że serce wali mi jak młotem. Usiadłam wyprostowana jak struna, zdezorientowana wciąż mało znajomym otoczeniem, i haustami starałam się łapać powietrze. Trzy kolejne stuknięcia przeniosły mnie z lekkiego oszołomienia w stan pełnej świadomości. Pomyślałam, że to pewnie Domenic – wrócił, żeby dokończyć

rozmowę albo zacząć coś nowego. W bocznych drzwiach brakowało judasza. Otworzyłam je na oścież, jakbym spodziewała się gościa. Jednak to nie był gość, którego mogłam się spodziewać.

Na progu stał całkiem zwyczajny mężczyzna. Miał na sobie te same spodnie khaki i tę samą niebieską koszulę, które zauważyłam, gdy kręcił się w pobliżu szkoły. Na pierwszy rzut oka był tak nieciekawym, że nawet się nie wystraszyłam, co mogło okazać się błędem. Przez następne siedem godzin w szkole nie było żywej duszy. Nikt nie zdołałby mnie usłyszeć, nawet gdybym wrzeszczała z całych sił.

– Dobry wieczór, madame – odezwał się nieznajomy.

– Dobry wieczór – odparłam. – Trochę późna pora jak na wizyty, nie sądzi pan?

– Najuprzejmiej przepraszam, że wpadłem o takiej porze, ale chciałem mieć pewność, że jest pani sama. Zamierzałem złożyć wizytę wczoraj, ale zdaje się, że była pani zajęta.

– Nie sądzę, żebyśmy byli sobie oficjalnie przedstawieni – zauważyłam.

Zwyczajny facet wyciągnął rękę w całkiem zwyczajny sposób, jak byśmy byli na biznesowym spotkaniu.

– Jack Reed, bardzo mi miło panią poznać – powiedział.

Byłam pewna, że przed paroma miesiącami pochowałam Jacka Reeda w parku stanowym. Ale o tego typu sprawach raczej nie wypada wspominać przy pierwszym spotkaniu.

Uścisnęłam wyciągniętą rękę.

– Czym mogę panu służyć, panie Reed?

– Czy przypadkiem nie nazywa się pani Debra Maze, z Cleveland w Ohio?

– Większość ludzi tutaj zwraca się do mnie per „panno Maze”.

– No cóż, panno Maze, może w takim razie zechce mi pani powiedzieć, gdzie podziewa się moja żona?

– Pierwszy raz w życiu pana widzę, więc skąd miałabym wiedzieć, gdzie jest pańska żona?

Jack przysunął się o kilka kroków. Czuję na twarzy jego oddech.

Czułam nutkę Old Spice'a, zmieszana z wonią potu i smrodem próchnicy, a to nie jest zapach, który lubię u mężczyzn.

– Pewnie Blue opowiedziała ci parę niezłych historyjek – zagaił. – Mów prawdę, słyszałaś coś o mnie?

Jego oczy były tak ciemne, że z trudem widziałam źrenice. Teraz już nie sprawiał wrażenia zwykłego nieszkodliwego faceta. Mogłam jeszcze przez chwilę zgrywać idiotkę, ale nie widziałam sensu.

– Może co nieco słyszałam – potwierdziłam.

– W takim razie pozwoli pani, madame, że powtórzę pytanie. Gdzie, do diabła, jest moja żona?

– Ja... nie... wiem...

Jego palce zamknęły się na mojej szyi, powoli zacieśniając uścisk, co dało mi dość czasu, żeby pomyśleć, co się ze mną dzieje, odczuwać każdy oddech, który łapałam z coraz większym trudem i doświadczać powolnego osuwania się w nieświadomość. Uwolnił mnie na moment przed tym, nim zapadłam się w ciemność. Gorączkowo chwytalam powietrze, jakbym wypłynęła na powierzchnię po długim nurkowaniu. Jednak zanim udało mi się uzupełnić niedobór tlenu, on otwartą dłonią wymierzył mi policzek.

– Gdzie jest moja żona? – wycedził.

Nie zdążyłam otworzyć ust, kiedy uderzył mnie w brzuch. Przelotnie zastanowiłam się, jak to się stało, że Błękitnooka w ogóle zechciała na niego spojrzeć.

– Czy jesteś bogaty? – zdołałam wykrztusić.

– Co? – warknął, wyraźnie zbity z tropu moim pytaniem. – Chyba nie masz zamiaru obedrzeć mnie z kasy?

– Boże, nie – odparłam, wciąż charcząc. – Po prostu chciałabym wiedzieć, dlaczego Blue w ogóle za ciebie wyszła. Bo nie masz w sobie absolutnie niczego, co mogłoby zachęcić kobietę do związania się z tobą.

Znowu dostałam kopniaka.

– Nie bądź taka sprytna.

– Najwyraźniej nie jestem sprytna. Inaczej domyśliłabym się, co się stanie.

– Gdzie jest moja żona?

Przezołgałam się w kąt pokoju w nadziei, że odległość uchroni mnie przed następnymi kopniakami. Mój pozbawiony tlenu umysł niemrawo próbował znaleźć jakiś plan ucieczki z tej diabelskiej matni.

– Zamieniłyśmy się – powiedziałam. – Ona jest dawną mną. A ja jestem nią.

Jack rozluźnił pięści. W końcu dostał ode mnie coś na kształt informacji, którą mógł spożytkować.

– Gadaj!

– Ona teraz nazywa się Amelia Keen. Urodzona w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku w Tacomie w stanie Washington... Chyba powinnam mieć w samochodzie jakiś stary dokument. Dam ci wszystko, co chcesz, włącznie z numerem ubezpieczenia... Chociaż ona może nie być zarejestrowana. Mogła też zmienić nazwisko na Lightfoot. Niczego nie wiem na pewno. Odkąd rozdzieliłyśmy się w Austin, nie miałam z nią kontaktu.

Jack odsunął się, robiąc mi miejsce, żebym mogła wstać. Z galanterią otworzył przede mną drzwi. Zgarnęłam z biurka kluczyki i wyszłam na zewnątrz. Zimne powietrze jeszcze bardziej wzmogło moją czujność. Samochód zaparkowany był najwyżej dwadzieścia metrów od budynku, lecz ja czułam się tak, jakbym musiała przejść ze trzy kilometry.

Otworzyłam drzwi pasażera i usiadłam w fotelu. Sięgnęłam do schowka na rękawiczki, zacisnęłam palce na rękojeści rewolweru, a następnie skierowałam wylot lufy prosto w czoło Jacka.

– Odsuń się – rozkazałam.

– Czy wiesz, skarbie, jak się tego używa? – zakpił. – Muszę przyznać, że w twoich rączkach wygląda dość nienaturalnie.

Nie ruszył się z miejsca. Widziałam, jak rozmyśla nad różnymi opcjami wyjścia z sytuacji, a to było ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyłam. Bez zastanowienia nacisnęłam spust i postrzeliłam go w ramię. Dopiero wtedy się odsunął, a właściwie zatoczył do tyłu. Wysiadłam i okrążyłam auto, po drodze postanawiając, że wykorzystam pomysł ze scenariusza Błękitnookiej.

– Włóż do bagażnika, Jack – warknęłam.

– Teraz będę musiał cię zabić – odparł.

– To raczej nieprawdopodobne, ponieważ to ja trzymam rewolwer, ale oczywiście nie mam ci za złe, że jesteś ambitnym zawodnikiem. Może więc będziesz łaskaw wsiąść do bagażnika, zanim zalejesz krwią cały parking? Robisz straszny bałagan.

Jack chwiał się na nogach, mrużąc pod nosem jakieś epitety i szukając drogi ucieczki z tarapatów, w które sam się wpakował, jeśli mam być szczerą.

– Jack, jeśli natychmiast nie wsiądziesz, postrzelę cię w jakieś mniej przyjemne miejsce.

Szybko przemyślałam sprawę i chyba doszedłam do wniosku, że faktycznie są rejony, w których rana postrzałowa może zrobić większą szkodę. Pochyliłam się i posłusznie wsunęłam do środka, ja zaś zatrzęsłam wieko bagażnika. Szybko obejrzałam się dookoła, żeby mieć pewność, że nikt nas nie obserwuje, potem wsiadłam do cadillaca i ruszyłam przed siebie. Nie jechałam w żadne konkretne miejsce; po prostu potrzebowałam trochę czasu, żeby przemyśleć rozmaite warianty i zdecydować, kim jestem, kim byłam i kim zamierzam zostać.

Za kierownicą siedziałam już prawie dwie godziny, a przez ostatnie dwadzieścia minut Jack kopał wściekle i bałam się, że lada chwila rozłączy coś w tylnych światłach, przez co na autostradzie zostanę zatrzymana przez pierwszy lepszy patrol. Co prawda potrafię szybko reagować, ale wytłumaczenie, co robi w bagażniku samochodu facet postrzelony w ramię to jednak ambitne przedsięwzięcie.

Wjechałam na Bitter Creek Road, którą pamiętałam z naszej nieszczęsnej wycieczki na ryby. O tej porze Dead Horse Lake powinno być oazą spokoju, więc skręcałam w kolejne uliczki, starając się przypomnieć sobie trasę. Długie światła mojego auta ledwie przebijały ciemność, lecz w końcu udało mi się znaleźć jezioro. Zatrzymałam auto na polanie nad brzegiem. Odgłosy kopnięć w bagażniku ucichły, gdy tylko auto znalazło się na wyboistej drodze. Wrzuciłam wsteczny, cofnęłam samochód jak najbliżej tafli wody, i wyłączyłam silnik. Potem wzięłam rewolwer, okrążyłam auto i otworzyłam bagażnik.

Strzeliłam do Jacka dwa razy, prosto w głowę i w serce, bo pomyślałam, że to będzie bardziej humanitarne, jeśli nie zdąży przewidzieć zbliżającej się śmierci, choć pewnie miał dość czasu na rozmyślania podczas dwugodzinnej przejażdżki po okolicy. Ja wykorzystałam ten czas, by rozważyć moje położenie pod każdym możliwym względem i doszłam do prostego wniosku: albo Jack, albo ja. Jeśli nie zabiję go od razu, przez resztę życia będę musiała oglądać się przez ramię. Mimo wszystko podjęcie decyzji nie przyszło mi łatwo.

Na brzegu cumowała stara łódź wiosłowa. Przyciągnęłam ją aż do tylnego zderzaka i jakimś cudem udało mi się ściągnąć na dno Jacka. Wrzuciłam tam także rewolwer, a potem wytężając całe siły, pchałam, ciągnęłam i szarpałam łódź, aż znalazła się z powrotem na wodzie. Wdrapałam się do środka i usiadłam okrakiem na martwym ciele Jacka, żeby jak najszybciej wypłynąć na środek jeziora. Z wysiłku spociłam się jak mysz, choć nocne powietrze przeszywało mnie na wskroś. Lodowaty strumyczek potu ściekał mi po plecach, kiedy wrzucałam rewolwer do wody.

Wtedy okazało się, że mój plan pogrzebania Jacka na dnie jeziora był cholernie źle pomyślany. Nie było mowy, żebym zdołała go unieść ponad burzę, nie wpadając przy tym do wody. Wreszcie podniosłam się, stanęłam na krawędzi i w ten sposób udało mi się wywrócić łódź dnem do góry. Oboje z Jackiem jednocześnie wpadliśmy do lodowatej toni. Patrzyłam, jak zanurza się coraz głębiej w ślad za rewolwerem i wydawało się słuszne, że tych dwoje spocznie razem na wieki. Miotając się w wodzie i odmawiając w milczeniu modlitwę za duszę Jacka, po omacku szukałam wiosła.

Mój umysł, otumaniony zimnem, pracował na zwolnionych obrotach, ale świetnie zdawałam sobie sprawę, że czas ucieka i że za chwilę stanę się ofiarą hipotermii. Zamiast szukać wiosła i starać się postawić łódź, czym prędzej ruszyłam w pław w stronę brzegu. Płynęłam z opuszczoną głową, walcząc z przeciwnym wiatrem i starając się nie zwracać uwagi na przeszywający ból, który rozcinał moje ciało od koniuszków palców u rąk po czubki paluchów.

Dobrnąwszy do brzegu, podczołgałam się do samochodu, wyjęłam z bagażnika kluczyki, wlałam do środka i włączyłam silnik, jednocześnie podkręcając ogrzewanie na najwyższy poziom. Jechałam do domu w przesiąkniętej wodą piżamie.

W John Allen Campbell Primary School panowały zupełna cisza i spokój. Blask reflektorów oświetlił plamy krwi w miejscu, gdzie stał Jack, więc zaparkowałam tak, żeby je zasłonić. Trzeba było szybko wymyślić jakiś plan. Popędziłam do mieszkania, wlałam pod prysznic i tak długo pławiłam się w gorącej wodzie, aż poczułam, że wracam do życia.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, co zrobiłam. W pewnym sensie była to obrona konieczna i może miało jakieś znaczenie, że Jack Reed był zwykłym ludzkim śmieciem, ale niewątpliwie zamordowałam człowieka. Kiedy odbierasz komuś życie, ten fakt zmienia cię nie do poznania. Nie chodzi wyłącznie o sposób, w jaki patrzysz na świat, ani jak postrzegasz siebie. To zmienia twoje wnętrze, twoje DNA. Wszystkie moje dobre strony, w które święcie do tej pory wierzyłam – na przykład w swoją wrodzoną przyzwoitość – nagle przestały mi się wydawać tak pewne jak dotąd.

Wylazłam spod prysznic, kiedy zdałam sobie sprawę, że już nic nie przywróci mi dawnej czystości. Wysączyłam resztę bourbona i postarałam się zasnąć.

Zapadając w sen, pomyślałam, czy przypadkiem to wszystko nie było częścią planu Błękitnookiej. Rewolwer, zamiana tożsamości, pochowanie tamtego biednego człowieka, co do którego byłam przekonana, że to Jack... Czy Błękitnooka przewidziała, że Jack mnie odnajdzie? Jeśli faktycznie wymyśliła taki plan, to jedno zdecydowanie się w nim nie zgadzało: w jaki sposób zdołała przewidzieć, że posunę się do morderstwa?

Mój niespokojny sen napędzany był marzeniami, które prawdopodobnie mogły interesować tylko mnie. Gdy się ocknęłam, przez moment wydawało mi się, że wciąż tkwię w środku pierwotnego koszmaru i dopiero gdy moje stopy dotknęły wytartego dywanu, przypomniało mi się wszystko, co uczyniłam.

Ciężko pracowałam, aby stać się Debrą Maze, więc nie byłam gotowa, żeby teraz z niej zrezygnować. Jack Reed zniknął i z pewnością już nie powróci. O ile zdążyłam się zorientować, nasze spotkanie odbyło się bez świadków. Umyłam więc zęby, opłukałam twarz, ubrałam się w uroczą letnią sukienkę w błękitnym kolorze i sprawdziłam, czy pod paznokciami nie został

żaden ślad krwi. W klasie pojawiłam się piętnaście minut przed dzwonkiem.

Poprzedniej nocy zajmowałam się innymi sprawami, więc nie zdążyłam przygotować żadnego planu zajęć. Jednak gdy moi uczniowie wbiegli do klasy i gdy spojrzałam na ich niewinne buzie, zdałam sobie sprawę, że już nie nadaję się do tej pracy. Zupełnie jakby przebywanie ze mną w jednym pomieszczeniu mogło zatruć ich dusze.

– Miss Maze! Miss Maze!

Nie mam pojęcia, ile razy Andrew musiał powtórzyć moje nazwisko, zanim obudziłam się z odrętwienia.

– Tak?

– Czy dobrze się pani czuje? Chyba jest pani chora albo coś.

– Niech wszyscy otworzą zeszyty – zarządziłam. – Proszę, żebyście napisali jedną stronę o tym, kim chcecie być, kiedy dorośnięcie. A na drugiej stronie napiszcie, co zamierzacie robić, jeśli ten pierwszy wybór się nie uda, ponieważ czasami sprawy nie układają się tak, jak byśmy chcieli... Tak więc piszecie dwie strony na jeden temat, dowolnie przez was wybrany. To bardzo ważne, żeby nie zmarnować sobie życia.

Kiedy ruszyłam do tablicy, żeby odłożyć kredę i linijkę, czułam na plecach sfrustrowane spojrzenia. Andrew był jedynym dzieciakiem, który nie patrzył na mnie tak, jakbym ubrana była w kaftan bezpieczeństwa. Wyjął zeszyt i długopis i z namaszczeniem zaczął szykować się do wypełnienia zadania.

– Czy będzie pani miała coś przeciwko temu, jeśli zacznę od końca? – zapytał. – Jeśli napiszę o rzeczach, których zdecydowanie nie chciałbym robić?

– Proszę bardzo – odpowiedziałam.

Klasa zabrała się do pracy, ja zaś odwróciłam się do nich plecami i przyglądałam się mapie drogowej Stanów Zjednoczonych, starając się wyznaczyć następny cel podróży.

Klasa została wyprawiona do domów, ja zaś zajęłam się pakowaniem. Zdrowy rozsądek podpowiadał, żeby pozbyć się samochodu tak szybko, jak

to tylko możliwe, co oznaczało, że większość rzeczy musiałam zostawić. Przeliczyłam pieniądze odłożone po zrealizowaniu trzech czeków. Niestety, nie mogłam zostać wystarczająco długo, żeby odebrać czwarty. Po zapłaceniu czynszu, jedzenia i drinków w Lantern, zostało mi w kieszeni trochę ponad osiemset dolarów. Niewiele jak dla kogoś, kto musi uciekać – piwo i podatki też przecież kosztują. Napisałam liścik do dyrektora Collinsa, że muszę pilnie wyjechać, by odwiedzić poważnie chorego członka rodziny, i że wrócę natychmiast, gdy tylko będę mogła. Oczywiście nikt nie da temu wiary, ale przekonałam się, że dzięki takim wybiegom zwykle udaje mi się zyskać dzień albo dwa.

Chciałam podziękować Collinsowi za szansę, którą mi dał; chciałam powiedzieć „do widzenia” Corze, wypić pożegnalnego drinka w Lantern i uścisnąć Seana. Chciałam mu wyznać, że jest wspaniałym facetem i że jeśli naprawdę chce wydostać się z Recluse, to wciąż jeszcze ma czas. Żadnej z tych rzeczy nie mogłam wykonać, lecz na szczęście zdawałam sobie sprawę, że wszyscy świetnie sobie poradzą nawet bez odpowiedniego pożegnania z mojej strony.

Jednak z Andrew sprawa wyglądała całkiem inaczej. Nie wolno mi było wyjeżdżać, nie zamieniając z nim słowa. Wróciłam więc do klasy, ściągnęłam z tablicy mapę drogową, starannie ją złożyłam, a w środku umieściłam kopertę. Tyle rzeczy chciałam mu powiedzieć, ale nie mogłam przekraczać pewnych granic, napisałam więc dosłownie kilka słów: *Drogi Andrew, może pewnego dnia ta mapa będzie Ci potrzebna*. Miałam nadzieję, że tak się stanie.

Zasunęłam suwak w walizce, włożyłam ją do bagażnika, a następnie wróciłam do miejsca, które przez prawie dwa miesiące nazywałam domem, żeby jeszcze raz wszystko sprawdzić. Wtedy przyszło mi do głowy, że warto usunąć odciski palców. Wzięłam z łóżka poszewkę na poduszkę i zaczęłam polerować każdą błyszczącą powierzchnię, na której zatrzymałam wzrok.

Z perspektywy czasu widzę, że powinnam była jak najszybciej ruszać w drogę. Czy w ogóle możliwe jest usunięcie wszystkich odcisków palców? Zresztą po co to robić, skoro w całym mieszkaniu zostawiłam mnóstwo śladów, które mogły posłużyć do badań DNA?

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Schowałam pieniądze do torebki i szybko

rozejrzałam się, czy w pokoju nie zostało coś, co może mi się przydać. Po cichu usiadłam na podłodze przy łóżku, żeby poczekać, aż nieproszony gość sobie pójdzie, ale pukanie nie ustawało.

– Debra, wiem, że tam jesteś. Otwórz!

To był Domenic. Złapałam torebkę, kurtkę i na palcach wyszłam z mieszkania przez drzwi prowadzące do szkoły; następnie ukradkiem przemknęłam wzdłuż korytarza, gdzie w połowie drogi do kuchni znajdowało się przejście dla pracowników, którzy tędy chodzili do spiżarni. Otworzyłam zasuwę, wysunęłam się na zewnątrz i przycupnęłam za krzakiem, skąd widziałam samochód Domenica zaparkowany obok mojego auta. Jednak Domenic nie stał już przy wejściu do służbowego mieszkania.

Kucnąwszy, przesunęłam się przy ścianach starego budynku, żeby dokładnie określić, gdzie on teraz jest. Może pomyślał, że zaczeka przy głównym wejściu, które stanowiło alternatywną drogę ucieczki? Służbowe wejście raczej nie było znane, a ja miałam stąd tylko kilka kroków do mojego cadillaca. Jeśli zdołam we właściwym momencie dostać się do auta, będę mogła wystartować pierwsza i Domenic nigdy nie zdoła mnie dogonić, nawet jeśli pod maską swojego trucka ma ośmiozaworowy silnik.

Przez całe życie podejmowałam decyzje w ułamku sekundy. Nie mogę stwierdzić, czy ta przypadłość przyniosła mi więcej szkody, czy pożytku, ponieważ nie zdołam cofnąć czasu, żeby sprawdzić, dokąd zaprowadziłaby mnie alternatywna droga. Teraz byłam pewna jedynie, że ukrywanie się przez całą noc w krzakach przed budynkiem John Allen Campbell Primary School w żaden sposób nie może się dobrze skończyć. Zdecydowałam się uciekać. Popędziłam prosto do cadillaca, odpaliłam silnik i przypaliłam gumę, z impetem ruszając na wstecznym z miejsca parkingowego. Wytoczyłam się na ulicę i pojechałam główną arterią Recluse do Greenborough, a następnie w stronę Moorcroft. Gdy ujrzałam znaki kierujące mnie na autostradę międzystanową, pomyślałam, że jestem wolna, albo przynajmniej wolna w tym sensie, który w obecnej sytuacji pojmowałam jako wolność, choć z prawdziwą wolnością nie miała ona nic wspólnego.

Ledwie odzyskałam spokojny oddech, wydarzyło się coś, co sprawiło, że znów go straciłam. Ktoś przechylił się ponad oparciem i z tylnego siedzenia wyszeptał wprost do mojego ucha.

– Dokąd się wybierasz, Debra?

Kilka razy przekroczyłam podwójną żółtą linię jak naćpany metamfetaminą wąż. Ocucił mnie ryk klaksonów i ostrzegawcze mruganie długimi światłami, zanim odzyskałam panowanie nad samochodem i wdepnęłam w hamulec.

– Raczej nie jest to odpowiednie auto na długie podróże. Ale muszę przyznać ci rację, że jest wyjątkowo piękne – powiedział Domenic. – Ile pali na setkę?

– Sporo – przyznałam.

– Czy będziesz miała coś przeciwko temu, jeśli zapytam, skąd się wzięło tyle krwi?

Przez moment miałam pustkę w głowie. Nie wiedziałam, o czym on mówi, co raczej wydawało się złą wróżbą.

– Jaka krew?

– Zauważyłem, że obok i pod twoim cadillakiem jest jej całkiem sporo. Czy coś ci wiadomo na ten temat?

– Nie – odpowiedziałam drętwo.

– Dlaczego twój fotel jest całkiem mokry?

Czułam, jak Domenic przesuwa rękoma po oparciu za moimi plecami.

– Bo rozlałam kawę – skłamałam gładko.

– Przez ramię?

Znaleźliśmy się na wiejskiej drodze, która nie znajdowała się na żadnej z moich map. Nie miałam pojęcia, dokąd nas zaprowadzi, ale i tak nie zamierzaliśmy jechać daleko.

– Wiem, że nie nazywasz się Debra Maze. Kim jesteś?

– Nikim – odpowiedziałam.

– Więc kim jest Debra Maze? – dopytywał się.

– Po prostu kobietą, którą spotkałam po drodze.

– Kobietą, która zaginęła przeszło rok temu. To dość wygodne, nie sądzisz?

– Raczej niewygodne, jeśli się nad tym zastanowić – odparłam.

Domenic westchnął głęboko.

– I co mam teraz z tobą zrobić, pani belferko? – spytał.

Powiedział to w sposób, w jaki dorosły człowiek zwraca się do niesforne nastolatka, który właśnie coś przeskrobał. Jednak ja doskonale wiedziałam, że moja sytuacja jest o niebo gorsza.

– Powiedz raczej, co *ja* mam zrobić z *tobą*? – powiedziałam, choć decyzja już zapadła.

Jechaliśmy z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Ja byłam przypięta pasem, Domenic o tym zapomniał. Wciąż opierał się o zagłówek mojego fotela, jakby wcale nie myślał o zagrożeniach podczas podróży samochodem. Bez namysłu wdepnęłam w hamulec, jednocześnie skręcając autem w stronę betonowej balustrady. Przedni zderzak klasycznej piękności zmarszczył się od uderzenia jak puszka z aluminium.

Domenic przeleciał ponad przednimi siedzeniami, walnął głową w deskę rozdzielczą, odbił się od niej i wylądował na podłodze. Obie jego stopy zaklinowały się w kole kierownicy. Jęknął, co uznałam za dobry objaw, bo miałam nadzieję, że nie doznał zbyt poważnych obrażeń. Nie jestem wyczynowym rajdowcem, ale robiłam, co w mojej mocy. Teraz wypchnęłam stopy Domenica z kierownicy, wycofałam na wstecznym rozbite auto i jakoś udało mi się wrócić na drogę. Po mniej więcej dwóch kilometrach znalazłam boczną uliczkę, przy której rosło rozłożyste drzewo, i zaparkowałam na poboczu w jego cieniu.

Wysiadłam, otworzyłam drzwi pasażera i wyciągnęłam Domenica na dróżkę pokrytą zaschlłym błotem i żwirem. Krew sączyła mu się z czoła, ale doszłam do wniosku, że nic mu nie będzie, o ile szybko otrzyma pomoc lekarską. Podłożyłam mu pod głowę zwinięty w rulon stary koc i wygrzebałam w jego kieszeni komórkę. Wybrałam numer dziewięć-jeden-jeden, a następnie jak najdokładniej podałam współrzędne oraz informacje dotyczące stanu poszkodowanego. Już zbierałam się do odejścia, kiedy Domenic zaczął coś mruzczyć. Pochyliłam się, żeby spytać, o co chodzi.

– Pić... – wymamrotał.

Znalazłam w samochodzie butelkę wody i zostawiłam mu, żeby mógł się napić.

– Bardzo mi przykro, Domenic – powiedziałam. – Wiesz chyba, że to nic osobistego. Konieczność przeżycia wymaga robienia rzeczy, o których nigdy byś nie pomyślał, że jesteś do nich zdolny.

– Nie odchodź.

– Ambulans powinien zaraz tu być. Postaraj się zachować przytomność.

Gdy spróbowałam się podnieść, chwycił mnie za nadgarstek, zaciskając palce jak imadło.

– Kim ty jesteś? Kim naprawdę jesteś?

– Teraz sama już nie wiem – odpowiedziałam.

Trzydziesty marca dwa tysiące czternastego roku

do Jo

od Ryana

Gdzie jesteś? Czy w ogóle jeszcze żyjesz?

Dziewiętnasty lipca dwa tysiące czternastego roku

do Jo

od Ryana

Wiem, że nadal uciekasz. Od czasu do czasu postaram się sprawdzać tego maila, tak długo, jak zdołam. Jeśli czegoś potrzebujesz, a ja mogę Ci to dać, postaram się pomóc.

Przepraszam.

R

EMMA LARK

Rozdział szesnasty

Według moich obliczeń miałam trochę ponad godzinę, zanim Domenic zostanie znaleziony przez służby ratunkowe i zanim odzyska przytomność umysłu na tyle, by podać numery rejestracyjne mojego auta lub inne szczegóły pozwalające na identyfikację. To oznaczało, że w ciągu mniej więcej dwóch godzin powinnam pozbyć się samochodu. Wybrałam autostradę 16 West. Jechałam przez mniej więcej pięćdziesiąt minut, rzadko kiedy przekraczając dozwoloną prędkość, i z zazdrością obserwowałam, jak inne samochody zostawiają mnie w chmurze pyłu. Następnie skręciłam na I-25 w kierunku Casper w stanie Wyoming. Miałam teraz przed sobą trzysta kilometrów oraz sto dziesięć minut na zastanawianie się, jaki kierunek wybrać. Nie miałam w kieszeni wiarygodnego dokumentu tożsamości, należało więc zamieszkać w miejscu położonym gdzieś na uboczu. Zdawałam sobie sprawę, że muszę oddalić się na tyle, na ile zdołam, od zwłok prawdziwego Jacka Reeda, od Domenica i wszystkich ludzi, którzy znali mnie jako Debrę Maze.

Znalazłam w Casper stację Greyhound, pojechałam jeszcze kilometr dalej na parking przy niewielkim centrum handlowym, i piechotą wróciłam na dworzec. W kiosku kupiłam bilet do Denver w Kolorado.

Wsiadłam do autobusu odjeżdżającego o pierwszej zero pięć w nocy. Podczas trwającej sześć godzin podróży budziło mnie każde potrącenie, wibracja, wybój, postój, spuszczenie wody w toalecie oraz wywoływanie nazw kolejnych przystanków. O dziesiątej rano załzawionymi z niewyspania oczami gapiłam się na czarno-białą tablicę z rozkładem odjazdów na stacji Denver Amtrak. Z Denver prowadziły w zasadzie tylko dwie drogi: jeśli wybrałeś tę na zachód, twoim celem musiało być Los Angeles albo San Francisco. Jeśli zdecydowałeś się wyruszyć na wschód, z pewnością zamierzałeś skończyć podróż w Chicago. Wybór był dość prosty: wschód albo zachód?

Miałam określone powody, by nie jechać na Zachodnie Wybrzeże, więc wybór był całkiem prosty. Na nieszczęście California Zephyr zawiózł mnie w pobliże Wisconsin, na teren naznaczony niegdysiejszą obecnością Tanyi Dubois, tak więc podczas kolejnej przerwy w podróży musiałam zachować czujność.

Do końca postojów Zephyra zostały jeszcze cztery godziny, co wystarczyło aż nadto, żebym znalazła towarzyszkę podróży, od której mogłabym pożyczyć kartę kredytową. Możliwości było kilka, bo w grę wchodziły wszystkie kobiety, które trzymały na widoku swoje torebki. Wybrałam tę, która nosiła najładniejsze buty – pantofelki zawiązywane na rzemyki, które dyndały nad obcasami, podczas gdy ich właścicielka ucięła sobie drzemkę na dworcowej ławce. Nawet nie drgnęła, gdy przechodziłam obok. W szeroko otwartej torebce tkwił portfel, który łatwo mogłam wyszarpnąć. Obrzuciłam uważnym spojrzeniem osoby kręcące się w pobliżu, ale wszyscy zdawali się zajęci własnymi sprawami. Zdjęłam więc kurtkę i przerzuciłam przez prawe przedramię. Znowu ruszyłam w stronę tamtej kobiety, a gdy znalazłam się tuż przed nią, upuściłam telefon i schylając się po niego, jednocześnie wyłowiłam z jej torebki portfel. Jak gdyby nigdy nic ruszyłam przed siebie i gdy znalazłam się poza zasięgiem wzroku współpasażerów, wyciągnęłam z portfela kartę kredytową i kupiłam bilet do Chicago, pozwalając sobie na imponujący dodatek w postaci miejsca sypialnego w jednoosobowym przedziale. Potrzebowałam odpoczynku, a poza tym im mniej osób widziało mnie wyglądającą jak druga Debra Maze, tym lepiej. Moja dobrodziejka, niejaka Virginia White, miała w portfelu sto osiemdziesiąt dwa dolary gotówką. Zatrzymałam więc jedną kartę kredytową oraz pieniądze, lecz nie chciałam zostawiać jej całkiem bez żadnego dowodu tożsamości.

Ruszyłam więc z powrotem w jej kierunku w nadziei, że uda mi się podrzucić portfel, lecz właścicielka torebki już nie spała. W popłochu przeglądała rzeczy, najwyraźniej czegoś szukając. Powędrowałam więc na przeciwny koniec peronu i tam rzuciłam portfel na ziemię. Może jakiś dobry samarytanin odnajdzie go i zwróci właścicielce.

Podczas czterech godzin, które pozostały mi do chwili powrotu do pociągu, znalazłam sklep z używaną odzieżą, gdzie kupiłam niewielki plecak oraz ubranie na zmianę. Potem wstąpiłam do drogerii, żeby zaopatrzyć się w wodę, batoniki energetyzujące i telefon komórkowy jednorazowego

użytku.

Do pociągu wsiadłam bez żadnych incydentów i przez pierwsze dziesięć godzin podróży spałam jak zabita, budząc się jedynie po to, by łyknąć nieco wody, i zaraz znów zanurzyć się w senny koszmar, w który zamieniło się moje życie. Kiedy wreszcie spałam wystarczająco długo, by nadrobić braki z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, obudził mnie głód tak obezwładniający, że spacer do wagonu restauracyjnego wydawał mi się dwudniową wyprawą przez pustynię. Zataczałam się przez wąskie przejście jak pijany braciszek, dla zachowania równowagi co chwila łapiąc za oparcia foteli. Gdy wreszcie dojrzałam do celu i usiadłam przy barze, wydawało mi się, że menu jest napisane w obcym języku.

Barmanka – zdaje się, że miała na imię Grace, chociaż może imiona pomieszały mi się w głowie – spytała, czy potrzebuję pomocy. To najlepiej świadczy o tym, że faktycznie musiałam tak wyglądać. Przyszło mi na myśl, że raczej nie powinnam zachowywać się w sposób wzbudzający podejrzenia, ponieważ takie osoby o wiele bardziej utrwalają się w ludzkiej pamięci niż te, które nie odbiegają od normy. Postarałam się zapisać w pamięci, że odtąd mam zacząć zachowywać się normalnie.

– Co macie dobrego? – spytałam.

– Wszystko – odpowiedziała.

Duma, z jaką zareklamowała całość menu, wzbudziła mój podziw, lecz przez ostatnie dwa dni musiałam podejmować tyle trudnych, złożonych i wywracających życie do góry nogami decyzji, że teraz potrzebowałam kogoś, kto przynajmniej w tak błahej sprawie zdejmie z moich ramion konieczność decydowania.

– Może spytam inaczej – powiedziałam. – Co pani by zamówiła, gdyby przyszła tutaj na posiłek?

– Burgera – odparła zdecydowanie. – Zawsze zamawiam burgera.

– W takim razie wezmę burgera – odparłam.

Burger okazał się przyzwoity, choć nie wyśmienity. Jednak tempo, w jakim go pochłonięłam, mogło wzmocnić przekonanie tej Niby Grace o wyjątkowości jej ulubionego dania.

Kiedy wyczyściłam talerz, spytała, dokąd się wybieram. Nie podjęłam jeszcze decyzji co do ostatecznego miejsca zamieszkania, więc rzuciłam cokolwiek.

– Do Chicago.

– Ma pani tam rodzinę?

– W pobliżu.

Kupiłam torbę czipsów ziemniaczanych, migdały, jabłko i wodę, żeby jakoś przetrwać resztę podróży. Z pozoru niewinne pytania zawsze prowadzą do tych bardziej osobistych, a ja w tym momencie nie miałam gotowych odpowiedzi, więc wolałam wrócić do przedziału. Usiadłam przy oknie i obserwowałam przemykający za szybą krajobraz. Zmieniał się tak szybko, że wciąż miałam wrażenie, że przeoczyłam coś istotnego.

Zanim dotarliśmy do Nebraski, za oknem zapanowała nuda. Wszystko wyglądało tak samo i nostalgia, którą odczuwałam jeszcze niedawno, ulotniła się bez śladu. W końcu zaczęłam sprawdzać godzinę na zegarku niemal co sekundę, coraz bardziej niecierpliwie czekając, aż dobiegnie końca pierwszy etap mojej podróży. Jednoosobowe przedziały do dobry pomysł, lecz są mniejsze od więziennej celi i człowiek szybko zaczyna mieć ich dość, chyba że jest przyzwyczajony do minimalistycznego stylu życia.

Przeziadka w Chicago podarowała mi ulotne wrażenie radosnej wolności, dopóki nie uświadomiłam sobie, że powinnam jak najszybciej opuścić Środkowe Wybrzeże. Gdybym zajrzała w Chicago do paru urzędów pocztowych, pewnie znalazłabym tam swoje niewyraźne zdjęcie przypięte pinezką na tablicy ogłoszeń, tuż obok zdjęć osób poszukiwanych przez FBI.

Po Chicago Union Station kręciło się więcej ludzi niż było ich w całym Recluse w stanie Wyoming. Przyjezdni tacy jak ja, pasażerowie z biletem okresowym oraz zwykli przechodnie przepychali się obok. Czułam się, jakbym trafiła w sam środek pszczelego ula, a nieustanny ruch przytłaczał moje wyciszone zmysły. Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz doświadczałam zgiełku wielkiego miasta, i muszę przyznać, że mi tego brakowało. Tęskniłam za byciem niewidoczną w pomieszczeniu pełnym ludzi, za zgubieniem się w tłumie.

Gdy tylko upragniona wizja nabrała realnych kształtów, natychmiast starłam ją w pył. W wielkich miastach wynajem mieszkania kosztuje krocie,

co wymaga dobrze płatnej, legalnej posady; w obu wypadkach należy też posiadać referencje i historię zatrudnienia, oraz – co o niebo ważniejsze – cholerny dowód tożsamości, na który obecnie nie miałam szans.

Z uwagą wpatrywałam się w rozkład odjazdów. Jedyna pewna decyzja, którą dotąd podjęłam, to że muszę wybrać miejsce maksymalnie oddalone do Środkowego Zachodu. Tylko dwie i pół godziny dzieliły mnie od Waterloo w stanie Wisconsin, z tego większość autostradą I-94, którą tak dobrze pamiętałam.

Dzięki gotówce Virginii White kupiłam bilet na Lake Shore Limited do Albany w stanie Nowy Jork. Pociąg miał odjechać dopiero za sześć godzin, więc wepchnęłam bagaż do schowka i kupiłam w kiosku kilka miejscowych gazet w nadziei, że nie trafię tam na policyjny rysopis mojej skromnej osoby. Znalazłam słabo oświetlony i mało uczęszczany bar, gdzie nie było ryczącego telewizora nastawionego na sportowy kanał, i usiadłam w odległości czterech stołków od innego samotnego klienta.

– Co podać? – zapytał barman.

Zamówiłam piwo i otworzyłam gazetę, ale zaraz zdałam sobie sprawę, że światło jest zbyt słabe do czytania. Mimo wszystko, jeśli jesteś samotną kobietą i przesiadujesz w barze, to lepiej udawać, że jesteś zajęta, nawet jeśli to tylko pozory. Większość mężczyzn uważa za przysługę chęć dotrzymania ci towarzystwa, bo przecież to wstyd, żeby dziewczyna pokazywała się publicznie bez obstawy.

Rzeczywiście, nie upłynęło zbyt wiele czasu, gdy jakiś towarzysz podróży zajął miejsce obok mnie. Naprężyłam ramiona i zasłoniłam się gazetą. Niektórzy panowie odczytują bezbłędnie taki gest jako sygnał tego, co faktycznie on oznacza: PROSZĘ MI NIE PRZESZKADZAĆ. Niestety, są i tacy, którzy czytają wyłącznie prognozę pogody i nie przychodzi im do głowy, że inna ludzka istota może pragnąć czegoś innego niż oni.

Kątem oka dostrzegłam, że facet ma na sobie wymiętą koszulę, poluzowany krawat, a kołnierzyk koszuli jest zażółcony i wystrzępiony, co zdarza się wówczas, gdy obok takiego pana nie ma żadnej kobiety, która by podpowiedziała, że należy kupić nową koszulę. Doszłam do wniosku, że gość musi być jakimś handlowcem. Oni zawsze chodzą w garniturach i potrafią gadaniem wbić człowieka w ścianę. Moje badawcze spojrzenie dostarczyło

mi wszystkich informacji, których potrzebowałam. Handlowiec trzymał pieniądze blisko ciała, a dokładniej rzecz ujmując, w kieszonce na piersi. Gdyby ich umiejscowienie było bardziej dostępne, być może dałabym się wciągnąć do rozmowy. Jednak w tym wypadku nie widziałam najmniejszego sensu.

Handlowiec nie zamówił żadnego drinka, dopóki nie zadał pierwszego pytania.

– Przepraszam, co pani czyta?

Starałam się go zignorować, zasłaniając się gazetą jak tarczą.

Chrząknął, jakby zamierzał pozbyć się chryпки.

– Co pani czyta? – powtórzył.

– Gazetę – odpowiedziałam. Czasami lakoniczne odzywki zmuszają twojego rozmówcę do przyjęcia tego samego stylu.

– Mam na imię Howard.

– Aha – mruknęłam, ponieważ czasami, kiedy kogoś ignorujesz, ta osoba zaczyna się powtarzać.

– A pani ma jakieś imię?

Opuściłam gazetę i spojrzałam mu prosto w twarz.

– Prawdę mówiąc, nie mam.

Taka odpowiedź *musiała* okazać się natychmiastowym zakończeniem konwersacji. Jednak Howard nie dał się zbić się z pantałyku.

– Czy pani czyta coś interesującego?

– Nie – warknęłam.

Barman podszedł do nas i przyjął zamówienie. Whisky z beczki. Handlowiec opróżnił szklaneczkę jednym haustem i popukał znacząco w blat. Drink został uzupełniony prawie natychmiast. Wtedy znów odchrząknął i zwrócił się do mnie.

– Ma pani przed sobą gazetę... Nie, dwie gazety, i chce mi pani wmówić, że nie ma w nich niczego ciekawego?

Metoda lakonicznych półsłówek najwyraźniej zawiodła.

– Może pan kupić sobie własną gazetę i znaleźć w niej to, co pana

interesuje – warknęłam, nie odrywając spojrzenia od niewyraźnego, czarno-białego druku.

– Kochanie, ja próbuję nawiązać z tobą rozmowę – odparł handlowiec.

– Ale ja nie jestem zainteresowana rozmową – burknęłam. – Tak więc ta transakcja wydaje się dość prosta. Pan chce rozmawiać, ja nie chcę. Ja wygrywam.

– Ach, te dzisiejsze kobiety... – westchnął handlowiec. – Nie mają żadnych manier.

– Nie, nie mają. Właśnie o to walczyły wszystkie ruchy kobiece. Nie o równe prawa, ale o prawo do tego, żeby być niegrzeczną. Już nie musimy dawać się wciągać w jakieś pogawędki. Równie dobrze może pan poszukać innego zajęcia, którym można wypełnić czas.

Położyłam przed nim gazetę, wstałam i opuściłam bar.

W krótkim czasie, kiedy udało mi się cokolwiek przeczytać, nie znalazłam żadnej wzmianki na swój temat, lecz miejscowe przestępstwa pojawiają się na łamach prasy tylko wtedy, kiedy w śledztwie pojawi się jakiś nowy wątek. Musiałam któregoś dnia zajrzeć do biblioteki i sprawdzić, jak przebiega dochodzenie w sprawie śmierci Franka.

Przez godzinę albo coś koło tego spacerowałam pod wielkimi łukami Union Station, wyciągając nogi w oczekiwaniu na siedzenie w skulonej pozycji przez następny etap podróży. W końcu znalazłam ławeczkę zajętą przez jakiegoś nastolatka, który podrygiwał w rytm czegoś, czego ryk dobiegał ze słuchawek, które miał na uszach. Usiadłam obok. Zawsze można liczyć, że dzisiejsza młodzież będzie się zajmować swoimi sprawami.

Rozdział siedemnasty

Jazda z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę sprawiała, że czułam się tak, jakby to pociąg uciekał, a nie ja. Wolałam nie ryzykować powtórnego użycia karty kredytowej Virginii White, więc na Lake Shore Limited kupiłam jedynie zwykłe miejsce do siedzenia.

Do wagonu restauracyjnego ruszyłam dopiero wówczas, gdy tłum w porze lunchu nieco się przerzedził. Zamówiłam kanapkę z indykiem i znalazłam miejsce przy stoliku obok okna, przodem do wnętrza wagonu. Rozejrzałam się dookoła w poszukiwaniu kogoś, kto ewentualnie mógłby narobić mi kłopotu. Obok mnie siedział jakiś nastolatek, przyklejony do swojego telefonu, jakaś rodzinka z dziećmi, które rodzice usilnie starali się uciszyć, oraz okazały, zażywny dżentelmen w nieskazitelnej tweedowej marynarce, który chrapał tak głośno, że dama siedząca bliżej zaczęła zbierać swoje rzeczy. Była dość wiekowa, miała może siedemdziesiąt pięć lat, wysoka i chuda jak patyk. Jej jasne błękitne oczy i mocno zarysowane kości policzkowe sugerowały, że za młodych lat z pewnością zaliczano ją do grona piękności. Miała zupełnie siwe włosy, zapewne własnoręcznie przycięte krótko i ułożone w prostą fryzurę, zaś zmarszczki dookoła oczu i ust sugerowały częstą potrzebę uśmiechania się.

W pewnej chwili spojrzała na mnie i przewróciła oczami w kierunku chrapiącego dżentelmena. Uśmiechnęłam się; odpowiedziała uśmiechem i podeszła do mojego stolika.

– Czy ma pani coś przeciwko temu, że się przysiadę?

W pobliżu były wolne stoliki, ale do wagonu właśnie napłynęła kolejna fala pasażerów. Już na pierwszy rzut oka jej towarzystwo wydawało się o wiele bardziej pożądane niż jakiegokolwiek innej osoby, więc nie zamierzałam ryzykować. Czekало mnie jeszcze dziesięć godzin podróży.

– Proszę – odpowiedziałam.

Wsunęła się na ławkę z przeciwnej strony i mrugnęła porozumiewawczo. W jej przypadku było to całkiem na miejscu.

– Przez czterdzieści lat co noc musiałam wysłuchiwać, jak mój mąż piłuje drewno. Przez osiem godzin, siedem dni w tygodniu. Kiedy umarł, bardzo za nim tęskniłam, ale nie tęskniłam za tym dźwiękiem.

– Dokąd pani jedzie? – spytałam.

– Do Erie. A pani?

– Do Buffalo.

Zapadła chwila ciszy. Zadałam pytanie jako pierwsza, bo dzięki temu nie musiałam podawać jej ostatecznego celu podróży. Nawiasem mówiąc, gdyby ktoś namierzył Debrę Maze lub Tanyę Dubois, i gdyby wiadano, że wylądowałam w Buffalo, to pewnie wszyscy zgodziliby się z tezą, że stamtąd przeskoczyłam do Kanady. Zresztą to całkiem niezły pomysł, gdybym tylko znalazła wolny bagażnik w samochodzie jadącym w tamtą stronę.

– Jedzie pani na wakacje czy wraca do domu? – pytałam dalej.

– Ani jedno, ani drugie – odparła z komiczną miną. – Przez weekend będę zajmować się wnukami. Mój syn i synowa uważają, że to wakacje. Ale ja kiedyś byłam w Paryżu i wiem lepiej, jak to wygląda. A pani?

– Jadę odwiedzić przyjaciela.

– Na wakacje?

– Można tak to określić – powiedziałam.

Czasem gapiąc się przez okno, usiłowałam wmówić sobie, że to taki rodzaj urlopu. Niestety, nigdy nie działało.

– Nazywam się Delores – powiedziała. – Delores Markham.

Dodając nazwisko, chciała chyba zasugerować, że ja także powinnam się przedstawić. Jeślibym tego nie zrobiła, atmosfera mogła zrobić się mało przyjazna. Być może nawet obudziłoby to jakieś podejrzenia, choć moje wyostrzone poczucie paranoi mogło płatać figla wpojonym zasadom dobrego wychowania.

– Cześć, Delores. Jestem Emma Lark.

Nosiłam to imię w tylnej kieszeni, na wypadek gdybym kiedyś potrzebowała je wykorzystać, choć zasadniczo podczas podróży starałam się

zachować anonimowość. Nigdy dotąd nie wymówiłam go głośno, więc kiedy to nastąpiło, musiałam zrobić krótką przerwę. Naprawdę krótką; trwała może ułamek sekundy, ale po spojrzeniu Delores zorientowałam się, że ją zauważyła.

- Wyglądasz znajomo, Emmo.
- Muszę być podobna do kogoś, kogo znasz.
- Być może. Skąd pochodzisz?

Jej wzrok przywarł do moich oczu badawczym, lecz wciąż życzliwym spojrzeniem. Pełen otwartości uśmiech nie zachwiał się ani na chwilę, choć jego właścicielka wyraźnie starała się mnie rozgryźć, kiedy odpowiadałam na pytania.

- Z przedmieść Seattle. A ty?
- Z Madison.

Miałam kłopoty. Madison znajduje się tylko pół godziny jazdy od Waterloo, gdzie Tanya Dubois figurowała na liście poszukiwanych przez policję. Moja facjata pewnie znajdowała się w całej lokalnej prasie. Gdybym musiała zgadywać, to stawiałabym, że Delores Markham już wie, kim naprawdę jestem. Plan podróży przez Środkowy Zachód najwyraźniej okazał się pomyłką. Od chwili zabójstwa Jacka mój umysł nie działał tak jak należy.

- Z Madison... – powtórzyłam, jak gdyby mój język pierwszy raz musiał ułożyć się do wypowiedzenia tej nazwy. – Słyszałam same dobre rzeczy.
- Nigdy tam nie byłaś?
- Nigdy – odparłam zdecydowanie.

Mogłam zmienić kolor włosów, nawet kolor oczu, ale nie da się zmienić kształtu kości policzkowych. Każdy, kto ma pamięć do twarzy, musiał rozpoznać moje rysy. Wytrzymałam spojrzenie Delores, choć serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe i udało mi się zachować spokojną, przyjazną minę, gdy gorączkowo próbowałam wymyślić jakiś plan.

- Może któregoś dnia wpadnę – dodałam po chwili.
- To chyba nie jest najlepszy pomysł – powiedziała Delores.
- Dlaczego?
- Bo jesteś kubek w kubek podobna do dziewczyny, której tam szukają za

morderstwo.

W ciągu pięciu sekund temperatura w wagonie skoczyła przynajmniej o dziesięć stopni. Mój umysł krążył jak po polu kukurydzy – nieważne, w którą ścieżkę skręcałam, każda okazywała się ślepym zaułkiem.

Delores zmusiła mnie do ponownego przemyślenia wszystkich moich planów. W tym momencie nie darzyłam jej sympatią, lecz mimo wszystko zabójstwo nie wchodziło w grę.

– Coś nieprawdopodobnego – odparłam.

– No cóż, jest poszukiwana listem gończym. Mąż został znaleziony nieżywy u podnóża schodów, żona zaś zniknęła bez śladu. Jeśli była niewinna, to czemu uciekła?

– Może została porwana przez prawdziwego mordercę.

– W domu nie było śladu walki. Poza tym ta dziewczyna zabrała torebkę i przynajmniej jedną walizkę.

O ile zdołałam się zorientować, Delores doskonale się bawiła, spędzając czas na pogawędce z potencjalną morderczynią. No cóż, właściwie rzeczywistą morderczynią. Tylko czy Jack w ogóle mógł się liczyć?

Gdybym teraz wstała i wyszła, musiałoby to wydać się wysoce podejrzane, a w dodatku niegrzeczne, więc pozwoliłam, by konwersacja toczyła się zwykłym trybem.

– Rzeczywiście, cała sprawa jest mocno podejrzana – przyznałam.

– Ciekawe, że wyglądasz całkiem jak ona – zauważyła Delores.

– Mówią, że każdy ma swojego sobowtóra – odparłam.

– Wcale nie jestem przekonana, czy ta kobieta faktycznie zawiniła – powiedziała Delores. – Może facet sam sprowokował nieszczęście.

– Może zwyczajnie spadł ze schodów?

Głośnik zakwilił, a potem ponad wymodulowanym głosem Delores rozległo się skrzeczenie głosu konduktora.

– *Następna stacja: Erie.*

Delores nawet nie drgnęła.

– To chyba twój przystanek, zgadza się? – zauważyłam.

– Tak – odparła, niespiesznie zgarniając torebkę i płaszcz. – Wiesz, Tanya, miło było z tobą pogawędzić.

Gdybym stała, to chyba nogi by się pode mną ugięły.

– Emma – wyszeptałam bez przekonania. Jakie to miało znaczenie?

Delores wysiadła, ale uświadomiłam sobie, że to tylko kwestia minut, zanim zadzwoni na policję z informacją, że właśnie spotkała w pociągu Tanyę Dubois. Przyglądałam się jej, jak szła po peronie w stronę budynku stacji, a potem jak strzała popędziłam do wyjścia. Wyskoczyłam z pociągu tuż przed zamknięciem drzwi.

Nie ośmieliłam się wejść na stację, dopóki nie zyskałam pewności, że Delores odjechała. Powędrowałam aż na sam koniec peronu i tam przesiedziałam na ławce przez całe pół godziny, oddychając wolno i równomiernie, żeby uspokoić nerwy. Następnie weszłam na Erie's Union Station, kupiłam bejsbolówkę oraz parę ponadwymiarowych przeciwsłonecznych okularów i opuściłam budynek, wędrując wzdłuż Peach Street, aż ujrzałam nazwę motelu, który wyglądał na taki, gdzie biorą gotówkę i nie pytają o żaden cholerny dowód tożsamości.

Pokój numer 309 w Dragonslayer Inn wyglądał mniej więcej tak samo staroświecko, jak sypialnia mojej matki w okolicach roku 1985. Gdybym miała zaryzykować odgadywanie wieku dywanu i pościeli, przyjąłabym, że mają co najmniej piętnaście lat. Ściany pokrywała warstwa smolistego brudu, co według mnie było niepisanym znakiem Tylko dla Palących, zaś kran w łazience tak zarósł rdzą, że musiałam przypomnieć sobie, kiedy miałam ostatnie szczepienie przeciwko tężcowi.

Mimo wszystko dobrze było samotnie spędzić noc, mieć czas na przemyślenia. Kiedy spróbowałam spojrzeć wstecz, zdałam sobie sprawę, że zostałam morderczynią zaledwie przed czterema dniami, choć czułam się tak, jakby minęła cała wieczność. Zdjęłam ubranie, odwinęłam antyczną kołdrę i wpełzłam między drapiące prześcieradła. Spałam tak długo, jak długo pozwolił mi spać mój niespokojny umysł.

Sumienie obudziło mnie po zaledwie trzech godzinach wytchnienia. Kiedy oprzytomniałam, budzik przy łóżku wskazywał dziewiątą dziewięć

wieczorem, więc pomyślałam, że o tej porze pewnie uda mi się znaleźć jakąś czynną drogerię. Szybko wcisnęłam się w ubranie i wyszłam.

Pewne zakupy od razu wzbudzają podejrzenia. Na przykład, gdybym pracowała w sklepie z towarami żelaznymi, z pewnością zadzwoniłabym na policję, gdyby jakiś klient zażyczył sobie zwój liny oraz taśmę samoprzylepną. Jednak gdyby ten sam klient zakupił linę, klej do drewna, tarcicę, zawiasy, lewarek oraz taśmę klejącą, nie zwróciłabym na niego uwagi. W drogerii wrzuciłam do koszyka nożyczki, farbę do włosów, jednorazowy telefon komórkowy, zestaw do makijażu i szal, a potem dodałam jeszcze mieszankę orzeszków, nową szczoteczkę do zębów, pastę, szampon i multiwitaminę, która miała zniechęcić kasjera. Całkiem możliwe, że mocno przesadziłam, bo kasjer nawet na mnie nie spojrzał.

Kiedy z powrotem znalazłam się w Dragonslayer Inn, popatrzyłam uważnie w lustro i pomyślałam, co mogłabym zrobić, żeby stać się nierozpoznawalna. Wyjęłam z plastikowej torby nożyczki, chwyciłam kosmyk włosów i obciąłam je przy samej skórze. Potem chwyciłam następny, i jeszcze następny, aż moja głowa zaczęła przypominać wyglądem niedbale przystrzyżony trawnik. Zatrzymałam na wszelki wypadek parę błękitnych soczewek, więc teraz mogłam z powrotem je założyć. Postanowiłam nie zmieniać koloru włosów. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie potrzebna następna warstwa kamuflażu. Kiedy popatrzyłam w lustro, przypominałam pacjentkę z oddziału onkologicznego, i to raczej taką, której nikt nie będzie zaczepiał. Doszłam do wniosku, że w takim wcieleniu mogę bezpiecznie się przemieszczać, dopóki nie znajdę nowego miejsca do życia.

Najstaranniej jak mogłam wyczyściłam o linoleum moje znoszone buty, okazując pokojówce więcej współczucia niż przeciętny hotelowy gość. Nastawiłam budzik i poszłam do łóżka.

Godzinę później zbudziły mnie wyrzuty sumienia. Gdy zostawiałam Domenica, wydawał się w całkiem niezłym stanie, ale obrażenia głowy potrafią dać trudne do przewidzenia skutki. Ogarnął mnie strach, że okaleczyłam człowieka, który ogólnie rzecz biorąc, zapewne jest całkiem przyzwoitym gościem.

Wyszukałam w portfelu jego wizytówkę, wyjęłam zakupiony w Denver telefon i wybrałam numer. Odebrał po trzecim dzwonku. Przynajmniej byłam

całkiem pewna, że to on. Chyba powinnam była się rozłączyć, ale nie mogłam.

– Domenic?

– Tak. Kto mówi?

– Jak twoja głowa?

– Debra?

– Już mnie tak nie nazywaj.

– W porządku, kochanie. Tylko powiedz mi, gdzie jesteś. W Denver?

– Nie, nie w Denver – powiedziałam. – Jak się czujesz?

– Mam wstrząs mózgu. Zadzwoiłaś, żeby sprawdzić, jak moje zdrowie?

– Tak.

– To wzruszające. Gdzie jesteś?

– Czy masz jeszcze inne obrażenia?

– Kilka szwów. Proszę, kochanie, powiedz mi, gdzie jesteś.

– Powiem, pod warunkiem że wyzdrowiejesz. Na razie, Domenic.

Dochodziła trzecia w nocy, kiedy wyszłam z hotelu. Wrzuciłam telefon do kosza, a klucze do szczeliny przy recepcji, więc nikt mnie nie widział. Wróciłam na stację i za własne pieniądze kupiłam bilet na Lakeshore Limited do Albany. Była siódma piętnaście rano, gdy wsiadałam do pociągu.

O ile w grę wchodził wybór tożsamości, Emma Lark okazała się jedynie czymś w rodzaju krótkiej przerwy w podróży. Nawet mając w ręku kopie dowodu i paszportu, skradzione z akt w John Allen Campbell Primary School, nie mogłam użyć jej nazwiska. Zdołałam ją przeżuć i wypluć w czasie krótszym niż trzy dni, a wszystko dzięki pewnej przenikliwej starszej damie, która nazywała się Delores Markham. Nie mogłam jednak długo egzystować bez nazwiska, więc szybko przystąpiłam do działania.

Gdy tylko znalazłam się na pokładzie pociągu, postanowiłam rozprostować nogi, spacerując po wagonach w poszukiwaniu pasażerek w zbliżonym do mnie wieku. Potem zawęziłam poszukiwania do tych, które choć trochę były podobne do mnie. W końcu wybrałam trzy. Byłoby miło nie spieszyć się, tylko dokładnie przyjrzeć sylwetce każdej z nich, sprawdzić wzrost, może nawet zainicjować rozmowę, żeby dowiedzieć się, ile ma lat,

gdzie się urodziła, skąd jedzie i dokąd zmierza, i dopiero wówczas podjąć ostateczną decyzję. Jednak okazja sama się nadarzyła, więc nie mogłam jej nie wykorzystać.

Kobieta o długich brązowych włosach, które zdecydowanie mogły uchodzić za perukę po kuracji przeciwnowotworowej, zostawiła swoje rzeczy w prawie pustym wagonie, żeby pójść do toalety. Szybko wsadziłam rękę do porzuconej torebki, wyłowiłam portfel i czym prędzej schowałam do własnej torby. Chwilę później zamknęłam się w toalecie w następnym wagonie, wyciągnęłam z portfela prawo jazdy, parę banknotów i kartę kredytową, ledwie rzucając na nie okiem, a potem jak gdyby nigdy nic przeszłam z powrotem do poprzedniego wagonu. Właścicielka torebki na szczęście jeszcze nie wróciła na swoje miejsce. Było mniej prawdopodobne, że zauważy kradzież, jeśli portfel znajdzie się na swoim miejscu, więc oddałam większość skradzionych rzeczy, i dopiero wtedy ruszyłam dalej. Każdy ruch odbył się tak szybko, że nawet nie miałam kiedy przeczytać nazwiska w dowodzie.

Mój nieroztropny sobowtór wysiadł z pociągu w Syracuse w stanie Nowy Jork. Dopiero wówczas odważyłam się sprawdzić nową tożsamość. Gnana niepoohamowanym pragnieniem wyłowiłam z torby prawo jazdy, żeby odczytać nazwisko.

Sonia Lubovich z Birmingham, ze stanu Indiana. Lubovich. Czy to Polka, czy może Rosjanka? Może to nazwisko przyjął, zawierając krótkotrwałe małżeństwo z mężczyzną, który nie opowiadał mi zbyt wiele o swojej rodzinie. Brak komunikacji to z pewnością kluczowy czynnik w nieudanych małżeństwach – choć w moim wypadku właśnie to mogło trzymać mnie i Franka razem przez tak długi czas.

Zdecydowałam, że to nazwisko mi odpowiada. Dziewczyna była tylko dwa lata starsza ode mnie, wyższa o dwa centymetry, a poza tym wyglądałyśmy całkiem podobnie. Zdjęcie zostało zrobione przed paroma laty, zresztą mój obecny wygląd łatwo można było wytłumaczyć trudami życia i chorobą. Nie miałam wielkich oczekiwań co do kolejnych wersji swojego życia, ale odkryłam, że Sonia Lubovich ma przed sobą lepsze perspektywy, niż miała Emma Lark.

Siedemnasty kwietnia dwa tysiące piętnastego roku

do Jo

od Ryana

Jo, dlaczego zadzwoniłaś do niego, żeby poprosić o pomoc? Powinnaś była zadzwonić do mnie. Ja na pewno bym Ci pomógł.

R

*Dwudziesty drugi czerwca
dwa tysiące piętnastego roku*

do Jo

od Ryana

Jo, minęło już dziesięć lat, odkąd wyjechałaś. Ludzie znowu gadają o Tobie. Twoja twarz – Boże, ile bym dał, żeby wiedzieć, jak teraz wyglądasz – znowu znalazła się w gazetach. To sprawiło, że znów zaczęłam tęsknić.

Bądź ostrożna. Jason Lyons wrócił do miasta. Teraz jest prokuratorem. Nie obchodzi go, że zostałam uznana za zmarłą. Myśli, że wciąż gdzieś tam jesteś.

R

SONIA LUBOVICH

Rozdział osiemnasty

Opuszczając Recluse, nie miałam pojęcia, dokąd jadę. Sama nie wiem, w którym momencie dokładny plan nabrał ostatecznego kształtu. Może zresztą przez cały czas był w mojej głowie, zagubiony na dnie bagażu jak kawałki puzzli, które trzeba poskładać. Moja matka jako dziecko mieszkała na Manhattanie, razem ze swoją mamą zajmując mieszkanie z jedną sypialnią. Miała dość paternalistycznie nastawioną babcię, która nie wtrącała swoich trzech groszy w sprawy zasadnicze, lecz co roku latem płaciła za wyjazd do północnej części stanu Nowy Jork. Na osiem tygodni moja mama była odsyłana z zadymionego pudełka na zabetonowanej wyspie, żeby pobiegać wśród sosen, klonów, dębów, cyprysów i wierzb. Kąpała się w jeziorach, pływała kajakiem po rzekach, spędzała wolny czas na aktywności, na którą rzadko mogli sobie pozwolić jej koledzy ze szkolnej ławy.

Te miejsca od zawsze kojarzyły mi się ze wspaniałą przygodą i często pytałam matkę, dlaczego ja nie jestem wysyłana na żaden obóz. Wtedy wskazywała w kierunku Waki Reservoir, gdzie pływałam o każdej porze roku z wyjątkiem zimy, sugerując, żebym rozbiła sobie namiot na brzegu. Ten dowcip tylko po części był dowcipem. Nasz dom był tak ciasny, że z pewnością mama nie miałaby nic przeciwko temu, żeby zyskać dodatkową przestrzeń.

Jednak majestatyczne obozowiska z jej wspomnień wciąż żyły w mojej pamięci i od czasu do czasu zadawałam jej pytanie dotyczące spędzonego na nich czasu. Czy miała własny kajak? Ile godzin dziennie wolno jej było pływać? Czy zdarzyło się, że kogoś zaatakował niedźwiedź? Czy wciąż utrzymuje kontakty z dawnymi towarzyszami ze starej chaty?

– Nie. Kontakt się urwał – odpowiedziała, pociągając łyk z trzeciej tego popołudnia szklaneczki dzinu z tonikiem.

– Czy ktoś kiedyś utonął w tym jeziorze?

– Co ty masz za obsesję z tym tonięciem? – warknęła.

Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek otrzymała odpowiedź na tamto pytanie. Patrząc wstecz, to było jedynie niegroźne zaabsorbowanie, które potem zamieniło się w obsesję.

– Miałaś tam jakiegoś chłopaka?

– Jasne. Niejednego.

Łatwo było stwierdzić, kiedy moja matka zaczynała mieć dość rozmowy. Jej oczy wędrowały ku niebu, nawet jeśli nie było tam nic godnego uwagi. Ja ze swojej strony zawsze starałam się wyciągnąć z niej odrobinę więcej.

– Co się działo z waszym obozem, kiedy kończyło się lato?

– Nic – odpowiedziała. – Wyglądało jak Brigadoon, dopóki dzieciaki nie zjawily się tam w następnym roku.

Zostały mi tylko dwie godziny podróży, kiedy usiadłam przy oknie i ujrzałam wspaniały świat, który przepływał obok mnie. Zdałam sobie sprawę, że ten widok to doskonała metafora mojego życia. Kolor drzew przypominał o jesieni, bo właśnie minęła połowa października. Liście zmieniały barwę i zaczynały obumierać, lecz ogólnie koloryt krajobrazu był nadzwyczaj piękny, piękniejszy od wszystkiego, co dotąd miałam okazję oglądać. Przez krótką chwilę mogłam zapomnieć o wszystkich wersjach życia, od których uciekałam, i w podziwiewie przypatrywać się, jak cudowny, a zarazem niewiarygodnie okrutny potrafi być świat.

Zanim zdążyłam pomyśleć, co się święci, łzy strumieniem popłynęły mi po policzkach. Szybko założyłam okulary przeciwsłoneczne w nadziei, że nikt nie zauważył, co się ze mną dzieje. Jednak przyciemnione szkła stępiły czarodziejską magię barw, więc pomyślałam, że cholera, mam to gdzieś, bo przecież nie wiadomo, ile jesieni jeszcze zostało mi do końca życia, albo ile będę oglądać jako wolna kobieta. Zdjęłam okulary. Nie obchodzi mnie, ilu ludzi zobaczy, że płacę.

Wysiadłam z pociągu w Albany parę minut przed trzecią po południu i nabyłam bilet do Empire Service, przystanek od Hudson. Szłam wzdłuż Warren Street, aż kątem oka ujrzałam motel, podobny do tych, do których już

zdążyłam się przyzwyczać. Ruszyłam okreśną drogą w tamtą stronę i zameldowałam się w Roosevelt Inn. Po podróży potrzebna mi była kąpiel, choć wiedziałam, że na takie luksusy już niedługo nie będę sobie mogła pozwolić.

Zapłaciłam gotówką, bo lepiej było nie pokazywać karty kredytowej, ale podałam nazwisko Sonia Lubovich, żeby się do niego przyzwyczać. Sama byłam zaskoczona, jak łatwo wschodnioeuropejskie spółgłoski ułożyły mi się na języku. Recepcjonista nawet nie podniósł wzroku, słysząc, jak je wypowiadam. Bez wątpienia ja i Sonia pasowałyśmy do siebie.

– Jak długo zamierza pani zostać? – spytał.

Był mocno wytatuowany i wyglądał tak, jakby jego ambicje sięgały daleko poza obecną pozycję. Nasza krótka wymiana zdań najwyraźniej strasznie go znudziła.

– Tylko jedną noc.

Zameldowałam się w moim tymczasowym azylu, wyciągnęłam spod powiek kłujące błękitne soczewki i wzięłam długi gorący prysznic. Przebrałam się w drugi zestaw ubrań i wyszłam z Roosevelt Inn, żeby rozprostować nogi, ciesząc się poczuciem, które mogę opisać jedynie jako poczucie wolności. Ze sklepu z używaną odzieżą wybrałam kilka praktycznych drobiazgów, w miejskiej pralni uprałam wszystkie stare i nowe ciuchy, zakupiłam parę jednorazowych telefonów komórkowych i przejrzałam kieszenie nowo kupionego wełnianego płaszcza za dziesięć dolarów. Był dość nędzny i za duży o jeden rozmiar, ale wyglądał na taki, w którym bez trudu stanę się niewidzialna. W kieszeni znalazłam dwadzieścia pięć centów.

Trafiłam na bibliotekę, która niestety była już zamknięta. Zatrzymałam się więc w staromodnej jadłodajni, żeby zamówić burgera, a potem wróciłam do Roosevelt Inn na moją ostatnią noc w prawdziwym łóżku.

Rankiem jeszcze raz wzięłam gorący prysznic i wymeldowałam się z motelu, niosąc w torbie na ramieniu cały mój doczesny majątek, a następnie wróciłam do Hudson Area Library. Pomimo palącej ciekawości nie rzuciłam się, żeby sprawdzić, co dzieje się z moimi przeszłymi tożsamościami. Zamiast tego przygotowałam listę wszystkich obozów letnich w promieniu pięćdziesięciu kilometrów i dokładnie przejrzałam ogłoszenia z używanymi

samochodami.

Po trzech godzinach miałam w ręku spis pięciu obozów i wybrane trzy samochody, które znajdowały się w odległości spaceru bądź niedługiej jazdy taksówką. Po kilku telefonach znalazłam starszą panią, która za tysiąc dolarów sprzedawała swojego dzipa wagoneer z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. Cena była zdecydowanie wygórowana jak na moje możliwości finansowe, lecz poza tą opcją w grę wchodziła wyłącznie kradzież. Doszłam do wniosku, że być może będę potrzebowała pojazdu z napędem na cztery koła i ważnym dowodem rejestracyjnym, który uprawnia mnie do poruszania się po drogach.

Z panią Mildred Hensen umówiłam się o jedenastej rano. Dwa razy sprawdziłam stan moich finansów z nadzieją, że pieniądze jakimś cudem pojawiły się w portfelu, lecz niestety, jego wnętrze wyglądało tak samo smętnie jak zawsze. Gdy już kupię samochód, zostanie mi zaledwie pięćset dolarów, a to za mało, żeby przeżyć bez żadnego źródła dochodów. Zamówiłam taksówkę, żeby dotrzeć do domu sprzedawcy w Red Hook.

Pani Hensen okazała się uroczą starszą panią. Miała kłopoty ze słuchem, co w pewien sposób uprzyjemniło nam kontakt. Nawet nie mrugnęła, gdy zobaczyła prawo jazdy wystawione w stanie Pensylwania na nazwisko Soni i tylko machnęła ręką, gdy próbowałam wytłumaczyć, że potrzebuję zabrać dokumenty rejestracji pojazdu i że sama je wypełnię, gdy już załatwię wszelkie formalności w stanie Nowy Jork. Wymyśliłam sobie długą i rozbudowaną historię o byłym mężu, który rzekomo zatrzymał mój paszport, ale okazało się, że całkiem niepotrzebnie.

Zabrałam wagoneera na próbną przejażdżkę. Amortyzatory zdecydowanie wymagały naprawienia, bo miałam wrażenie, że siedzę na grzbiecie narowistego konia. Silnik bardziej grzechotał, niż mruczał, ale wszystko działało, a cena wydawała się odpowiednia. Zresztą nie wytrzymałabym długo bez żadnego środka transportu, więc dobiłyśmy targu przy filiżance mocnej herbaty i ciasteczkach z dżemem domowej roboty.

Opuściwszy dom pani Hensen, jeździłam krętymi wyboistymi drózkami, żeby odnaleźć szlaki prowadzące do wybranych przeze mnie obozów. Nie wiodły tam żadne punkty orientacyjne ani kierunkowskazy, które ktoś mógłby zauważyć pod grubą zasłoną listowia. W końcu trafiłam na znak

klonu, ozdobiony małą rzucającym się w oczy napisem Camp Rodney. Pojechałam zarośniętą prywatną drogą obok ostrzeżenia TEREN PRYWATNY na polanę z kilkoma pomalowanymi na biało chatami. Stały w równych odstępach, a obok nich jeden główny budynek w stylu kolonialnym, biały z niebieskim szlaczkiem, najwyraźniej całkiem nowy.

Wysiadłam z auta, weszłam na schodek pod solidne, dębowe drzwi i położyłam dłoń na klamce. Były zamknięte na zasuwę, która nawet nie drgnęła. Zaslony nie pozwalały rzucić okiem do środka, więc obeszłam dom dookoła i spróbowałam zajrzeć z boku. Zobaczyłam pokój z kilkoma biurkami, ustawionymi tak jak w szkolnej salce, a pod ścianą ogromne stalowe regały, zaopatrzone w masywne kłódki. Zauważyłam także na tylnej ścianie jakiś wykres z dwójkowym kodem.

Rozejrzałam się po okolicy. Na terenie ośrodka znajdowało się jeszcze niewielkie boisko do badmintonu, mały staw z kilkoma łódkami, miejsce na ognisko oraz mesa. Zdolność dedukcji podpowiedziała mi, że Camp Rodney jest miejscem, gdzie organizowane są obozy komputerowe. Przy tak skromnym wyposażeniu wydawało się mało prawdopodobne, żeby ktoś zainstalował tutaj jakiś system zabezpieczeń. Postanowiłam działać.

Kilka kilometrów dalej zbadałam teren Camp Horizon. Właściciele posiadali uroczy staw i kilka łodzi wiosłowych, zaś zabezpieczenia domków okazały się łatwe do sforsowania, a do tego domki były ocieplone dość solidnie i z pewnością dało się w nich przetrwać wczesną zimę. Jednak od razu zostałam namierzona przez nieznośnego dozorcę i musiałam na poczekaniu wymyślić historyjkę, że chciałam tylko sprawdzić warunki zakwaterowania, żeby w przyszłym roku wysłać na obóz mojego wyimaginowanego syna.

W Camp Weezil znalazłam wszystkie udogodnienia, jakich potrzebowałam, jednak teren znajdował się zbyt blisko głównych dróg i moja obecność łatwo mogła zostać zauważona.

Było już późne popołudnie, gdy trafiłam do Camp Wildacre, na północnym krańcu Dutchess County, przepołowionego nurtem Wildacre River. Obóz znajdował się za dwukilometrowym odcinkiem prywatnej drogi dojazdowej, na której nie znalazłam śladów opon ani w ogóle oznak czyjejkolwiek bytności. Niewysoką bramkę z prętów zabezpieczała solidna

kłódka, przeskoczyłam więc przez płot i zbadałam cały teren. Od razu poczułam się jak w domu. Potrzebowałam jedynie przecinacza do metalu oraz nowej kłódki. Dałam susa z powrotem, wskoczyłam do dżipa i wycofałam się na główną drogę. Na najbliższej stacji benzynowej poprosiłam o wskazówki, jak dojechać do pobliskiego centrum handlowego i ruszyłam za kierunkowskazami na Rip Van Winkle Bridge. Generalnie powinnam była unikać jeżdżenia po głównych drogach. Za każdym razem, gdy dostrzegłam stanowy wóz policyjny, serce omdlewało mi z przerażenia. Ledwie widziałam drogę, tak bardzo starałam się skupić na tym, by strzałka prędkościomierza znajdowała się w najbardziej pożądanym miejscu. Gdybym we wstecznym lusterku zobaczyła migające niebieskie światła, moje życie dobiegłoby końca.

Odkładając na bok ryzykowną jazdę, jechałam tak, by nie sprowokować interwencji przypadkowego patrolu. Zatrzymałam się na stacji benzynowej, by uzupełnić zapas paliwa i przy okazji sprawdzić, czy karta kredytowa Soni została już zastrzeżona. Odkryłam, że została mi jeszcze jedna, ostatnia szansa, by zaszaleć na zakupach, a potem będę zdana na moją niewielką rezerwę finansową. Przy wyjeździe z Kingston natrafiłam na szereg niedużych centrów handlowych, gdzie nabyłam warte czterysta dolarów niezbędne rzeczy, takie jak przenośna kuchenka, nóż do mięsa, lina, otwieracz do konserw, kłódka, przecinacz do metalu, śpiwór, żywność o przedłużonej trwałości oraz wystarczająco dużo kawy, bym mogła przeżyć kilka następnych miesięcy. Wychodząc ze sklepu, wrzuciłam do kosza na śmieci kartę kredytową Soni. Może któregoś dnia wyślę jej liścik z podziękowaniem.

Z zaciśniętymi do białości kostkami u dłoni odbyłam powrotną podróż, w ten sam ostrożny sposób prowadząc auto. Napięcie nerwowe ustąpiło nieco dopiero wtedy, gdy skręcałam w zaniedbaną dróżkę prowadzącą do mojego nowego domu. W sklepie z towarami żelaznymi wybrałam największy przecinacz do metalu, jaki zdołałam znaleźć – wielkości prawie metra. *W tym wszystkim chodzi o siłę dźwigni*, przypomniały mi się słowa pana Parsonsa, które wypowiedział, kiedy byłam sześciolatnim dzieckiem, on zaś kluczem wielkim jak cała ja odkręcał zardzewiały zawór pod kuchennym zlewem.

Okazało się, że i mniejszy przecinacz pewnie poradziłby sobie z zadaniem. W ciągu pięciu minut płot został rozcięty, a kłódka wisiała na

swoim miejscu. Wtoczyłam się na teren Camp Wildacre, w zmierzchającym świetle dnia wykonałam krótki objazd po terenie, znalazłam zadane miejsce, gdzie zaparkowałam samochód, i zaczęłam oglądać domki, żeby znaleźć najlepszą kwaterę.

W Wildacre, oprócz głównego budynku, znajdowało się dwanaście ustawionych w krąg chatek. O ile zdążyłam się zorientować, dziesięć przeznaczonych było dla obozowiczów, dwie zaś dla opiekunów. W głównym budynku zapewne znajdowało się więcej udogodnień, lecz dalsze naruszanie zasad bezpieczeństwa miało się z celem.

Życie w domku na terenie takiego obozowiska wydawało mi się kuszące również dlatego, że to miejsce aż się prosiło, żeby w nim zamieszkać. Drzwi do domków nie były wyposażone w żadne zamki. Zatrzymując się tutaj, nikomu nie robiłam krzywdy. Po prostu używałam czegoś, co akurat nikomu nie było potrzebne. Można uznać, że było to coś w rodzaju recyklingu.

Wszystkie chatki wyglądały tak samo. Zbudowane w kształcie litery A, wykończone drewnianymi panelami, z zielonymi wzorkami na ścianach. W każdej znajdowało się dwanaście wbudowanych na stałe łóżek z przykrytymi folią materacami. Szafki przy łóżkach umożliwiały wygodne przechowywanie rozpakowanych rzeczy. Domki różniły się między sobą jedynie wygrawerowanymi na krokwiach napisami. Wybrałam ten, w którym odkryłam imiona dziewcząt, i rozłożyłam śpiwór na łóżku znajdującym się najdalej od drzwi. Wyjęłam swoje rzeczy, ułożyłam w skromnej szafce i wyszłam na zewnątrz, żeby sprawdzić, na jakie udogodnienia mogę liczyć. Znalazłam dwie oddzielne łazienki oraz domek z prysznicami, gdzie była bieżąca woda, lecz niestety tylko zimna. Szkoda, że nie wiedziałam, że poranny gorący prysznic był tym ostatnim, przynajmniej na pewien czas.

Tej pierwszej nocy w Camp Wildacre nie przespałam ani sekundy. Wiedziałam, co mam robić w ciągu dnia, żeby załatwić sprawy bez zmieniania się w drżący kłębek nerwów, lecz pora nocna sprawiała mi problem. Choć wydawało się nieprawdopodobne, że ktokolwiek może wpaść tu z wizytą, to jednak podczas snu każdy jest bezbronny jak dziecko i należało przedsięwziąć jakieś kroki na wypadek wizyty nieproszonych

gości. W schowku na narzędzia znalazłam łopatę i w strategicznych miejscach w pobliżu mojego nowego domu wykopałam kilka głębokich dziur. Przez kilka dni popołudniami ostrzyłam gałęzie, zamieniając je w ostre kołki, aż w końcu miałam ich około dwudziestu sztuk i mogłam zaprojektować kilka zapadni na wzór tych robionych przez Apaczów.

Projektowanie pułapek właściwie nie należało do moich mocnych stron i nawet sama się zdziwiłam, kiedy wreszcie nadarzyła się okazja, by wykorzystać zdolności w tej dziedzinie. Pierwszą zapadnię Apaczów wykonałam mniej więcej przed piętnastoma laty. To Logan mnie tego nauczył, kiedy jeszcze nie znałam go tak dobrze. Należy wykopać dziurę szeroką na przynajmniej pół metra i dość głęboką, a następnie na bocznych ścianach wykopu umieścić kilka zaostrzonych kołków – tak żeby ostre końce wystawały z ziemi w stronę środka, skierowane pod kątem w dół. Jeśli jakieś zwierzę lub człowiek wejdzie w pułapkę i będzie starał się wyciągnąć nogę, zahaczy o drewniane ostrza.

Tego dnia, gdy pomagałam Loganowi zrobić zapadnię Apaczów, powiedział mi, że w ten sposób stara się ograniczyć nieco populację jeleni, które stopniowo zaczęły stawać się zagrożeniem dla naszej społeczności. W zeszłym roku wydarzyły się trzy śmiertelne wypadki komunikacyjne, których przyczyną było zderzenie z jeleniem. Sama o tym czytałam. Kilka dni później pewien chłopak z drużyny piłki nożnej stanął twarzą w twarz z Loganem, który wygłosił jakieś wyszukane komentarze pod adresem dziewczyny, z którą ów chłopak chodził. Był na oko jakieś dwadzieścia kilogramów cięższy od Logana i wyglądał tak, jakby lada chwila miał mu przywalić. Logan rzucił się do ucieczki, prosto w las. Piłkarz popędził za nim i Logan poprowadził go wprost do pułapki. W odpowiednim momencie przeskoczył nad zapadnią, ale tamten nie zdążył i potem przez cały sezon był wyłączony z gry.

Chatki w Wildacre były ustawione tak jak księżycy dookoła Saturna. Mój domek znajdował się na drugiej godzinie. Założyłam cztery pułapki w półkolu, mniej więcej dziesięć metrów od moich drzwi. Być może ktoś uzna to za przesadę, ale miałam do dyspozycji całe długie dni i doszłam do wniosku, że dzięki temu odzyskam spokój, a niczego nie pragnęłam tak bardzo, jak przespać choćby jedną noc. Postanowiłam, że gdy będę gotowa ruszyć w dalszą drogę, wszystkie pułapki zostaną zasypane.

Noc dziewiętnastego października była drugą, którą spędzałam w nowym domu. Powietrze pachniało tak świeżo, że z trudem powstrzymywałam się, żeby nie oddychać głębiej i częściej, niż było trzeba. Nade mną wisiał srebrzysty półksiężyc, ale nie udało mi się odtworzyć w zarysach kraterów tych wszystkich twarzy, które widywałam tam jako dziecko. Leżałam na gołej ziemi i gapiłam się w niebo, dopóki nie poczułam, że dłużej nie dam rady trzymać otwartych oczu. Cykanie świerszczy zagłuszało wszystkie inne dźwięki. Starłam się nie myśleć o komarach i o śladach, jakie rano odnajdę na całym ciele. Dobrze po północy wróciłam do chatki i spałam do rana jak niewiniątka, rano zaś poczułam się tak, jakbym w tę jedną noc nadrobiła braki snu z kilku lat.

Nigdy nie zapomnę tego, co zrobiłam, błędów, które popełniłam, niewinnych i winnych ludzi, których zostawiłam na swej drodze. Lecz kładąc na szali wszystkie nieczne występki, wciąż wierzyłam, że należy mi się coś w rodzaju godnej egzystencji. Wierzyłam, że to sprawiedliwe, by nawet ktoś taki jak ja zakosztował nieco uroków życia. Postanowiłam, że postaram się je odnaleźć podczas tych kilku tygodni w Wildacre Camp.

Rankiem, zaraz po pobudce, przygotowywałam na kuchence gazowej kawę i owsiankę. Śniadanie jadłam w przystani nad jeziorem, a w tym czasie kilka kaczek krzyżówek przyleciało i odleciało, nie zwracając na mnie uwagi. Popołudniami trochę włóczyłam się po terenie, odnalazłam szlak rowerowy, i oczyszczałam umysł poprzez długi, dobry spacer. Jeśli w dzień zrobiło się nieco cieplej, nurkowałam w jeziorze. Pływałam każdego dnia, gdy tylko było to możliwe, nawet jeśli potem przez godzinę miałam zdrtwiałe palce i sine usta. Dzięki temu czułam, że żyję. I czułam się wolna.

Pierwsza burza z piorunami przypomniła mi jednak, że Wildacre nie jest długoterminowym rozwiązaniem mojego problemu mieszkaniowego. Temperatura obniżyła się o dwadzieścia stopni, ja zaś leżałam zawinięta w śpiwór w domu, który z trudem opierał się atakom nawałnicy. Każdy grzmot wstrząsał moim łóżkiem i miałam wrażenie, że błyskawica lada chwila rozwali na pół drewniany szkielet w kształcie litery A.

Od czasu do czasu musiałam zaryzykować wyprawę po zaopatrzenie, ale nigdzie dalej. Powinnam była trzymać nisko głowę, jednak po dwóch tygodniach podziwiania wspaniałego widoku zapragnęłam zobaczyć coś więcej.

Pewnego dnia na początku listopada opuściłam teren obozu i powędrowałam wzdłuż drogi do małej wioski, którą zauważyłam, wyjeżdżając samochodem. Trzy Zakątki zasadniczo stanowiły centrum handlowe dla niezamożnych, bo mieściły się tam jedynie nieduży sklep spożywczy, poczta oraz bar bez nazwy, o ile zdołałam się zorientować, lecz pociągający mnie równie mocno jak kryształowo czyste jezioro podczas mojej pierwszej wizyty w obozie.

Wzięłam do ręki miejscową gazetkę i usiadłam przy barze. W znoszonych dżinsach, flanelowej koszuli, wełnianym płaszczu oraz robionej na drutach niebieskiej czapce, która zakrywała moje podcięte loki, nie zwracałam niczyjej uwagi. Przypomniłam mi się tamten wieczór w Casper, kiedy poznałam Domenica; wszystkie spojrzenia skierowały się na Debrę Maze, która starała się jak najbardziej upodobnić do Błękitnookiej. Teraz stałam się praktycznie niewidoczna. Był czas, kiedy świadomość, że nie jestem obiektem pożądania, sprawiała mi przykrość, ale teraz brak zainteresowania stanowił moją siłę.

– Co mam podać? – spytał barman.

Zamówiłam kufel piwa, ponieważ w obozie czekała na mnie butelka bourbona. Przeczytałam artykuł o miejscowym lekarzu drzew, w którym z detalami opisywano specyficzną zgniliznę korzeni oraz proponowano określone środki zapobiegawcze, żeby dookoła domu mieć piękny las. Według mnie wyglądało to bardziej jak reklama niż rzetelny artykuł, ale przynajmniej miałam czym się zająć, dopóki nie przyszli następni klienci.

Kiedy drzwi otworzyły się na całą szerokość, do moich uszu dobiegł chichot kobiety oraz męski, modulowany głos, który kończył jakąś wyjątkowo śmieszoną opowieść.

– ...więc dałem mu te pieniądze i powiedziałem, żeby się pieprzył. Ostatecznie żyje się tylko raz.

Mogłabym przytoczyć pewne konkretne argumenty przeciw ostatniej tezie, ale jakoś się powstrzymałam. Ten wielkowiejski dupek miał na sobie designerskie dżinsy, brązowy wełniany sweter z warkoczami i modne trekkingowe buty ze skóry, które nie widziały zbyt wielu ścieżek. Kobieta była chuda jak szczapa, ale miała spory biust. Jej strój stylem przypominał ubranie partnera – dżinsy i szary rozpinany sweter. Oboje wyglądali jak

przybysze z innego kraju.

Gdy tylko para wkroczyła do środka, u wodopoju zaległa cisza, zupełnie jakby ich obecność wyssała z pomieszczenia wszelkie objawy życia. Obserwując moich współtowarzyszy i ich pospieszną, milczącą wymianę zdań, bez trudu dostrzegłam wrogie, rzucane spode łba spojrzenia, którymi obdarzali nowo przybyłych. Cała akcja nie umknęła uwagi pary mieszczuchów, bo natychmiast przerwali rozmowę i usiedli na stołkach przy barze, wyraźnie kurcząc się w sobie.

– Co ma być? – rzucił barman w ich kierunku.

Mężczyzna w swetrze zamówił piwo, żeby się nie wyróżniać, a chuda kobieta wódkę z wodą sodową. Oboje podziękowali z uśmiechem, starając się ignorować nienawistne spojrzenia przewiercające ich na wylot.

– Chcesz wyjechać dziś wieczorem czy jutro? – spytał mężczyzna w swetrze.

Mówił stłumionym szeptem, jakby odzywając się na głos w barze uchodziło za objaw złego wychowania.

– Wieczorem – odpowiedziała chuda kobieta. – Będzie mniejszy ruch.

Łatwo mi było odczuwać solidarność z miejscowymi, ponieważ bez trudu wtopiłam się w tłum. Jednak para mieszczuchów mimo woli dała mi prezent tak cudowny, że odruchowo obudziło się we mnie poczucie głębokiej wdzięczności. Dookoła kręcili się ludzie tacy jak oni – mnóstwo takich jak oni, jak łatwo mogłam stwierdzić. Kilka razy, kiedy w weekend odważyłam się wyściubić nos z mojej kryjówki, miasteczko wydało mi się dwukrotnie większe z powodu najazdu przybyszów, którzy tłumnie ściągali na wieś. Wiedziałam, że w poniedziałek znikną bez śladu, zimą zaś zaczną zjawiać się coraz rzadziej i rzadziej, w miarę jak będzie przybywało śniegu. Ale ich domy pozostaną – puste i gotowe do zamieszkania. Wydawało się całkiem realne, że przynajmniej przez pięć dni w tygodniu będę mogła pławić się w luksusie.

Para mieszczuchów odjechała, przypuszczalnie do swojego wiejskiego domu, który wkrótce będzie do wzięcia. Poczekalam chwilę i usłyszałam, jak miejscowi mruczą coś o tym, że dzięki takim jak ci dwoje rosną podatki, a lokalne przedsiębiorstwa popadają w ruinę. Wyszłam na zewnątrz dokładnie w momencie, gdy odjeżdżali mini cooperem należącym do Pana

w Swetrze.

Wskoczyłam za kierownicę dżipa i jechałam w ślad za nimi przez trzy kilometry, dopóki mini cooper nie skręcił w prywatną dróżkę dojazdową. Z drogi dom był zupełnie zasłonięty roślinnością, lecz pomyślałam, że jeżeli rzeczywiście dziś wieczorem państwo wyjadą, to mogę wszystko sprawdzić w poniedziałek. Pełna dobrych myśli wróciłam do Wildacre, żeby na kuchence gazowej podgrzać zawartość puszki z wołowiną. Potem usiadłam na przystani, w kapeluszu i zawinięta w szal, żeby pogapić się na gwiazdy.

Następnego ranka obudziły mnie salwy z broni palnej. Strzały dochodziły z pewnej odległości i nie słyszałam żadnych ludzkich głosów, więc pozwoliłam sobie znowu odpłynąć w sen. Ostatecznie trwał sezon łowiecki, więc powinnam przyzwyczać się do huków wystrzałów.

Następnym dźwiękiem, który doleciał do moich uszu, był ludzki głos – właściwie krzyk bólu – tuż obok mojej chatki. Usłyszałam zbliżające się kroki i inne męskie głosy, pytające, co zaszło, choć ja już wiedziałam. Po prostu jeden z myśliwych wpadł w zastawioną przeze mnie pułapkę. Patrząc wstecz, zapadnie Apaczów nie okazały się genialnym planem. W zamyśle ich celem było wzniesienie alarmu, gdyby ktoś zamierzał na mnie zapolować, nie zaś schwytywanie w sidła niewinnego przechodnia, co nieuchronnie musiało poinformować go o mojej obecności.

Zerknęłam przez okno i ujrzałam trzech mężczyzn, którzy otaczali nieszczęśnika schwytanego w pułapkę. Jeden zwrócił uwagę na strategicznie rozmieszczone gałęzie, leżące na ziemi w pobliżu mojej chatki. Ostrożnie posunął się o kilka kroków i lufą strzelby odgarnął gałęzie. Widziałam, jak oniemiał, gapiąc się na ogromną, najeżoną ostrzami dziurę w ziemi.

– Cholera, znalazłem jeszcze jedną! – wrzasnął po chwili. – Do diabła, co się tutaj dzieje? To chyba obóz dla dzieciaków, mam rację?

Podczas gdy dwóch mężczyzn pomagało przyjacielowi wydobyć nogę z pułapki, czwarty gość odkrył trzecią i czwartą zapadnię i ruszył na przegląd terenu, żeby znaleźć, no cóż, właśnie mnie.

– Ktoś tutaj mieszka – oznajmił najbardziej dociekliwy z towarzystwa, wchodząc do domku dokładnie na wprost.

Wejście do mojej chatki na szczęście znajdowało się poza zasięgiem ich wzroku, lecz żeby dopaść mojego dżipa, musiałabym przebiec tuż przed nosem trzech uzbrojonych w broń palną mężczyzn – właściwie czterech, jeśli liczyć tego, który właśnie ugrzązł w dziurze. Zgarnęłam z łóżka śpiwór i wepchnęłam do szafki znajdującej się poza polem widzenia kogoś, kto zaglądałby przez okno, potem wsunęłam buty, płaszcz, złapałam zapalniczkę i kluczyki do auta. Najszybciej jak mogłam ukryłam się za ścianą kantyny, podczas gdy wścibski myśliwy wciąż przebywał w pierwszej chatce. Z tyłu budynku znajdowała się nieduża polana pozostająca poza zasięgiem wzroku osób przebywających w pobliżu domków. Tam właśnie zaczęłam gromadzić polana. Wznieciłam nieduży ogień, wrzuciłam trochę podpałki, poczekałam, aż płomień ją ogarnie, i dołożyłam trzy spore kawałki drewna.

Przez okna kantyny widziałam, jak mężczyźni z bronią na ramieniu przeszukują systematycznie chatkę po chatce.

Gdy polana zajęły się na dobre, popędziłam w głąb lasu i pobiegłam ścieżką, która ciągnęła się mniej więcej przez trzy kilometry, zataczając krąg jak pijany półksiężyc. Ta ścieżka kończyła się jakieś kilkaset metrów od mojej chatki, prowadząc na drugą stronę obozu, gdzie pod wiatą parkował mój dżip. Ile sił w nogach pędziłam przez las.

Dwadzieścia minut później znalazłam się na brzegu polany i skradałam się wzdłuż linii drzew w poszukiwaniu śladu bytności myśliwych. Zbliżywszy się jeszcze bardziej, zobaczyłam tego, który doznał obrażeń. Samotnie siedział na zwalonym pniu. Z miejsca, gdzie płonęło ognisko, dobiegały jakieś hałasy i unosił się obłoczek dymu. Nie było czasu do stracenia. Wsunęłam się do auta.

Odpaliłam silnik, z impetem wytoczyłam się spod wiaty i ruszyłam wprost przed nosem samotnego myśliwego na błotnistą dróżkę, prowadzącą do głównej drogi. Kłódka, którą zatrzasnęłam na bramie z łańcucha, nadal wisiała nietknięta. Tuż za bramą stał ich ford truck, blokując mi jedyną drogę ucieczki.

Otworzyłam bramę i sprawdziłam, czy ford jest otwarty. W stacyjce tkwiły kluczyki. Ktoś wypalił trzykrotnie w powietrze i zorientowałam się, że to ranny myśliwy wzywa w ten sposób swoich kolegów. Mogło mi zabraknąć czasu, żeby najpierw wycofać na wstecznym ich auto, a następnie biegiem

wrócić do dżipa, więc po prostu cofnęłam się o jakieś pięćdziesiąt metrów wzdłuż wyboistej drogi, aż natrafiłam na małą przecinkę. Wrzuciłam pierwszy bieg i podjechałam na samą krawędź, za którą był niewielki spadek terenu, a w dole sączył się mały strumyczek. Nie chciałam sprawiać kłopotów tamtym myśliwym, unieruchamiając im samochód, lecz musiałam mieć pewność, że nie będą mogli mnie ścigać. Ten truck miał pod maską silnik o wiele mocniejszy niż mój leciwy wagoneer. Po chwili wahania nacisnęłam lekko pedał gazu i przetoczyłam się ponad krawędzią wzniesienia, lądując przodem pojazdu w korycie strumyka. Pod wpływem ciężaru auta zderzak wygiął się i zanurzył w błotnistej glebie.

Wydostałam się na zewnątrz i czym prędzej pognałam w górę, z powrotem na drogę. Dopadłam mojego starego dżipa, wdrapałam się do środka i odpaliłam silnik.

We wstecznym lusterku widziałam myśliwych. Wdepnęłam pedał gazu i jechałam zakosami, podczas gdy pociski łomotały w tylną część auta. Ostro skręciłam na główną drogę, przecinając tor jazdy subaru, które zareagowało na mój manewr donośnym trąbieniem. Szybko skręciłam w lewo, w małą arterię, żeby uciec przed subaru i zwiększyć dystans między mną, tamtą grupą myśliwych i moją krótkotrwałą stabilizacją w Camp Wildacre.

*Dwudziesty trzeci sierpnia
dwa tysiące piętnastego roku*

do Jo

od Ryana

Zamierzam nadal pisać, nawet jeśli nigdy nie przeczytasz choćby słowa. Właśnie dowiedziałem się, co Ci się przydarzyło, kim się stałaś, za kogo wyszłaś za mąż. To wszystko jest w gazetach. Wszyscy wiedzą, że wciąż żyjesz.

Jednak jest coś, co muszę wiedzieć.

Czy to Ty go zabiłaś?

R

Rozdział dziewiętnasty

Myśliwi pozbawili mnie tylko kilku tygodni z sielanki obozowego życia, więc nie mogłam żywić do nich urazy. Przypuszczalnie zdołałabym przetrwać zimne noce, gdybym tylko miała cieplejszy śpiwór i dodatkowe zapasy, ale gdyby raz nadeszła burza śnieżna z prawdziwego zdarzenia, bez pług śnieżnego nigdy nie udałoby mi się przejechać przez drogę dojazdową. Nawiasem mówiąc, już wiedziałam, jaki będzie mój następny krok. Po prostu musiałam wykonać go nieco wcześniej, niż planowałam. Pierwsze trzy noce po niefortunnym spotkaniu z myśliwymi spędziłam na siedzeniu mojego dżipa zaparkowanego na parkingu obok Taconic State Parkway.

Tej niedzieli postanowiłam rozpocząć polowanie na dom. Odwiedziłam wszystkie miejscowe przybytki w rodzaju restauracji, supermarketu oraz targu, które były najlepszym źródłem informacji. Weekendowi goście zawsze wyróżniali się z tłumu miejscowych, nawet jeśli tego nie chcieli. Zauważyłam ich słabość do swetrów, golfów, sztruksów i džinsów, które strategicznie zostały podniszczone przez dziennych robotników w Chinach.

Głównie śledziłam pary. Tacy ludzie zwykle wrzucali zakupy do bagażnika nowiusieńkiego dżipa, mercedesa albo range rovera i jechali krętymi, wiejskimi drogami, teraz zasypanymi przez zeschnięte liście i okoloniami przez nagie drzewa. Trzymałam na kolanach notes i zapisywałam drogę, gdy tylko dotarliśmy do celu. County Route 7, na prawo przy Jackson Manor, w lewo od Cyril Lane, jechać trzy kilometry i skręcić w błotnistą drogę prowadzącą do domu, częściej zarośniętego niż niezarośniętego przez zimozielone pnącze.

W poniedziałek rano pojechałam do wiejskiego odosobnienia tamtej pary mieszcuchów, którą spotkałam w Trzech Zakątkach, ponieważ właśnie oni stali się inspiracją mojej przygody. Zbliżając się do dróżki dojazdowej, zwolniłam i próbowałam dojrzeć stojący w głębi dom. Nie było mowy, żeby mi się to udało bez podjechania bliżej albo bez spaceru, choć na takich

długich, krętych drózkach nie spotykało się zbyt wielu osób, chyba że ktoś miał pecha zabłądzić albo robił to w ramach ćwiczeń.

Ujechałam jeszcze pół kilometra i zaparkowałam tuż przed domem, na rondzie oznaczonym śladami opon. Budowla w kształcie litery A od frontu prezentowała się dość skromnie, ale sprawiała przytulne wrażenie domowych pieleszy. Dwa leżaki stały na tarasie, na pierwszy rzut oka wymagającym naprawy. Przy drzwiach znajdowała się uschnięta roślina w doniczce. Zajrzałam pod podstawkę. No cóż, państwo nie byli na tyle głupi, żeby zostawić klucz w tak oczywistym miejscu. Podniosłam wycieraczkę. Tu także nie było klucza. Powędrowałam wzdłuż linii krzewów, które prowadziły od domu na drózkę dojazdową. Ogródek i ścieżka obłożone były kamieniami – zajrzałam pod każdy, który błyszczał mniej lub bardziej niż pozostałe, i kopnęłam kilka, żeby poczuć ich ciężar.

Gdy drugi raz okrążałam dom, moją uwagę zwróciła inna roślina, kurczowo trzymająca się życia. Z doniczki wystawał klucz, wsadzony w ziemię. Nie dostrzegłam żadnych oznaczeń z logo jakiejś firmy ochroniarskiej, więc po prostu wytarłam klucz o własne dżinsy i wsadziłam do zamka. Bez trudu dał się przekręcić.

Otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Drewniane belki przecinały sufit na ukos – wystarczająco nisko, by pozbawić przytomności człowieka o wzroście stu osiemdziesięciu centymetrów. Architektura mogła okazać się poręczna. Umebłowanie było skromne i raczej niejednolite pod względem stylu. Dobrane ze sobą kanapa na drewnianej ramie i fotel wypełniały niedużą przestrzeń salonu. Jaskrawoczerwony kuchenny stół otaczały składane metalowe krzesła w zielonym kolorze. Zniszczony orientalny dywan leżał na środku salonu, stanowiąc przykry kontrast dla kwiecistego wzoru na kanapie. Ogólny wystrój wnętrza sprawiał wrażenie, jakby meble zostały kupione na rozmaitych wyprzedażach bez choćby chwili zastanowienia. Moja pierwsza para mieszczuchów najwyraźniej tylko odwiedziła ten dom i uciekła stąd z krzykiem. Nie ma mowy, żeby tych dwoje urządziło swoje gniazdko w tak przyziemnym stylu.

Mimo wszystko byłam w domu, który miał dach, piec opalany węglem i w pełni urządzoną kuchnię. Kontynuowałam zwiedzanie wnętrza, dopóki mojego wzroku nie przykuła oprawiona w laminat kartka, a na niej starannie wykalfigrafowany list.

Zasady użytkowania

Proszę, czujcie się jak u siebie w domu.

Proszę, nie zostawiać żadnych okruszków, bo przychodzą myszy.

Jeśli zostanie jakieś jedzenie, proszę schować je do lodówki.

Wszystko, co znajduje się w domu, jest do użytku.

Proszę nie spuszczać w toalecie tamponów ani prezerwatyw. Mamy zamontowany osadnik.

Kiedy jesteście gotowi do odjazdu, zdejmijcie z łóżek pościel i włóżcie ją do pralki. Nasza gospodyni zajmie się resztą.

Podjęłam bezwzględną decyzję, że ten dom w ogóle nie wchodzi w rachubę jako moja kwatera. Nieznani goście, których wizyty przeplatają się z przyjściami sprzątaczk, raczej nie gwarantują beztroskiego pomieszkiwania. Wymknęłam się tylnym wyjściem, zamknęłam drzwi i wetknęłam klucz z powrotem do ziemi w doniczce, a następnie wsiadłam do auta i ruszyłam w kierunku następnego domu na mojej liście.

Droga prowadząca pod wskazany adres ciągnęła się w górę przez mniej więcej pół kilometra. Gdy dotarłam na szczyt wzniesienia, praktycznie wpadłam na starszego dżentelmena na traktorku do koszenia trawy. Wdepnęłam w hamulec i odkręciłam szybę, a wtedy on podjechał bliżej i wyłączył silnik.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytał uprzejmie.

– Szukam domu państwa Bigelow.

– Czyjego?

– Czy państwo Bigelow nie mieszkają w pobliżu?

– Nie znam tego nazwiska. Jaki ma pani adres?

– Niestety, nie zapisałam. Jadę na pamięć.

– To niedobrze. Kobiety nigdy nie powinny polegać na swojej orientacji w terenie – odparł.

Jego słowa zapiekły mnie do żywego, jako że mam w małym palcu cały system międzystanowych autostrad, podobnie jak wewnętrzny kompas, który zawodzi mnie tylko w bezksiężycowe noce. Zapewne nie powinnam była wdawać się w rozmowę, ale nie mogłam się oprzeć.

– Prawdę mówiąc, raczej daję sobie radę, i to nieźle – warknęłam. – Tylko że większość tych drózek dojazdowych wygląda tak samo. Musiałam ją minąć.

– W jakiej miejscowości mieszkają ci państwo Bigelow? – dopytywał się staruszek. Najwidoczniej nie miał ochoty odpuścić, ale odpowiadanie na dalsze pytania byłoby głupotą.

– Przepraszam, że zawracałam panu głowę – uśmiechnęłam się uprzejmie. – Jadę dalej.

Mężczyzna z kosiarką nawet nie drgnął, jakby wrósł w glebę, uniemożliwiając mi zawrócenie o trzysta sześćdziesiąt stopni, musiałam więc najszybciej jak się dało przez jakieś pół kilometra cofać się na wstecznym po krętej drodze.

Każdy dom, który odwiedziłam tego dnia, miał jakiś osobny zestaw wad. Trzeci z kolei oddzielony był jedynie nędznym płotkiem od sąsiadów, najwyraźniej mieszkających tu na stałe, sądząc po liczbie samochodów i rowerów na posesji. Wykluczone, żeby udało mi się niepostrzeżenie wchodzić i wychodzić. Na czwartym zauważyłam umieszczone tu i ówdzie tabliczki z numerem miejscowej agencji ochrony. Być może to zwykły błąd, ale uznałam, że lepiej nie kusić losu.

Byłam jak Złotowłosa, która szuka łóżka odpowiadającego jej wymaganiom. Ja znalazłam swoje długo po zapadnięciu zmroku, trafiwszy do małego, lecz przyjemnie wyglądającego domku z kamienia. Stał na końcu długiego prywatnego dojazdu do posesji, prawie całkiem zarośniętego przez

jakieś iglaste krzaki. Po półgodzinnych poszukiwaniach przy świetle latarki w końcu udało mi się namierzyć klucz, ukryty pod dwoma obluzowanymi kamieniami przy kuchennym oknie.

Otworzyłam drzwi i znalazłam przy futrynie włącznik światła. Domek był czysty, umeblowany prosto i oszczędnie. Większość wiejskich domów do pewnego stopnia zostaje zagracona rzeczami, na których przechowywanie nie pozwalają ciasne miejskie mieszkania. Usiłowałam sobie przypomnieć, za jakim samochodem lub jakimi ludźmi podążałam, jadąc tutaj, lecz wszystkie szczegóły całkiem się zamazały; nie było żadnego określenia, jedynie wskazówki dojazdu zanotowane na tanim bloczku z kartkami wyniesionym z jakiegoś motelu.

Gdy tylko włączyłam oświetlenie, od razu wiedziałam, że jestem we właściwym miejscu. W powietrzu wyczuwało się wilgoć, taką, jaka zwykle unosi się tam, gdzie nie ma wystarczającego dopływu świeżego powietrza. To oznaczało, że właściciele nie zjawiają się tu zbyt często. Zajęłam się przeglądaniem zawartości szaf i szafek. Przeważnie były puste, znalazłam tylko kilka zimowych palt i jedzenie w puszkach. Wyglądało na to, że niektóre palta powinny na mnie pasować. Znalazłam telewizor, ale bez kabla, naturalnie także nie było dostępu do internetu. Podniosłam słuchawkę telefonu i usłyszałam sygnał – jedyne połączenie tego domu z resztą świata.

Sprawdziłam, jak wygląda pralnia. Tak jak wszędzie, także tu panował porządek, niczego nie znalazłam w pralce ani w suszarce. Łóżka zostały zaopatrzone w metalowe narożniki; na kominku nie dostrzegłam niedawnego śladu ognia; suszarka na naczynia była pusta, w lodówce leżało kilka przypraw i torebka proszku do pieczenia. Być może podchodziłam do sprawy zbyt optymistycznie, ale miałam przecucie, że ci ludzie nie wrócą tutaj szybko. Termostat zostawili ustawiony na dwanaście stopni, co całkiem wystarczy, jeśli zależy ci na tym, by rury nie pozamarzały, lecz nie daje poczucia komfortu. Zaczął się listopad, więc rury nie będą miały okazji zamarznąć przez co najmniej sześć tygodni. Gdyby właściciele planowali wcześniejszy powrót, to nie rozumiem, czemu w ogóle nie wyłączyli kotła.

Kontynuowałam przegląd spiżarni, aż na półce z tyłu pomieszczenia trafiłam na otwartą butelkę bourbona. Znalazłam w szafce szklaneczkę i nalałam sobie drinka.

Wędrowałam po całym domu, starając się dowiedzieć więcej o miejscu, które coraz bardziej jawiło mi się jako moja nowa kwatery. Pomimo oszczędnego umeblowania i generalnego braku ozdóbek natrafiłam na kilka rozsypanych tu i ówdzie bardziej osobistych akcentów. Na półce nad kominkiem stało zdjęcie – rodzinny portret zrobiony na ganku przed wejściem. Mężczyzna i kobieta w wieku pięćdziesięciu kilku lat wydawali się szczupli i pełni wigoru, choć bez cienia próżności, który często towarzyszy ludziom przekonanym o swojej znakomitej kondycji fizycznej. Oboje mieli siwe włosy, porane słońcem twarze i ciepły uśmiech. Między nimi siedzieli dwaj dwudziestoletni na oko chłopcy, jeden kubek w kubek wyglądający jak ojciec, i drugi, najwyraźniej w podobnym wieku, który odziedziczył cechy obojga rodziców. Po ojcu miał wysokie czoło i mocno zarysowaną szczękę, po matce duże, piwne oczy i taką samą jak ona przerwę między przednimi zębami. Obejmowali się ramionami ze szczerze radosnymi minami, zupełnie jakby przed chwilą zanosili się śmiechem.

Wyglądali na szczęśliwych w taki sposób, jakiego ja nigdy nie poznałam i pewnie nie będę miała okazji poznać. Przy rzadkich okazjach, kiedy moja matka i ja (plus jej aktualny facet) robiliśmy sobie wspólne zdjęcie, naturalnie uśmiechaliśmy się do obiektywu, ale gdy potem oglądało się to zdjęcie, za nic nie można było uwierzyć w ten uśmiech. Nawet gdy byłam mała i jeszcze nie miałam pojęcia o ograniczeniach, z jakimi przyjdzie mi się zmierzyć w życiu, ilekroć spotkałam szczęśliwą rodzinę, zalewała mnie zazdrość tak paskudna, że dosłownie czułam, jak moja dusza gnije. Ćwiczyłam się w tym, żeby na takich ludzi nie patrzeć. W sklepie, w kinie, poza szkołą – zawsze odwracałam wzrok.

Położyłam ramkę na półce, fotografią do dołu, ponieważ wiedziałam, że to zdjęcie będzie łamać mi serce za każdym razem, gdy rzucę na nie okiem.

W holu blisko drzwi wejściowych stało stare drewniane biurko. Brązowy aparat telefoniczny z przyciskami, który wyglądał, jakby ukradziono go z biura, mieścił się obok kalendarza i kubka wypełnionego rozmaitego rodzaju długopisami. Zerknęłam na kalendarz, żeby sprawdzić, czy właściciele nie zaznaczyli przypadkiem poprzedniej wizyty i zobaczyłam dwa ikсы przy sobocie i niedzieli. Sprawdziłam następne tygodnie i znalazłam takie same oznaczenia przy Dniu Dziękczynienia oraz całą serię ikсов w okolicy Bożego Narodzenia. Skończyłam drinka i zaraz nalałam

następnego. Zdecydowanie miałam zamiar spędzić tutaj noc.

W biurku znajdowało się kilka skoroszytów z telefonami do rozmaitych firm oraz plik starych rachunków. Spojrzałam na nazwisko na rachunku za telefon. Leonard Frazier. Zastanowiłam się, czy używa zdrobnienia Len, czy Lenny. To mogło mieć znaczenie, gdyby na przykład wpadł tutaj jakiś sąsiad. Kontynuowałam przeszukiwanie biurka w nadziei, że uda mi się natrafić na rachunek z imieniem kobiety. W dolnej szufladzie natrafiłam na nieduże pudełko pełne listów i pocztówek. Większość kartek pochodziła z okresu Bożego Narodzenia i była zaadresowana do „państwa Frazier” albo do „Pani i Pana Frazier”. Jedna czy dwie wysłane zostały wyłącznie do Giny Frazier.

Dziwne wydawało się, że kilka – a może nawet tuzin – listów w ogóle nie zostało otwartych. Wygląd kopert sugerował, że musiały zawierać dość osobiste wyznania. Wreszcie trafiłam na kopertę, która była starannie rozcięta wzdłuż brzegu. Skoro już dokonałam inwazji na dom tej rodziny, naruszenie ich prywatności nie wydawało mi się znaczącym przestępstwem.

Wyłowiłam z błękitnej koperty starannie złożoną kartkę ryżowego papieru i przeczytałam, co następuje:

Kochani Lenie i Gino,

nie wiemy, co napisać, ani czy w ogóle powinniśmy to robić, jakby istniały słowa, które mogłyby przynieść Wam pocieszenie. Przez wiele dni zmagaliśmy się z pisaniem tego listu. Tak nam przykro z powodu Toby'ego. Miał piękną duszę i wszystkim bardzo będzie go brakowało.

Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, przez co teraz przechodzicie, ale jeśli jest coś, co moglibyśmy dla Was zrobić, dajcie nam znać. To strasznie głupio brzmi, kiedy tak piszę, ale naprawdę właśnie to mam na myśli.

Całujemy.

Tricia i Robb

Włożyłam list z powrotem do koperty, przejrzałam pozostałe listy i trafiłam na następny, który także został otwarty. W środku była pocztówka Hallmark z napisem *Serdeczne wyrazy współczucia z powodu utraty dziecka*, a na jej odwrocie kilka linijek o ludziach, którzy płaczą razem z nimi i że wzajemnie powinni się wspierać. Na dole kartki autorka nagryzmoliła pospiesznie: *Moje myśli są przy Was – Diane*.

Nie miałam pojęcia, że istnieją karty przygotowane specjalnie na tak ściśle określone tragiczne okoliczności, ale pomysł wydał mi się mocno nietrafiony, zaś sama Diane pozostawiła wrażenie osoby absolutnie pozbawionej taktu. Większość listów nie była otwarta. Widocznie po przeczytaniu kilku pierwszych Len i Gina nie widzieli sensu czytania pozostałych. Ja wręcz przeciwnie. W środkowej szufladzie biurka znalazłam sztylet do przecinania kopert. Wybrałam pierwszy z brzegu list i rozciąłam kopertę.

Kochani Lenie i Gino,

proszę, wybaczcie, że tak długo trwało, zanim się do Was odezwałam. Byłam w takim szoku, że nie wiedziałam, co napisać. Strasznie mi przykro z powodu Waszej straty. Toby był wspaniałym, wrażliwym człowiekiem. Będzie go brakowało.

Oczywiście, jeśli czegoś potrzebujecie, to jestem. Zawsze.

Z miłością.

Lynette

To zadziwiające, jaka zmiana emocji nastąpiła we mnie od momentu, gdy

postawiłam nogę w domu Frazierów, do chwili obecnej. Gdy tylko rzuciłam okiem na portret szczęśliwej rodziny w tym niezwykłym domu, sama udzieliłam sobie pozwolenia, by naruszyć ich prywatną, nietkniętą przestrzeń. Miałam do nich żal, że tak wiele posiadają, jednak świadomość, przez co przeszli, wiedza o ich niewypowiedzianej stracie sprawiły, że poczułam się w ich domu nieco bardziej komfortowo. Zupełnie jakbym należała do tego miejsca, ponieważ dzieliłam z jego właścicielami zgotowane przez los nieszczęście.

Minie parę dni, zanim w pełni zrozumiem, w jak ekstremalnym stopniu pogwałciłam ich prywatność. W owej chwili myślałam jedynie, że oto jestem w domu. Nalałam sobie kolejnego drinka i usiadłam u stóp biurka, szukając wśród listów takiego, który mógłby zawierać coś więcej niż tylko ogólnie znane slogany. W końcu do ręki wpadła mi niewielka biznesowa koperta bez nadruków. Adres zwrotny wskazywał niejakiego C. Larsena z Oberlin w Ohio.

Kochani Gino i Lenie!

Tak mi przykro, tak strasznie mi przykro!

Nie miałem pojęcia. Wierzcie, gdyby przyszło mi do głowy, co on zamierza, z pewnością bym coś powiedział, z pewnością bym coś zrobił. Naprawdę wydawało mi się, że jego stan się poprawia. Zaledwie dzień wcześniej wydawał się taki szczęśliwy! Proszę, wybaczcie mi.

Cholera, ten list to kretyńska głupota! Jest tak samo użyteczny jak jego samobójczy list.

Carl

Włożyłam wszystkie listy z powrotem do pudełka i zamknęłam szufladę, a następnie wpełzłam w kąt pokoju i siedziałam tam, nasłuchując własnego

serca, które biło tak głośno, że bez trudu mogłam je usłyszeć. Przez kilka chwil nie czułam się już jak upragniony gość. Zupełnie jakby ten dom postanowił mnie wypędzić, jakby błagał, żebym stąd odeszła. Niemal czułam, jak ściany popychają mnie w kierunku wyjścia, a mimo to siedziałam jak przyrośnięta do miejsca, wbijając w podłogę obcasy. W tym domu czuć było chorobę, ale mnie całkiem to pasowało. Byłam zdecydowana tu pozostać bez względu na wszystko.

Wieczorem wzięłam gorący prysznic, pierwszy raz od ponad trzech tygodni. Czułam się jak jakiś biedak, któremu nieoczekiwanie zaserwowano kawior. Pogrzebałam w szufladach i znalazłam stary T-shirt z logo Jankeśów. Mógł być własnością Leonarda albo Giny. Mógł także należeć do Toby'ego. Założyłam koszulkę i wpełzłam do łóżka. Tej nocy nie zmrużyłam oka, ale przynajmniej było mi ciepło i wygodnie. Nie wiem, czego więcej mogłabym sobie życzyć.

Następnego dnia nie ruszyłam się z domu nawet na krok. Większą część doczesnego dobytku musiałam porzucić, kiedy uciekałam z obozu, oczywiście zakładając, że tamci myśliwi nie zwędzili wszystkich moich zapasów. Jednak nie czułam się na siłach, żeby tam wracać i próbować cokolwiek odzyskać. Poza tym w domu Frazierów znajdowało się wszystko, czego w danej chwili potrzebowałam. Mieli jedzenie w puszkach, suszone owoce i mrożone warzywa, i przynajmniej trzy słoiki sosu pomidorowego oraz resztkę bourbona. Mieli książki i muzykę, ale to kolekcja filmów na płytach pociągała mnie najbardziej, zważywszy że ostatnio pozbawiona byłam dostępu do telewizora.

Wybór filmów na DVD wydawał się nie mieć wspólnego mianownika, poza tym płyty ustawione zostały całkiem przypadkowo. *Dr Strangelove* stał obok *Lepiej byłoby umrzeć*, dalej *Filadelfia*, potem *Szklana pułapka*, *Na nabrzeżach*, *Co z tym Bobem?*, *Czas apokalipsy* i *Kac Vegas*. Reszta, na oko około pięćdziesięciu sztuk, także nie stała w żadnej tematycznej kolejności. Siedziałam przed półką niemal godzinę, próbując wybrać jakiś film, aż wreszcie przyszło mi do głowy, że przecież czasu mam aż nadto. Wzięłam więc pierwszą płytę z górnej półki od lewej strony – *Dr Strangelove* – włożyłam do odtwarzacza, usiadłam na kanapie i zaczęłam oglądać.

Trzy dni i dwadzieścia filmów później prawie nie ruszyłam się z miejsca.

Trzeci września dwa tysiące piętnastego roku

do Jo

od Ryana

Wiem, że wciąż uciekasz. Jak sobie radzisz finansowo? Gdybyś potrzebowała pieniędzy, to więcej go nie proś. Mam odłożone co nieco dla Ciebie. Zawsze tak było. Nigdy Ci o tym nie wspominałem, bo sądziłem, że będziesz na mnie zła. Możesz dostać te pieniądze w każdej chwili, gdy tylko będą Ci potrzebne.

Może uważasz, że to zbyt niebezpieczne odpisywać. Jestem ostrożny. Zawsze idę w jakieś ustronne miejsce i nigdy nikomu o tym nie wspomnam.

Sądzę, że potrzebujesz teraz pomocy. Pozwól, że to ja Ci pomogę.

R

Szesnasty września dwa tysiące piętnastego roku

do Jo

od Ryana

Posłuchaj, pojawiła się tutaj jakaś pisarka i bez przerwy zadaje pytania. Moim zdaniem to dlatego, że zbliża się dziesiąta rocznica. Ona powiada, że ma zamiar napisać

całą książkę o zamordowaniu Melindy Lyons i o zniknięciu Nory Glass. Przyszła, żeby się ze mną zobaczyć, ale ją spławiłem. Wiem, że wynajęła jeden z gościnnych pokoiów u pani Carlisle, więc chyba ma zamiar zostać tu przez pewien czas.

Jest jeszcze jedna rzecz, coś, co zapewne sprawi Ci radość. Edie zostawiła Logana. To koniec. Jeśli wciąż jesteś zła o to, że czegoś nie zrobiłem, to może teraz mi darujesz i zechcesz odpisać.

Twój R

Rozdział dwudziesty

Telewizor w domu Frazierów przykuł mnie na dobre. W końcu okazało się, że nie potrafię robić nic innego, tylko całymi dniami siedzę na kanapie i gapię się w ekran. Czwartego dnia, gdy dziesiąty raz z rzędu jadłam mdłą owsiankę, postanowiłam, że odważę się wyjść i spróbuję odzyskać swoje rzeczy pozostawione w Camp Wildacre.

Zostawiłam samochód kilometr od celu, ukryty pod zimozieloną roślinnością. Miałam na sobie jedną z sukienek Giny, a usta muśnięte błyszczkiem w wiśniowym kolorze, który znalazłam w szafce z lekarstwami. Mój wygląd nie pasował do sytuacji, wiedziałam o tym, ale w żadnym stopniu nie przypominałam tamtej kobiety, która wdała się w zatarg z myśliwymi. Łatwo mogłam zostać uznana za troskliwą matkę, która szuka odpowiedniego miejsca na wakacje dla swojej córki lub syna. Zostałam obóz w takim samym stanie, w jakim go zostawiłam, nie licząc połamanego zderzaka z forda trucka, który spoczywał w strumieniu dokładnie tam, gdzie rozbiłam auto. Ażurowa brama nie została zabezpieczona kłódką. Myśliwi nawet nie zadali sobie trudu, by zasypać pozostałe pułapki Apaczów. Czekają na następną parę nieszczęsnych nóg, które podążą w ich kierunku.

Sprawdziłam, co się dzieje w mojej chatce. Ślady zabłoconych buciorów pokrywały całą podłogę, ale żaden z intruzów nie znalazł moich rzeczy, wepchniętych do schowka przy łóżku. Być może nawet nie przyszło im do głowy, że ktoś zamierzał spędzić tutaj dłuższy czas. Wepchnęłam ubrania i jedzenie do plecaka, zebrałam akcesoria kempingowe, a potem wypełniłam wszystkie pułapki tą samą ziemią, którą wcześniej z nich wykopałam. Zaciągnęłam cały sprzęt do dzipa, pomimo chłodnego, jesiennego powietrza pocąc się przy tym jak mysz.

Gdy odjeżdżałam, dopadło mnie uczucie nostalgii. Jeszcze zanim zorientowałam się, co się wydarzy, miałam przecucie, że Wildacre jest

ostatnim miejscem, w którym mogę zaznać prawdziwie nieskrępowanej wolności. Nadchodziła jakaś zmiana. W miarę jak pogoda się psuła, a moje możliwości wyboru kurczyły, momenty spokoju i pewności zdarzały się coraz rzadziej. Zresztą w ogóle moje życie przypominało kąpiel pod prysznicem, w którym w ciągu dwóch sekund woda zmieniała się z lodowato zimnej we wrzątek i odwrotnie.

Pojechałam do sklepu, żeby kupić tanie produkty, chleb, masło orzechowe i to, co akurat będzie w promocji. Bardzo starałam się nie myśleć o moich topniejących środkach finansowych. Starałam się także nie myśleć, jakiego rodzaju praca czeka w tym miasteczku na osoby takie jak ja – w tym, lub w jakimkolwiek, gdzie mogłabym pozostać anonimowa. Do poziomu życia takiego, jak planowałam, nie potrzebowałam wiele, ale jednak coś było mi potrzebne.

Pomyślałam, że powinnam może zadzwonić do Ryana, lecz duma kazała mi odrzucić ten pomysł, przynajmniej na razie. Lepiej było trzymać się z daleka. Zresztą wciąż miałam w kieszeni dwieście dwadzieścia osiem dolarów. No i miałam dach nad głową.

Po drodze ze sklepu do domu przejeżdżałam obok baru bez nazwy i nagle ogarnęła mnie chęć, żeby posiedzieć w czyimś towarzystwie, nawet jeżeli nie miałam zamiaru z nikim rozmawiać. Akurat trafiłam na happy hours i piwo z beczki kosztowało tylko dwa dolary. Barman skinął mi głową na powitanie z taką miną, jakby mnie pamiętał. Od razu postanowiłam, że to będzie moja ostatnia wizyta.

Ktoś zostawił na barze gazetę. Z udawanym zainteresowaniem wzięłam ją do ręki, żeby uniknąć rozmowy.

– Co mam podać? – spytał barman.

– Poproszę lane z beczki – odparłam.

Nalewając piwo do kufła, postanowił wciągnąć mnie w przyjacielską pogawędkę. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będę zdolna nawiązać taką luźną rozmowę bez wrażenia, że tuż obok ktoś właśnie podpalił łaskę dynamitu.

– Jesteś miejscowa? – zagadnął.

- Nie, przejazdem.
- Skąd jedziesz?
- Właściwie znikąd.

Popatrzył mi prosto w oczy i nagle odwrócił spojrzenie, jakby coś we mnie wzbudziło jego niepokój. Obsługiwał mnie, wyraźnie unikając kontaktu wzrokowego. Ciekawe, co we mnie zobaczył, pomyślałam. Czy ja też to zauważę, kiedy popatrzę w lustro? Nieprawdopodobne myśli jak banieczki powietrza wyrwały się na powierzchnię. Czy to możliwe, żeby on zauważył, kim jestem, co ze mnie zrobiło życie, które prowadzę? Nie pozwoliłam sobie zbyt długo dryfować w przeszłości. Najlepsze w ucieczce jest to, że nie masz czasu oglądać się wstecz. Ale nawet gdy nie poświęcałam minionym zdarzeniom zbyt wielu myśli, czułam wewnętrzną zmianę, która dokonała się we mnie po zabójstwie Jacka Reeda.

Pewnie zrobiłabym to jeszcze raz, gdybym musiała. Ale zrobiłabym to ze świadomością, że osoba, którą niegdyś byłam, osoba, którą w marzeniach na powrót pragnęłam być, na zawsze odchodzi w przeszłość. Ta zmiana nie była prostym przesunięciem od dobra do zła. Ja nie byłam zła. Jednak jakaś nieznaną chorobą toczyła moje wnętrze i wiedziałam, że w końcu weźmie w posiadanie całe ciało. Aż do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że ktoś z zewnątrz może zauważyć ten proces.

– Czy słyszałeś już o Earlu? – zwrócił się do barmana jakiś konsument z sumiastymi wąsami.

- Nie. A co się stało?
- Wpadł do takiej pułapki na zwierzynę w Camp Wildacre.
- A co on tam robił?
- Polował z Garym i Lou. Zdaje się, że Mike też był z nimi.
- Kto zastawił pułapkę? – pytał barman.

– Mówią, że jakiś nastolatek, który pewnie nawiał z domu i tam urządził sobie metę. Kiedy Earl wpadł w dziurę, dzieciak rzucił się do ucieczki. Udało im się zapamiętać część numeru rejestracyjnego auta, ale Mike wolał tego nie zgłaszać, bo podobno na terenie Wildacre nie wolno polować.

- I co, waszym zdaniem to ten dzieciak założył pułapkę? – pytał barman.

– Gary tak uważa. Może to jeden z tych cholernych gówniarzy? Tych, co rzucają szkołę?

– Faktycznie wygląda na to, że to on zmontował pułapkę – zgodził się barman. – Pewnie miał ochotę na dziczyznę na kolację.

– Do diabła, kto to może wiedzieć? Te dzisiejsze dzieciaki...

Mój dżip stał na zewnątrz, z częściowo widoczną tablicą rejestracyjną i upstrzony wgłębieniami po kulach. Nie sądzę, żebym z bliska wyglądała jak nastoletni chłopak, ale pospiesznie dokończyłam piwo i wyszłam z baru.

Zmierzając w kierunku domu Frazierów, kilka razy zjeżdżałam na pobocze i pozwalałam, żeby inne auta mnie wyprzedzały – nawet te, które ciągnęły przyczepy. Na drodze nie było żywego ducha, gdy skręcałam w prywatną drogę dojazdową do mojego potajemnego schronienia.

Po dwóch i pół tygodnia życia na gospodarstwie w domu państwa Frazierów czułam się tak, jakbym od dawna ich znała, jakbym znała całą ich rodzinę. Dyskretne wskazówki rozsiane były po całym mieszkaniu – organiczne środki do czyszczenia, nagie grządki w ogródku z tyłu domu, no i oczywiście całkowicie przypadkowa kolekcja filmów na płytach DVD. Za domem znajdowała się drewniana szopa. Całe pięć godzin spędziłam na poszukiwaniu klucza do kłódki, żeby przekonać się, że wewnątrz mieści się niewielka pracownia malarska, w której pan lub pani Frazier zajmuje się amatorsko tworzeniem krajobrazów. Na moje oko nie były wcale złe, więc zdumiał mnie fakt, że żaden z nich nie zawisł na ścianach w domu. Uznałam to za przejaw pokory, co budziło we mnie szacunek. Za stołem innych obrazów odkryłam niedokończony portret Toby'ego.

Pewnego dnia udałam się do biblioteki i wpisałam w wyszukiwarkę „samobójstwo Toby'ego Fraziaera”. W gazetce z college'u znajdował się długi artykuł na temat jego śmierci. Przyjaciele i rodzina opisywali Toby'ego jako człowieka zamkniętego w sobie, lecz pełnego życzliwości wobec innych. I bardzo wrażliwego. Popełnił samobójstwo krótko po zerwaniu z dziewczyną, która nie została wymieniona z nazwiska. Zostawił brata bliźniaka, studenta drugiego roku Uniwersytetu Yale, oraz rodziców: Ginę, nauczycielkę matematyki z Manhattanu, i Leonarda, bankiera inwestycyjnego.

To był ostatni raz, kiedy grzebałam w prywatnym życiu państwa Frazierów. Resztę znalezionych w skrzyneczce listów pozostawiłam nieotwartą, choć każdej nocy czułam, jak mnie wzywają.

Czasami wydawało mi się, że odbieram smutek tego domu, zupełnie jakbym osobiście znała tę rodzinę. Po dwóch i pół tygodnia mieszkania już nie uważałam się za intruza. Byłam po prostu gościem, który postanowił zostać tutaj przez nieokreślony czas. Traktowałam z szacunkiem ten dom. Po każdym posiłku zmywałam talerze, od czasu do czasu ścierałam kurze. Przynajmniej raz w tygodniu zmywałam podłogi i sprzątałam łazienkę. Nawet wyszorowałam okna, co gospodarze z pewnością powinni zauważyć od razu, kiedy przyjadą. Wszystkie moje starania wydawały mi się prawidłowe i całkiem naturalne.

Przystosowałam się, tak samo jak w innych sprawach. Przyzwyczaiałam się do tego, że ktoś mnie ściga; przyzwyczaiałam się do nowego nazwiska i do następnego nowego nazwiska; przyzwyczaiałam się, że jestem kłamcą. Nawet przyzwyczaiałam się do myśli, że popełniłam morderstwo. Przystosowanie się do nowego domu nie było więc niczym niezwykłym. Nawet zaczęłam przesypiać całe noce, tak jakby obecne życie było czymś całkiem zwyczajnym. Byłam Sonią Lubovich, gościem Giny i Leonarda Frazierów, aż pewnego razu zbudziłam się i nagle wyszło na jaw, że jestem kimś innym.

Rozdział dwudziesty pierwszy

– Halo? Halo? Czy jest tam kto? Halo?

Nie obudziłam się, kiedy krętą dróżką dojazdową zbliżał się samochód. Być może opony toyoty prius zachręściły na podjeździe, ale silnik był cichy jak myszka. Nie obudziłam się, kiedy tamta kobieta włożyła klucz do zamka, ani kiedy bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi. Jednak gdy w progu zaskrzypiały deski, zerwałam się ze snu i usiadłam na łóżku wyprostowana jak struna, zaś adrenalina tak szybko dotarła do moich płuc, że nie mogłam złapać oddechu.

W łazience znajdowało się jedyne okienko bez żaluzji. Gdybym tam pobiegła i wypełzła na zewnątrz, ona nie zdołałaby mnie zauważyć. Torebka z portfelem stała przy łóżku, ale kluczyki do dzipa zostawiłam na biurku w głównym holu. Piechotą nie zajdę daleko, a od cywilizacji dzieliło mnie co najmniej piętnaście kilometrów.

– Halo? – powtórzyła.

– Halo... – odpowiedziałam.

Kiedy Gina Frazier wtargnęła do sypialni, ja wciąż rozpaczliwie usiłowałam wymyślić cokolwiek, co mogłabym jej powiedzieć. Bardzo przypominała siebie ze zdjęcia – ta sama praktyczna, krótka fryzura, mocno zarysowane kości policzkowe, zdecydowany wyraz twarzy – a mimo to wyglądała jak ktoś całkiem inny. Pod jej oczami ujrzałam głębokie ciemne kręgi. W przyćmionym blasku księżycy wyglądała jak nawiedzona i przez moment poczułam autentyczny strach.

– Paige, to ty?

– Przepraszam – bąknęłam.

Podeszła bliżej. Jej wzrok przyzwyczajał się do ciemności i widziałam, jak próbuje w mroku dojrzeć moją twarz. Nie sprawiała wrażenia przestraszonej.

Znała mnie, albo przynajmniej wydawało jej się, że mnie zna.

– Myślałam, że przyjeżdżasz dopiero w przyszłym tygodniu – powiedziała.

– Nie. Przyjechałam teraz.

– Zabrałaś wszystkie swoje rzeczy? – spytała Gina.

– Tak mi się zdaje. Dziękuję. Czy mam już jechać?

– Jest późno, Paige. Dokąd chciałybyś jechać?

– Do motelu – odpowiedziałam. – Dokądkolwiek.

– W porządku – odparła lodowatym tonem. – Możesz zostać na noc.

– Dziękuję, pani Frazier.

– *Pani Frazier? Naprawdę pani?*

– Gina – powiedziała z ociąganiem, jednocześnie wygrzebując się z łóżka. – Prześpię się na kanapie. Ty śpij tutaj.

– Co za uprzejmość – warknęła. – Ale jeszcze nie mam ochoty iść spać. Zrobię sobie herbatę – dodała i wyszła z sypialni.

Poszłam w ślad za nią do salonu i kuchni, gdzie Gina nastawiała czajnik. Ciasno owinęła się płaszczem i od razu pomaszerowała w stronę termostatu.

– Strasznie tu zimno. Czemu nie włączyłaś ogrzewania?

– Wolałam, żeby wszystko wyglądało tak, jakby mnie tu nigdy nie było – mruknęłam.

– Ciekawe... – powiedziała i podkręciła termostat.

Słyszałam dochodzące z piwnicy cykanie bojlera, który wysyłał wibracje wzdłuż biegnących po całym domu rur. Pasowały do drżenia moich nerwów.

Stałam jak posąg pośrodku salonu. W tym czasie każde wyzwanie układało mi się przed oczami w formie mapy, a umysł podążał w rozmaitych kierunkach, żeby znaleźć sensowne wyjście z sytuacji. W wypadku Giny wciąż trafiałam na ślepe uliczki.

– Usiądź wreszcie – poleciła. – Działasz mi na nerwy.

Posłusznie usiadłam na kanapie.

– Dziwię się, że nie dostałaś hipotermii – zauważyła.

Faktycznie byłam zziębnięta. Ale i tak było tu znacznie cieplej niż w obozie. Poza tym w domu państwa Frazierów miałam ciepłą wodę.

– Jak dla mnie było całkiem dobrze – odparłam.

Gina zrzuciła pantofle i zwinęła się na drugim końcu kanapy. Znowu spoglądała na mnie, przechylając głowę pod różnymi kątami.

– Wyglądasz jakoś inaczej – powiedziała. – Chyba przez fryzurę.

Musiała już kiedyś widzieć tę Paige, domyśliłam się. Byłam całkiem pewna, że gdy tylko Gina włączy górne światło, natychmiast zorientuje się, że ma przed sobą oszustkę. Staralam się kontrolować wyraz twarzy, ale jednocześnie intensywnie rozmyślałam, w jaki sposób powinnam zgarnąć moje pieniądze i kluczyki, więc chyba kiepsko mi to wychodziło. Musiałam mieć dość niepewną minę, ponieważ Gina poczuła się w obowiązku sprostować poprzednią wypowiedź.

– Kiedyś zmusiłam go, żeby pokazał mi twoje zdjęcie. Miałaś długie włosy.

Dużo mnie kosztowało udawanie kogoś innego niż jestem, ale rola Paige okazała się chyba najbardziej skomplikowana. Kim ona była, do diabła?

– Postanowiłam je obciąć – odparłam krótko.

– No jasne – przytaknęła Gina. – Po stracie mężczyzny kobiety robią najdziwniejsze rzeczy.

– Byłam pijana – wyjaśniłam szybko.

– Ach, tak...

Dostrzegła, że rodzinne zdjęcie leży na półce nad kominkiem fotografią do dołu, więc wstała z kanapy, żeby je postawić. Potem usiadła, spojrzała mi prosto w oczy i wpatrywała się we mnie nieodgadnionym spojrzeniem. Odwróciłam wzrok.

– Jak się miewasz? – spytałam, ponieważ wydawało mi się, że takie pytanie mogłaby zadać Paige albo ktoś, kto coś wiedział o życiu Giny. Poza tym zapytałam, bo chciałam się dowiedzieć.

– A jak sądzisz, że się miewam?

– Och, to chyba było głupie pytanie.

– Głupie, zwłaszcza że zostało zadane przez *ciebie*.

– Przypuszczam, że przyjechałaś tutaj, żeby побыć trochę sama?

– Przyjechałam tutaj, żeby odpocząć od mojego męża.

– Dlaczego?

– Nie mogłam znieść ani jego winy, ani mojej własnej – wyjaśniła Gina.

W jej głosie wyczuwałam stałe napięcie. Mocno nadszarpnęło pozytywne uczucia, które obudziły się we mnie w stosunku do tej kobiety, jeszcze zanim miałam okazję ją poznać. Na zdjęciach wydawała się bardziej sympatyczna.

Czajnik zagwizdał. Gina drgnęła, jakby ten dźwięk ją zaskoczył. Musiała mieć nerwy napięte jak postronki, podobnie jak ja. Bez słowa podeszła do kuchenki.

– Chcesz filiżankę herbaty? – spytała osobliwie fachowym tonem.

– Poproszę.

– Z miętą pieprzową czy rumiankiem?

– Z miętą pieprzową.

Gina napełniła dwie filiżanki, podała mi jedną z nich i usiadła na tym samym miejscu co poprzednio.

– Chciałam cię poznać – powiedziała. – Ale Len uważał, że to nie jest dobry pomysł.

– Ja też chciałam, żebyśmy się spotkały.

– Nie kłam.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć na takie dictum. Pociągnęłam łyk herbaty, parząc sobie język.

– Dokąd wybierasz się na Święto Dziękczynienia? – spytała po chwili.

Przez ostatnie osiem lat spędzałam Święto Dziękczynienia na „wieczery sierotek” u państwa Dubois. Dla mnie to był najgorszy dzień w roku, włączając w to Boże Narodzenie i moje rzekome urodziny.

– Nie wiem – przyznałam szczerze. – A ty?

– Pojedziemy do mojej siostry – odparła Gina.

– Brzmi całkiem miło.

Przez chwilę żadna z nas nie odezwała się ani słowem. Piłyśmy herbatę, a ja w myślach szukałam wymówki, żeby wyjechać stąd w środku nocy.

– Czujesz się winna? – zapytała zniecierpliwiona Gina.

– Przez cały czas.

– To dobrze.

Grzejnik cykał cichutko, jak nienastrojony instrument muzyczny. Czułam napływające do pokoju ciepło, lecz jednocześnie wypowiedzi Giny wywoływały we mnie dreszcze. Zgadywałam, że Paige zapewne była ową bezimienną dziewczyną jej nieżyjącego syna; dziewczyną, która zerwała z Tobym tuż przed tym, jak się zabił.

– To nie była wyłącznie twoja wina. Ja o tym wiem – oznajmiła Gina.

– Naprawdę?

Z jakiego powodu Paige mogła przyjechać do letniskowego domu swojego byłego chłopaka?

– Jak się poznaliście? – pytała Gina.

– On ci nie powiedział? – odparłam.

– Nigdy go o to nie pytałam.

– Rozumiem.

– Więc jak się poznaliście?

Siedząca przede mną kobieta miała w sobie mrok i okrucieństwo, którego już dawno nie widziałam. Jej żal i gniew wymierzony był we mnie, co przypomniało mi o pewnych sprawach, o pewnych ludziach, o których właśnie udało mi się zapomnieć.

W jaki sposób Paige poznała Toby'ego?

– W barze – odpowiedziałam.

Mogłam powiedzieć, że na imprezie, ale wówczas Gina chciałaby dowiedzieć się, co to była za impreza. Mogłam także wymyślić, że znaliśmy się z klasy, ale taka wersja również mogła sprowokować dalsze pytania.

– W barze... – powtórzyła jak echo z taką miną, jakby nagle poczuła w ustach obrzydliwy smak.

– To strasznie oklepany frazes, prawda?

– Cała ta sprawa to oklepany frazes.

Jej ton był ostry jak czubek miecza, oczy zaś zwęziły się w dwa mroczne

półksiężycy, przesywając mnie przenikliwym spojrzeniem.

– Co takiego on w tobie widział?

Nie wiem, dlaczego zadała akurat takie pytanie, ale zabrzmiało ono znajomo. Setki razy pytałam sama siebie, co on we mnie widział. Później musiałam poruszyć kwestię o wiele ważniejszą: co ja kiedykolwiek widziałam w nim?

– Nie wiem – odparłam szczerze.

– Musisz mieć zadziwiająco piękne cycki – orzekła.

– Co?!

Jej słowa podziały na mnie jak uderzenie batem. Znowu nie wiedziałam, kim powinnam być.

– Bo nic szczególnego w tobie nie ma, poza twoją młodością. Jesteś jak muszelka. Całkiem pusta w środku, jakby ktoś wypruł z ciebie całą twoją osobowość.

Czułam, jak moje wnętrze zostaje rozszarpane pazurami i wywleczone na zewnątrz. Twarz spłonęła mi krwistym rumieńcem, a oczy wypełniły się łzami. Przeszłam do sypialni i zaczęłam się ubierać. Nie mogłam dłużej udawać prawdziwej ludzkiej istoty bez wyrwania z siebie i ostatecznego pozbycia się ostatniej cząstki mojego dawnego ja. Wszystko, co powiedziała Gina, było prawdziwe, chociaż ona zwracała się do kogoś innego. Usłyszałam, jak wchodzi za mną do sypialni. Zobaczyła, że się ubieram.

– Wyjeżdżasz? – spytała, jakby ją to zaskoczyło.

– Tak.

– Powiedziałaś, że możesz zostać.

– W porządku. Jednak powinnam wyjechać.

Wepchnęłam do torby wszystkie moje rzeczy i rozejrzałam się, czy nie zostawiam czegoś, co mogłoby mnie skompromitować. W głowie dźwięczały mi tylko dwa słowa: *Zwiewaj. Natychmiast.* Zdjęłam z kółka klucze do domku i położyłam je na biurku. Otwierając frontowe drzwi, odwróciłam się, żeby spojrzeć na Ginę.

– Przepraszam za wszystko. Bardzo mi przykro.

– Za co przepraszasz? Dlaczego jest ci przykro? – zapytała ze szczerym

zdumieniem.

– Przykro mi z powodu twojego syna – odpowiedziałam.

– Mojego syna? Dlaczego? Przecież nawet go nie znałaś.

Czy ona postradała zmysły? Albo ja wcale nie byłam tym, kim myślałam, że jestem. Wyszłam na ganek. Mój dżip stał zaparkowany zaledwie parę metrów dalej. Wystarczy, że zrobię dziesięć kroków i będę wolna.

– Przykro mi, że straciłaś syna – dodałam schodząc ze schodków na podjazd.

– Akurat z tego powodu jest ci przykro? – warknęła.

– Owszem. Żałuję mnóstwa rzeczy – odparłam.

– Może żałujesz, że pieprzyłaś się z moim mężem, co?

Potknęłam się na ostatnim stopniu. Gdy jakimś cudem zdołałam odzyskać równowagę, odwróciłam się do Giny. Jej twarz stężała, przypominając kamień, którym obłożone były ściany domu. Najwyraźniej widziała we mnie wroga, chociaż ja nie mogłam odwzajemnić się tym samym. Ostatecznie przez trzy tygodnie potajemnie korzystałam z jej gościny. Doszłam do wniosku, że jestem jej dłużniczką i że nie mam zbyt wiele do ofiarowania. Tak więc dałam to, co mogłam dać.

– Żałuję, że pieprzyłam się z twoim mężem – powiedziałam.

– Dziękuję – odparła, a potem cofnęła się do środka i starannie zamknęła za sobą drzwi.

JO

Rozdział dwudziesty drugi

Zegarek w moim aucie wskazywał trzecią zero pięć nad ranem, kiedy skręcałam w Maple Lane. Nie było żadnego miejsca, do którego musiałam albo chciałam jechać. Byłam przytomna. Zupełnie przytomna. Musiałam być w ruchu, musiałam obrać jakiś cel. Moje ręce potrzebowały czegoś, na czym mogłyby się zacisnąć, inaczej szybko mogły zwinąć się w pięści, szukając obiektu, by wymierzyć cios. Jechałam więc polną drogą, aż wyrzuciła mnie na drogę numer 9. Wtedy skręciłam w prawo, kierując się na północ. Czekają mnie jeszcze długie, monotonne kilometry, zanim wreszcie dobrnę do granic Kanady.

Rankiem znalazłam się na przedgórzu Adirondack Mountains. Przez całą noc zatrzymałam się tylko raz na stacji benzynowej, żeby zatankować, skorzystać z łazienki i kupić butelkę wody mineralnej. Potem ruszyłam w drogę i za kółkiem spędziłam kolejne dwie godziny. Gdy wstawał świt, całkiem oślepił mnie blask wschodzącego słońca, które wpadało do auta przez przednią szybę. Skręciłam więc na parking przy niedużym sklepie spożywczym Walt's Market. Odchyliłam oparcie fotela, przykryłam twarz kurtką i usiłowałam zasnąć.

Zbudziły mnie trzy szybkie stuknięcia w szybę. Ściągnęłam z głowy kurtkę i ujrzałam policjanta, który stał obok mojego auta. Ręką pokazał, żebym opuściła szybę. Zrobiłam, jak sobie życzył.

– Dzień dobry – odezwał się. Jego oczy były schowane za ciemnymi szklami okularów lotniczych.

– Dzień dobry – odpowiedziałam, jednocześnie gmerając przy dźwigni fotela, żeby postawić go prosto.

– Co u pani słyhać w ten piękny poranek, madame?

– Dziękuję, u mnie wszystko w porządku.

– Czy pani wie, jak długo pani auto stoi na tym parkingu?

Zegar na desce rozdzielczej wskazywał jedenastą dwadzieścia cztery.

– Przepraszam. Zatrzymałam się tylko na chwilę, żeby oczy mi odpoczęły.

– Zadzwonili do mnie z Walta. To ten sklep naprzeciwko. Chcieli, żebym się upewnił, czy pani dobrze się czuje, bo pani samochód jest tutaj od czterech godzin.

– Nie miałam pojęcia, że tyle czasu minęło. Zaraz jadę dalej.

– Dokąd pani jedzie?

– Właściwie donikąd. Po prostu jadę i podziwiam widoki.

– Mieszka pani gdzieś w okolicy?

– Nie – odpowiedziałam na wypadek, gdyby zażądał dowodu tożsamości. Cholera, skąd była ta Sonia Lubovich? – Jestem z Indiany.

– Co panią sprowadza do Nowego Jorku?

– Odwiedzałam ciotkę, która mieszka w Red Hook.

Wymyśliłam to na poczekaniu, obawiając się, że spyta o dowód rejestracyjny. Auto wciąż zapisane było na nazwisko Mildred Hensen z Red Hook w stanie Nowy Jork.

Byłam cholernie przekonana, że następne pytanie dotyczyć będzie ubezpieczenia.

– Życzę pani udanego pobytu – powiedział.

– Dziękuję – odparłam z ulgą.

Ruszył w swoją stronę, ale za chwilę odwrócił się jeszcze raz.

– Jest pani pewna, że dostatecznie wypoczęła? – spytał.

– Och tak. Jestem zupełnie przytomna.

Patrzyłam, jak wraca do policyjnego wozu i jak wyjeżdżając z parkingu, skręca w prawo, na drogę numer 9. Ja skręciłam w lewo, dokładnie w tę samą trasę, którą pokonywałam przez ubiegłą noc.

Po ostrej wymianie zdań z Giną w mojej głowie panował zamęt. Czułam się tak, jakbym w kompletnej ciemności ruszała na wyprawę w nieznane. Jedyne plan działania wyglądał tak samo jak zawsze: znaleźć kolejny wakacyjny dom i zamieszkać tam jako nieproszony gość, dopóki okoliczności nie zmuszą mnie do wyprowadzki. Nie miałam żadnych

pomysłów na zarobienie pieniędzy, których pozostało dramatycznie mało, ani na to, by znów stać się kimś innym, kto może normalnie funkcjonować w rzeczywistym świecie. Jednak najgorsze było, że nie miałam żadnych planów, jak zamierzam żyć przez następne czterdzieści lub pięćdziesiąt lat.

Zresztą normalne, pełne życie i tak wydawało się nierealne, biorąc pod uwagę to, jak wyglądały moje sprawy. Jechałam po tej samej drodze, co wczoraj, i doskonale wiedziałam, dokąd mnie zaprowadzi, a mimo to czułam się bardziej zagubiona niż wiele lat temu, gdy po raz pierwszy wyruszyłam przed siebie, bez żadnej wiedzy, co mnie czeka i nie przeczuwając, co przyniesie przyszłość.

Postanowiłam zrobić objazd do Saratoga Springs. Powietrze na zewnątrz było chłodne i wietrzne. Przez chwilę krążyłam po mieście, udając że jestem zwykłą turystką. Nikt nie obrzucał mnie podejrzliwym spojrzeniem. Bożonarodzeniowe lampki ciasno spowijały wszystkie znaki drogowe i huśtały się nad ulicami. Nagle zdałam sobie sprawę, jaki dzień dziś mamy i że do Święta Dziękczynienia pozostało zaledwie pięć dni.

Zalała mnie tak ogromna tęsknota za domem, że niemal mogłam się w niej utopić. Twardo zwalczałam to uczucie, ponieważ nie ma co tęsknić za miejscem, które tak okrutnie się ciebie pozbyło. Przez długi czas ignorowałam moją przeszłość, ignorowałam wszystkie moje przeszłości, próbując żyć namiastką życia. Gdy mijałam główną bibliotekę, tęsknota za domem zwyciężyła, więc weszłam do środka z postanowieniem, że urzędę sobie spacer uliczką wspomnień.

Siadając przy ławie z komputerami, czułam ten znajomy, rozdzierający ból. W bibliotece o tej porze dnia było raczej pustawo, więc nie czułam przymusu nieustannego oglądania się przez ramię, lecz mimo to moje wnętrze przeszywał dreszcz, serce zaś waliło jak oszalałe. Gapiłam się na pusty ekran, nie bardzo wiedząc, od czego zacząć, które życie sprawdzić w pierwszej kolejności, których zbrodni obawiać się najbardziej. Postanowiłam zacząć od Tanyi. Nagłówki, zdjęcia, urywki życiorysu przelatywały w poprzek ekranu.

Potem sprawdziłam wcześniejszy okres. Błędnie rozumowałam, że do tej pory wszelkie wiadomości powinny się zdezaktualizować, że przynajmniej taka będzie korzyść z oficjalnego uznania mnie za zmarłą. Okazało się, że

jest gorzej, niż gdybym faktycznie była martwa. Moje kolejne wcielenia zlewały się jak szkic z kropek, które ktoś połączył liniami w całość. Przeglądałam nagłówki, nie zwracając sobie głowy czytaniem całych opowieści.

Kim jest Tanya Dubois?

Tanya Pitts Dubois przez osiem lat żyła pod przybranym nazwiskiem.

Po dziesięciu latach nowe wątki w sprawie morderstwa Melindy Lyons.

Zdaniem prokuratora Jasona Lyonsa Nora Glass żyje.

Zaczęłam zastanawiać się, czy nie powinnam udać się na posterunek policji i ujawnić swoją tożsamość, a potem błagać przed sądem o litość. Raczej mało prawdopodobne, że uwierzą w cokolwiek, co powiem, lecz przynajmniej nie będę już musiała uciekać i martwić się o lokum na kolejną noc. Każdego ranka, gdy po obudzeniu przypominało mi się, w jak kłopotliwej sytuacji się znajduję, działało to na mnie jak zastrzyk adrenaliny.

Omiotłam spojrzeniem bibliotekę, żeby sprawdzić, czy nikt na mnie nie patrzy, a następnie cofnęłam się w myślach o kilka lat, usiłując przypomnieć sobie hasło do dawnego konta mailowego. Wcześniej tyle razy starałam się wyrzucić je z pamięci w nadziei, że już nigdy nie będę oglądać się wstecz.

Teraz jednak nadszedł moment, kiedy należało cofnąć się tam, gdzie zaczęły się wszystkie kłopoty.

Za drugim podejściem przypomniałam sobie login i hasło. Tak naprawdę nigdy nie zdołałam ich zapomnieć, ponieważ nigdy nie zdołałam zapomnieć o *nim*. Przez pewien czas udawało mi się ignorować jego istnienie, to wszystko. Minęły dwa lata, odkąd ostatni raz sprawdzałam pocztę na tym koncie. Przemknęła mi myśl, że może przez ten czas Ryan dał za wygraną, ale jednak nie. Znalazłam siedem nowych listów. Zawstydyłam się z powodu radości, jaką mnie to napełniło, choć jednocześnie zrobiło mi się niedobrze na myśl, że on wciąż ma nade mną władzę. Otworzyłam najdawniejszy list, z datą z dwa tysiące czternastego roku, kiedy jeszcze bezpiecznie spędzałam życie u boku Franka.

Trzeci marca dwa tysiące czternastego roku

do Jo

od Ryana

Gdzie jesteś? Czy żyjesz?

Czytałam kolejne wiadomości, które on wysyłał do mnie, podczas gdy ja uciekałam, nie oglądając się zbyt często za siebie, a przynajmniej nie w jego kierunku.

*Dwudziesty trzeci sierpnia
dwa tysiące piętnastego roku*

do Jo

od Ryana

Będę wciąż pisał, nawet jeśli nigdy nie przeczytasz z tego ani słowa. Właśnie dowiedziałem się, co Ci się przydarzyło, kim się stałaś, za kogo wyszłaś za mąż. Wszystko jest w gazetach. I wszyscy wiedzą, że żyjesz.

Jest coś, co muszę wiedzieć.

Czy to Ty go zabiłaś?

R

Pragnęłam mu odpisać. Chciałam zadzwonić i wrzeszczeć, i pytać, czy naprawdę uważa, że potrafiłabym zabić człowieka. Ale zaraz przypomniało mi się, że owszem, że zabiłam – tylko nie tego, którego miał na myśli. Tak naprawdę pytał o to, jak bardzo się zmieniłam przez te dziesięć lat.

Zmieniłam się bardziej, niż mógł sobie wyobrazić. Chybaby mnie teraz nie poznał.

Wreszcie przeczytałam ostatnie dwa maile, napisane w odstępie zaledwie czterech tygodni.

Szesnasty września dwa tysiące piętnastego roku

do Jo

od Ryana

Posłuchaj, pojawiła się tutaj jakaś pisarka i bez przerwy zadaje pytania. Moim zdaniem to dlatego, że zbliża się dziesiąta rocznica. Ona powiada, że ma zamiar napisać całą książkę o zamordowaniu Melindy Lyons i o zniknięciu Nory Glass. Przyszła, żeby się ze mną zobaczyć, ale ją spławiłem. Wiem, że wynajęła jeden z gościnnych pokoiów u pani Carlisle, więc chyba ma zamiar zostać tu przez pewien czas.

Jest jeszcze jedna rzecz, coś, co zapewne sprawi Ci radość. Edie zostawiła Logana. To koniec. Jeśli wciąż jesteś zła o to, że czegoś nie zrobiłem, to może teraz mi darujesz i zechcesz odpisać.

Twój R

*Dwudziesty pierwszy października
dwa tysiące piętnastego roku*

do Jo

od Ryana

Jezu, Jo! Gdzie się podziewasz? Musisz być ostrożna. Sprawy uległy zmianie. Oni wiedzą, kim jesteś i jak się nazywasz. Już nie jesteś uważana za zmarłą. Oni Cię szukają.

R

Tyle było rzeczy, o których chciałam napisać, tyle spraw, którymi chciałam się z nim podzielić. To smutne, ale Ryan wciąż był moim najlepszym przyjacielem, choć jednocześnie był powodem mojego odejścia. Chciałam mu zaufać, lecz nie byłam pewna, czy mogę. Ufanie komukolwiek wydawało się mało rozsądne. Jednak mimo wszystko należało odpisać.

*Dwudziesty drugi listopada
dwa tysiące piętnastego roku*

do Ryana

od Jo

Jestem tutaj. Przepraszam, że zniknęłam na tak długo, ale wydawało się, że tak będzie najlepiej. Postaram się odpowiedzieć krótko.

Nie, nie zabiłam Franka. Spadł ze schodów. Nie wiedziałam jednak, co się wydarzy, jeśli policja zacznie mi się przyglądać, tak naprawdę przyglądać. Sam wiesz, że tak

by się stało. Więc po prostu wyjechałam. Jeśli chodzi o pana Oliviera, mój wybór został podyktowany koniecznością. Nie chodziło wyłącznie o gotówkę. Potrzebowałam czegoś, co tylko on mógł mi dać. Czy powiedział ci, że próbował mnie zabić? Bo próbował. Więc potem już mu nie zwracałam głowy.

Co jeszcze potrzebuję wiedzieć? Powiedz mi coś więcej o tej pisarce. Czy uważasz, że uda jej się odkryć prawdę? To byłoby niedobre dla wszystkich, nieprawdaż? Dla wszystkich z wyjątkiem mnie.

Potrzebuję pieniędzy.

Jo

Wylogowałam się z konta, wymazałam historię wyszukiwania, założyłam płaszcz i wyszłam z biblioteki. Szłam powoli w siąpiącym deszczu, starając się oczyścić umysł. Nagle usłyszałam pomruk grzmotu i ujrzałam, jak błyskawica przecina niebo. Chwilę później rześisty deszcz spadł na miasto. Mój wełniany płaszcz w ciągu dziesięciu minut nasiąknął wodą jak gąbka. Szurając nogami, wlokłam się po chodniku i szukałam schronienia pod markizami i rusztowaniami sklepów, aż wreszcie trafiłam na jakąś tawernę. Otworzyłam drzwi i wkroczyłam w całkowitą ciemność.

Rozdział dwudziesty trzeci

Dwie szklaneczki whisky przywróciły mi równowagę ducha, lecz dopiero gdy przełknęłam trzecią, zaczęłam normalnie myśleć. Moje poprzednie wcielenia musiały przez chwilę poczekać. Teraz należało zająć się teraźniejszością. Miałam problem z udokumentowaniem swojej tożsamości, prawie skończyły mi się pieniądze i raczej wcześniej niż później potrzebowałam znaleźć dach nad głową.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi, jeśli nie liczyć sugestii, żebym powiesiła płaszcz przy kominku, to szybciej wyschnie. Moja wełniana czapeczka, krótko obcięte włosy, podkrążone oczy i męskie ciuchy czyniły mnie niewidoczną dla płci przeciwnej.

Zamówiłam następną whisky i postanowiłam jeszcze posiedzieć. Może któryś ze stałych bywalców przypadkiem rzuci jakieś słowo o wolnym domu w okolicy? Jednak chaotyczne rozmowy toczyły się tylko wokół wybranych meczów piłki nożnej, jakichś pomniejszych sąsiedzkich nieporozumień i pewnym małżeństwie, które znalazło się na granicy rozvodu. Już wiedziałam, że nie dam rady prowadzić samochodu przez kolejną noc, więc zamówiłam jeszcze jednego drinka i wyszłam z baru.

Spałam na tylnym siedzeniu dżipa, kiedy burza załomotała o dach. Rankiem, gdy otworzyłam klapę bagażnika, na niebie wciąż wisiały żółtawobure chmury, ale deszcz ustał. Wilgotne powietrze pachniało świeżością, zaś zimny powiew podziałał na mojego kaca jak okład z lodu. Powędrowałam niespiesznie do najbliższej kafejki, skorzystałam z łazienki, wyszorowałam zęby, spryskałam twarz zimną wodą i kupiłam kubek gorącej kawy na drogę.

Wsiadłam do trucka, przekręciłam kluczyk w stacyjce. Silnik zatrzeszczał i zamilkł. Znowu przekręciłam kluczyk. Światelko akumulatora zamigotało na desce rozdzielczej, lecz mój dżip był cichy jak myszka. Kilka razy

nacisnęłam pedał gazu i spróbowałam znowu, ponieważ właśnie tak robi się w podobnych sytuacjach, choć z góry wiadomo, że wysiłki skazane są na niepowodzenie.

Kiedy modliłam się w duchu, żeby silnik jednak zaskoczył, nagle ktoś zapukał w szybę. Chyba mniej bym się przestraszyła, gdyby uderzył mnie pięścią w twarz. Wyjrzałam na zewnątrz. Stał tam jakiś mężczyzna, może pięćdziesięcio-, może sześćdziesięcioletni, z gęstą, brązową brodą upstrzoną siwymi plamami i burzą nieuczesanych włosów w kolorze soli z pieprzem. Odkręciłam szybę.

– Zdaje się, że padł akumulator – oznajmił.

Chyba na to wyglądało.

– Tak mi się zdaje – odparłam.

– Proszę podnieść maskę – powiedział. – Mam przewody.

Nie byłam osobą, która mogła odrzucić pomoc oferowaną przez Dobrego Samarytanina. Jego wóz stał zaparkowany o kilka miejsc dalej. Facet jeździł jasnoczerwonym chevy truckiem, dwa razy większym od mojego auta. Zostawiając auto z włączonym silnikiem, podpiął przewody do mojego samochodu i zakręcił palcem, pokazując mi, żebym spróbowała zapalić. Mój wagoner zachłysnął się z większą ochotą, ale ostatecznie nie udało się mu osiągnąć pożądanego rezultatu. Dobry Samarytanin powiedział, żebym dała sobie spokój i podszedł do okna od mojej strony.

– To na nic. Potrzebuje pani nowego akumulatora. Kilka kilometrów stąd jest sklep samochodowy. Mogę tam panią podwieźć.

Skinęłam głową, od razu rozmyślając nad wymówkami i tłumaczeniami. Zatrzasnął klapę silnika dzipa, potem to samo zrobił ze swoim samochodem i schował przewody do skrzyneczki z narzędziami. Wysiadłam z dzipa, on zaś otworzył drzwi od strony pasażera.

Pomyślałam, że ostatecznie raz mogę sobie pozwolić na to, żeby przejechać dwie mile na fotelu pasażera bez paralizującego strachu i wzbierających w żołądku mdłości – ale stojąc tam, przed otwartymi drzwiczkami, uznałam, że jednak nie dam rady.

Spojrzałam z uśmiechem na Dobrego Samarytanina.

– Czy będzie pan miał coś przeciwko temu, że wskoczę na tył? Miałam

dziś rano straszną zgagę i nie chciałabym wywalić całego lunchu na wykładzinę w pańskim pięknym samochodzie.

Dobry Samarytanin miał taką minę, jakby chciał wycofać propozycję, bynajmniej nie z powodu braku wdzięczności z mojej strony, lecz dlatego, że chyba przyszło mu do głowy, że muszę mieć nierówno pod sufitem. Popatrzył na mnie spod przymkniętych powiek, jakby głębsze zastanowienie się nad tematem pozwoliło ujawnić ewentualne groźne cechy mojego charakteru. Ja tymczasem wskoczyłam na tył trucka i usadowiłam się, unosząc kciuk na znak, że możemy jechać.

– Bardzo wygodnie tutaj z tyłu. Dziękuję za pańską uprzejmość.

Dobry Samarytanin wzruszył ramionami i odjechał. Kiedy zatrzymaliśmy się przed sklepem z częściami samochodowymi, wyskoczyłam z auta, on zaś także wysiadł i patrzył, co robię, jakbyśmy obydwoje znajdowali się w obitym poduszkami pokoju bezpieczeństwa.

– Mogę sama zabrać stąd ten akumulator. Dziękuję – odezwałam się i szurając, ruszyłam w stronę wejścia.

– A czy pani wie, jaki akumulator należy kupić? – zawołał za mną.

Odwróciłam się w jego stronę.

– Nie, ale podejrzewam, że wystarczy podać markę samochodu i model, a oni już będą wiedzieli.

Skinął głową na znak zrozumienia.

– No dobrze, ale czy potrafi pani wymienić akumulator? – spytał.

Aż do tej pory nie musiałam zawracać sobie głowy takimi sprawami. Kiedy Frank i ja byliśmy małżeństwem, za każdym razem gdy z silnika dobiegł jakiś pisk albo brzęczenie, wzywaliśmy Otisa, który tak często pojawiał się w barze Dubois, że w zasadzie nawet nie musieliśmy do niego dzwonić.

– Przypuszczam, że nie ma pani zielonego pojęcia – oznajmił Dobry Samarytanin.

Uwaga była w stu procentach słuszna, lecz jego wspaniałomyślność wprawiła mnie w zakłopotanie. Z moich doświadczeń wynikało, że ludzie nie mają zwyczaju zbaczać z własnej drogi, żeby wydobyć z kłopotów kogoś, kogo zupełnie nie znają, oczywiście o ile niczego od niego nie chcą.

– Pewnie w końcu znajdę sposób, jak to zrobić – powiedziałam niepewnie.

Dobry Samarytanin wziął głęboki, pełny oddech i wszedł przede mną do sklepu. Jak pszczoła krążył wokół regału z akumulatorami, ja zaś posłusznie dreptałam za nim. Wreszcie wskazał akumulator, który powinnam wziąć. Zabrałam go z półki i udałam się do kasy. Wróciliśmy do trucka. Tym razem Dobry Samarytanin nie zawracał sobie głowy otwieraniem dla mnie drzwi pasażera. Wrzuciłam akumulator na bagażnik i sama usadowiłam się obok. Szybko przejechaliśmy trzy kilometry dzielące nas od mojego samochodu, a chłodny powiew przez cały czas omiatał moją tętniącą od nadmiaru wrażeń głowę.

W ciągu kwadransa nowy akumulator znalazł się na miejscu starego, ja zaś siedziałam za kierownicą, nasłuchując cichego mrużenia silnika. Sięgnęłam do portfela, wyjęłam dwudziestodolarowy banknot, którego raczej nie mogłam wydać bez znacznego uszczerbku moich zapasów, i wyciągnęłam rękę przez okno.

– Ogromnie panu dziękuję, sir. Czym mogłabym się odwdzińczyć?

Wyglądał na urażonego. Podszedł bliżej, wymownym gestem chowając ręce do kieszeni, żeby jasno okazać, że nie przyjmie ode mnie żadnego daru wdzięczności.

– Mam córkę mniej więcej w pani wieku. Potrafi zmienić oponę i wymienić akumulator, i nigdy nie rusza się bez przewodów zasilających. Ale wyobraźmy sobie, że nie miała tatusia, który by ją tego nauczył. Mam nadzieję, że w takim wypadku znalazłby się jakiś uczciwy człowiek, który by jej pomógł.

Czułam się okropnie na myśl, że podejrzewałam tego faceta o nieczne zamiary i że w ogóle nie przyszło mi do głowy, że mam do czynienia z kimś, kto ma szczerą intencję. Wydawało mi się, że tacy ludzie już nie istnieją. Skinęłam więc głową i jeszcze raz powiedziałam „dziękuję” – takie prawdziwe „dziękuję”, z głębi serca.

Już miał odejść, ale zatrzymał się na chwilę.

– Rozumiem, dlaczego nie chciała pani wsiąść do samochodu z zupełnie obcym mężczyzną, ale z drugiej strony nie jest bezpiecznie jeździć na bagażniku trucka. Niech pani nie nabierze takiego zwyczaju. I niech pani

więcej nie wybiera się w podróż starym samochodem bez kabli, zapasowego koła i lewarka.

Gdy z powrotem znalazłam się na autostradzie, ruszyłam na północ, generalnie w kierunku Kanady, choć starałam się unikać głównych szlaków komunikacyjnych. Po kilku godzinach znalazłam się w Saranac Lake, gdzie zatrzymałam się, żeby zatankować i w małym sklepiku kupić coś do jedzenia. Wewnątrz było biuro Western Union. Wzięłam więc pięćdziesiąt osiem dolarów, które mi zostały, i włożyłam na przedpłaconą kartę kredytową. Urzędnik oczywiście zapytał o numer ubezpieczenia i dowód tożsamości, więc napisałam kilka przypadkowych cyfr, które zapamiętałam z ubezpieczenia Debry Maze, i zostawiłam polecenie, żeby zrobić przelew online na moją kartę.

Poszłam do centralnej biblioteki, usiadłam przy komputerze i zalogowałam się na dawne konto mailowe. Ryan jeszcze nie odpisał, ale minęły dopiero dwadzieścia cztery godziny. Wysłałam kolejny list, z zaznaczeniem, że to pilne. Podałam Ryanowi numer konta i wyjaśniłam, że będzie aktywne tylko przez pięć dni. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób mógłby mnie wysledzić, ale musiałam chronić podstawy mojego bytu.

Prawie skończyły mi się pieniądze, a w dodatku odczuwałam dokuczliwy ból kręgosłupa. Raczej nie dam rady spędzić kolejnej nocy w dziupie, więc postanowiłam dołożyć wszelkich starań, żeby znaleźć nowy dom.

Zaczęłam krążyć między wzgórzami, wypatrując przeładowanych skrzynek na listy, bo wykombinowałam, że w ten sposób najłatwiej trafię na wolny wakacyjny dom. Kilka lokalizacji wydawało się obiecujących, lecz jedna szczególnie się wyróżniała. Była do drewniana chatka z jedną sypialnią, zbudowana na ramie w kształcie litery A, stojąca na przynajmniej pięcioakrowej działce. Ten dom był dokładnie tym, czego potrzebowałam. Przed ludzkimi spojrzeniami chroniła go zasłona gęstej zieleni, zaś najbliższy sąsiad mieszkał przynajmniej kilometr dalej. Obok domku znajdował się generator prądu, co mnie zaskoczyło, zważywszy na surowe wykończenie posiadłości. Sprawdziłam skrzynkę pocztową – wewnątrz znalazłam całą masę ulotek i reklam, ale ani jednego rachunku, listu albo czegoś, co wymagało załatwienia w określonym czasie.

Pomimo prostoty domku sforsowanie drzwi okazało się trudniejsze, niż przypuszczałam. O ile zdołałam się zorientować, gospodarz nie zostawił nigdzie zapasowego klucza. Jednak jedno okno było nieco spaczone, a to wystarczyło, żebym dała radę podważyć framugę nożem. Przyniosłam z ganku stary bujany fotel i kołysząc się niebezpiecznie podciągnęłam się, żeby wejść do środka.

Wszystko wskazywało na to, że jako dziki lokator trafiłam w dziesiątkę. Każdy cal domku pokrywała gruba warstwa kurzu, zaś wiszący w powietrzu smród stanowił mieszankę brudu, wilgoci i stęchlizny. Skromne i mało wyrafinowane umeblowanie przekonało mnie, że znalazłam się w okazyjnie odwiedzanej samotni starego kawalera. Z informacji na tabliczce na skrzynce pocztowej wynikało, że facet nazywał się Reginald Lee.

Od razu zabrałam się do sprzątania, ponieważ przesycone kurzem powietrze wywołało u mnie atak kichania, który ustąpił, gdy tylko wyszłam na zewnątrz. Odkurzenie zabrało mi całą godzinę. Nie było pralki, więc zgarnęłam całą pościel i ręczniki z łazienki, i pojechałam do najbliższej pralni.

Kiedy bielizna kręciła się w wirówce, wymyślałam historię, która mogła mi się przydać, na wypadek gdyby Reginald Lee postanowił zrobić sobie urlop i znalazł obcą kobietę śpiącą w jego własnym łóżku. Zdecydowałam, że najlepsza będzie odrobina prawdy zmieszana z solidną porcją fantazji.

Mój mąż zmarł i niczego mi nie zostawił. Nie mam żadnych dochodów, więc nie mogłam spłacać hipoteki. Mój dom został zajęty przez komornika, a ja znalazłam się na bruku. Mieszkałam w samochodzie, od czasu do czasu w motelach, ale skończyły mi się pieniądze i już jest za zimno, żeby spać w aucie. Przypadkiem trafiłam na twój dom, Reginaldzie... Mogę ci mówić Reggie? Zobaczyłam, że stoi pusty. Okno było otwarte, a ja tylko szukałam przytulnego miejsca, żeby jakoś przetrwać noc. Proszę, znajdź w sercu odrobinę litości, zwłaszcza teraz, w okresie świąt.

Wyobrażałam sobie Reginalda jako spokojnego, nieskomplikowanego mężczyznę, któremu nieobce jest poczucie obowiązku pomocy zubożałym współobywatelom. Szczerze wierzyłam, że on się nade mną zlituje. Spoglądając w lustro, widziałam, jak żałośnie teraz wyglądam. Miałam przyklepane włosy, a w ciągu ostatniego miesiąca schudłam o dobre siedem

kilogramów. Reginald z pewnością okaże się miłosierny. I na pewno nie oskarży mnie o to, że sypiam z jego żoną.

Rozdział dwudziesty czwarty

Po wygodach willi Frazierów musiałam przystosować się do skromniejszych warunków w chatce Reggiego. Nie było tam innego ogrzewania poza piecem opalonym drewnem. Na tarasie z tyłu domu odkryłam przynajmniej sąg drewna, przykryty brezentem, ale wciąż nie miałam pojęcia, jak dociekliwi albo czujni ludzie mieszkają w pobliżu. Jeżeli zobaczą smugę dymu, sącząca się z komina w domu Reggiego, to może wpadną sprawdzić, co się tutaj dzieje.

Pierwszej nocy spałam w wełnianej czapce i grubych skarpetach, przykryta wszystkimi kocami, które udało mi się znaleźć. Wczesnym rankiem, kiedy jedynymi dźwiękami, jakie człowiek spodziewa się usłyszeć, są pogwizdywanie wiatru i szuranie po dachu niedużych zwierzątek szukających przejścia lub schronienia, do moich uszu dobiegło coś innego. Niski, buczący pomruk. To mógł być odgłos pracującego kotła, ale przecież Reggie nie zainstalował ogrzewania. Nie była to ani lodówka, ani żadne inne urządzenie gospodarstwa domowego. Wzruszyłam ramionami, lekceważąc tajemniczy szum, i próbowałam zasnąć. Obudziłam się z bólem stawów i głową wciąż pogrążoną w sennej mgle. Gdy tylko odważyłam się wyjść, pojechałam kupić podstawowe produkty spożywcze i na śniadanie zrobiłam sobie kawę oraz kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Modliłam się, żeby Ryan odczytał mojego maila, ponieważ nie zostało mi zbyt wiele środków na następne porcje masła orzechowego, o dżemie nie wspominając.

Reginald najwyraźniej nie przywiązywał wagi do różnych form rozrywki. Miał stary telewizor i odtwarzacz DVD, ale nie gromadził żadnych filmów, co mocno mnie zaskoczyło. Zawartość biblioteczki składała się głównie z przygodowych książek Clive'a Cusslera i stosów czasopisma „Guns and Ammo”. Znalazłam też egzemplarz *The Anarchist Cookbook* Williama Powella, *The Turner Diaries* Williama Luthera Pierce'a, *I'm OK – You're OK* Thomasa Harrisa i *Who Moved My Cheese?* Spencera Johnsona.

Po wyborze książek trudno było zorientować się, jakiego rodzaju człowiekiem jest Reggie, ale łatwo mi przyszło odgadnąć, że nie należy do beztroskich lekkoduchów, jak sobie w pierwszej chwili wyobrażałam.

W chatce nie było żadnych osobistych drobiazgów – żadnych fotografii, dzieł sztuki, żadnych elementów ozdobnych, nie licząc starego zakurzonego dywanika, wyściełanego fotela, stelaża na buty oraz kilku kuchennych ściereczek z motywem stokrotek – za to znajdowała się tam imponująca liczba puszek z jedzeniem, suszonej żywności oraz wody w butelkach, jakby właściciel tego domku przygotowywał się na nadejście końca świata. Z szacunku dla mojego nieobecnego gospodarza próbowałam ograniczyć zużycie zapasów do jednej puszki zupy dziennie. Dudniący szum pojawiał się i znikał. Z początku nie zwracałam na to uwagi. Ostatecznie każdy dom wydaje jakieś charakterystyczne dźwięki.

Następnego ranka pojechałam do biblioteki i sprawdziłam saldo na karcie Western Union. Ryan wpłacił tysiąc dolarów. To mogło wystarczyć mi na parę miesięcy, biorąc pod uwagę moją obecną sytuację, ale w żadnym wypadku nie stanowiło długoterminowego rozwiązania. Zalogowałam się na koncie pocztowym i zobaczyłam, że odpisał na mój list.

*Dwudziesty trzeci listopada
dwa tysiące piętnastego roku*

do: Jo

od: Ryana

Wyślę więcej, jeśli się odezwiesz.

Pod spodem był numer telefonu oraz trzy różne terminy w ciągu tygodnia, w których mogę swobodnie dzwonić. Odpisałam.

*Dwudziesty czwarty listopada
dwa tysiące piętnastego roku*

do: Ryana

od: Jo

Jeśli to zasadzka, nie będę Cię oszczędzać. Nie oszczędzę nikogo.

Pozostałam w bibliotece jeszcze przez parę godzin, żeby sprawdzić inne rzeczy. W pierwszej kolejności zerknęłam w spis nieruchomości w Saranac Lake, żeby znaleźć adres chatki Reginalda Lee. Poprzedni właściciel nazywał się Jedediah Lee, więc najwyraźniej była to rodzinna posiadłość przekazana synowi przed piętnastoma laty. Przejrzałam spis, szukając nazwiska Reginalda, ale było dość popularne, więc odnalezienie jego aktualnego adresu okazało się niemożliwe. Pozostawało mieć nadzieję, że dobrze mu tam, gdzie obecnie przebywa, i że nie planuje w najbliższej przyszłości ucieczki do swojej samotni.

W bibliotece było centralne ogrzewanie, więc niechętnie zbierałam się do wyjścia. Oprócz obfitego materiału do czytania, kusił mnie komputer, jedyne połączenie ze światem, do którego już przestałam należeć. Wydawało się, że im dalej odsuwam się od cywilizacji, tym bardziej pociąga mnie złudne poczucie wspólnoty. Przez ostatnich kilka lat opierałam się wielu sprawom, nie oglądałam się zbyt często wstecz, jeśli nie liczyć mojej korespondencji z Ryanem. Ale teraz nadchodziły święta, a ja czułam się bardziej samotna, niż kiedykolwiek przypuszczałam, że to możliwe.

Wpisałam w wyszukiwarkę nazwisko „Edie Olivier”. Pierwszy link prowadził do jej profilu na portalu społecznościowym, który stał się popularny mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rozpoczęła się moja ucieczka. Na fotografii, którą wstawiła jako zdjęcie profilowe, ujrzałam małą dziewczynkę, dość podobną do niej, z niewielkim dodatkiem podobieństwa do *niego*. Nie miała zbyt mocnych ustawień prywatności, więc mogłam

rzucić okiem na najważniejsze wydarzenia w jej życiu z ostatnich dziesięciu lat. Mężatka. Narodziny córeczki. Rozwód. Kilka zdjęć. Wyglądała tak samo, jak zapamiętałam, może była trochę pulchniejsza, może miała kilka zmarszczek więcej i wyrosła z noszenia grzywki. Miałam ochotę do niej napisać, powiedzieć „cześć”, ale potem przypomniałam sobie, w jaki sposób patrzyła na mnie, kiedy widziałyśmy się po raz ostatni. Znow przytłoczyło mnie poczucie zdrady.

Przeczytałam kilka komentarzy, które ludzie zostawili na jej stronie.

Po ogłoszeniu rozwodu jakiś koleś, którego chyba pamiętałam z lekcji matematyki, napisał: *Zadzwoń do mnie!* Dziewczyny o imionach, które brzmiały znajomo, pisały słowa w stylu: *Gratulacje!*, *Trzymaj się!*, *Kocham cię, skarbie!* Zastanawiałam się, czy taka forma wsparcia rzeczywiście przyniosła jej coś w rodzaju ukojenia. Wyobraziłam sobie, że niechętnie pozostaje w tym świecie, wpisując się w jego działania, ponieważ to wszystko stanowi część społecznej struktury. Pewnie musiałabym zachowywać się tak samo, gdybym została.

Jak automat przewijałam posty na stronie, aż w końcu coś przykuło mój wzrok. Ktoś, kto nazywał się Laura Cartwright i nie posiadał profilowego zdjęcia, zamieścił krótką notkę:

Proszę, odezwij się. Piszę książkę o Melindzie Lyons. Szukam osób do przeprowadzenia wywiadu.

Kliknęłam na profil Laury Cartwright. To nazwisko... Brzmiało znajomo, ale nie potrafiłam go umiejscowić. Szczegóły osobiste na profilu były oszczędne i dość tajemnicze. Gdzie pracujesz? Samozatrudnienie. Urodziny? Pierwszego kwietnia. W rubryce „zainteresowania” brakowało wpisu. O ile zdołałam się zorientować, profil został założony zaledwie sześć tygodni temu, zaś całe życie Laury zdawało się kręcić wokół sprawy Melindy Lyons.

Utworzyłam własny profil pod nazwiskiem Jane Doe[2]. Ostatecznie to tylko nazwisko. Nie musiało być prawdziwe. Zaczęłam tworzyć wiadomość dla Laury Cartwright z propozycją mojej anonimowej pomocy przy śledztwie i z pytaniem, czy udało się jej czegoś dowiedzieć.

Już miałam kliknąć przycisk „Wyślij”, kiedy opadły mnie wątpliwości. Laura Cartwright mogła być pułapką. Gdziekolwiek spojrzałam, widziałam przed sobą pole minowe. Musiałam dokładnie przemyśleć wszystkie opcje,

zanim podejmę jakieś działanie.

Godziny pracy biblioteki właśnie dobiegały końca. Sprawdziłam jeszcze raz swoje konto mailowe i znalazłam nowy list od Ryana.

*Dwudziesty czwarty listopada
dwa tysiące piętnastego roku*

do Jo

od Ryana

Dlaczego to miałyby być pułapka? Czy twój ewentualny powrót do domu wiąże się z jakąś korzyścią dla mnie?

Ton tego przekazu uraził mnie. Chyba w głębi duszy miałam nadzieję, że on pragnie, żebym przyjechała.

Wróciłam do chaty Reginalda i otworzyłam puszkę zupy. Tej nocy spadł pierwszy w tym roku śnieg. Kiedy zbudziłam się następnego ranka, cały krajobraz spowity był białym całunem. Lodowe sople zwisały z gałęzi drzew, połyskując w słońcu jak kryształowe żyrandole. Świat wyglądał na nieskalany i przepełniony spokojem, i tak doskonały, jakim pamiętałam go z dawnych czasów.

Postanowiłam nie zwracać uwagi na ryzyko i rozpaliłam w piecu ogień. W ciągu godziny zrobiło się gorąco jak w piekle, więc zdjęłam czapkę i sweter, a następnie zaparzyłam herbatę i pozwoliłam sobie na chwilę relaksu, zahipnotyzowana widokiem płonących szczap. Jak cudownie byłoby, gdybym mogła zostać tu przez całą zimę.

Śnieg wciąż padał, sama nie byłam pewna, od jak dawna. Zapomniałam sprawdzić prognozę pogody, kiedy siedziałam w bibliotece. Reggie przypuszczalnie posiadał radio. Sądząc ze zgromadzonych zapasów, należał do mężczyzn, którzy trzeźwo myślą.

Już wcześniej pobieżnie przejrzałam cały dom i nigdzie nie natrafiłam na oczywiste wejście do piwnicy, lecz w końcu udało mi się ustalić, że ciche mruczenie powoduje lekką wibrację podłogi. Doszłam do wniosku, że gdzieś tutaj musi znajdować się piwnica. Zaczęłam od wejścia i posuwałam się do tyłu, pełzając po podłodze i szukając czegoś w rodzaju drzwi. Niczego nie znalazłam, ale pod stopami wciąż czułam delikatnie drżenie, więc postanowiłam powtórzyć całą operację. Za drugim razem odsunęłam stolik do kawy, który stał mi na drodze, i uniosłam stary wytarty dywanik. I wtedy zobaczyłam klapę. Uniosłam ją nieco i ujrzałam drabinę prowadzącą gdzieś niżej, w stronę betonowych fundamentów. Zabrałam ze spiżarki latarkę i oświetliłam ciemną przestrzeń. Mruczący dźwięk wyraźnie przybrał na sile.

Nie miałam nic do roboty, więc postanowiłam zbadać, co znajduje się w piwnicy. Schodząc po szczeblach, skopywałam nieskończone pokłady pajęczyn. Na dole pod ścianą stało pięć metalowych cylindrów. Popukałam w pierwszy z brzegu, a on zadźwięczał jak gong. Puknęłam w pozostałe – wszystkie okazały się puste. Olbrzymia metalowa szafa znajdowała się dokładnie pod kuchnią; w drugim końcu piwnicy pod łóżkiem Reggiego zobaczyłam masywne drzwi zaopatrzone w klamkę. O ile mogłam się zorientować, mruczenie dochodziło właśnie stamtąd.

Ostrożnie zbliżyłam się do drzwi, a moja wyobraźnia podsuwała mi coraz to nowe pomysły, co mogę ujrzeć w środku. Może Reggie trzyma tam dodatkowe porcje mięsa albo napojów? Albo zamrożone zapasy łatwo psujących się towarów? Ostatecznie cała masa ludzi trzyma w piwnicy lodówkę. Tyle tylko, że ta wyglądała jak model, do którego można wejść, co od razu wydawało się podejrzane, biorąc pod uwagę skromne wyposażenie pozostałej części domku. Poczułam, jak zimny dreszcz spływa mi wzdłuż kręgosłupa, czego nie dało się wytłumaczyć panującą tutaj temperaturą. Pomyślałam, że może lepiej wrócić na górę i wynieść się stąd jak najszybciej, ale ostatnio życie skąpiło mi rozrywek.

Otworzyłam drzwi. Lodówka rozjarzyła się jaskrawym blaskiem, jaśniejszym niż cokolwiek, co widziałam od wielu dni. Wewnątrz znajdował się więcej niż tuzin worków z nawozem. Na każdej widniało ostrzeżenie: *Azotan amonowy. Środek łatwopalny!* Policzyłam worki. Piętnaście sztuk. W powietrzu unosiła się ledwo wyczuwalna woń, choć pięćdziesiąt stopni zimna wewnątrz lodówki trzymało smród w ryzach. Zamknęłam drzwi,

podeszłam do metalowej szafy i nacisnęłam kłamkę. Zamknięta.

Wróciłam na górę i pogrzebałam na dnie torebki, aż znalazłam dwa metalowe spinacze. Z jednego zrobiłam haczyk, drugi rozwinęłam w prosty drucik. Frank lubił zamki, więc musiałam nauczyć się, jak je otwierać za pomocą wytrycha. Wróciłam do piwnicy i wetknęłam brzeg haczyka w dolną część zamka, utrzymując stały nacisk w lewą stronę. Drugim spinaczem grzebałam w bębenu tak długo, aż usłyszałam upragniony klik. Przyprawiający o mdłości przyływ adrenaliny wypełnił moje ciało, gdy otwierałam drzwi.

W środku znajdowały się pistolety, strzelby i broń półautomatyczna. Na dolnej półce stały skrzyneczki z amunicją. Było tego wystarczająco dużo, by zetrzeć z powierzchni ziemi niewielkie miasteczko. Gdy zobaczyłam broń, natychmiast skojarzyłam, do czego może się przydać azotan amonowy. Reggie nie był grzecznym, miłym facetem, jak sobie uroiłam. Teraz byłam przekonana, że zamierza narobić niezłego bałaganu. Taki facet raczej nie opuszcza na długi czas swojej kryjówki.

Wspięłam się z powrotem po drabinie, zebrałam swoje rzeczy i postarałam się doprowadzić wnętrze chatki do takiego stanu, w jakim je zastałam. Potem popędziłam do samochodu i jechałam przez trzy godziny z Saranac Lake do Burlington w stanie Vermont. Nie prowadziła tam żadna bezpośrednia trasa, więc wiele razy musiałam zjeżdżać na pobocze i sprawdzać drogę na mapie. Gdy tylko dotarłam do Burlington, kupiłam w drogerii dwa telefony komórkowe jednorazowego użytku i powędrowałam wzdłuż Main Street, aż znalazłam budkę telefoniczną. Wybrałam numer posterunku policji w Saranac Lake i poprosiłam o rozmowę z detektywem.

– Detektyw Webb, słucham.

– Chciałam anonimowo złożyć donos.

– W porządku. O co chodzi?

– Mam informacje o pewnym osobniku, który moim zdaniem planuje jakąś akcję z materiałami wybuchowymi.

– Naprawdę? – odparł detektyw Webb.

– Ten gość nazywa się Reginald Lee i mieszka albo ma posiadłość przy Church Street trzysta trzydzieści trzy na obrzeżach Lake.

- Czy mogę zapytać, z kim rozmawiam?
- Jak zaznaczyłam na początku, to anonimowe powiadomienie.
- Rozumiem. Czy pani wie, co on zamierza wysadzić?
- Nie mam pojęcia. Coś, do czego potrzeba mniej więcej piętnaście worków nawozu.
- A czy mogę zapytać, co panią łączy z tą osobą? – spytał detektyw Webb.
- Ja nawet go nie znam – odpowiedziałam szczerze. – Ale jeśli pojedzie pan do jego domu i podniesie taki zniszczony dywanik, który leży na podłodze w salonie, znajdzie pan klapę i właz do piwnicy. Wszystkie dowody, których pan potrzebuje, są właśnie tam.
- Chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób jest pani związana z tym mężczyzną.
- Ależ ja wcale nie jestem z nim związana.
- Jednak w jakiś sposób musi go pani znać, madame.
- Czy w ogóle zamierza pan coś z tym zrobić?
- Niestety, nie, biorąc pod uwagę okoliczności.
- Dlaczego nie?
- Bo być może pani ma w tym jakiś interes. Muszę mieć nakaz, żeby przeszukać dom tego człowieka. Bez wiarygodnego powodu i uzasadnionego zgłoszenia od rzeczywistej, znanej z nazwiska osoby, nie zaś z anonimowego źródła, Niestety, nie mogę podjąć żadnych działań.
- Ale pan musi coś zrobić! On przecież nie trzyma nawozu po to, żeby wiosną uprawiać ogródek! Ma ogromną lodówkę, w której pełno jest tego świństwa! I w dodatku ma w tej piwnicy cały arsenał, co najmniej dwadzieścia sztuk różnej broni.
- Madame, tego właśnie dotyczy druga poprawka.
- Proszę powiedzieć, że pan coś z tym zrobi.
- Jeśli zechce pani, madame, osobiście pofatygować się na posterunek i złożyć oficjalne zgłoszenie, to być może zajmiemy się tą sprawą. Widzę, że dzwoni pani z Burlington w stanie Vermont...

Momentalnie przerwałam połączenie.

Oszołomiona wędrowałam ulicami miasta, a mój mózg przypominał sieć międzystanowych dróg. Skręcałam, żeby jechać w jakimś kierunku, i trafiałam na ślepą uliczkę. Wracałam w przeciwną stronę, próbowałam innego odgałęzienia i znów kończyło się tak samo.

Gdyby chodziło o coś innego – na przykład o ludzkie szczątki – być może byłabym to odpuściła. W swoim czasie musiałam odpuszczać wiele spraw. Jednak teraz miałam przeczucie, że Reggie zamierza za jednym zamachem pozbawić życia wielu ludzi i nie byłam pewna, czy potrafiłabym dalej żyć, mając to na sumieniu.

Zerknęłam na zegarek. Jeszcze godzina, zanim nadejdzie czas mojej ustalonej uprzednio rozmowy telefonicznej z Ryanem. Postanowiłam dodać sobie odwagi, więc wstąpiłam do baru, wypiałam dwie szklaneczki whisky i wyszłam. Wróciłam do samochodu, wzięłam jeden z telefonów i wybrałam numer.

– Halo? – usłyszałam.

Wystarczyło to jedno słowo, nabrzmiałe oczekiwaniem, żeby obudzić wspomnienia sprzed dziesięciu lat. Myślałam, że na dźwięk tego głosu poczuję tłumioną przez dekadę wściekłość, ale nic podobnego się nie wydarzyło. Zamiast tego poczułam rozpacz i nostalgię. Przekonałam się, że tęsknota za nim była silniejsza od nienawiści.

– Halo – odpowiedziałam, starając się, żeby mój głos brzmiał rzeczowo i spokojnie, jakby uczucia nie były częścią mojego obecnego repertuaru.

– To naprawdę ty? – spytał.

– A kto inny mógłby być? – odpowiedziałam.

– Tęskniłem za tobą.

– Naprawdę?

– Jak ci leci? – spytał.

Rozłączyłam się, poczekałam pięć minut i zadzwoniłam z drugiego telefonu.

– Co się stało? – spytał ze zdziwieniem.

– Naprawdę mam nadzieję, że nie próbujesz mnie wysledzić – odpowiedziałam.

– Dlaczego miałbym to robić?

– A dlaczego robisz to, co robisz? – powiedziałam. – Bo ktoś ci tak każe.

– Wystarczy.

– Jesteś sam?

– Tak. Jestem sam. W hotelowym pokoju w Everett. Wyjechałem służbowo.

– Masz kochankę?

– Dlaczego miałbym mieć?

– Po prostu jestem ciekawa, jak wygląda twoje małżeństwo.

– Gdybym miał kochankę, musiałbym opowiadać jej o różnych rzeczach.

– Czyli rozumiem, że nie masz?

– Nie mam kochanki.

Przerwałam rozmowę, żeby po pięciu minutach zadzwonić z poprzedniego aparatu.

– Wolałbym, żebyś przestała się wygłupiać – powiedział, gdy tylko odebrał połączenie.

– Nie mogę narażać się na ryzyko długiego, przewlekłego sięgania pamięcią wstecz... Co chciałeś mi powiedzieć?

– Twoja matka jest chora.

– Ona zawsze jest chora.

– Tym razem śmiertelnie – powiedział.

– Rozumiem. Na co umiera?

– Na raka płuc.

– No cóż, dzięki, że mi powiedziałeś.

Zawsze wierzyłam, że kiedyś ją zobaczę, a moje ostatnie słowa skierowane do niej zostaną zastąpione nowymi. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że moja matka może opuścić ten świat, zanim będę miała okazję, żeby jej wybaczyć. Chyba przez chwilę musiałam milczeć.

– Jesteś tam? – zaniepokoił się Ryan.

– Tak.

- Moim zdaniem powinnaś wyjechać z kraju – oznajmił.
- Dlaczego uważasz, że wciąż tutaj jestem?
- Mogę ci pomóc załatwić paszport, jeśli będziesz tego potrzebowała.
- Dobrze wiedzieć – mruknęłam. Nie było sensu wtajemniczać go w żadne szczegóły z mojego życia.
- Właśnie przelałem na twoje konto kolejny tysiąc dolarów. Wyślę więcej, jak tylko będę mógł.
- Widzę, że dotrzymujesz słowa – zauważyłam.
- Tak mi przykro – powiedział.
- Już to mówiłeś.
- Bądź ostrożna, Jo, oni cię szukają. A ta pisarka jest jak pies, który szuka kości.
- Mówisz o Laurze Cartwright?
- Tak. Skąd znasz jej nazwisko?
- Prosi online o wywiady. Rozmawiałeś z nią? – spytałam.
- Raz przyszła do mnie do domu, ale powiedziałem, że nie wiem o niczym, co mogłoby ją zainteresować. Potem spotkałem ją jeszcze raz w szpitalu, kiedy zajrzałem do twojej matki.
- Takie unikanie rozmowy mogło wydać się podejrzane – powiedziałam.
- Nie mogłem z nią gadać. Nie mogłem nawet na nią patrzeć. Ona ma takie błękitne oczy. Gdyby ktoś inny miał takie oczy, tobym powiedział, że są piękne, ale u niej wyglądają na zimne.
- Błękitne oczy... – powtórzyłam.
- Zimne jak lód.

Rozdział dwudziesty piąty

Biorąc pod uwagę wszystkie rozmowy telefoniczne i liczbę stacji przekaźnikowych, w których się logowałam, musiałam przemieszczać się z miejsca na miejsce, nawet jeśli oznaczało to krążenie po Wschodnim Wybrzeżu. Kiedy tylko skończyłam burzliwą rozmowę z Ryanem, wyrzuciłam oba telefony i wypłaciłam tysiąc dolarów z karty Western Union, żeby nikt nie mógł zablokować należących do mnie pieniędzy. Potem pojechałam na stację Amtrak w Burlington. Następny pociąg odjeżdżał dopiero rano, więc znalazłam tani motel, żeby spędzić tę noc na leżąco. Zbudziłam się o świcie, zgarnęłam do małego plecaka cały dobytek i pojechałam na stację, zostawiając auto na parkingu długoterminowym. Nie zaprzeczam, że pojawienie się Błękitnookiej w moim poprzednim życiu natychmiast wzbudziło we mnie niepokój, ale jednak najważniejsze było załatwienie sprawy Reginalda Lee.

Rejon Burlington obsługiwał tylko jeden pociąg. Kupiłam bilet z Essex Junction do Filadelfii. Można mieć wrażenie, że niepotrzebnie zadawałam sobie cholerny trud, zamierzając spędzić w pociągu dziesięć godzin tam i z powrotem wyłącznie po to, by wykonać jedną rozmowę telefoniczną, ale w ostatnim roku parę razy zdarzyło mi się dzwonić z okolic położonych zbyt blisko siebie. Szczęście w każdej chwili mogło mnie opuścić. Bilet kosztował sto pięćdziesiąt dolarów, ale za to mogłam spać w pociągu, zamiast wynajmować pokój na kolejną noc. Gdy się obudziłam, poczułam znajomy ból wzdłuż kręgosłupa.

Przyjechałam do Filadelfii około dziewiątej rano. Ruszyłam wzdłuż Market Street, aż trafiłam na drogerię, która miała w sprzedaży jednorazowe telefony. Nabyłam dwie sztuki i szłam dalej przed siebie, aż wpadłam prosto na Liberty Bell. Na kilka minut stałam się zwykłą turystką, która z zaciekawieniem czytała historię dzwonu i jego prostej konstrukcji. Pomyślałam o Andrew i o tym, jak on by zapamiętał wszystkie szczegóły

dotyczące dzwonu – na przykład, że jego serce waży dwadzieścia kilogramów i jest odlane z miedzi i cyny z domieszką paru innych metali, z arsenikiem włącznie. Pożałowałam, że nie mogę stąd wysłać pocztówki do Andrew.

Po zabawie w turystkę powędrowałam w stronę centrum. Po drodze wstąpiłam do lobby hotelu Ritz, gdzie od razu znalazłam łazienkę i doprowadziłam się do porządku na tyle, żeby obsługa hotelu nie musiała mnie wyprosić. Nie zależało mi, żeby wyglądać na hotelowego gościa, ale zdecydowanie musiałam wyglądać jak ktoś, kto może wmieszać się w tłum gości. Przypudrowałam twarz, owinęłam szalem obcięte włosy i nałożyłam na wargi odrobinę jaskrawoczerwonej szminki. Zimowy płaszcz wydawał się dość znoszony, więc zwinęłam go i wepchnęłam do torby. Wróciłam do lobby i znalazłam spokojny kącik z fotelem. To było tak samo dobre miejsce jak każde inne, żeby spokojnie porozmawiać przez telefon.

– Szeryf Lowell – usłyszałam w słuchawce.

– Domenic?

– Przy telefonie.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Gdzie jesteś, kochanie? Przyjadę po ciebie.

– Jesteś sam?

– Tak.

– Próba zlokalizowania tego telefonu będzie stratą czasu i sił – oznajmiłam. – Przejechałam setki kilometrów, żeby do ciebie zadzwonić.

– Och, dobrze wiesz, jak połechtąć męską próżność.

– Pozwól, że zadam ci pytanie – przerwałam. – Czy przychodzi ci do głowy jakiś niewinny powód, dla którego facet przechowuje w domu ponad tuzin worków z nawozem zawierającym azotan amonowy?

– Zadzwoniłaś, żeby porozmawiać o nawozie? – spytał z niedowierzaniem.

– Między innymi.

– Cóż, teraz czuję się mniej połechtany – oznajmił.

– Posłuchaj, facet trzyma worki z nawozem w piwnicy, gdzie urządził

sobie chłodnię. W tej piwnicy jest też całkiem przyzwoity arsenał, mnóstwo amunicji i kilka pustych beczulek po oleju.

– Kim jest ten człowiek?

– Wolałabym nie mówić.

– W jaki sposób trafiłaś do piwnicy tego gościa?

– Pilnowałam domu pod jego nieobecność.

– Czy on wiedział, że tam mieszkasz? – spytał Domenic.

– Nie.

– W takim razie nie możesz powiedzieć, że pilnowałaś domu.

– Do diabła, czy wcale nie obchodzi cię, co zamierza zrobić to indywiduum?

– Owszem, cholernie mnie obchodzi – odparł Domenic. – Ale tak samo obchodzi mnie to, w co masz zamiar się wplątać.

– Po prostu chcę, żeby ktoś go zatrzymał. To wszystko.

– Musisz trzymać się od niego z daleka. Moim zdaniem to niebezpieczny typ.

– Wiem przecież. Dlatego właśnie zadzwoniłam na policję. Ale oni wzięli mnie za jego byłą dziewczynę, która chce się zemścić.

– Kochanie, powiedz tylko, gdzie jesteś, a ja obiecuję, że ci pomogę.

– Właśnie tak możesz mi pomóc. Powiedz, co mam zrobić, żeby go powstrzymać.

– Masz jedynie za żadne skarby nie zbliżać się do niego.

– Więc nie masz żadnych sugestii, co powinnam zrobić, żeby policja go zgarnęła?

– Możesz zgłosić się na policję i podać imię i nazwisko. Przypuszczam, że możesz powiedzieć, że jesteś bezdomna i że włamałaś się do tego domu, żeby się ogrzać. A potem poinformuj ich, co tam zobaczyłaś.

– To wszystko, co możesz mi zaproponować? – spytałam rozczarowana.

Dziesięć godzin podróży i sto pięćdziesiąt dolców wydanych na darmo.

– Chciałbym ci pomóc. Pozwól, że ci pomogę.

– Muszę już iść, Domenic.

– Cokolwiek ci przychodzi do głowy, kochanie, proszę, żebyś tego nie robiła.

– Nie mam zamiaru niczego robić.

– Nie wierzę ci ani trochę – odparł Domenic.

– No cóż, nie mieliśmy okazji zbudować między nami zaufania – powiedziałam.

Już miałam przerwać połączenie, kiedy Domenic odezwał się ponownie.

– W Dead Horse Lake znaleziono ciało. Mniej więcej tydzień po twoim wyjeździe. Jeszcze nie zostało zidentyfikowane, ale to tylko kwestia czasu.

Wciąż mogłam się rozłączyć, ale pomyślałam, że w ten sposób ściagnę na siebie podejrzenia.

– No cóż, bardzo mi przykro.

– Nic ci nie wiadomo na ten temat, nieprawdaż?

– Nie. Ale życzę powodzenia w śledztwie. Uważaj tylko...

– Zaczekaj. Pamiętasz, jak zostawiłaś mnie na poboczu drogi?

– Pamiętam. Już cię za to przeprosiłam.

– Nie oczekuję przeprosin – powiedział. – Ostatecznie mogło być gorzej.

– Faktycznie, mogło się stać coś z fistaszkami – mruknęłam, bo akurat taka myśl przyszła mi do głowy.

– Zostawiłaś mi wtedy butelkę wody – odparł.

– Zgadza się.

– To bardzo ładnie z twojej strony.

– Tak sędzę.

– Zdjąłem z butelki twoje odciski palców.

Zatkało mnie. Nie mogłam złapać tchu. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz było mi trzeba, to żeby ktoś powiązał Debrę Maze z moimi poprzednimi wcieleniami. To ona była najbardziej winna.

– Sprawdziłeś te odciski? – spytałam po chwili.

– Nie – odpowiedział.

– Dlaczego nie?

– A gdyby się okazało, że to strzał w dziesiątkę? Wtedy byłbym gliniarzem, który pozwolił zwać groźnemu przestępcy.

– Groźnemu przestępcy? No wiesz, teraz to ty mi pochlebiasz. Czy to był jedyny powód?

– Nie.

– No cóż... Do widzenia, Domenic.

Konsjerż w hotelu Ritz zaczął mi się przyglądać około drugiej w nocy. Zamówiłam więc taksówkę, pojechałam na dworzec i przez następne sześć godzin zabijałam czas, starając się obmyślić mój następny ruch. Nad ranem chwiałam się na nogach i ledwo dawałam radę utrzymać prosto głowę, kiedy stanęłam w ogonku oczekujących na pociąg do Vermont. Nawet nie zwróciłam uwagi na patrol, dopóki nie znaleźli się tuż przede mną.

– Dokument tożsamości i bilet proszę – powiedziała policjantka z patrolu.

Gapiałam się na nią bez słowa.

– Dokument tożsamości i bilet proszę – powtórzyła.

Sięgnęłam do portfela po prawo jazdy Soni Lubovich.

Policjantka przez chwilę wpatrywała się w pełną życia i zdrową buzię Soni na zdjęciu, a potem skierowała wzrok na mnie. Zmarszczyła brwi i znów spojrzała na fotografię.

– Czy pani wie, że to prawo jazdy straciło już ważność?

– Naprawdę? – zdziwiłam się. – Nie, nie miałam pojęcia.

Przez moment spoglądała na mnie z wyraźnym współczuciem, ale zaraz powróciła do służbowego tonu.

– Proszę doprowadzić się do porządku, jak tylko wróci pani do domu – powiedziała.

– Oczywiście – odparłam posłusznie.

Przez pierwsze godziny podróży pociągiem spałam jak zabita, a głowa obijała mi się o szybę okna. Być może ktoś z trudem określiłby ten sen jako

dający wytchnienie, ale mnie wystarczyło, że mogłam przymknąć oczy, i już odzyskałam jasność myśli. Kiedy się ocknęłam, pociąg właśnie odjeżdżał ze stacji New Haven.

Nadeszła pora, żeby postarać się o nowe nazwisko. Ruszyłam na spacer przez kolejne wagony, rozglądając się za nową tożsamością w taki sam sposób, w jaki kobiety wybierają nowe buty. Znalazłam ciekawą propozycję w postaci młodej niewiasty, na oko trzydziestoparoletniej, z długimi brązowymi włosami. Kształt jej nosa i szczęka przypominały moje rysy, lecz usta miała napompowane jakimś wypełniaczem, czoło zaś było tak nieruchome jak rzeźba z gliny. Nie potrafiłam odgadnąć, czy na zdjęciu w prawie jazdy znalazła się jej naturalna, czy poprawiona wersja, więc przeszłam do następnego wagonu w poszukiwaniu bardziej obiecującej opcji.

Dopiero gdy przekraczaliśmy granice stanu Connecticut znalazłam następną osobę, która mogła okazać się przydatna. Była ode mnie młodsza, wyglądała może na dwadzieścia trzy lata, lecz ważyła co najmniej dwadzieścia kilogramów więcej. Jednak jej wzrost i kolor włosów pasował wręcz idealnie. Przypomniało mi się, co niegdyś powiedziała Błękitnooka – że czasami gruba warstwa tłuszczu jest najlepszym przebraniem. Przynajmniej tym razem nie musiałabym fundować sobie diety z pączków. Ostatecznie nigdy nie wiadomo, jak będzie wyglądać osoba, która nagle schudnie dwadzieścia kilogramów.

Niemniej owa pulchna dziewczyna siedziała w zatłoczonym wagonie, trzymając rękę na torebce. Usiadłam więc na wolnym miejscu dwa rzędy dalej i czekałam na dogodną okazję. Ale okazja nie nadchodziła. Kiedy konduktor zapowiedział, że zbliżamy się do stacji, moje nowe wcielenie otuliło się w płaszcz i zarzuciło na ramię torebkę. Przyłączyła się do grupki pasażerów tłoczących się przy wyjściu, ja zaś wepchnęłam się tuż za nią. Zdjęłam płaszcz i przerzuciłam go przez ramię, a następnie musnęłam ręką torebkę pulchnej pani. Kiedy pociąg wtaczał się na peron, ja pospiesznie szperałam wewnątrz torebki, a gdy moje palce trafiły na gładką, złożoną skórę, zacisnęłam je kurczowo i sekundę później ukryłam portfel pod własnym płaszczem. Przepchnęłam się przez tłum wysiadających pasażerów i przeszłam do następnego wagonu, gdzie od razu skręciłam do toalety, zamykając drzwi na zasuwkę.

Gdy tylko udało mi się uspokoić oddech, otworzyłam portfel

i sprawdziłam dowód tożsamości. Grubaska nazywała się Linda Marks. Doskonałe, szacowne nazwisko, pomyślałam. Wpatrywałam się w fotografię i całkiem możliwe, że podeszłam do sprawy zbyt optymistycznie, ale od razu uznałam, że mogę funkcjonować jako Linda Marks.

Pociąg zahamował i drzwi otwały się z piskiem. Kiedy usiłowałam wsunąć drzwi do toalety w prowadnicę, jakiś obleśny facet w średnim wieku zablokował mi przejście i wepchnął z powrotem, jednocześnie zamykając za sobą drzwi.

– Widziałem cię – oświadczył bez ceregieli.

– Co takiego widziałeś?

– Oddawaj to – warknął.

Jak już zdążyłam się zorientować dzięki przypadkowi Reginalda Lee, cały pech bycia przestępcą polega na tym, że musisz powstrzymać się od rzucania takich wyzwisk na inne osoby. Posłusznie wyjęłam z torebki portfel Lindy i wręczyłam facetowi.

– Jest twój – powiedziałam.

Bez wahania wepchnął do swojego plecaka cały zwitek banknotów, dowód tożsamości i pozostałe dokumenty.

– Teraz dawaj swój portfel – oświadczył.

Miałam w portfelu osiemset osiemdziesiąt dolarów gotówką oraz kartę Western Union, z której raczej nie byłam skłonna zrezygnować. Zmierzyłam wzrokiem mojego przeciwnika, ale nasze ewentualne starcie nie wróżyło mi szczęśliwego zakończenia, więc udałam, że szukam w plecaku własnego portfela i sprytnie wysunęłam z niego kartę, pozwalając by spadła na samo dno. Potem wręczyłam facetowi portfel, gotówkę i resztę. Aż gwizdnął z zadowolenia, gdy zobaczył plik banknotów. Odliczył czterdzieści dolarów i wyciągnął je w moją stronę.

– Masz trochę kasy na podróż – powiedział.

– Pieprz się – warknęłam, ale wzięłam pieniądze. – A teraz mnie przepuść, z łaski swojej, bo nie chciałabym, żeby ludzie myśleli, że urządziliśmy sobie tutaj rendez-vous.

– Następnym razem poczekaj, aż maszynista zaciągnie hamulec. Pasażerowie starają się wtedy utrzymać równowagę i nikt nie patrzy, czy ktoś

trzyma rękę w cudzej kieszeni.

– Dzięki za radę – parsknęłam, zatraskując za sobą drzwi.

Przeszłam na sam koniec pociągu i wepchnęłam się na ostatnie wolne miejsce. Postanowiłam zrezygnować dziś z polowania na nową tożsamość. Już więcej nie zobaczyłam tamtego złodzieja. Do Burlington dojechałam nocą. Od razu skierowałam się do motelu, wykorzystałam kartę Western Union i zameldowałam się jako Sonia Lubovich. Po podróży nie mogłam zasnąć. Leżałam z otwartymi oczami, przerabiając w myślach wciąż świeżą rozmowę z Ryanem.

W motelu znajdowała się sala konferencyjna, a w niej kserokopiarka i komputer. Zalogowałam się i utworzyłam profil na nazwisko Amelia Lightfoot, a następnie wysłałam do Laury Cartwright wiadomość składającą się z jednego słowa:

Blue?

Pięć minut później Laura Cartwright odpisała:

Czemu odzywasz się dopiero teraz?

Wymieniłyśmy kilka wiadomości, zanim Błękitnooka przysłała mi numer telefonu. *Musimy porozmawiać o interesach*, napisała.

Przyjrzałam się uważnie numerowi telefonu, który podała. Błękitnooka podobnie jak ja korzystała z telefonu na przedpłaconą kartę. Wróciłam do pokoju dwieście dziewięć i próbowałam odkryć, czy może to okazać się pewnego rodzaju zasadzką. Ostatnim razem, gdy sprawdzałam, co się dzieje, dowiedziałam się, że wyznaczono nagrodę w wysokości trzydziestu tysięcy dolarów dla osoby, dzięki której zostanie aresztowana. Jednak trudno mi było wyobrazić sobie Błękitnooką, która bawi się ze mną w kotka i myszkę, zwłaszcza że sama miałam na nią niezłego haka. Próbowałam zachować się racjonalnie, ale szczerze mówiąc, ciekawość zwyciężyła.

Wybrałam podany przez nią numer.

– Laura Cartwright – powiedziała, ale ten głos zdecydowanie należał do Błękitnookiej.

Z początku w ogóle się nie odezwałam. Nasłuchiwałam wszystkich odgłosów w tle, które mogły być podejrzane.

– To ty? – zapytała wreszcie.

– Tak – odpowiedziałam.

– Co powiesz? Jak ci posłużyła Debra Maze?

– Niezbyt dobrze, jeśli mam być szczerą.

– Przykro mi to słyszeć – odparła. – Może chcesz o tym porozmawiać?

– Wolałabym porozmawiać o Jacku Reedzie.

– Ach, o nim... – westchnęła ze znużeniem.

– On mnie wytropił, Blue. Napadł na mnie z bronią w ręku.

– Cholera. Bardzo cię przepraszam.

– Czy właśnie tak to sobie zaplanowałaś? Wiedziałaś, że może do tego dojść?

– Szczerze mówiąc, rozważałam taki scenariusz, ale wydawał mi się mało prawdopodobny.

– A gdyby on mnie zabił? – warknęłam.

– Ale nie zabił, mam rację? – Błękitnooka czekała spokojnie, aż jakieś pytanie będzie warte odpowiedzi.

– Nie, na szczęście mu się nie udało.

– Czy opowiedziałaś mu o czymś? – zainteresowała się.

Mogłam przysiąc, że wyczuwam w jej tonie lekki niepokój. Zapragnęłam, żeby jeszcze przez chwilę nie czuła się zbyt pewna siebie.

– Opowiedziałam mu o *wszystkim* – odparłam.

Na moment zamilkła, ale zaraz odzyskała głos.

– Rozumiem. On potrafi być bardzo przekonujący. Ale ja już nie występuję jako Amelia Keen, więc to raczej nieprawdopodobne, żeby udało mu się mnie wytropić.

– Ja także uważam, że to zupełnie niemożliwe – przytaknęłam.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo go zabiłam.

– Jak? – zawołała.

Mogłabym przysiąc, że nigdy nie słyszałam, żeby w jednym słowie mieściło się tyle radości.

- Z rewolweru, który mi podarowałaś.
- Jak wspaniale! Wiesz, to był *jego* rewolwer... Czy postarałaś się, żeby to wyglądało na samobójstwo?
- Niestety... Gorzej, jestem całkiem pewna, że to wyglądało na zwykłe, najzwyklejsze morderstwo.
- Opowiedz mi o wszystkim i proszę, nie pomijaj nawet najdrobniejszego szczegółu!
- Już wystarczająco dużo powiedziałam. Teraz twoja kolej.
- Co chciałabyś wiedzieć? – spytała Błękitnooka.
- Zacznijmy od tego, kim był ten gość, którego pochowałyśmy w parku?
- Jeszcze się nie domyśliłaś? – spytała z rozczarowaniem.
- Nie. Może będziesz uprzejma mnie oświecić?
- Lester Cartwright. Mąż Laury, nieutulony w żalu wdowiec.
- Zaczekaj! Więc zamordowałaś męża Laury?! Tego chłopaka, którego widziałyśmy w domu pogrzebowym?
- Wolałabym, żebyś mówiła, że on nas opuścił.
- Czemu?
- Sama powiedziałaś, że on ją zabił. Nie pamiętasz, jak rozmawiałyśmy na ten temat?
- W ogóle nie przypominam sobie, żebyśmy mówiły, że należy go zabić.
- Czy zawsze muszę uzgadniać z tobą wszystkie szczegóły? – spytała.
- Nie zawsze. Ale byłabym szczęśliwa, gdybyś zechciała wyjaśnić, co robisz w moim rodzinnym mieście.
- Piszę książkę o morderstwie Melindy Lyons. Była superdziewczyną, mam rację?
- Owszem.
- Rozumiem, dlaczego byłaś o nią tak wściekle zazdrosna.
- Wcale nie byłam zazdrosna.
- Byłaś, tak troszeczkę... Muszę już lecieć. Za piętnaście minut mam wywiad.

– Nikt nie będzie z tobą rozmawiał, Blue.

– Twoja matka już ze mną rozmawiała. Prawdę mówiąc, mam na nagraniu coś w rodzaju spowiedzi. Chociaż wątpię, czy w sądzie to mogłoby zostać uznane za dowód. Bo ona była mocno nietrzeźwa.

– Słyszałam, że przestała pić.

– Przestała. Ale musiałam trochę w nią wlać, żeby zaczęła gadać.

– Blue, czemu to wszystko robisz? Po co?

– Po prostu staram się oczyścić twoje imię – odpowiedziała spokojnie.

– Na razie wygląda raczej na to, że usilnie próbujesz mnie wkopać.

– Nie rozumiesz, jakie są moje motywacje. Jestem ci to winna, zważywszy na to, ile dla mnie zrobiłaś. Mam zamiar wszystko naprawić. Uwierz mi, Nora.

Przeszył mnie dreszcz tak zimny, że poczułam się jak uwięziona w bryle lodu. Po raz pierwszy od dziesięciu lat ktoś nazwał mnie moim prawdziwym imieniem.

Rozdział dwudziesty szósty

Wszelkie moralne przesłanki, przy których obstawała Błękitnooka, jakoś nie trafiły mi do przekonania. O ile wiedziałam, sama wybrała taki, a nie inny sposób na życie; nikt jej do tego nie przymuszał. Byłam świadkiem, jak potrafi być nieczuła, jednak jakaś część mnie wierzyła w jej lojalność i w to, że naprawdę stara się oczyścić moje imię.

Kiedy w Austin rozchodziły się nasze drogi i kiedy odjeżdżałam z jej rewolwerem w schowku na rękawiczki oraz jej dowodem tożsamości w torebce, ona już kalkulowała, jaki los może mnie czekać, gdy zacznę żyć pod nazwiskiem Debry Maze. Wiedziała, że Jack może mnie wyśledzić. Być może nawet podsunęła mu wskazówki, gdzie powinien szukać. Wiedziała, że on porzuci swoją grę, gdy zobaczy mnie zamiast niej. Bez wahania podjęła ryzyko. Nie mogła mieć pewności, czy zdołam go zastrzelić, czy też on zabije mnie. Pewnie uznała, że oboje z Jackiem mamy równe szanse, żeby ocalić skórę. Chętnie postawiła na szali moje życie, ale teraz uznała, że jest moją dłużniczką i ten dług Błękitnookiej mógł okazać się moją jedyną szansą na ratunek.

Zastanawiałam się, jaka ona była kiedyś, jeszcze zanim to wszystko się wydarzyło. Czy jej palec wskazujący równie szybko naciskał spust rewolweru na początku okresu ucieczki jak później? Za nic nie chciałam skończyć tak jak ona, ale widziałam, że moja sytuacja życiowa jest jak siekiera, która kolejnymi uderzeniami stopniowo niszczy wizerunek przyzwoitej, uczciwej obywatelki, którą niegdyś byłam. Teraz byłam zdolna do czynów, o które nigdy bym się nie podejrzewała w czasach młodości. Miałam wobec świata własny dług – dług, który czułam, że muszę spłacić, zanim będę mogła podjąć jakąkolwiek próbę rozpoczęcia wszystkiego od początku. Jako że moje zbrodnie uniemożliwiły mi wykorzystanie oficjalnej drogi, postanowiłam zmienić metodę działania.

Następnego dnia późnym rankiem wymeldowałam się z motelu

i pojechałam z powrotem do Saranac Lake, po drodze kupując butelkę bourbona oraz podpałkę w płynie. Sprawdziłam skrzynkę na listy przy Church Lane 333 – była nienaruszona. W czasie krótkiej podróży drogą dojazdową nie zauważyłam żadnych śladów, które świadczyłyby o tym, że Reginald lub ktoś inny zaglądał do chatki, odkąd wyjechałam.

Przyjęcie z okazji Święta Dziękczynienia urządziłam sobie w domku Reginalda Lee: składało się ono z rosołu z indyka z ryżem oraz pierożków z dynią, które wyjęłam z puszki. Wystarczyło kilka chluśnięć bourbona, żeby zmyć pajęczyny. To był jeden z najsmutniejszych dni, jakie pamiętałam, ale wciąż powtarzałam sobie, że przecież jestem w okresie przeistoczenia. Nie przypuszczałam, żeby Reggie mógł opuścić swoje gniazdko na dłuższy czas, ale doszłam do wniosku, że może lepiej będzie zachęcić go do szybszego powrotu.

Nie byłam pewna, czy on utrzymuje kontakty z sąsiadami, ale jeśli tak, to muszę jakoś dać im znać, że ktoś przebywa w jego domu. Rozpaliłam więc ogień w piecu i czekałam. Trzy godziny później ktoś załomotał do drzwi. Nie zareagowałam. Znowu rozległo się łomotanie, a chwilę później męski głos.

– Hej, Reggie! Reggie, jesteś tam?

Facet walił w drzwi jeszcze przez jakieś pięć czy dziesięć minut i już zaczęłam się denerwować, że być może ma przy sobie klucz, ale w końcu dał za wygraną. Spojrzałam na zegarek. Była trzecia trzydzieści cztery rano. Z pewnością Reggie nie mieszka dalej niż kilka godzin jazdy od swojego arsenału. Zabrałam się do roboty. Wpełzłam do piwnicy i wyciągnęłam z lodówki kilka worków z nawozem. Potem przyniosłam z grilla na tarasie z tyłu domu butlę z propanem i spuściłam ją po schodach na sam dół. Następnie wróciłam do salonu, żeby dorzucić do ognia parę kawałków drewna. Później założyłam na siebie trzy swetry, jedną z zimowych kurtek Reggiego, myckę i mitenki, a na to rękawiczki. Ukradłam z arsenału w piwnicy jeden rewolwer – nie sądziłam, że właściciel zauważy brak – i wepchnęłam go do kieszeni kurtki. Skulona przycupnęłam pod gankiem, jakby to był bunkier.

Godzinę i czterdzieści pięć minut później do moich uszu doleciał pomruk silnika pick-upa, który brnął po zaśnieżonej dróżce dojazdowej. Reggie zaparkował tuż obok mojego dżipa i sprawdził, co się dzieje na granicach

działki. Wcześniej wygasiałam w domu wszystkie światła; jedyny blask sączył się od paleniska. Zobaczyłam, jak Reggie ostrożnie wchodzi po schodach. Drzwi zostawiłam lekko uchylone. Zaskrzypiały boleśnie, kiedy powoli otworzył je na całą szerokość. Zdjęłam rękawiczki, zacisnęłam palce na broni i gdy tylko on wszedł do środka, ja cichutko wsunęłam się na ganek.

Włączył światło i od razu zobaczył, że kłapa do piwnicy jest otwarta na oścież.

– Psiakrew! – zaklął.

– Siadaj – zawołałam, kierując mu prosto w plecy lufę rewolweru. – Musimy porozmawiać.

Powoli odwrócił się i popatrzył na mnie. Miał brodę i długie brązowe włosy. Z wyglądu oceniałam go na jakieś czterdzieści pięć lat. Nosił flanelową koszulę, kurtkę myśliwską i uszatkę. Rewolwer w moim ręku najwyraźniej wcale go nie wystraszył, raczej wywołał w nim wściekłość.

– Do kurwy nędzy, kim ty jesteś?!

– Siadaj! – powtórzyłam.

Przysiadł na krawędzi swojego skrzypiącego, prostego tapczanu. Nie mógł oderwać wzroku od otwartego wjazdu do piwnicy.

– Skąd jesteś? – spytał. – FBI? Nie, jesteś pieruńsko wkurzająca, a oni tacy nie są. Więc co, DEA?

Pomyślałam, że lepiej nie odpowiadać.

– Reggie, może lepiej powiedz mi, co zamierzałeś zrobić z tym łatwopalnym materiałem, który zgromadziłeś w piwnicy?

– Z jakim łatwopalnym materiałem?

– Mówię o piętnastu workach nawozu z azotanem amonowym, który trzymasz w chłodni w piwnicy.

– Lubię prace w ogrodzie, a zbliża się wiosna.

– A te wszystkie pistolety i strzelby?

– No cóż, służą do polowania na jelenie.

– Raczej nie potrzeba broni półautomatycznej, żeby polować na jelenie – powiedziałam.

– Owszem, czasami taka się przydaje – odparł Reggie.

– Powiedz mi, co zamierzasz zrobić.

– Gówno ci powiem – warknął.

Niemal czułam gorąco bijące od przepełnionej wściekłości postaci. Reggie wbił we mnie nieruchome spojrzenie, spoglądając mi prosto w oczy, jakby chciał rzucić mi wyzwanie. Jakby zapomniał, że trzymam w ręku wymierzony w niego rewolwer. Wyjęłam z kieszeni komórkę i rzuciłam ją na tapczan obok Reggiego.

– Chcę, żebyś zadzwonił pod dziewięć dziewięć jeden i powiedział im, że masz w domu niebezpieczne chemikalia i że chcesz się ich pozbyć.

Popatrzył na mnie badawczo, a potem spojrział na telefon, ale nie wziął go do ręki.

– Dlaczego jeszcze nie wezwałaś posiłków? – spytał.

– Bo pomyślałam, że załatwimy to we własnym zakresie.

Sprawiał wrażenie zaskoczonego. Obrzucił spojrzeniem wewnątrz domu, zauważył w kącie worek śmieci, wypełniony pustymi puszkami.

– Mieszkasz tutaj? – zapytał.

– Weź ten telefon, Reggie.

Nawet nie drgnął.

– Ty jesteś nikim, zgadza się? – warknął.

No cóż, miał całkowitą rację.

– Jestem nikim – przytaknęłam.

Uśmiechnął się. Miał żółtawe zęby, pokryte szarym nalotem. Resztki przestradchu rozplynęły się bez śladu. Strzeliłam prosto w okno, żeby odwrócić jego uwagę, ale nawet nie drgnął, podczas gdy ja trzęsłam się jak galareta.

– A może zwyczajnie pójdziesz sobie stąd do diabła i tak zakończymy sprawę? – zaproponował, wstając z tapczanu.

Złapałam podpałkę w płynie i chlusnęłam nią na tapczan, potem zaś porwałam leżącą przy piecu zapalniczkę, żeby przytrzymać ją nad tapczanem.

– Dzwon – rozkazałam. – Dzwon albo spalę tę cholerną budę.

Bez wahania rzucił się w moją stronę. Postrzeliłam go w ramię. Zachwiał się, cofnął o kilka kroków i spojrzął na krwawiącą ranę. Nie zadałam sobie trudu, żeby ostrzec go ponownie. Kliknięciem odblokowałam zapalniczkę i po chwili tapczan stał w płomieniach, a gryzący dym wypełniał wnętrze domku. Widziałam, że Reggie zastanawia się, co robić, i postanowiłam pomóc mu w podjęciu właściwej decyzji.

– To już koniec, Reggie. Lepiej stąd uciekaj.

Wydawało się, że wszelka wola walki nagle go opuściła. Przez chwilę gapił się na ogień, a potem skinął głową, odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Szłam za nim, może odrobinę za blisko. Nagle odwrócił się na pięcie i walnął mnie wierzchem dłoni. Upadłam na podłogę, a wówczas on podskoczył, wymierzając mi solidnego kopniaka prosto w zębra.

Pociągnęłam za spust. Drugi pocisk trafił Reggiego prosto w brzuch. Najpierw sprawiał wrażenie zaskoczonego, potem cofnął się o kilka kroków i zwinął na podłodze, jęcząc z bólu. Oczy łzawiły mi od dymu i ognia, ale zdołałam podnieść się i ruszyć do drzwi. Reggie także próbował wstać, lecz bez powodzenia.

– Okaż mi litość – zawołał za mną.

– Czego chcesz? – spytałam, odwracając się ku niemu.

– Już jestem martwy. Strzel do mnie, tym razem jak należy. Jesteś mi to winna.

Pomyślałam, że chyba on ma rację i po raz ostatni podniosłam broń.

– Boże, wybacz mi – powiedział.

Pociągnęłam za spust. Pocisk trafił Reggiego w sam środek czoła. Głowa natychmiast opadła mu na bok, jakby zapadł w drzemkę, ja zaś wybiegłam na zewnątrz, chwytając głębokimi haustami świeże powietrze. Wskoczyłam za kierownicę dzipa, wycofałam się z podjazdu i z całej siły wdepnęłam pedał gazu, żeby jak najszybciej znaleźć się u wylotu drogi dojazdowej. Dopiero wtedy na moment zatrzymałam się, żeby spojrzeć we wsteczne lusterko. Maleński domek zamienił się w kulę ognia.

Wrzuciłam bieg i wyjechałam na główną drogę. Zdążyłam ujechać może pół kilometra, kiedy rozległ się gniewny grzmot, a potem po okolicy rozeszła

się seria niewielkich trzęsień ziemi. Zatrzymałam auto na poboczu i znowu spjrzałam we wsteczne lusterko. Dom Reggiego przestał istnieć, pozostał tylko ogień, jasny jak dzień. Dopiero wówczas dotarło do mnie, że sprawa zakończona. Wykorzystałam już przynajmniej osiem z moich dziewięciu żyć. Raczej nie pozostało mi zbyt wiele czasu na wolności, więc postanowiłam jeszcze jako wolna kobieta zobaczyć coś naprawdę pięknego.

Pojechałam na stację kolejową w Albany, zostawiłam samochód na parkingu z kluczykami w stacyjce i sprawdziłam rozkład jazdy. Tego wieczoru nie odjeżdżał już żaden pociąg. Kupiłam więc bilet na dziesiątą rano na Empire Service i zameldowałam się w tanim motelu.

Nie mogłam zasnąć. Przez siedem godzin gapiłam się na pokryty sztukaterią sufit i widziałam tam twarz Reginalda – najpierw pełną buntu, a potem rezygnacji.

Jeśli popełnisz morderstwo po raz pierwszy, zawsze możesz użyć nawet mało prawdopodobnego argumentu, że zrobiłeś to w obronie koniecznej. Zawsze możesz winić przypadek, twierdzić, że znalazłeś się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie i pod niewłaściwym nazwiskiem. Lecz gdy zabijesz kogoś kolejny raz, musisz zacząć zadawać sobie niewygodne pytania. Czy to naprawdę była obrona, czy raczej wybór stylu życia? Kiedy zabijasz inną ludzką istotę, za każdym razem mordujesz część siebie. Do tej chwili zawsze udawało mi się odnaleźć choćby skrawek dawnej mnie. Wiedziałam, kim w głębi serca jestem. Teraz to się zmieniło. Dziesięć lat spędziłam na ucieczce i w końcu okazało się, że potrafię z zimną krwią zamordować człowieka, o co tamci zawsze mnie posądzali. Wyrzuty sumienia będą dręczyć mnie do końca życia i już nigdy nie zdołam zamknąć oczu, nie widząc przed sobą twarzy Reginalda Lee.

Następnego ranka wsiadłam do pociągu zmierzającego do Niagara Falls. Przez całe sześć godzin gapiłam się na krajobraz, usilnie próbując zapomnieć, kim jestem i kim się stałam. Gdy dotarłam do motelu, szybko zameldowałam się pod niezawodnym, choć już przedawnionym nazwiskiem Soni Lubovich. Zostawiłam bagaże w pokoju i od razu ruszyłam spacerem w stronę wodospadów.

Odgłos spadającej wody całkiem mnie ogłuszył, unosząca się dookoła

wilgotna mgła sprawiła, że poczułam się oczyszczona. Wydawało się wprost nieprawdopodobne, żeby w obliczu tak potężnej siły i zniewalającego piękna myśleć o czymś złym. To mogłoby być tak samo dobre miejsce jak każde inne, żeby się poddać, ale jeszcze nie czułam się gotowa. Wyjęłam z kieszeni rewolwer i rzuciłam w wodospad. Jeśli to nie jest najlepszy sposób na pozbycie się broni, to doprawdy nie wiem, co mogłoby nim być.

Jak się okazało, większość turystów nie wybiera zimowej pory na odwiedzenie Niagary, więc miałam ten luksus, by spacerować samotnie wyłożonymi kamieniem uliczkami. Z żadnej z atrakcji, które widzieliście na filmach – przejażdżka stateczkiem „Maid of the Mist”, Jaskinia Wiatrów – w porze zimowej nie można było skorzystać. Pamiętałam je z dzieciństwa, kiedy razem z matką oglądałyśmy *Niagarę*. Mama uwielbiała Marylin Monroe. Nie miały ze sobą nic wspólnego, może poza nieszczęsną skłonnością do wybierania niewłaściwych mężczyzn. Mimo wszystko przyjazd tutaj, by zobaczyć olbrzymi zamarznięty wodospad, sprawił, że poczułam się jak zwykła turystka. Zostałam na zewnątrz tak długo, jak tylko zdołałam wytrzymać przenikliwe zimno, a potem powędrowałam z powrotem do miasteczka, znalazłam jakiś motel z barem i zamówiłam kawę po irlandzku, żeby rozgrzać zziębnięte ciało.

Starłam się siedzieć spokojnie i cieszyć rozkosznym ciepłem, które gorąca whisky rozlewała po moim gardle. Usiłowałam nie myśleć o tym, co przyniesie następny dzień, chociaż miałam z góry ustalony i bardzo konkretny plan. Z całych sił starałam się nie zwędzić portfela pewnej kobiecie, która usiłowała flirtować przy barze z jakimś facetem, podczas gdy on nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Dla niej wieczór miał się zakończyć podwójną przykrością, ale ja naprawdę musiałam to zrobić. Nieważne prawo jazdy Soni Lubovich mogło nie wystarczyć, żebym dojechała tam, dokąd musiałam dojechać. Flirtująca paniusia, która niebawem się ocknie, będąc sama, i w dodatku bez portfela, wyglądała zupełnie jak ja, więc doszłam do wniosku, że tylko to mnie teraz interesuje. Wyszłam z baru prosto w chłodne zimowe powietrze.

Huk wodospadu słyhać było nawet tutaj, w środku miasta. Otworzyłam skradziony portfel i wyjęłam dokumenty. Kobieta nazywała się Moira Daniels. Była ode mnie niższa o dwa centymetry, cięższa o dziesięć kilogramów, miała długie brązowe włosy i błękitne oczy. Nie zadałam sobie

trudu, by wypowiedzieć na głos to nazwisko ani przećwiczyć prezentację, albo wyczarować z niebytu kompletną osobowość. Moira była tylko dokumentem tożsamości, który był mi potrzebny do czasu, aż dotrę do celu.

W drodze powrotnej do hotelu zajrzałam do drogerii i wzięłam z półki jasną farbę do włosów, soczewki i nową szczoteczkę do zębów. W łazience ufarbowałam swoje krótkie brązowe włosy na kolor blond, ponieważ odkryłam, że im bardziej postarasz się podkreślić różnice między tobą a osobą na zdjęciu, tym bardziej wszyscy uważają, że to sprawa kosmetyków. Smród wybielacza snuł się po całym pokoju, drażniąc mój nos podczas snu. Rankiem wzięłam długi prysznic, raczej ostatni taki luksus na pewien czas. Kiedy spoglądałam w lustro, wciąż mogłam się rozpoznać, więc zanurzyłam te okropne błękitne soczewki w płynie dezynfekującym, a następnie spędziłam dobre pół godziny na wkładaniu ich do oczu. Zanim mi się to udało, dookoła powiek zrobiły mi się czerwone obwódki. Ale teraz zupełnie nie przypominałam siebie.

Spakowałam rzeczy i wymeldowałam się z motelu. Do Buffalo kursowała linia autobusowa, więc kupiłam bilet, żeby uniknąć dziesięciu godzin przerwy zanim rozpocznę właściwą podróż. Znalazłam kafejkę z widokiem na wodospad i na chwilę zrobiłam się niewidzialna, łykając jeden napój z kofeiną za drugim. Potem wyjęłam komórkę i wybrałam numer. Nikt nie odbierał, więc zostawiłam wiadomość na sekretarce.

– Już dłużej nie mogę. Nie obchodzi mnie, co oni ze mną zrobią. Po prostu chcę wrócić do domu. Chcę znowu być sobą.

Następnego dnia znalazłam się na pokładzie Lake Shore Limited. Siedziałam naprzeciwko jakiegoś starszego dżentelmena z widoczną jaskrą. Uśmiechnął się do cienia, który musiał widzieć zamiast mnie. Było coś uspokajającego w myśli, że nie jestem widoczna, choć tak naprawdę od długiego czasu nikt mnie nie widział.

– Dzień dobry – odezwał się starszy pan.

– Dzień dobry – odpowiedziałam.

– Jedzie pani do domu? – spytał.

– Tak – potwierdziłam.

– Dobrze jest wracać do domu.

Nie zadałam sobie trudu, żeby temu zaprzeczyć.

NORA GLASS

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozpoczynając pierwszy etap podróży do domu, postanowiłam zrzucić z siebie wszystkie pozostałe tożsamości. Teraz miałam zamiar być wyłącznie sobą. Problem w tym, że przez wiele lat starałam się zatrzeć pamięć o samej sobie i trochę trwało, zanim zdołałam przywrócić ją do życia.

Nora Glass. Takie imię i nazwisko znajdowały się na moim akcie urodzenia. Przyszłam na świat w Bilman w stanie Washington, piętnastego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku. Przez krótki czas miałam obydwoje rodziców. Naomi i Edwin Glassowie. Potem został mi tylko jeden rodzic, ponieważ mój ojciec popełnił samobójstwo. Powstało mnóstwo teorii, dlaczego tak się stało. Niektórzy sądzili, że odszedł, ponieważ nie potrafił zapewnić rodzinie utrzymania. Glassowie posiadali w Bilman sklep spożywczy, który istniał od czasów, kiedy do miasta przybyli pierwsi Glassowie, ale pod nadzorem mojego taty sklep podupadł. Inni uważali, że ojciec postanowił zniknąć, ponieważ jego żona miała romans. Ja myślę, że zrobił to wyłącznie dlatego, że był smutny.

W owym czasie moje dzieciństwo dalece odbiegało od normalności – nieżyjący tata, pijana, zaniedbująca dzieci matka. Z perspektywy czasu uważam, że to była najbardziej zwyczajna część mojego życia. W świetle obecnych wydarzeń łatwo mi było spoglądać przez różowe okulary na dawno minioną przeszłość. Wczesne wspomnienia zaczęły napływać, kiedy gapiłam się na przelatujący za oknem krajobraz Ohio. Odliczanie się zaczęło. Za pięćdziesiąt sześć godzin dotrę do domu.

Jako dziecko i jako nastolatka cieszyłam się wolnością, której potem nie było mi dane zaznać. Matka albo przebywała w pracy, albo piła w Sundowners, albo skacowana leżała w łóżku, z trudem dochodząc do

siebie.

Znalazłam miejsca, w które lubiałam chodzić, i sposoby, żeby jakoś wypełnić czas. Moją najlepszą przyjaciółką była Edie Parsons. Mieszkała po drugiej stronie miasta, w jednopiętrowym domu z czterema sypialniami, który przypominał domy z telewizyjnych seriali. Od mojego domu dzieliła go odległość pięciu kilometrów, które pokonywałam na rowerze, choć często zdarzały się noce, kiedy nie zadawałam sobie trudu, żeby wrócić do domu.

Na pierwszym roku studiów dla żartu dołączyłam do zespołu pływackiego, traktując to jako formę ucieczki. Edie zrobiła to samo na wyraźne żądanie rodziców, żeby uzupełnić aplikację do college'u. Szybko odkryłam, że mam talent do pływania. Styl dowolny i grzbietowy wydawały się stworzone specjalnie dla mnie. Należałam raczej do długodystansowców niż do sprinterów, zawsze na finiszu miałam zapas sił. Pewnego razu mój trener powiedział, że jego zdaniem moją mocną stroną jest silna psychika, nie zaś kondycja fizyczna. Wiedziałam, co miał na myśli. Widziałam, w jaki sposób przegrywała moja konkurencja. Codziennie przyglądałam się, jak Edie daje za wygraną. Nie zachowywała się tak na wykładach, lecz w basenie nienawidziła ciągłej walki o oddech. Mnie z kolei w ogóle nie przeszkadzało to uczucie, które pojawia się pod wodą, kiedy masz wrażenie, że lada chwila twoja klatka piersiowa eksploduje. Pod koniec roku Edie zrezygnowała z treningu i zaczęła spotykać się z pewnym chłopakiem z Everett. Jej dom przestał być moim azylem, więc zostawałam na basenie najdłużej jak się dało, później zaś jeździłam rowerem po miasteczku, aż przypadkowo spotkany patrol policji nie odsyłał mnie do domu.

Na wykładach radziłam sobie całkiem dobrze, ale to woda była wszystkim, co miałam. Pierwszy raz w życiu wydawało mi się, że mogę wybić się ponad przeciętność, może nawet osiągnąć mistrzostwo. Pierwszy raz odkryłam w sobie ambicję. A potem zakochałam się w Ryaniu Olivierze.

Teraz wybiegam za daleko.

Roland Olivier posiadał na własność większą część Bilman. Prowadził firmę budowlaną Olivier & Mead i właśnie tam jako recepcjonistka pracowała moja matka. Roland był także facetem, z którym sypiała. Miał dwóch synów, Logana i Ryana Olivierów. Znałam ich, odkąd sięgam pamięcią. Logan był rok starszy, kilka centymetrów wyższy i miał w sobie

blask, który trudno jest wyrazić słowami. Zmuszał cię, żebyś gapiła się na niego, nawet kiedy bardzo starałaś się tego nie robić. Jego uśmiech sprawiał piorunujące wrażenie, może dlatego, że Logan niezbyt często z niego rezygnował.

W moim wypadku nie chodziło wcale o wygląd Logana ani o łatwość, z jaką potrafił rzucić piłką futbolową. Raz, kiedy miałam jedenaście lat, zobaczyłam, jak Logan daje wycisk Mike'owi Milesowi, bo przyłapał go na wykpiwaniu miejscowego chłopca z zespołem Downa. Po tym wydarzeniu zaczęłam go uwielbiać. Wydawał się dobry i troskliwy. To taki wyświechtany frazes, ale kolana mi miękły, a język odmawiał posłuszeństwa, ilekroć Logan był gdzieś w pobliżu.

Jednak całe uwielbienie znikło bez śladu pewnego popołudnia, gdy poszłam za Loganem w las, aż do Waki Reservoir. Często go śledziłam, choć wstyd mi to przyznać. Dobrze pamiętam tamto popołudnie. Był gorący, parny dzień, jak czasem bywa w maju. Posuwałam się za Loganem jak prawdziwy szpieg, aż do miejsca zwanego Kocią Aleją, która swą nazwę zawdzięczała inwazji dzikich kotów.

Za każdym razem, kiedy on zerkał przez ramię, kucalam za krzakami. Nie miał pojęcia, że tam jestem. Nigdy się nie dowiedział, że go wówczas widziałam. Już po wszystkim strasznie się dziwił, co się zmieniło, dlaczego jestem jedyną osobą, która potrafi dostrzec, co kryje ten jego zewnętrzny blask. Po prostu. Jedynie ja widziałam, jak złapał bezdomnego kociaka i przetrącił mu kark. Przyglądając się temu, z początku myślałam, że pewnie jest jakieś wytłumaczenie. Może kot był chory i wymagał eutanazji? Jednak wyraz twarzy Logana przekonał mnie, że tak nie jest. Jemu po prostu sprawiło to przyjemność. Nie wspomniałam nikomu o tym incydencie, ale od tamtej pory trzymałam się z dala.

Ryan Olivier był całkiem innym człowiekiem. Był skromny i skryty. Uważnie obserwował ludzi, jakby próbował poznać ich prawdziwe charaktery. Czasami udawało mi się go przyłapać, jak gapi się na mnie, ale wówczas zawsze odwracał wzrok. Ryan nigdy dużo ze mną nie rozmawiał. Zresztą w ogóle nie rozmawiał z dziewczynami, które snuły się wokół starszego brata. Myślę, że czuł się zakłopotany.

Ryan był delikatniejszy niż Logan. Jeśli ktoś zadarł z Ryanem, Logan

zawsze się starał, by winowajca słono za to zapłacił. Między braćmi nie istniała żadna rywalizacja, po prostu Logan we wszystkim był lepszy – w szkole, w sporcie, w kontaktach męsko-damskich. Ryan już w dzieciństwie przekonał się, że współzawodnictwo z Loganem nie ma najmniejszego sensu. Nawiasem mówiąc, Logan nigdy nie starał się zwrócić uwagi na swoje sukcesy. Ciche zwycięstwa zupełnie mu wystarczały.

Pierwszy raz, kiedy ja i Ryan spędziliśmy ze sobą trochę czasu, zdarzył się w dziewiątej klasie. Byliśmy partnerami w laboratorium chemicznym. Zrobiliśmy baterię z cytryny i zapaliliśmy światełka na miniaturowej choince, używając gwoździ z cynku i miedzi jako przewodników prądu. Klasa była przyzwyczajona do okazałych eksperymentów, więc nikogo z wyjątkiem Ryana nie obchodził nasz niewielki sukces. Wciąż pamiętam jego głupkowaty uśmiech, kiedy nasza żaróweczka zamigotała.

Później, kiedy klasa wyruszyła na kajakową wycieczkę do Tacoma Narrows, znów stworzyliśmy parę. Wiosłując przez Puget Sound, słyszałam za plecami, jak Ryan powtarza wciąż moje imię, za każdym razem z inną modulacją, bo próbował akcentować różne sylaby.

– Nora... N-ora... No-RA... To dość kiepsko brzmi.

– Dobrze się czujesz, Ryan? – odkrzyknęłam.

– Moja babcia miała na imię Nora. Nazywaliśmy ją babcią Norą i dlatego dziwnie się czuję, kiedy cię tak nazywam. Masz jakieś drugie imię?

– Owszem. Jo – odpowiedziałam. – To skrót od Joseph. Tak miał na imię mój dziadek.

– Jo... Jo, co słyhać? Zobaczmy się później, Jo... – powiedział na głos, jakby chciał spróbować, jak to brzmi. – W porządku, to mi się podoba. Pasuje do ciebie. Będę cię nazywał Jo.

Wówczas spodobało mi się, że będę nazywana inaczej niż dotąd. Nawet nie pomyślałam, że nadejdzie dzień, kiedy zatęsknię za swoim dawnym imieniem.

– Jeśli o mnie chodzi, to może być – odparłam.

Dla nastoletnich mieszkańców Bilman zbiornik wodny był centrum życia towarzyskiego. W weekendy można tam było spotkać grupki podpitych studentów, wałęsających się po kamienistym brzegu Waki Reservoir

w kierunku polany zwanej Stonehenge ze względu na kilka niezwykle usytuowanych głazów. Zaczęłam uzupełniać szkolne treningi własnymi, odbywanymi w głębi naszego zbiornika.

Któregoś dnia na brzegu pojawił się Ryan. Spotkałam go, kiedy wygramoliłam się z wody.

– Co tutaj robisz? – spytałam.

– Chcę mieć pewność, że nie utoniesz.

– Spokojnie, nie utonę.

– Pewnie nie, ale mimo to nie powinnaś pływać bez nadzoru.

– Ach, więc właśnie to robisz? Pilnujesz mnie, kiedy pływam?

– Tak.

Ryan pilnował mnie także następnego dnia, i jeszcze następnego. Potem stało się to regułą. Czasami przyglądał się, jak pływam, a czasami w ogóle nie pływałam. Wtedy chodziliśmy na spacer Kocią Aleją albo zwyczajnie siadywaliśmy przy którymś z wielkich głazów, żeby zapalić trawkę. W końcu ludzie zaczęli o nas gadać, zaczęli zadawać pytania. Ja nigdy nie czułam potrzeby, żeby udzielić rzetelnej odpowiedzi. Nie wiedziałam, kim dla mnie jest Ryan. Po prostu był kimś, o kim wiedziałam, że jest, ponieważ zawsze był obok.

Nagle pewnego dnia się nie zjawił. Jak zwykle poszłam popływać, lecz gdy wynurzyłam się z wody, miałam wrażenie, jakbym trafiła na bezludną wyspę. Ryan nie pokazał się również następnego dnia. Zadzwoiłam więc do niego do domu, lecz jego matka powiedziała, że jest „nieosiągalny”. Trzeciego dnia, kiedy dotarłam nad wodę, zastałam tam Logana. Objął mnie ramieniem i zaczął mówić, starając się przybrać dobrotliwy ton starszego brata. Mówił coś, co zapamiętałam jedynie we fragmentach.

Jesteście z sobą zbyt blisko...

Chłopcy bywają różni...

On nie może z tobą chodzić...

Nie jesteś odpowiednią dziewczyną...

Spytałam Logana, dlaczego Ryan sam nie powiedział mi tego wszystkiego. Samotna łza spłynęła mi po policzku, zanim zdążyłam ją

powstrzymać.

– Bo on nie lubi, kiedy dziewczyny płaczą – odpowiedział Logan.

– A ty? – spytałam. – Ty lubisz?

Miał minę, jakby rzeczywiście mój płacz sprawiał mu przyjemność.

Po tamtym dniu trzymałam się z dala od Ryana, nawet kiedy on próbował się do mnie zbliżyć. Któregoś dnia zdobył się na odwagę, żeby zapytać, co się stało. Poprosił, żebyśmy umówili się nad wodą. Moja odpowiedź brzmiała zawsze tak samo: nie, nie ma mowy. Nie wdawałam się w dyskusje. Ryan na jakiś czas dał za wygraną. Nawet przestał mi mówić „cześć”, kiedy mijaliśmy się na korytarzu. Czasami lubiłam udawać, że on jest niewidzialny albo że ja jestem.

Stypendium pływackie wydawało mi się jedyną możliwością, żeby wyrwać się z Bilman, czego pragnęłam z całych sił. W zespole było kilkoro przyzwoitych pływaków, ale żadne z nich nie stanowiło dla mnie konkurencji, żadne nie było wyzwaniem. Przynajmniej do chwili, gdy do naszego miasteczka przeprowadziła się Melinda Lyons.

Za pierwszym razem, gdy ściagałam się z tą nową dziewczyną, wyprzedziła mnie o całą długość ciała, co oznaczało, że bezpowrotnie skończyły się dni, kiedy do pływania podchodziłam na luzie. Ryan zniknął z mojego życia, więc spokojnie mogłam podwoić czas treningów. Następnym razem, gdy spotkałam się z Melindą na torze, pokonała mnie o włos. Zostałyśmy serdecznymi przyjaciółkami.

W owym czasie większość wieczorów spędzałam w domu państwa Lyonsów. Melinda miała starszego brata, Jasona. Którejś nocy nie mogłam zasnąć, więc wymknęłam się na ganek, żeby zapalić papierosa. Po chwili zjawił się tam Jason i mi go odebrał.

Pokazał mi kilka gwiazdozbiorów. Udawałam, że dostrzegam wzory, które jego zdaniem istniały na niebie, a gdy zorientował się, że drzę z zimna, otoczył mnie ramieniem. Zanim zdążyłam zdecydować, co w tej chwili czuję, pochylił się i pocałował mnie. To było całkiem miłe. Miłe i bezproblemowe. Tak wyglądał mój pierwszy prawdziwy pocałunek. Myślałam, że może powinnam czuć coś więcej, ale doszłam do wniosku, że może nie należę do

dziewczyn obdarzonych jakąś specjalną wrażliwością. Pewnie musiałam stworzyć przeciwwagę dla mojej matki, która potrafiła zapalać miłością do manekina.

Przez trzy miesiące zakradałam się nocami do pokoju Jasona, udając, że czuję więcej, niż w rzeczywistości czułam. Po kilku tygodniach Jason był pewien, że jesteśmy parą. Wszyscy w szkole także uważali, że między nami coś zaiskrzyło. Ja z kolei w ogóle nic nie myślałam.

Któregoś razu, gdy skończyłam trening w Waki Reservoir, nad wodą czekał na mnie Ryan. Gdy wygramoliłam się na brzeg, podał mi mój stary plażowy ręcznik i najwyraźniej chciał coś powiedzieć. Zawsze wiedziałam, kiedy w jego głowie kłębi się nadmiar myśli. Kilka razy usiłował rozpocząć zdanie, ale się wycofywał, jakby nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

- Co jest? – spytałam z niecierpliwością.
- Czy ty go kochasz? – wyrzucił bez tchu.
- Kogo?
- Jasona.
- A co cię to obchodzi?
- Obchodzi.
- Sam odszedłeś.
- Zmusili mnie, żebym trzymał się od ciebie z daleka – powiedział.
- Dlaczego?
- Sam nie wiem.
- Owszem, wiesz – odparłam, choć wcale nie byłam tego całkiem pewna.

Przypuszczalnie chodziło o reputację mojej matki i może o samobójczą śmierć ojca. Albo o stary czterdziestodwucalowy telewizor, który stał w naszym domu.

- Czy to robi ci jakąś różnicę? – spytał.
- To ty wysłałeś Logana tamtego dnia, żeby przekazał mi, że ze mną zrywasz?
- Co takiego? – zdziwił się.
- Nie wiesz, o czym mówię?

Nie wiedział.

– Strasznie żałuję... – zaczął.

– Czego żałujesz?

– Że jestem takim cholernym tchórzem – rzucił.

– No cóż, miło było z tobą pogadać.

Zrobiłam krok, żeby odejść, ale Ryan stanął mi na drodze. Położył mi ręce na ramionach, pochylił się i pocałował mnie. Ten pocałunek różnił się od pocałunków Jasona, lecz mimo to odepchnęłam Ryana. Może dlatego, że coś poczułam, a może po prostu bałam się, że jednak pod jakimś względem jestem podobna do swojej matki. Zaczęłam się ubierać.

– Jo, tęsknię za tobą – powiedział.

– Za czym tęsknisz? – prychnęłam, narzucając bluzę na strój do pływania i wpychając wilgotne stopy w tenisówki.

– Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

– Nie całuje się najlepszego przyjaciela – odparłam i podniosłam plecak, żeby odejść.

– Czasami tak. – Ryan zastąpił mi drogę.

Znowu mnie pocałował. Tym razem ten pocałunek *był* inny. Czułam zawrót głowy, falę ciepła i przestrasz, bo przyszło mi do głowy, że może to być podstęp. Może Logan czai się gdzieś za krzakiem i dopinguje brata, żeby spróbował mnie zdobyć?

– Muszę iść – wykrztusiłam i ruszyłam przed siebie Kocią Aleją, przypominając sobie tamten dzień i wyraz twarzy Logana.

Ryan poszedł za mną.

– Czyli wcale za mną nie tęskniłaś? – zapytał.

– Może trochę.

– Chcę być z tobą – powiedział.

– Oni ci na to nie pozwolą. Pamiętasz?

– Mamy szesnaście lat. Tylko przez dwa lata będziemy musieli się ukrywać.

Następnego dnia zerwałam z Jasonem.

Przez prawie dwa lata ja i Ryan ukrywaliśmy nasz związek, jak dwoje uwikłanych w małżeństwa ludzi, którzy nawiązali skandaliczny romans. Przez większość dni spotykaliśmy się popołudniami w lesie przy Stonehenge, zawsze mając w pogotowiu solidne alibi. Czasami wypuszczaliśmy się do sąsiedniego miasteczka, parkowaliśmy w jakimś zacisznym miejscu i uprawialiśmy seks na tylnym siedzeniu auta. Z biegiem czasu nabraliśmy w tym takiej wprawy, że Ryan żartował, że powinniśmy napisać podręcznik o pieprzeniu się w samochodzie. Kiedy pogoda pozwalała, rozkładaliśmy w lesie koc, a po wszystkim sprawdzaliśmy, czy któreś z nas nie złapało kleszcza. Kilka razy Ryan szarpnął się na pokój w motelu. W te noce rozmyślaliśmy, jak może wyglądać nasza przyszłość. Nie potrafiłam sobie wyobrazić przyszłości bez Ryana. Nawet kiedy wydarzyło się to, co się wydarzyło, kiedy stałam się kimś całkiem innym, wciąż trzymałam się kurczowo nadziei, że może pewnego dnia on będzie moją przyszłością.

Kilka razy zostaliśmy przyłapani i w końcu spotkała nas surowa kara. Ryan stracił samochód, który został sprzedany, więc odtąd musiał korzystać z uprzejmości brata albo przyjaciół. Moja matka raz czy dwa próbowała mnie uziemić, ale zawsze zbyt szybko traciła przytomność, żeby wyegzekwować swoje postanowienia.

Logan zwrócił uwagę na Melinę na jakimś spotkaniu w klubie pływackim. Tak naprawdę wtedy ją zauważył. Podczas imprezy tego samego dnia wieczorem postawił jej piwo i poprosił, żeby poszła z nim na spacer. Takie zaproszenia rzadko spotykały się z odmową, lecz tym razem odmowa stała się faktem. Następnego dnia w szkole czekał na nią przy szafce w szatni i znowu zaprosił, a ona znowu odmówiła. Nie dawał za wygraną, posuwając się do zachowania, które w przeszłości nigdy mu się nie zdarzało. Przynosił kwiaty, zostawiał czułe liściki, czekał po treningach z kubkiem gorącego kakao. Zdecydowana postawa Melindy zaczęła słabnąć. Być może sądziła, że właśnie ona jest tą kobietą, która może okiełznać Logana.

Którejś nocy pojechali do kina samochodowego do Everett i Logan uważał, że Melinda pozwoli mu przynajmniej na intymne pieszczoty, bo większość dziewczyn godziła się na to już na pierwszej randce. Rzadko

zdarzało się, żeby musiał czekać na drugie spotkanie. Jednak Melinda pozwoliła tylko na pocałunek i na nic więcej.

Po tym wieczorze Logan nie potrafił myśleć o żadnej dziewczynie, tylko o niej.

Melinda zgodziła się na drugą randkę, potem na trzecią. Poradziłam jej, żeby była ostrożna. Powiedziałam jej także o tym, co widziałam w Kocie Alei tamtego pamiętnego popołudnia, ale Melinda odparła, że na pewno jest jakieś logiczne wytłumaczenie postępowania Logana. Nie zerwała z nim. Nie wtedy.

Miesiąc później, kiedy ich związek nieco okrzepł, Melinda miała okazję ujrzeć inne oblicze swojego chłopaka – to, o którym jej mówiłam. Logan przyłapał ją na rozmowie z Benem, kolegą, z którym chodziła na lekcje francuskiego. Rozmawiali w obcym języku i Logan doszedł do wniosku, że Ben podrywa jego dziewczynę.

Kiedy zajęcia w szkole się skończyły, Logan złamał Benowi nos. Melinda pomyślała, że jej nos może być następny i jeszcze tego samego wieczoru zerwała z Loganem. Szybko znalazła następnego chłopaka. Nazywał się Hank Garner. Słyszałam, że był świetny z chemii, że chodził do college'u i że był dżentelmenem. Wiedział, że należy przytrzymać kobiecie drzwi i na ulicy zawsze szedł po właściwej stronie. Melinda zwracała uwagę na takie rzeczy; mnie w ogóle to nie obchodziło. Wszystko, co powinniście wiedzieć, to że Melinda ruszyła przed siebie, Logan zaś tkwił w miejscu. Skończył szkołę i został w Bilman na następny rok, załatwiając różne dziwne sprawy w firmie ojca i obserwując Melinę.

Trwał ostatni rok szkoły i powoli zaczynaliśmy snuć jakieś plany. Ryan kończył osiemnaście lat w styczniu, ja w marcu. On złożył aplikacje do kilku college'ów na wschodzie, ja zaś wciąż miałam nadzieję, że otrzymam stypendium sportowe dla pływaka.

Któregoś wieczoru, po stanowych zawodach pływackich w stylu dowolnym, na których Melinda zdobyła pierwsze miejsce, a ja drugie, postanowiliśmy uczcić zwycięstwo, robiąc sobie tatuaże. Melinda wybrała delfina, ja zaś zdecydowałam się na chiński symbol oznaczający nicość. Nadal po szkole chodziliśmy na treningi, lecz coraz częściej zdarzało mi się

je opuszczać. Podczas gdy Melinda trzymała się wyznaczonego celu, którym było uzyskanie stypendium sportowego, ja skoncentrowałam się na innych sprawach. Razem z Ryanem mieliśmy pewne plany. Mnóstwo młodych dziewcząt popełnia ten błąd – ztracają się całkiem w miłości do chłopaka – jednak wątpię, czy którakolwiek zapłaciła za to tak wysoką cenę jak ja.

„Następna stacja: Chicago”.

Czekała mnie czterogodzinna przerwa w podróży. W toalecie spojrzałam w lustro na własne odbicie oświetlone bezlitosnym blaskiem fluorescencyjnych lamp. Nikt, kto widział dawne zdjęcie Nory Glass, nie pomyślałby, że ona i ja to jedna i ta sama osoba. Może pewnego dnia będę mogła spojrzeć w lustro i rozpoznać w nim samą siebie?

Wstąpiłam do baru na drinka. Nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Usiadłam przy barze i zamówiłam piwo. Właśnie nadawano wiadomości, ale w telewizorze był wyłączony dźwięk. Gapiłam się bezmyślnie na raporty o korkach i prognozy pogody. Nagle ujrzałam znajomą twarz. Ujęcie zostało wykonane przed jakimś posterunkiem policji. Kobieta była wyniszczona, a nagą, pozbawioną włosów głowę ukrywała pod szalem. Wyglądała, jakby śmierć właśnie pukała do jej drzwi, ona zaś miała zamiar otworzyć.

Nagłówek na ekranie głosił: *Naomi Glass przyznaje się do defraudacji i utrudniania pracy wymiarowi sprawiedliwości.*

Z wrażenia wylałam drinka. Barman bez słowa sprzątnął blat i nalał mi następny kufel piwa.

– Czy mogłabym prosić o włączenie dźwięku? – spytałam.

Barman pstryknął pilotem akurat w momencie, gdy w telewizorze mignęło moje zdjęcie sprzed dziesięciu lat – uosobienie młodości i beztroski, z jasnymi, pełnymi nadziei oczami i tym głupkowatym uśmiechem typowym dla szkolnych fotografii.

Reporter zatrzymał się przed dobrze mi znanym domem rodziny Craftsmanów.

– „Pani Webber twierdzi, że jej córka, Nora Glass, stała się ofiarą przestępczego spisku wpływowej rodziny z jej rodzinnego miasta Bilman

w stanie Washington. Upiera się, że panna Glass jest niewinna wszystkich stawianych jej zarzutów. Władze dowiedziały się ostatnio, że Nora Glass przez osiem lat żyła pod nazwiskiem Tanyi Dubois. Tanya obecnie jest poszukiwana w związku z podejrzaną śmiercią jej męża, Franka Dubois”.

Barman zapytał, czy chcę jeszcze jedno piwo. Patrzył mi prosto w oczy bez śladu podejrzliwości. Najwidoczniej mnie nie rozpoznał.

– Tak, poproszę – odpowiedziałam, wciąż nie mogąc oderwać wzroku od telewizora.

Szeryf Lars Hendricks z Bilman, Waszyngton, głosił nagłówek na ekranie. Nie był szeryfem, kiedy tam mieszkałam. Teraz stał na podwyższeniu przed posterunkiem policji i czytał z kartki.

„Noro Glass, jeśli nas słyszysz, proszę, wróć do domu. Mamy nowe ustalenia w twojej sprawie. Wydaje mi się, że nadszedł czas, żeby oddalić wszystkie oskarżenia”.

Znowu pojawił się widok domu Craftsmanów – mojego rodzinnego domu. Drzwi otworzyły się i na ganek wyszła moja matka, chudziutka i krucha jak laleczka z porcelany. Reporter zadał jakieś pytanie, a ona odpowiedziała. Nie zrozumiałam ani słowa, tak byłam ogłuszona jej widokiem po tylu latach. Zbyt wiele uczuć kłębiło się we mnie, walcząc o pierwszeństwo. Oczy zaszklily mi się łzami i zapiekły, podczas gdy reporter wycofał się, ustępując miejsca prezenterowi pogody. Barman uzupełnił zawartość mojego kufla i głową wskazał na telewizor.

– Słyszała pani, że ona podobno dziesięć lat żyła pod przybranym nazwiskiem? Jak pani sądzi, czy ta Tanya, czy też Nora, jest winna?

– Myślę, że coś tam musiała przeskrobać – odpowiedziałam ze spokojem.

Rozdział dwudziesty ósmy

Kupiłam bilet do Everett w stanie Washington, na ekspres Empire Builder. Jego trasa częściowo pokrywała się z trasą ekspedycji Lewisa i Clarka. Spojrzałam na zegarek. Za czterdzieści osiem godzin powinnam dotrzeć do domu.

Pokryte śniegiem szczyty gór sprawiały, że każde okno przypominało przemykającą przed oczami widokówkę. Próbowałam cieszyć się tym widokiem, lecz wspomnienia powróciły jak przytłaczająca fala. Widziałam przed sobą twarz mojej matki – nie tamtej kobiety z telewizyjnego wydania wiadomości, lecz matki, którą zapamiętałam z nocy, kiedy się żegnałyśmy. Była pijana, lecz mimo to trzeźwa. Jej oczy były szkliste, lecz całkiem przytomne. *Uprzedzałam cię, żebyś trzymała się z dala od tego chłopaka*, mówiła. Przypomniałam sobie smród farby do włosów, który kłuł mnie w nozdrza, kiedy matka drżącymi rękoma nakładała preparat. I pomyślałam, że żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła, gdybym uparcie nie trwała u boku Ryana.

Oparłam czoło o chłodną szybę okna. Przyjemnie chłodziła moją rozpaloną gniewem głowę. Pozwoliłam sobie wrócić pamięcią do tamtej nocy, do chwili kiedy stoczyłam batalię o całą moją przyszłość.

To zdarzyło się na zabawie po zakończeniu szkoły. Ryan i ja poszliśmy oddzielnie, ponieważ rodzina Olivierów trzymała go stale pod nadzorem. Przez cały wieczór zatańczyliśmy ze sobą tylko raz. Później grupka uczniów postanowiła się przebrać i spotkać przy Stonehenge. Mieliśmy tuzin lamp naftowych, dwie beczułki piwa i likier w butelce, która krążyła z rąk do rąk. Światło odbite od powierzchni zbiornika wywoływało wrażenie, że cała woda jest w ogniu. Byłam zupełnie szczęśliwa, w taki szczeniacki sposób, który zdarza się tylko bardzo młodym ludziom.

Pamiętam, że Logan pojawił się później. Załapał się na przejazdzkę

z kilkoma miejscowymi chłopakami, którzy co prawda skończyli szkołę kilka lat wcześniej, ale w weekendy nadal trzymali sztamę z uczniami, stawiając im drinki i czyhając na jakąś zdobycz. Pamiętam, że kątem oka dostrzegłam Logana, który pociągał łyk za łykiem ze swojej własnej butelki bourbona i jednocześnie wzrokiem przeczesywał cały teren w poszukiwaniu Melindy. I pamiętam, że Melinda mignęła mi w przelocie, kiedy razem z Hankiem zniknęła za potężnym gładem. Byli tam, a potem już ich nie było. Dowiedziałam się, że wyszli, kiedy nagle Logan zażądał ode mnie kluczyków do samochodu.

– Nie ma mowy. Namów na przejażdżkę któregoś z twoich koleśków z miasta.

– Dawaj mi kluczyki, albo powiem wszystkim, że widziałem, jak pieprzyliście się w lesie – odparł Logan.

– W porządku – zawołałam, podrywając się na równe nogi. – Ja prowadzę.

Razem z Ryanem pobiegliśmy w ślad za Loganem w kierunku polany, gdzie parkowały wszystkie auta, łącznie ze zdezelowanym datsunem z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, który był własnością mojej matki. Nagle Logan odwrócił się, wyrwał mi z ręki kluczyki i popędził przed siebie przez las.

Kiedy ja i Ryan zdołaliśmy go dogonić, stał jak posąg, wpatrując się w volvo należące do Hanka. Z wnętrza dobiegała muzyka z radia, a w przyćmionym świetle można było zobaczyć sylwetki Hanka i Melindy.

Alkohol rozwiązał mi język. Powiedziałam głośno wszystkie rzeczy, które miałam ochotę powiedzieć od czasu, gdy odkryłam, że Logan nie jest tak wspaniały jak wszyscy uważali.

– Daj sobie spokój – zawołałam. – Ona cię nie kocha. Nigdy cię nie pokocha. Nic tego nie zmieni, cokolwiek zrobisz.

– Zamknij się – warknął Logan.

– Nikt dobry, nikt przyzwoity nie zechce cię pokochać! Może przez chwilę uda ci się kogoś oszukać, ale potem każdy odkryje to, co masz w środku, co tak bardzo starasz się ukryć. Wszyscy mogą to zobaczyć, o ile tylko wystarczająco uważnie zechcą ci się przyglądać...

– Nora, przestań – odezwał się Ryan.

Ale ja nie przestałam.

– W środku jesteś trupem. Musisz znaleźć taką dziewczynę, która też jest martwa, bo inaczej...

Logan zacisnął palce na moim gardle. *Tak pewnie czują się ci, którzy toną*, zdążyłam pomyśleć. Ryan próbował odepchnąć ode mnie brata, ale Logan bez trudu powalił go na ziemię. Usłyszałam pomruk włączonego silnika i zaraz zamrugwały reflektory volvo. Logan zwolnił uścisk. Natychmiast zassałam powietrze, on zaś szarpnął drzwi auta należącego do mojej matki i zajął miejsce kierowcy.

Nie zastanawiałam się, co dalej. Nie miałam pojęcia, co Logan zamierza zrobić. Myślałam jedynie o tym, że matka mnie zabije, jeśli wrócę do domu bez samochodu. Pędem okrążyłam auto i usiadłam na fotelu pasażera, Ryan zaś wskoczył na tylne siedzenie.

Volvo wytoczyło się z dróżki dojazdowej na dwukierunkową wiejską drogę. Datsun wyrzucał spod kół chmury błota, usiłując nadążyć za volvo.

– Logan, co ty wyrabiasz? – zawołał Ryan.

Logan nie odpowiedział. Po prostu ścigał auto, którym Hank i Melinda jechali zasnutym mgłą, ciągnącym się przez trzy kilometry odcinkiem Reservoir Lane. Wcisnął gaz do dechy, aż znalazł się w odległości kilku stóp od zderzaka samochodu Hanka. Wtedy nacisnął klakson.

– Zwolnij – powiedziałam.

Logan nie odezwał się słowem.

– Lo, co ty robisz? – spytał Ryan.

Logan nadal nie odpowiadał.

– Zmusz go, żeby się zatrzymał – zwróciłam się do Ryana.

Logan stuknął w zderzak volvo, ja zaś poczułam, że za chwilę wydarzy się coś strasznego. Hank wyraźnie rozpędził auto, ale nie zdołał uciec. Musiał być przerażony, jak sądzę. Za to Logan zachował zimną krew.

Hank ostro zakręcił w prawo na Skyline Road, kierując się na północ w stronę Everett. Może postanowił jechać do domu. Logan nadal trzymał się tuż za nim. Gdy dotarli do Skyline Bridge, który przecina wąski jak wstążka przesmyk Moses Lake, Hank zwolnił. Skyline Bridge był wąskim mostem

o niskich barierkach, co skłaniało do zachowania ostrożności w każdych okolicznościach, lecz teraz wytracenie prędkości okazało się największym życiowym błędem Hanka.

Spojrzałam na Logana. Wbił wzrok w jadące przed nami auto i zacisnął szczęki tak mocno, że widziałam, jak pulsują.

– Przestań, proszę – odezwałam się błagalnym tonem, ale było już za późno.

Logan dodał gazu i z całej siły rąbnął datsunem w tylny lewy zderzak volvo.

Hank uderzył głową w kierownicę. Nawet nie miał szans, żeby zahamować. Volvo przeskoczyło przez barierkę i zanurkowało w mętnej wodzie. Logan nawet nie zdjął nogi z gazu ani nie odbił kierownicą. Nasze auto także runęło do jeziora, lądując tuż obok volvo.

Rąbnęłam głową o deskę rozdzielczą, lecz odzyskałam przytomność, gdy tylko lodowata woda zaczęła wdzierać się do środka. Nie widziałam Melindy ani Hanka. Nie widziałam nikogo poza Loganem, który odkręcił szybę w oknie i wypełził na zewnątrz, w toń jeziora.

Uwięziona w tonącym datsunie czułam kłujący ból na środku czoła. Sięgnęłam ręką do głowy i ujrzałam na dłoni krew. Na tylnym siedzeniu Ryan siedział bez ruchu, wciąż przypięty pasami, i gapił się przed siebie, sparaliżowany przerażeniem. Woda wpływała coraz szybciej, sięgała mu już do nosa. Odpięłam swój pas, jednocześnie łapiąc ostatni haust powietrza, a potem przeczółgałam się na tylne siedzenie i rozpięłam pas Ryana. Woda zakryła mu głowę i widziałam, jak ogarnia go panika.

Przerzuciłam przez ramię jego rękę, otworzyłam tylne drzwi i wyciągnęłam go z auta, mocno pracując nogami, dopóki nie wypłynęliśmy na powierzchnię. Trzymałam Ryana ponad lekko falującą powierzchnią, aż udało mu się złapać oddech. Popłynęliśmy do brzegu. Gdy dotarliśmy do kamienistej plaży, Ryan zaczął kasłać i krztusić się.

Upadłam na plecy i spojrzałam w górę. Pamiętam, że widziałam niebo i tysiące gwiazd. Potem ogarnęła mnie ciemność.

Obudziłam się w szpitalu. Lekarz albo pielęgniarka poinformowali, że

miałam wstrząs mózgu i że jeszcze jeden dzień muszę zostać na obserwacji. Moja mama siedziała przy łóżku, ale unikała spojrzenia mi prosto w oczy. Kiedy spytałam, co się stało, odparła, że jej samochód spoczywa na dnie Moses Lake, a potem wyszła z sali, żeby przynieść sobie kawy.

Lekarz powiedział, że Ryan wciąż ma w płucach trochę płynu, Logan zaś doznał niegroźnej hipotermii. Obaj chłopcy Olivierów powinni wyjść ze szpitala za dzień albo dwa.

Poza matką odwiedziło mnie jedynie dwoje detektywów, kobieta i mężczyzna. Nie pamiętam, jak się nazywali. Spytałam, co się stało z Hankiem i Melindą. Pani detektyw odparła, że oboje nie żyją. Powiedziała to w dziwny sposób, bez odrobiny współczucia. Mężczyzna przekazał, że mam nigdzie nie wyjeżdżać, co może wydawać się dziwne w odniesieniu do dziewczyny, która leży w szpitalu.

Kiedy dowiedziałam się o wszystkim, płakałam przez godzinę. Nikt nie starał się mnie pocieszyć, czego wtedy nie zauważyłam.

Telefony, esemesy i prześladowania online zaczęły się zaraz po moim powrocie do domu. Czułam się jak duch. Moja matka ledwo raczyła na mnie spojrzeć albo coś powiedzieć. Ci sami detektywi przyszli do nas do domu, żeby spisać moje zeznanie. Wciąż dopytywali, czy jestem pewna, że było tak, a nie inaczej. W tym czasie matka wyszła na papierosa. Powiedziałam gliniarzom wszystko, co pamiętałam, a oni pokiwali głowami, zrobili notatki i powtórzyli, że mam nigdzie nie wyjeżdżać. Zastanawiałam się, dokąd ich zdaniem mogłabym się wybrać.

Ellen, koleżanka z zajęć matematyki, przysłała mi krótką wiadomość: *Dlaczego to zrobiłaś?*

Potem przyszedł esemes od Johna, z którym chodziłam na angielski: *Mam nadzieję, że dostaniesz karę śmierci.*

Suka.

Socjopatka.

Żebyś zdechła.

Morderczyni.

Zadzwoiłam do Ryana na komórkę. Nie odebrał. Wybrałam więc numer domowy i po chwili w słuchawce odezwała się matka Ryana, Sarah. Jej głos brzmiał tak, jakby była na silnych środkach uspokajających. Mamrotała coś niewyraźnie.

– Oon... nie mooże... roz... mawiać....

Spytałam, gdzie Ryan jest. Sarah wymruczała coś, czego nie udało mi się zrozumieć, potem przerwała połączenie. Zadzwoiłam do Edie. Nie odbierała, więc wstąpiłam do niej do domu. Poszłam wprost do okna jej sypialni i trzy razy cichutko zapukałam w szybę.

Edie otworzyła okno.

– Czego chcesz?

– Chcę się dowiedzieć, co tu się dzieje – odparłam.

– Naprawdę? Powinnaś wiedzieć lepiej niż ktokolwiek z nas – warknęła.

– Dlaczego ludzie nazywają mnie morderczynią?

– Bo nią jesteś.

– Nie rozumiem.

– Melinda i Hank nie żyją. Nikt ci nie powiedział?

– Wiedziałam o tym, ale przecież to Logan prowadził.

– Nie kłam. Ty prowadziłaś – odparła Edie.

Patrzyła na mnie tak, jakbym nie była człowiekiem. Potem zdołałam przyzwyczać się do takiego spojrzenia, ale wtedy mocno mnie to zabolowało.

Wróciłam do domu, do mojej matki, która siedziała na ganku, paląc papierosa za papierosem i pociągając łyk za łykiem z butelki taniego bourbona. Poprosiłam, żeby mi powiedziała, co zaszło.

– Pięć osób brało udział w tym wypadku. Przeżyły trzy. Z tych trojga dwie osoby twierdzą, że to ty siedziałaś za kierownicą.

– Ale przecież ja byłam pasażerem! – zawołałam.

– Mówiłam ci, żebyś trzymała się z daleka od tego chłopaka – burknęła w odpowiedzi.

Gdy zapadł mrok, pojechałam rowerem pod willę Olivierów. Był to pretensjonalny dwupiętrowy budynek z czterema greckimi kolumnami i kutą

bramą z żelaza, położony na działce o powierzchni ośmiu akrów. Któregoś dnia Ryan powiedział, że zwykle koszenie trawy zajmuje ogrodnikowi cały dzień. Okrążyłam dom, chowając się w cieniu, aż znalazłam drogę do okna Ryana. Rzuciłam kilka razy kamikami w szybę okna na drugim piętrze, tak jak robiłam już wiele razy. Ryan zawsze odpowiadał, ale nie tym razem.

– Dlaczego nie wejdiesz frontowymi drzwiami? – odezwał się z ganku głos pana Oliviera.

Pomyślałam, że powinnam uciekać, ale chyba nie było sensu. Posłusznie weszłam za panem Olivierem do środka. Przestronny hol był mniej więcej tak samo obszerny jak cały dom mojej matki. Pan Olivier minął klatkę schodową i wszedł prosto do salonu, gdzie na kanapie siedziała Sarah Olivier, a przy jej boku Logan i Ryan. W rękę trzymała oszronioną szklaneczkę z drinkiem.

Sarah wpatrywała się przed siebie, Ryan oglądał czubki własnych butów, i tylko Logan miał dość odwagi, żeby spojrzeć mi prosto w oczy. W jego wzroku nie było żalu ani wyrzutów sumienia, ani w ogóle czegokolwiek, czego można spodziewać się w takim momencie. Patrzył na mnie wyzywająco, jakbym zasłużyła na wszystko, co miało mnie spotkać.

– Usiądź, proszę – powiedział pan Olivier, wskazując miękkie obite skórą krzesło po przeciwnej stronie salonu niż ta, gdzie siedziała jego rodzina.

Przechadzał się długimi krokami tam i z powrotem, i jednocześnie zwracał się do mnie.

– O ile rozumiem, policja zjawi się jutro rano u ciebie w domu z nakazem aresztowania.

– Nakaz aresztowania? – zdziwiłam się. – Za co?

– Za przestępstwo drogowe, które miało na celu zamordowanie Melindy Lyons i Hanka Garnera.

Tak naprawdę wcale w to nie wierzyłam, dopóki Roland nie powiedział tego na głos. W płucach brakowało mi powietrza, jakbym właśnie skończyła wyścig.

– Przecież to Logan prowadził – wybełkotałam.

– Nie – odparł pan Olivier ze spokojem. – Ty prowadziłaś. Logan i Ryan byli pasażerami.

– Ryan... – powiedziałam, starając się wyrwać go z letargu. – Proszę...
Nawet na mnie nie spojrział.

– Ryan – powtórzyłam. – Powiedz im, kto siedział za kierownicą. Pamiętasz przecież, prawda?

Na moment podniósł wzrok.

– Ty – wyszeptał.

Z oczu popłynęły mi łzy, tak gorące, że prawie parzyły mi policzki. Ryan odwrócił wzrok, więc nie musiał na nie patrzeć.

– Logan, wiesz przecież, co się wydarzyło – powiedziałam.

– Zabiłaś ją. Zabiłaś moją dziewczynę – odparł.

Gdybym nie wiedziała, że to wierutne kłamstwo, byłabym skłonna mu uwierzyć.

– Chciałbym ci pomóc, oczywiście jeśli mi na to pozwolisz – odezwał się pan Olivier.

– Pomóc? Nie potrzebuję pańskiej pomocy!

Wstałam, lecz podłoga pod moimi stopami nie była tak stabilna jak być powinna. Chwiejnym krokiem podążyłam w stronę wyjścia, czując zawroty głowy i mdłości, i budzące się we mnie mordercze instynkty. Pan Olivier dogonił mnie w holu. Delikatnie wziął pod rękę i odezwał się gładkim, uspokajającym tonem. Podał mi chusteczkę, ale ja wolałam wytrzeć łzy rękawem.

– Odwiozę cię do domu i po drodze spokojnie porozmawiamy o tym, jakie masz możliwości – powiedział.

Wsiadłam do samochodu. Pamiętam, że kręciło mi się w głowie, a przed oczami przelatywały ciemne plamy. Podczas jazdy pan Olivier w praktyczny sposób przedstawił mi różne warianty.

– Możesz zostać i bronić się w sądzie. Prawdopodobnie zostaniesz oskarżona o morderstwo drugiego stopnia. W takich sprawach wyrok oznacza minimum dziesięć lat więzienia, ale ty może zdołasz wyjść po siedmiu...

- Nikogo nie zabiłam. To Logan ich zabił.
- Nora, posłuchaj, co mówię. Jechaliście samochodem twojej matki, a obydwaj żyjący świadkowie potwierdzają, że to ty prowadziłaś.
- Na litość boską, jaki mogłam mieć motyw?!
- Zazdrość. Byłaś zazdrosna o Melinę. We wszystkim cię przewyższała.
- Strasznie głupi motyw.
- Nie potrzeba motywu, kiedy mamy naocznych świadków.
- Dlaczego pan zawsze tak bardzo mnie nienawidził?
- To nieprawda – odparł Roland Olivier. Powiedział to w taki sposób, że prawie można mu było wierzyć. – Troszczę się o ciebie. Właśnie dlatego usiłuję ci pomóc.
- Ryan nie może mi tego zrobić.
- Czy sądzisz, że Ryan wybierze ciebie, stając przeciwko całej swojej rodzinie?
- Proszę się zatrzymać – wydawało mi się, że to powiedziałam.

Pan Olivier zatrzymał się na poboczu przy opuszczonym budynku szkoły średniej. Wskoczyłam z samochodu i zwymiotowałam na asfalt. Czekał cierpliwie, kiedy ja zgięta wpół szarpałam się w konwulsjach.

Kiedy moje ciało odmówiło dalszej współpracy, zatoczyłam się i na miękkich nogach ruszyłam w kierunku domu. Pan Olivier nic nie powiedział. Jechał w ślad za mną swoim mercedesem z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę, zatrzymując się co chwila, żeby na mnie poczekać.

W domu on i Naomi posadzili mnie na krześle, żeby przedyskutować pewien scenariusz. Jedyne, który wykluczał długotrwały pobyt za kratkami.

- Nie możesz iść do więzienia – oznajmił pan Olivier.
- Oczywiście, że nie! To Logan powinien tam wylądować!
- Ja i twoja matka sądzimy, że powinnaś uciekać. Mogę ci pomóc, ale musisz wyjechać jeszcze dziś w nocy. Ukryjemy cię w motelu na przedmieściach Tacomy. Za kilka dni wrócę tam z nowym prawem jazdy, numerem ubezpieczenia i aktem urodzenia. Będziesz mogła rozpocząć nowe życie. Będziesz mogła być tym, kim zechcesz.

– Ja chcę nadal być Norą Glass.

Pan Olivier wstał i zapiał guziki blezera.

– Do północy musisz podjąć decyzję. Zostawiam was, żebyście mogli porozmawiać w cztery oczy.

Sam otworzył sobie drzwi i wyszedł.

Popatrzyłam na matkę, szukając w jej oczach czegoś prawdziwego. Była wystarczająco trzeźwa, żebym mogła mieć nadzieję.

– Mamo – odezwałam się. – Oni przecież nie mogą mi tego zrobić, prawda?

Bez słowa poszła do mojego pokoju, a ja ruszyłam za nią.

– Spakowałam ci bagaż – powiedziała.

Na moim łóżku stała mała walizka.

– Nie... – jęknęłam.

Powiedziałam to całkiem bez przekonania. Wszystko się skończyło. Miałam trzy możliwości: uciekać i żyć jako wolny człowiek, iść do więzienia, albo umrzeć tu i teraz, tak jak zrobił mój tatuś. Wybrałam ucieczkę, ponieważ doszłam do wniosku, że daje mi największą szansę na coś w rodzaju życia. I rzeczywiście tak było. Prowadziłam coś w rodzaju życia.

Matka wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do łazienki. Jej dłoń kleiła się do mojej dłoni, zimna i całkiem obca. Nie potrafiłam przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni mnie dotykała. Teraz usiadła na brzegu wanny, wzięła z szuflady nożyczki i ostrzygła moje długie jasnobrązowe włosy w równą linię na wysokości podbródka, a następnie obcięła nieco nierówną grzywkę. Gdy spojrzałam w lustro, nie poznałam sama siebie – po raz pierwszy z wielu, które dopiero miały się wydarzyć.

Pamiętam, jak matka przygotowywała farbę do włosów i jak zorientowałam się, że ona podjęła decyzję już kilka godzin wcześniej. Pamiętam zapach chemikaliów i chłodne szczypanie na skórze głowy oraz nieprzyjemne drapanie w nosie.

Gdy czekałyśmy, aż włosy zmienią kolor, moja matka powiedziała mi tylko jedno.

– Wiem, że nigdy nie zrozumiesz, ale robię to dla twojego dobra.

Czarne włosy zupełnie do mnie nie pasowały. Od razu moja skóra nabrała żółtawego odcienia. Co prawda próżność była obecnie najmniejszym z moich zmartwień, ale taka nagła zmiana trochę zaboląła.

– Możesz potem to zmienić – powiedziała Naomi, widząc moją minę. – Tylko nigdy nie wracaj do fryzury, którą nosiłaś tutaj.

Pan Olivier pojawił się tuż przed północą. Matka próbowała mnie objąć na pożegnanie, lecz moje ręce wisiały bezwładnie wzdłuż ciała.

– Kocham cię, Nora – załkała.

– Pieprz się, mamó – warknęłam w odpowiedzi.

Pan Olivier wziął mój bagaż i zaprowadził mnie do samochodu. Od razu usadowiłam się na tylnym siedzeniu. Jechaliśmy przez dwie godziny, aż w końcu pan Olivier zatrzymał się na parkingu przed motelem 6 w Tacomie. Poszedł do recepcji, wynajął pokój, a następnie wrócił do samochodu.

Wręczył mi klucz, wyjął z bagażnika walizkę i podał dużą plastikową torbę.

– Pokój numer 3. Nigdzie nie wychodź. Jedzenia i picia powinno ci wystarczyć na dwa dni. Kiedy znowu przyjadę, zapukam do drzwi cztery razy.

Przez dwa dni czekałam w pokoju. Myślałam, czy nie będzie lepiej zgłosić się na policję i powiedzieć im całą prawdę, lecz gdy obejrzałam wieczorne wydanie wiadomości, stało się jasne, że już zostałam publicznie osądzona i skazana.

Zgodnie z umową pan Olivier wrócił po dwóch dniach i cztery razy zapukał do drzwi. Otworzyłam, a wtedy podał mi jakąś kopertę.

– Nazywasz się Tanya Pitts. Urodziłaś się trzeciego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku w Mesa w Arizonie, a twoimi rodzicami byli Bernard i Leona Pitts. Obydwoje już nie żyją. W kopercie masz dziesięć tysięcy dolarów gotówką, świadectwo urodzenia oraz kartę ubezpieczenia. Nie powinnaś mieć kłopotów ze znalezieniem zatrudnienia.

– Właściwie dokąd mam jechać? – spytałam.

– Jedź najdalej jak zdołasz i nigdy tutaj nie wracaj.

Kiedy Empire Builder dotarł do Everett w stanie Waszyngton, zaczęłam zastanawiać się, czy nie lepiej byłoby od razu przesiąść się do pociągu zmierzającego na wschód. Po odświeżeniu wspomnień z mojego dawnego życia, zwłaszcza z końcowego etapu, już nie byłam taka pewna, czy powrót do domu jest najmądrzejszym rozwiązaniem. Całe dziesięć lat wytrwałam, uciekając, i równie dobrze mogłam uciekać przez następną dekadę. Jednak potem przypomniałam sobie wszystkie rzeczy, które musiałam zrobić, żeby pozostać wolną kobietą i doszłam do wniosku, że nie chcę dłużej żyć w taki sposób. Wsiadłam z pociągu, zostawiając w nim torbę z ciuchami ze sklepu z używaną odzieżą.

Kupiłam bilet na autobus do Bilman. Dwie godziny później, gdy autobus zatrzymał się w moim rodzinnym mieście, dziesięcioletnia podróż prawie dobiegła końca. Niespiesznym krokiem przeszłam trzy kilometry dzielące mnie od Main Street, a następnie weszłam po schodach z cegły na posterunek policji.

Człowiek siedzący za biurkiem podniósł głowę i obrzucił mnie zagadkowym spojrzeniem.

– W czym mogę pomóc? – spytał.

– Nazywam się Nora Glass. Przyszłam, żeby oddać się w ręce policji.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Dyżurny oficer obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem, westchnął ciężko jak znudzony nastolatek i podniósł słuchawkę telefonu.

– Szeryfie, w mieście pojawiła się następna Nora Glass – oznajmił.

Posłuchał, co tamten ma mu do powiedzenia, pokiwał głową, kilka razy mruknął „uhu”, a następnie odłożył słuchawkę na widełki.

– Pani... – mruknął, zostawiając na formularzu wolne miejsce, jakbym przed chwilą nie podała mu nazwiska.

– Glass. Nora Glass. Przypuszczam, że macie nakaz aresztowania?

– Ludzie kochani, nigdy nie zrozumieję, o co wam chodzi – jęknął.

– Wasz obecny szeryf, jak on się nazywa? Lars Hendriks, zgadza się? Może niech pan poprosi tutaj szeryfa Hendriksa i z miejsca załatwimy tę sprawę.

– Niech pani posłucha, panno...

– Glass. Nazywam się Nora Jo Glass. Ta prawdziwa.

– Proszę posłuchać, panno Glass. Przechodziliśmy przez to już chyba tuzin razy, więc może oszczędzi mi pani sporządzania trzystronicowego raportu i zechce cieszyć się wolnością, o którą nasz kraj walczył przez stulecia, żeby ją pani zapewnić.

Mogłabym sterczeć tam dalej i kłócić się z tym człowiekiem, ale on wręczył mi przepustkę na wyjście z więzienia, więc pomyślałam, że powinnam ją wziąć. Ostatecznie byłam komuś dłużna wizytę. Powinnam zatroszczyć się o towarzyskie uprzejmości, zanim trafię za kratki.

Wędrowałam po Main Street, żeby przekonać się, jak wygląda miasto, lecz wszystko, co znałam, całkowicie się zmieniło. Jedyne budynki poczty stał tam gdzie dawniej. Należący do mojej rodziny stary sklep spożywczy, po krótkim okresie przejściowym jako sklep z używaną odzieżą, teraz był

ekskluzywnym marketem, gdzie co prawda wszystkie towary leżały w idealnym porządku, lecz ich ceny podniesiono o trzysta procent. Umierałam z głodu, więc kupiłam banana za całe dwa dolary. W miejscu jadłodajni, gdzie po treningu miałam zwyczaj wstępować na koktajl czekoladowy i burgera, teraz znajdowała się włoska restauracja. Sklep z artykułami żelaznymi Parsonsów podwoił rozmiary, a nad wejściem wisiał szyld *Art's Deli&Pizza*. W miejscu punktu naprawy obuwia pojawił się butik z ciuchami. Piwiarnia zyskała nowy, krzykliwie pretensjonalny napis, jakby właściciele zamierzali unikać dawnej klienteli.

Spokojnym krokiem szłam przez miasteczko tak jak dziesięć lat temu, tylko teraz nikt nie machał do mnie na powitanie ani nie wołał „cześć”. Rozpoznałam kilka twarzy, zmienionych przez upływ czasu i/albo przyrost wagi. Zobaczyłam panią Winslow, moją dawną nauczycielkę angielskiego, która robiła zakupy na fantazyjnie urządzonym targowisku. Prawdopodobnie była już na emeryturze. Zauważyłam także starą kierowniczkę urzędu pocztowego, która szła na spacer, z głową pochyloną nad chodzikiem. Ujrzałam Edie, biegnącą za małym chłopcem o jasnych włosach, najwyżej trzyletnim, który był kubek w kubek podobny do Logana. W pierwszej chwili chciałam podbiec do niej, uścisnąć ją na powitanie, przytulić jej dziecko, ale zaraz przypomniało mi się, jak patrzyła na mnie, kiedy widziałyśmy się po raz ostatni i nie chciałam ryzykować, że znów zobaczę na jej twarzy tamten nienawistny wyraz.

Zastanawiałam się, czy nie wejść do piwiarni albo na pocztę i pozwolić, żeby ludzie mnie rozpoznali, lecz wydawało mi się, że to nie jest dobry moment. Raczej nie byłam w nastroju do roztrząsania wątpliwości, czy jestem kobietą poszukiwaną przez policję, czy zwykłą oszustką.

Szłam więc przed siebie, aż dotarłam na Cypress Lane 241, czyli w miejsce, które niegdyś nazywałam domem. Tyle tylko, że to nie był mój dom. W mojej pamięci dom przypominał wydrukowany w kolorze sepia obraz budynku chylącego się ku upadkowi, z odpadającym tynkiem, połamanymi schodkami i ukruszonym tu i ówdzie gontem. Ten dom był w nieskazitelnym stanie. Świeżo skoszony trawnik mienił się soczystą zielenią, a jej zapach delikatnie wypełniał moje nozdrza. Ściany zostały odmalowane w jasnoniebieskim kolorze, z białymi obramowaniami dookoła okien. Drugi ze schodków prowadzących na ganek, który przez większą

część mojego życia był złamany, teraz wyglądał równie solidnie jak pozostałe. Okna lśniły czystością, ubytki gontu na dachu zostały uzupełnione. Na podwórku nie walały się żadne śmieci, czekające, aż ktoś je wyrzuci. Na pomalowanym niedawno ganku stały dwa bujane fotele, i to wszystko.

Nacisnęłam dzwonek. Otworzył mi jakiś mężczyzna w wieku sześćdziesięciu paru lat, z siwą brodą i niewielkim brzuszkiem, ubrany w jasnoniebieskie dżinsy i starannie wyprasowaną gładką koszulę.

Na mój widok jego oczy rozszerzyły się i wypełniły łzami. Słyszałam, jak gwałtownie wciąga do płuc powietrze. Cofnął się o krok, żeby złapać równowagę.

– Nora? – zapytał.

Nie miałam pojęcia, czy jeszcze kiedykolwiek przyzwyczaję się, że ktoś zwraca się do mnie moim dawnym imieniem. Nie pasowało do mnie, tak jak stary sweter; raczej przypominało sytuację, kiedy ktoś zakłada parę cudzych butów.

– Tak – odpowiedziałam.

Oczy mężczyzny zwęziły się w ciepłym, pełnym smutku uśmiechu, jakby rzeczywiście cieszył się, że mnie widzi. Wyciągnął do mnie rękę.

– Jestem Pete. Pete Owens.

– Cześć, Pete – odparłam.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Stał w drzwiach, nadal uśmiechnięty, lecz teraz sprawiał wrażenie smutnego i nieco zagubionego.

– Przepraszam – odezwał się po chwili. – Zapomniałem się. Proszę, wejdź do środka.

Odwrócił się i zniknął za progiem, ale ja nie ruszyłam się z miejsca.

– Pete – powiedziałam, stojąc na ganku. – Kim ty jesteś?

– O rany – mruknął i szurając szedł znowu w stronę wejścia. – Jestem narzeczonym twojej matki.

Znowu wyciągnął rękę i znowu ją uścisnęłam.

– Miło cię poznać, Pete.

Cofnął się o krok od drzwi i gestem zaprosił mnie do środka. Weszłam do mojego dawnego domu, ale czułam się tak, jakby to był mój dom w alternatywnym wszechświecie.

– Przypuszczam, że przyjechałaś na pogrzeb, tak?

Łzy, o których nigdy nie przypuszczałam, że uronię je z powodu mojej matki, teraz spływały mi po policzkach.

– Kiedy umarła? – wyszeptalam.

– Przed dwoma dniami.

Usiadłam na kanapie i postarałam się zatamować potok łez. Nie zamierzałam płakać z powodu osoby, która mnie zdradziła.

– Bardzo żałowała wszystkiego, co się wydarzyło. Kiedy zbliżał się koniec, starała się pogodzić ze wszystkimi – powiedział Pete.

– Słyszałam, że rozmawiała z policją.

– Złożyła oficjalne zeznanie. Powiedziała prawdę.

– Na łożu śmierci – mruknełam. – Kiedy już nie miała nic do stracenia.

– Napijesz się herbaty? Może kawy? – spytał Pete.

– Masz coś mocniejszego?

– Nie. To dom abstynentów.

Co za pech. Jedyne raz, kiedy potrzebowałam napić się drinka w moim rodzinnym domu, okazało się, że nie ma tu alkoholu.

– Dobrze, niech będzie herbata – powiedziałam.

– W porządku. Zaraz wracam. – Pete wycofał się do kuchni.

Oczekiwałam, że w końcu dopadnie mnie to uczucie, kiedy wspomnienia biorą górę, a całe twoje ciało przesuwają się ku przeszłości. *Ale ja przecież nigdy tak naprawdę tu nie mieszkałam, przyszło mi do głowy. Mogę więc zostać na trochę i nie bać się, że zaczną mnie dręczyć złe wspomnienia.*

Jednak później, gdy otworzyłam drzwi do mojej dawnej sypialni, wspomnienia wróciły ze zdwojoną siłą. Ta stara kołdra w kwiatki, której tak nie znośiłam... Na ścianach plakaty niesłuchanych od lat zespołów... Półka na książki, zmontowana przez ojca z desek i bloczków zwędzonych z wysypiska śmieci... Moje medale z zawodów pływackich, kurzące się na

ścianach... Ten pokój był taki sam jak przed laty, jak kapliczka poświęcona osobie, którą niegdyś byłam.

Szybko zamknęłam drzwi do przeszłości i usiadłam na kanapie należącej do Pete'a.

Przyniósł mi filiżankę herbaty.

– Ta pisarka już jest w drodze – powiedział. – Prosiła, żebym zadzwonił, kiedy tylko się zjawisz.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Pete poszedł otworzyć i po chwili Błękitnooka wkroczyła do domu mojego dzieciństwa. Wyglądała tak samo jak wcześniej, a jednak inaczej. Nosiła włosy krótko obcięte na pazia i okulary w czarnej oprawie, co do których byłam pewna, że ich nie potrzebuje. Przez ramię przewiesiła płócienną torbę, ciasno wypchaną kartkami papieru.

– Nora Glass, jak Bożę kocham – powiedziała z silnym południowym akcentem, przeciągając samogłoski. – Jestem Laura Cartwright. Piszę książkę opartą na twojej historii.

– Miło cię poznać, Laura – powiedziałam i wstałam z krzesła.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie, udając, że się nie znamy.

– Czy słyszałaś już nowiny?

– Jakie nowiny?

– Jesteś wolna.

– Jak to możliwe?

– Ryan złożył zeznanie. Tak samo jak wcześniej twoja matka. To wystarczyło, żeby przekonać prokuratora Jasona Lyonsa. Prawdę powiedziawszy, za parę minut mamy się spotkać z nim na posterunku policji. Mogę cię tam podwieźć, jeśli chcesz.

Wszystko wskazywało na to, że to zasadzka, ale Pete miał tak dobroduszną i szczerą minę, że pomyślałam, że być może to prawda.

– Mam nadzieję, że rozumiesz, ile zawdzięczasz tej pani – odezwał się do mnie. – To właśnie Laura przekonała twoją matkę, a potem Ryana, żeby świadczyli w twojej sprawie.

– Naprawdę? – spytałam zdumiona.

– Och, to nic wielkiego – odparła Błękitnooka. – Po prostu przemówiłam do ich poczucia honoru.

– No cóż, muszę znaleźć jakiś sposób, żeby ci się odwdzięczyć – powiedziałam.

– Myślę, że jesteśmy kwita – zauważyła.

Bez wahania przyznałam jej rację.

Szeryf Hendricks odwrócił się do Błękitnookiej.

– Więc to naprawdę ona?

We troje staliśmy w poczekalni posterunku policji, skrępowani niezręcznością sytuacji.

– Naprawdę, to Nora – odpowiedziałam za nią. – To ja jestem Nora.

– Tak jest – potwierdziła Błękitnooka.

– Ale przecież pani nigdy nie miała okazji poznać prawdziwej Nory, mam rację?

– Nie – przyznała. – Ale widziałam dziesiątki zdjęć, a poza tym ona ma nos taki sam jak jej matka.

Szeryf Hendricks obrzucił mnie trudnym do rozszyfrowania spojrzeniem, a następnie przemówił wolno i dobitnie, jakby angielski nie był moim ojczystym językiem.

– Proszę pozwolić, że coś wytłumaczę – oznajmił. – Przez ostatnie dziesięć lat mieliśmy tu dokładnie czternaście oszustek udających Norę Glass. Mniej więcej połowę można było wykluczyć na pierwszy rzut oka, bo jedna miała sześćdziesiąt lat z okładem, inna najwyraźniej była transwestytą. Dla policji za każdym razem to jest prawdziwe obciążenie, nie żaden żart. Poza tym to dość traumatyczne przeżycie dla Naomi, która za każdym razem musiała przyjeżdżać na posterunek, żeby potwierdzić albo zaprzeczyć, że dana osoba jest tym, za kogo się podaje.

– No cóż, teraz Naomi już nie żyje – zauważyłam.

– Jason Lyons wkrótce powinien tu być. Przypuszczam, że on może

potwierdzić pani tożsamość.

Przez całą godzinę siedziałam z Błękitnooką w pokoju przesłuchań, spoglądając w weneckie lustro.

– Mamy ładną pogodę – odezwała się Błękitnooka i głową wskazała na zamontowaną w narożniku kamerę. Najprawdopodobniej byłyśmy nagrywane.

Oficer policji, ten sam, który siedział przy biurku i kazał mi wyjść, teraz przyniósł nam po filiżance kawy.

– Pani wcale nie wygląda tak jak ona. Ani nie przypomina jej ze zdjęć, które widziałem. Dlatego panią stąd odesłałem.

– Ludzie się zmieniają – odpowiedziałam.

– Cóż, pani bardzo się zmieniła – rzucił na odchodne.

Kilka minut później do pokoju wkroczył Jason Lyons, a za nim szeryf Hendricks. Jason miał na sobie garnitur, który wyglądał na całkiem nowy, a pod pachą taszczył zniszczoną skórzaną teczkę. W niczym nie przypominał chłopaka, który zapisał się w mojej pamięci, a mimo to wciąż umiałam dostrzec w nim coś z tamtego chłopca. Nie sprawiał wrażenia kompletnie zagubionego, tak jak ja. Wyglądał jak prawdziwy prokurator i nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale to do niego pasowało. Trudno mi było pozbierać myśli przy tak wielkiej rozbieżności między przeszłością a teraźniejszością. Pamiętałam niezgrabne pocałunki Jasona, kiedy spotykaliśmy się w jego sypialni; teraz jego twarz wyrażała nieugiętość i pewność siebie.

– Czy to jest ona? – zapytał szeryf Hendricks.

– Cześć, Nora.

– Cześć, Jason.

– No, dobrze, że sprawa się wyjaśniła – powiedział szeryf. – W takim razie zostawiam was samych.

Hendricks wyszedł, a Jason usiadł po drugiej stronie biurka i otworzył teczkę. Spojrzał na Błękitnooką, milcząco prosząc ją, żeby także wyszła.

– Nora, kiedy skończycie, czekam na ciebie w barze – powiedziała. – Mam jeszcze kilka pytań, zanim skończę książkę.

– Zobaczymy się później.

Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, Jason od razu zwrócił się do mnie.

– Dlaczego w ogóle uciekłaś?

– Bo nie chciałam iść do więzienia za coś, czego nie zrobiłam... Bo miałam osiemnaście lat... Bo chciałam być wolna.

Jason podsunął mi jakiś dokument.

– To jest podpisane zeznanie Ryana Oliviera potwierdzające twoją wersję wydarzeń.

– Ciekawe, dlaczego to zrobił – zastanawiałam się.

– Zadzwoił do mnie wczoraj wieczorem. Powiedział, że masz zamiar wrócić do domu i że najwyższa pora, żeby powiedzieć prawdę. Dziś rano przyjąłem jego zeznanie. Odbyliśmy bardzo interesującą rozmowę.

Zanim zdążyłam zorientować się, co się święci, łzy płynęły mi ciurkiem po policzkach. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny wylałam więcej łez niż przez minione dziesięć lat.

– Strasznie mi przykro – załkałam.

Nic więcej nie zdołałam powiedzieć. Po raz pierwszy od lat pomyślałam o Melindzie. Nie o tym, co oznaczała dla mnie jej śmierć, ale o utraconym przedwcześnie życiu. Zaczęłam ucieczkę tak szybko po jej odejściu, że nawet nie miałam kiedy nad nią zapłakać. To, co ludzie o nas mówili, było zgodne z prawdą. Byłam o nią zazdrosna. Rzeczywiście była ode mnie lepsza – nie tylko jako pływaczka czy uczennica, ale jako człowiek. Gdyby jakimś cudem zamienić nasze losy, jestem pewna, że będąc na moim miejscu na pewno by nie uciekła.

– Dziękuję – powiedział Jason. – Pamiętam, że swego czasu byłyście dość blisko.

– Co teraz będzie? – zapytałam.

– Odstępujemy od wszelkich oskarżeń. Rozmawiałem już z moimi przełożonymi w Waterloo. Chcieliby, żebyś za parę tygodni wróciła do domu i odpowiedziała na kilka pytań. Ale nakaz już został wycofany. Jesteś zupełnie wolna i możesz robić, na co tylko masz ochotę.

Musiałam przyznać, że byłam trochę rozczarowana. Tyle czasu

poświęciłam na ucieczkę tylko po to, żeby teraz dowiedzieć się, że jestem wolna. Zupełnie jakbym harowała, żeby wziąć udział w walce o mistrzostwo, a potem mój przeciwnik zaliczył upadek. Wciąż chciałam walczyć. Tak długo żyłam z obawą, że moje perspektywy są równie niewyraźne jak liisia nora, że teraz nie byłam pewna, jak powinnam funkcjonować, kiedy prawdziwy świat stanął przede mną otworem.

– Co będzie z Loganem i panem Olivierem? – spytałam. – Czy zostaną aresztowani?

– Sprawdzamy tę dawną sprawę pod kątem fizycznych dowodów. Człowiek taki jak Roland Olivier ma na zawołanie tabuny najlepszych prawników. Nie mam zamiaru ich tu sprowadzać, dopóki sprawa nie zostanie domknięta.

– Czy troje świadków to dla ciebie nie jest wystarczająco dużo, żeby zamknąć śledztwo?

– Nigdy nie oceniaj zbyt nisko swoich przeciwników.

– Nie będę – odparłam.

– Jest jedna rzecz, której nie rozumiem. I która nie daje mi spokoju – powiedział Jason.

– Tak?

– Twoja matka. Dlaczego przez tyle lat niczego nie powiedziała?

Przez chwilę walczyłam z sobą, czy powinnam chronić pamięć mojej matki i pozostawić jej sekrety nietknięte. Jednak wokół nas narosło tyle kłamstw, że uważałam za stosowne powiedzieć prawdę. Nawiasem mówiąc, dzięki mojej matce spędziłam na wygnaniu całe dziesięć lat.

– Ona była zakochana w Rolandzie Olivierze – powiedziałam. – Mieli romans, odkąd sięgam pamięcią.

Jason milczał przez chwilę. Widziałam, jak w umyśle składa w całość fragmenty łamigłówki, tyle tylko, że wciąż brakowało mu jednego fragmentu.

– Rozumiem, że wolała wybrać jego niż ciebie? – zapytał, niezupełnie jeszcze gotów kupić moją teorię.

– Tak, wybrała jego.

– Moim zdaniem jest coś więcej – odparł Jason.

– Może – mruknęłam, choć doszłam do wniosku, że nie możemy być pewni.

– Przez ostatnie dziesięć lat prowadziłaś coś w rodzaju normalnego życia.

– Nawet nie wiesz, do jakiego stopnia.

Pożegnaliśmy się uściskiem, który był bardziej wymuszony niż serdeczny. Wychodząc z posterunku policji jako wolna osoba, pomyślałam, że powinnam czuć się inaczej, powinnam czuć się wyzwolona. Jednak prawdę powiedziawszy, bardziej czułam się jak oszustka, używając imienia, które tak długo nie było moje. Założyłam ciemne okulary i niespiesznym krokiem ruszyłam w stronę pubu Sundowners.

Błękitnooka siedziała przy stoliku w kącie sali. Machnęła do mnie z uroczym uśmiechem.

– Teraz powiedz mi wszystko – zażądała, jakbyśmy były dwiema nastolatkami, które spotkały się na niewinnym plotkowaniu.

Zauważyłam, że na serdecznym palcu nosi pierścionek z wielkim kamieniem.

– Wyszłaś za mąż?

– Tak, przed kilkoma miesiącami. Normalnie używam nazwiska Laura Bainbridge, ale doszłam do wniosku, że w karierze literackiej bardziej przydatne będzie moje panieńskie nazwisko.

– Szybka jesteś – zauważyłam.

– Faktycznie, zaloty poszły błyskawicznie, to muszę przyznać. No cóż, jego czas powoli dobiega końca...

– Jest chory albo coś w tym rodzaju?

– Nie, nic podobnego – odparła Błękitnooka. – Co pijesz? Dżin?

Uśmiechnęła się złośliwie, jakby wiedziała, że w moim wypadku wybór drinka to rodzaj przebrania.

– Poproszę whisky – powiedziałam.

Błękitnooka podeszła do baru, żeby przynieść nasze drinki. Popijając w jej towarzystwie, miałam wrażenie, że przeniosłam się z powrotem w przeszłość, tyle tylko, że uparcie nie chciała zrezygnować z południowego przeciągania

samogłosek, nieważne, ile razy prosiłam.

Wymieniłyśmy się wrażeniami z podróży i porównałyśmy uwagi, jak każda z nas poradziła sobie, będąc tą drugą. Błękitnooka jako Amelia Keen zdołała wycisnąć z Rolanda Oliviera jeszcze dwadzieścia tysięcy, zanim ostatecznie zamknął bank. Wtedy przeprowadziła się do Kolorado, gdzie poznała Eugene'a Bainbridge'a. Nie opowiadała zbyt szczegółowo o swoich zaręczynach, ja zaś nie pytałam. Czułam, że o pewnych rzeczach lepiej nie wiedzieć. Odpląciłam się jej opowiadaniem o moich pedagogicznych sukcesach w Recluse. Spodobał się jej mój pomysł na lekcje geografii prowadzone za pomocą map drogowych. Przelotnie zastanowiłam się, co porabia Andrew.

– Czy wiesz, że ja zawsze chciałam zostać pisarką? – powiedziała Błękitnooka. – Ty jesteś dla mnie jak amulet, który przyniósł mi szczęście.

Niestety, nie mogłam się jej odwdziaczyć tym samym, choć uczciwie muszę przyznać, że ten jeden raz rzeczywiście mi pomogła.

Zamówiłyśmy następną kolejkę. Błękitnooka wzniosła szklaneczkę w geście toastu.

– Za Naomi Glass, niech spoczywa w pokoju.

Mówiąc to, spojrzała mi prosto w oczy.

– Jaka ona była? – zapytałam.

– Była twoją matką. Powinnaś znać ją lepiej niż ja.

– Nie widziałam jej od dziesięciu lat. Powiedz mi, jaka była w swoich ostatnich dniach?

– Taka jak większość ludzi u kresu życia. Przerazona i pełna wyrzutów sumienia. Czyli mniej więcej taka jak ty przez cały czas.

Czułam, że każde jej słowo delikatnie kąsa moje sumienie. Nie mogłam na nią patrzeć. Miasteczko Bilman zrobiło ze mnie fałszywą kryminalistkę, ale to Błękitnooka sprawiła, że poczułam się tak, jakbym popełniła prawdziwą zbrodnię.

Uśmiechnęła się do mnie, ale nie w taki sposób jak większość ludzi, sprowokowanych przez czyjś śmiech, wybuch radości albo przyjemne wspomnienia. Błękitnooka uśmiechała się z satysfakcją. Wiedziała o mnie znacznie więcej niż przed pięcioma minutami. Spytała mnie, kiedy

postanowiłam wrócić do domu, a wówczas opowiedziałam jej o Reginaldzie Lee.

– Wysadziłaś cały dom?!

– Miałam do wyboru albo to, albo śmierć dziesiątków niewinnych ludzi.

Oczy Błękitnookiej rozbliły.

– Zrobiłaś wideo?

– Tej eksplozji?

– Tak.

– Nie, nie zrobiłam.

– Nawet zdjęcia? – blask w oczach nieco przygasł.

– Nie.

– No cóż, trudno... Nadal jestem z ciebie dumna.

– Co teraz masz zamiar zrobić, Blue? Jedziesz do domu?

– Na razie nie. Najpierw muszę dokończyć ostatni rozdział historii Nory Glass.

– Chyba nie mówisz poważnie – odparłam.

Okazało się, że mówiła.

Błękitnooka podrzuciła mnie z powrotem pod dom, w którym spędziłam dzieciństwo.

– To jak, zobaczymy się jutro?

Czas przestał mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Kiedy nie jesteś pewna, co przyniesie przyszłość, odruchowo starasz się trwać w teraźniejszości.

– Jutro? – zdziwiłam się.

– Na pogrzebie twojej matki.

– Racja – odparłam.

Dziwnie było znów zapukać do drzwi starego domu przy Cypress Lane dwieście czterdzieści jeden. Zastanawiałam się, czy klucz nadal leży

schowany pod sztucznym kamieniem.

Pete otworzył drzwi. Na jego ustach pojawił się nerwowy uśmiech.

– Witaj w domu – powiedział.

Przez tyle lat marzyłam, żeby usłyszeć te słowa, ale teraz ledwie mnie to obchodziło.

Pete przygotował na kolację potrawkę z mięsa i ziemniaków, którą zjedliśmy w niezręcznym milczeniu. Uroczyście wręczył mi kluczyki do dwuletniej toyoty, która była własnością mojej matki. Naomi zdecydowała, że dom odziedziczy Pete, ponieważ to on spłacił hipotekę, ale poza tym zostawiła trochę pieniędzy na rachunku w banku. Pete oddał mi dokumenty.

– O ile wiem, nie masz żadnej rodziny. Więc jeśli chcesz, możesz mnie uważać za swoją rodzinę.

Pete był miłym facetem, ale ja miałam całkiem inne pojęcie o rodzinie niż większość ludzi. To nie było coś, na czym mi obecnie zależało.

Wymówiłam się od dalszego siedzenia przy stole i powędrowałam do łóżka. Od razu zasnęłam jak kamień. Spałam głęboko i spokojnie jak dziecko, jakbym chciała nadrobić wszystkie lata spędzone na nieustannym czuwaniu.

Jednak w środku nocy coś mnie obudziło. Ktoś delikatnie stukał w szybę.

Otworzyłam okno i przekonałam się, że on stoi na zewnątrz. Mój najlepszy przyjaciel, człowiek, którego zbyt długo kochałam i który zdradził mnie bardziej dotkliwie niż ktokolwiek inny. Jego widok uszczęśliwił mnie i zmartwił jednocześnie. Wygramoliłam się na zewnątrz i teraz staliśmy bez słowa, przyglądając się sobie nawzajem. Żadne nie pomyślało, żeby się objąć, uścisnąć albo w inny sposób okazać radość ze spotkania.

Bardzo zmienił się przez te lata. Stracił trochę włosów, przybrał na wadze. Zmartwienia i żal zostawiły ślady na jego czole.

– Wyglądasz zupełnie nie jak ty – powiedział Ryan.

– Nie mogłam wyglądać jak ja.

– Chciałem powiedzieć, że nie wyglądasz tak, jak myślałem, że będziesz wyglądać.

– To przez włosy – powiedziałam prędko w nadziei, że nie uda mu się zajrzeć wprost do mojego sumienia.

– Masz zamiar tutaj zostać? – zapytał.

– Na razie w ogóle niczego nie planuję.

– Wiesz, że mam rodzinę – oznajmił, przysuwając się o kilka kroków.

– Wiem.

– Mam córeczkę.

– Słyszałam.

Dystans między nami zmniejszył się do zera. Z bliska widziałam jego oczy, te same, w które wpatrywałam się tysiące razy. Teraz krył się w nich smutek, lecz nadal były to oczy Ryana i nadal sprawiały mi ból.

Pocałował mnie. Jego wargi wydawały mi się bardziej znajome niż moje własne odbicie. Znowu czułam się tak, jakbym miała siedemnaście lat i jakby jeszcze wszystko było możliwe. Potem odsunął się, a to mi przypomniało, jak okrutnie obszedł się ze mną świat.

– Zniszczyłeś mi życie – powiedziałam.

– Zniszczyłaś mi życie – powtórzył jak echo.

– Nie zostanę tutaj, to pewne.

– Dobrze. Już nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

Rzeczywiście już nigdy mnie nie zobaczył.

Rozdział trzydziesty

Rankiem w dniu pogrzebu mojej matki zdecydowałam się przefarbować włosy z powrotem na brązowo. Już miałam dość spojrzeń, które przyciągały moje jasne wystrzępione loki. Gdy spłukałam farbę i skończyłam je suszyć, włosy wyglądały prawie normalnie, nawet jeśli ja wciąż inaczej się czułam. Potem wyciągnęłam z szafy starą sukienkę, żeby włożyć ją na pogrzeb. Wisiała na mnie jak worek. To była ta sama sukienka, którą nosiłam na pogrzebie babci Hazel. Wtedy w uroczystości wzięły udział tylko trzy osoby.

Moja matka przyciągnęła większy tłum, choć właściwie ciekawość wzbudziła jej ogólnie znana córka. Miałam wrażenie, że pół miasteczka zważyło się do domu pogrzebowego Bronson & Sons, żeby rzucić okiem na niesławną Norę Glass. Uroczystość odbywała się przy zamkniętej trumnie, więc poza mną nie bardzo było na kogo się gapić.

Kiedy Edie przekroczyła próg domu pogrzebowego, zwróciłam spojrzenie w inną stronę. Podeszła do mnie z wahaniem, jakbym była bezpańskim psem, a potem nagle zarzuciła mi ręce na szyję i przytuliła. Bez wylewności, raczej ostrożnie, tak jak się robi w wypadku starych, słabowitych krewnych.

– Tak mi przykro – wyszeptała. – Powinnam była wiedzieć, że nie mogłaś tego zrobić.

– Cieszę się, że od niego odeszłaś – tylko tyle zdołałam wykrztusić.

Pete stał przy drzwiach i witał wchodzących, nawet tych, o których wiedział, że przybyli tylko dla widowiska. Każdemu ścisnął dłoń, aż do momentu, gdy zjawili się Roland i Logan Olivierowie. Wtedy po prostu odwrócił się w drugą stronę, jakby dla niego byli niewidoczni. Tłum sapnął z dezaprobatą, a potem rozległ się pomruk, jak szum nieruchomego oceanu.

Poczucie winy nie przydało lat Loganowi, tak jak jego młodszemu bratu. Wciąż był szczupły, przystojny i wyglądał tak, jakby każdego mógł nabrać, że jest dobrym człowiekiem. Gdy Logan usiadł w ławce, Roland podszedł

wprost do mnie.

– Przykro mi z powodu twojej straty – powiedział.

– Jaką stratę masz na myśli? Życie mojej matki czy moje własne?

– Wiesz, że starałem się jej pomóc. Załatwiłem jej rehabilitację. Dawałem pieniądze, ilekroć poprosiła.

– No cóż, dobrze ci idzie przekupywanie ludzi.

– Być może nigdy tego nie zrozumiesz, ale wtedy naprawdę myślałem, że robimy coś, co będzie korzystne dla wszystkich.

– Jeśli szukasz rozgrzeszenia, to na twoim miejscu poszłabym do księdza.

Roland cofnął się i zajął miejsce w ostatnim rzędzie. Gdy uroczystość miała się rozpocząć, w drzwiach stanęła Błękitnooka. Miała na sobie obcisłą czarną sukienkę, lakierki i woalkę.

– Chyba za bardzo się wystroiłaś – mruknęłam, kiedy podeszła bliżej.

– Och, ale to taki ładny strój – odparła. – Widzę, że panowie Olivierowie dopisali.

– Ciekawe, dlaczego przyszli...

– Podsunęłam im myśl, że jeśli się nie pojawią, całe miasteczko uzna, że są winni – powiedziała.

– Bo są winni!

– To nie ma nic do rzeczy, Nora. Wybacz, ale nie mogę skończyć książki, zanim nie przeprowadzę z Loganem wywiadu na wyłączność. Spróbuję go stąd wyciągnąć, bo szczerze wątpię, czy ma ochotę siedzieć tu przez całą nudną ceremonię pogrzebową.

Z daleka obserwowałam, jak Błękitnooka roztacza przed Loganem swój uwodzicielski czar. Zdążyli zamienić parę słów, a Logan już podążał za nią w stronę wyjścia z domu pogrzebowego. Przysięgłabym, że Błękitnooka poradziłaby sobie nawet w jaskini lwa.

Pete wygłosił uroczą mowę na temat zmartwychwstania i starał się przekonać cyniczny tłum, że mimo iż jej życie usiane było niegodziwymi czynami, Naomi przed śmiercią szczerze się nawróciła. Stałam z tyłu sali, mając nadzieję, że dzięki temu mniej oczu będzie się na mnie gapić, ale wciąż widziałam, jak ktoś wykręca szyję, żeby choć zerknąć w przelocie.

Zastanawiałam się, czy ludzie czekają na moje łzy. W takim razie musieli przeżyć rozczarowanie, bo oczy miałam suche jak pieprz. Straciłam matkę przed dziesięcioma laty i to wtedy wylałam cały zapas łez.

Gdy ceremonia dobiegała końca, bezszelestnie wymknęłam się na zewnątrz. Nie chciałam, żeby nieszczery żałobnicy składali mi fałszywe wyrazy współczucia. Na niebie wisiały niskie, żółtawobure chmury i zaczynało mżyć. Zauważyłam Błękitnooką i Logana, pogrążonych w serdecznej pogawędce. Stali blisko siebie na parkingu obok czarnego range rovera.

Gdy ruszyłam w ich stronę, Błękitnooka zauważyła mnie kątem oka i powiedziała coś do Logana. Spojrzał na mnie, a następnie otworzył przed nią drzwi pasażera. Potem sam wsiadł za kierownicę i wyjechał z parkingu.

Toyota mojej matki zaparkowana była na odległym końcu placu, więc Błękitnooka i Logan od razu zyskali przewagę, ale to nie miało znaczenia. Doskonale wiedziałam, dokąd pojechali. Włączyłam silnik i niespiesznie wytoczyłam się z parkingu. Skreśliłam w prawo w Buckwheat Lane, potem w lewo na Road 47, a stamtąd prosto na Skyline Road. Tutaj obowiązywało ograniczenie prędkości do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę – ja jechałam prawie sto.

Po dziesięciu minutach na dwukierunkowej szosie ujrzałam przed sobą range rovera. Ostatni raz byłam tutaj w tę noc, kiedy zginęła Melinda. Znajdowaliśmy się przynajmniej cztery kilometry od Lyons Bridge. Pamiętam, jak przed laty czytałam, że właśnie na jej cześć nazwano tak wiadukt o długości jednej mili. Wzięłam do ręki telefon i wybrałam numer Błękitnookiej. Odebrała po trzecim sygnale.

– To nie jest dobry moment – oznajmiła.

– Blue, wiem, co masz zamiar zrobić. I proszę, żebyś tego nie robiła. Ja wcale tego nie chcę.

– Zadzwoń do ciebie, kiedy skończę wywiad z Loganem.

– Blue...

Ale ona już zdążyła się rozłączyć.

Pędziłam sto dziesięć kilometrów na godzinę, wyłącznie po to, żeby wciąż

mieć ich w polu widzenia. Za ledwie trzy kilometry dzieliły nas od mostu. Mniej niż dwie minuty jazdy. Ale czas stracił wszelkie znaczenie. Byłam jednocześnie w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

Zobaczyłam, jak samochód Logana zbacza z trasy, skręca w prawo, znowu odchyła się i przeskakuje ponad barierką, mocno wyginając stalową poręcz. Przez przyciemniane szyby nie byłam w stanie dostrzec, co dzieje się w środku, ale mogłabym przysiąc, że gdy range rover ostro szarpnął się w prawo, kierownicę trzymały ręce Błękitnookiej. Nie było śladów poślizgu ani próby hamowania. Range rover uderzył w barierkę i zanurkował sześć metrów w dół, prosto w wody Moses Lake.

Wdepnęłam w hamulec, jednocześnie włączając światła awaryjne, i wyskoczyłam z auta. Czarny SUV powoli zanurzał się, połykany przez mroczną toń. Odetchnęłam z ulgą na widok Błękitnookiej, która wydostała się przez okno pasażera. Przez przyciemnione szyby nie widziałam Logana, ale byłam pewna, że Błękitnooka nie pomogła mu uciec.

Błyskawicznie zrzuciłam buty, płaszcz i skoczyłam do mętnej wody. Przepłynęłam obok Błękitnookiej, zanurkowałam i przez otwarte okno wczołgałam się do wnętrza samochodu.

Logan wciąż żył i z całych sił walczył, żeby uwolnić się z pasa bezpieczeństwa. Od wstrzymywania oddechu jego twarz przybrała barwę krwistej czerwieni. Sięgnęłam do klamry i próbowałam zwolnić przycisk, ale nie ustąpił. Spróbowałam ponownie. Nawet nie drgnął. Czułam, że kończy mi się powietrze. Spróbowałam po raz ostatni. Zdecydowanie potrzebowałam zaczerpnąć oddechu.

Obserwował umykające bąbelki powietrza, gdy wypuściłam z płuc ostatni zapas. Nagle chwycił mnie za kołnierz koszulki i owinał go jak pętlę dookoła mojej szyi. Starłam się go odepchnąć, ale najwyraźniej postanowił, że skoro musi umrzeć, zabierze mnie z sobą.

Miałam wrażenie, że moje płuca za chwilę eksplodują. Spojrzałam Loganowi prosto w oczy, w milczeniu błagając o litość, choć powinnam wiedzieć, że to uczucie jest mu całkowicie obce. Nieoczekiwanie Logan wciągnął nosem wodę; wstrząsnął się i odruchowo wyprostował palce. Natychmiast odwróciłam się i wypełzłam z samochodu, co siłą młóćąc nogami, żeby jak najszybciej dotrzeć na powierzchnię, gdzie w końcu moje

płuca mogły nacieszyć się świeżą porcją tlenu. Unosząc się na powierzchni lodowato zimnego jeziora, haustami łykałam powietrze.

Błękitnooka stała na brzegu. Podpłynęłam do niej i wylazłam z wody, wciąż sapiąc jak kowalski miech.

– Już go nie ma – powiedziałam.

– Tak właśnie pomyślałam – odpowiedziała.

Trzęsa się jak osika, jej usta posiniały z zimna, ale zachowywała spokój.

– Bałam się, że on zechce zabrać cię ze sobą – dorzuciła po chwili.

– Co zrobiłaś?

– Zupełnie nic – odpowiedziała bez przekonania. – Sam doszedł do wniosku, że jego dni na wolności są policzone, więc wołał odejść na własnych warunkach.

– Chcesz powiedzieć, że sam zjechał z mostu wprost do jeziora?

– Nie sądzisz, że to bardzo poetyckie zakończenie? On umiera na tym samym moście, który niegdyś zrobił z niego zabójcę. Kocham symetrię, a ty?

– Ja wolę sprawiedliwość – odparłam.

– Czasami udaje się dostać je w pakiecie.

Razem z Błękitnooką wdrapałyśmy się na wał nabrzeża, żeby wrócić na drogę.

– Podwieź mnie do motelu – poprosiła.

– Najpierw powinniśmy pojechać na policję.

– Dlaczego?

– Bo byłaś z nim w aucie, kiedy to się stało.

– Naprawdę? – zapytała ze zdziwieniem. – W ogóle tego nie pamiętam.

Nawet nie próbowałam z nią dyskutować. W sumie niczego by to nie zmieniło. Odwiozłam Błękitnooką do Super 8 na obrzeżach miasteczka. Powiedziała, żebym zaczekała w samochodzie. Włączyłam ogrzewanie na pełną moc, ale i tak trzęsałam się w całkiem przemoczonym ubraniu.

Błękitnooka wróciła z dużą, kremową kopertą w dłoni.

– Powinnaś to mieć – powiedziała. – Myślę, że śmierć Logana jest tym zakończeniem, którego mi brakowało, ale tutaj masz całą opowieść o Norze Glass, a jej historia jeszcze się nie zakończyła. Nie mogę tego opublikować, tak jak wygląda. Pewnie większość spraw wyda ci się znajoma, skoro jesteś Norą Glass i tak dalej... Ale jest pewna rzecz, której o niej nie wiesz, a to pozwoli ci uporządkować kilka spraw.

– Nie chcę tego – odparłam zdecydowanie.

– Jednak weź – powiedziała, kładąc stertę papierów na fotelu pasażera. – Bądź szczęśliwa, Noro. Sprawiedliwości stało się zadość.

– Ty i ja całkiem inaczej pojmujemy sprawiedliwość – zauważyłam.

– Naprawdę?

– Do widzenia, Blue.

– To jeszcze nie jest pożegnanie – powiedziała na odchodne.

Wróciłam do mojego starego domu i wzięłam gorący prysznic. Pete przyszedł nieco później i od razu zapytał, gdzie się podziewałam. Odpowiedziałam, że to wszystko okazało się ponad moje siły i musiałam wyjść. Wpełzłam do łóżka i spałam, dopóki nie obudziły mnie wyrzuty sumienia. Przed oczami wciąż miałam obraz Logana, który uwięziony przez pas bezpieczeństwa, czeka na śmierć. Włączyłam lampę do czytania i postanowiłam przejrzeć kilka stron ze świeżego manuskryptu Błękitnookiej.

Przerzuciłam parę kartek i ogarnęło mnie rozbawienie. Wszystkie strony były czyste, z wyjątkiem strony tytułowej oraz ostatniej kartki, na której mieścił się raport. Upłynęło trochę czasu, zanim jego treść dotarła do mojej świadomości.

Błękitnooka miała rację. Była pewna rzecz, o której nie wiedziałam, a teraz parę spraw stało się jasnych jak słońce. Przynajmniej dotarło do mnie, dlaczego moja matka i pan Olivier tak bardzo pragnęli mnie odesłać. Mimo wszystko mogli załatwić to w inny sposób.

Zostałam w Bilman jeszcze przez dwa dni, bo Pete potrzebował pomocy przy usunięciu z domu rzeczy należących do Naomi. Stałam tuż obok, kiedy zadzwonił telefon i kiedy usłyszałam nowinę o śmierci Logana. Policja uznała to za samobójstwo popełnione przy użyciu samochodu.

Zapakowałam swoje rzeczy do odziedziczonego po matce samochodu i pożegnałam Pete'a. Pojechałam prosto do domu Rolanda Oliviera. Miałam do załatwienia jeszcze jedną sprawę – ostatnią, zanim opuszczę Bilman na zawsze.

Zastałam pana Oliviera siedzącego na ganku ze szklaneczką whisky w ręku. Najwyraźniej nie był to pierwszy drink.

– Chciałam złożyć kondolencje z powodu śmierci syna. Bardzo mi przykro – powiedziałam.

– Naprawdę ci przykro?

– Trochę. Chyba teraz zacznę inaczej o nim myśleć.

– Więc wiesz?

– Wiem.

– Czy teraz mnie rozumiesz?

– Rozumiem, dlaczego ty i moja matka staraliście się mnie stąd wypędzić. Ale nie rozumiem, dlaczego w Austin kazałeś mnie zabić.

Pan Olivier westchnął ciężko i zamknął oczy.

– To nie ja. Logan odkrył, że się odezwałaś, i... – nie dokończył zdania.

– Rozumiem.

– Ryan nie może się o tym dowiedzieć.

– Zgadzam się.

– Wybacz mi – poprosił.

– Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe – powiedziałam, podając mu kopertę.

– Co to jest?

– Pieniądze, które kiedyś pożyczyłam. Teraz chcę je oddać.

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy, Noro.

– A ja nie potrzebuję twoich.

Wstałam i ostatni raz spojrzałam na tego starego człowieka. Próbowałam postrzegać go inaczej niż dotąd, ale wciąż wydawał mi się taki jak dawniej.

– Do widzenia, tato.

Epilog

Wsiadłam do samochodu i odjechałam. Najpierw skręciłam na I-5 South, potem 405 South i przedostałam się na I-90 East. Prowadziłam auto aż do północy, kiedy to zatrzymałam się w tanim motelu w Missoula w stanie Montana. Wstałam wcześniej rano i jechałam dalej. O zmierzchu przekroczyłam granice Wyoming. Wjechałam na I-25 w kierunku Casper. Wynajęłam pokój w Gospodzie pod Przyjaznym Duszkiem, gdzie wzięłam gorący prysznic, zmieniłam ubranie i nałożyłam nieco barw wojennych.

Powędrowałam niespiesznie ulicą do baru zwanego Linia Autowa i tam zamówiłam szklaneczkę bourbona z górnej półki. Należało jakoś uczcić moją niewinność. Siedziałam, sącząc drinka, i czekałam, aż on mnie zauważy. Szklaneczka była już prawie pusta, gdy zajął miejsce obok. Ukradkiem zerkałam w moją stronę, ale nie powiedział ani słowa. Delikatnie odgarnęłam mu włosy z czoła i musnęłam bliznę, którą mu zafundowałam, wdeptując z całej siły w hamulec.

- Zdaje się, że powracasz do zdrowia – powiedziałam.
- Tylko na zewnątrz – odparł, mrugając porozumiewawczo.
- Na pewno wszystko wróci do normy.
- Co cię do nas sprowadza, kochanie?
- Domenic, czy już zawsze będę musiała oglądać się przez ramię?
- Nie wiem – odpowiedział. – A czy ja będę musiał robić to samo?
- Zwyczajnie chciałam być wolna. Powiedz mi, jestem wolna?

Popatrzył mi prosto w oczy i przez chwilę wydawał się przeżuwać to pytanie.

- Czy obiecujesz, że odtąd staniesz się uczciwą obywatelką, która przestrzega prawa?
- Zrobię, co w mojej mocy.

- Każdy z nas robi dokładnie tyle samo – zauważył.
- Co byś powiedział na to, żebyśmy zaczęli od początku? – zaproponowałam.
- Brzmi całkiem nieźle. Pozwolisz, że ci postawię drinka?
- Chyba to ja jestem ci winna drinka.
- Tak mi się zdaje – odparł wyciągając rękę. – Mam na imię Domenic.
Uścisnęliśmy sobie dłonie.
- Miło cię poznać, Domenic.
- Co z tobą, kochanie? Masz wreszcie jakieś imię?

Podziękowania

Jak zawsze, na początku muszę podziękować Stephanie Kip Rostan i Marysue Rucci. Mam niesamowite szczęście, że trafiłam na agentkę i na wydawcę, które wierzą, że potrafię napisać pełnowymiarową powieść, opierając się jedynie na dwóch zdaniach zasłyszanych w barze.

Przy S&S muszę podziękować Carolyn Reidy i Jonowi Karpowi. Obydwoje byliście niezwykle wspaniałomyślni i pomocni. Jestem waszą dłużniczką. Z równie wielką wdzięcznością dziękuję następującym osobom: Richardowi Rhorerowi, Laurze Regan, Amandzie Lang, Sarah Reidy, Marylin Doof, Allison Harzvi, Kirsten Lemire, Ebony LaDelle i Maureen Cole. Wszyscy jesteście fantastyczni. Na końcu, co nie znaczy, że najmniej, dziękuję Jonathanowi Evansowi. To dzięki tobie nigdy nie musiałam nabrać biegłości w posługiwaniu się językiem angielskim.

Dziękuję wszystkim zadziwiającym ludziom z mojej agencji literackiej Levine Greenberga Rostana! (Dodałam wykrzyknik, bo sądzę, że to działa!): Jimowi Levine'owi, Danowi Greenbergowi, Melissie Rowland, Beth Fisher, Miek Coccia, Monice Vermie, Timowi Wojcikowi, Kerry Sparks, Lindsay Edgecombe oraz Shelby Boyer. Nigdy nie zdołam się wam odwdziaczyć.

Clair Lamb i David Hayward zasługują na jakiś rodzaj nagrody, ponieważ musieli męczyć się z moją pisaniną na zupełnie początkowym etapie tworzenia. Są znakomici, jeśli chodzi o wyszukiwanie właściwych słów, dzięki którym posuwam się naprzód. Kocham was oboje.

Dziękuję także moim przyjacielom: Morgan Dox, Steve'owi Kimowi, Julie Ulmer i Julie Shiroishi. Bez was nie dałabym sobie rady. Diego Aldanie dziękuję za haczyk w ostatniej książce i za pomysł na kryjówkę w obecnej. Hopeton Hay i Timowi Chamberlainowi dziękuję za wszystkie detale dotyczące Austin i za lata wspaniałych wywiadów.

Dziękuję Davidowi z Camp Scatico za wyprawę.

Dziękuję mojej rodzinie: cioci Bev, wujkowi Markowi, wujkowi Jeffowi, cioci Eve, Jayowi, Anastasii, Danowi i Lori.

Dziękuję wszystkim moim przyjaciołom z przestępczego świata, dzięki którym czuję się tak, jakbym brała w coś udział. Jest was zbyt wielu, żebym mogła wszystkich wymienić, ale przecież wiecie, o kogo chodzi.

Ponieważ muszę już oddać rękopis, a wiem, że na pewno o kimś zapomniałam:

dziękuję ci.....

Na zawsze jesteś moim ulubieńcem.

[1] Zadupie, odludzie, pustelnia (przyt. red.).

[2] Jane Doe – nazwisko nadawane osobie nieznaney, odpowiednik polskiego NN.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz